

Jill Barnett

ZAMET

Z górnych gałęzi ukochanej jabłonki Abnera Browna zwisał kawałek materiału w nieco spleśniałą niebieską kratkę. Nagły ruch w koronie drzewa spowodował, że na trawę spadł deszcz różowych płatków. Haldis Fredriksen, która akurat przechodziła obok, przystanęła. Widząc znajomy skrawek, zmrużyła szare oczy, tymczasem zaś z każdym poruszeniem gałęzi kraciasty wzór jawił się coraz okazalej. Haldis wbiła obcas pantofla w miękką ziemię, obróciła się i cichutko podeszła do drzewa.

Długi rząd wybujałych różanych krzewów dał jej zasłonę. Teraz z jabłonki zwisała już prawie kraciasta flaga, kołysana łagodnymi podmuchami wiatru. Haldis popatrzyła najpierw w lewo, potem w prawo, by sprawdzić, czy nigdzie w pobliżu nie ma jej prześladowcy, nudnego i zarozumiałego pana Browna, przekonawszy się zaś, że istotnie go nie ma, wyprostowała się i energicznym ruchem wzięła się pod boki.

- Liv, złaż z tego drzewa, szybko!

Na wysokości rozległo się gorączkowe szeleszczenie i z jabłonki spłynęła różowa chmura. Gdy kwietna zasłona nieco opadła, na ziemi pojawiła się wielka masa spódnic, a nad nią złociste warkoczyki. Przed samym nosem Hallie wylądowała jej dziewięcioletnia siostra, Liv.

- Niech to piorun trzaśnie, Hallie! Aleś mnie przestraszyła. - Liv wstała, beztrąsko przerzuciła sobie przez ramię parę czarnych, wełnianych pończoch i spróbowała otrzepać tylną część swojego ciała. - Człowiek może sobie coś potłuc, jak się go tak zaskakuje.

- Znam ja kogoś, kto będzie zaraz potłuczony. - Hallie obróciła siostrę i oczyściła jej spódnicę nieco mocniejszymi klepięciami, niż potrzeba. - Obiecałaś trzymać się z dala od posiadłości pana Browna, i co? Minęły dwa dni, a ty znowu siedzisz na jego drzewie. Co ci strzeliło do głowy?

- Nie wiem - wybąkała Liv. Spojrzała na Hallie z poczuciem winy, a potem usiadła na ziemi i zaczęła się mozolić ze związanymi w węzeł pończochami.

Naciągając pończochę na nogę podrapaną przez korę, mruzczała pod nosem coś o trzymaniu kciuków. Ten widok poruszył w Hallie czułą strunę. Ostatnio nie robiła nic innego, tylko pouczała Liv. Czyżby była dla niej za surowa, czy też siostra po prostu sprawdzała granice jej wytrzymałości? Opieka nad Liv zawsze pochłaniała mnóstwo czasu i energii, ale od śmierci matki przed trzema laty w dziewczynkę dosłownie wstąpił diabeł. Hallie próbowała porozumieć się z nią po dobroci, niestety, nic z tego nie wyszło. Liv nieustannie łamała wszelkie zasady. Nigdy nie było wiadomo, czego się po niej spodziewać. Mimo to Hallie kochała siostrę i właśnie dlatego nie mogła pozwolić, by występek uszedł bezkarnie. Dziecku należała się nauczka, żeby wiedziało, że słowa trzeba dotrzymywać.

- Zdaje mi się, panienko, że ostatnio w ogóle nie wiesz, co robisz, hm?

Liv milczała.

Hallie bardzo się starała, by jej zmęczony głos zabrzmiał również surowo.

- Dzień bez wychodzenia na dwór pomoże ci odzyskać pamięć. A dla łatwiejszego przypomnienia sobie, dlaczego złamałaś obietnicę, pocerujesz to wszystko, co leży przy moim łóżku.

- Ale wiesz, Hallie...

- Jeżeli skończysz przed kolacją, to możesz jeszcze wykąpać chłopców. - Hallie ujrzała grymas niesmaku na buzi Liv. Obie z doświadczenia wiedziały, że kąpanie czteroletnich bliźniaków jest gorsze od wypadnięcia z arki Noego. Czterdziestodniowa ulewa nie byłaby w stanie nikogo tak zmoczyć.

Liv wstała, tym razem nie zwracając uwagi na swą zakurzoną pupę. Ostatni raz spróbowała przebłągać siostrę.

- Och, Hallie, od siedzenia w domu przez cały dzień można zachorować. Tam jest tyle kurzu i nieświeże powietrze... - Szerzej otworzyła oczy i dokończyła dramatycznie. - A jak się człowiek zamoczy, to może dostać gorączki piersiowej i umrzeć!

- Oj, panienko, nie odszczekuj, bo pożałujesz. Szybko do domu!

Widząc, że szyję starszej siostry zaczyna zalewać czerwień, Liv pośpiesznie podreptała w stronę domu. Właśnie skręcała za róg, gdy Hallie zauważyła jej bosc stopy. W pierwszej chwili chciała zawołać Liv z powrotem, pomyślała jednak, że nie może ryzykować zwrócenia uwagi pana Browna. Już i tak dostatecznie długo znajdowały się bezprawnie w jego ogrodzie. Gdyby w

San Francisco nie było tak trudno o buty dla dziecka, Hallie uległaby pokusie i machnęła na nie ręką. Ale ponieważ niedawno oczekiwała bez końca na tę właśnie parę, którą teraz Liv beztrudno gdzieś posiadała, postanowiła jednak wszczać poszukiwania.

Obeszła drzewo, jednak przy pniu niczego nie znalazła. Szperanie po pobliskich krzakach miało tylko ten skutek, że zaniepokoiło kilka pszczoł. Opędziwszy się od nich, Hallie spojrzała w górę i jęknęła. Na jednej z górnych gałęzi jabłoni dyndały nowe buciki Liv.

I co ja mam zrobić, zastanawiała się, próbując wpaść na pomysł, który oszczędziłby jej wspinania się na czubek drzewa. Dobrze bowiem wiedziała, że cokolwiek bardziej stromego niż głupie schody w domu przyprawia ją o natychmiastowy zawrót głowy. Jedyna próba przewyciężenia tej słabości, jaką Hallie podjęła, miała bardzo niechlubny koniec. Ją, kapitańską córkę, trzeba było nożem uwalniać z płataniny lin. Nie kończące się pięć minut bezradnego dyndania dziesięć metrów nad pokładem przekonało ją, że ze swą słabością musi się pogodzić.

To było naturalnie przed sześcioma, może nawet przed siedmioma laty. Nie należało więc wykluczać, że lęk wysokości już jej przeszedł. Czyż z takich fobii się nie wyrasta? Przecież była teraz znacznie wyższa niż wówczas. Dlaczego wejście na całkiem niepozorne drzewo miałooby być straszne? Zresztą, jak inaczej można zdjąć te buciki?

Ostrożnie rozejrzała się dookoła ze świadomością, że stanowczo nie powinna robić tego, co robi. Naprzód popychało ją jednak wewnętrzne przekonanie, że odzyskanie bucików będzie dla niej symbolicznym aktem wejścia w wiek kobiecej dojrzałości.

Najniższą gałąź miała tuż nad głową. Dziękując Bogu za nordyckich przodków, bo im zapewne zawdzięczała swe metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, zaczęła się na nią podciągać. Przełożywszy przez gałąź prawą nogę, zdołała na niej usiąść. Ta grzęda wydawała się bezpieczna, przez chwilę Hallie odpoczywała więc na niej szeroko uśmiechnięta, tyleż zdumiona nowo nabytą umiejętnością, co bardzo z niej dumna.

Zachęcona sukcesem, sięgnęła do następnej gałęzi i przyjęła pozycję stojącą. W tym momencie popełniła jednak poważny błąd. Spojrzała w dół.

Ziemia nagle się rozpulchniła i uniosła jak ciasto na drożdżach. Oczy Hallie zaszyły mgłą, a ona z całej siły oplotła ramionami górną gałąź. Złapawszy ustami kilka haustów powietrza, zdołała jakoś uspokoić rozkołatanę serce. Gdy po chwili odzyskała ostrość widzenia, rozejrzała się dookoła w oczekiwaniu na powrót odwagi. Niestety, odwaga ją opuściła.

Trwając w bardzo chwiejnej równowadze, Hallie z nienawiścią spojrzała na buciki. Bardzo ją irytowało, że prowokująco dyndają tuż poza zasięgiem jej ręki, puściła więc gałąź jedną ręką i wolno sięgnęła w górę. Brakowało jej jeszcze kilkunastu centymetrów.

Wyszukawszy cienką gałązkę, która mogłaby posłużyć za narzędzie, odłamała ją od drzewa. Brawurowo wspięła się na palce i zaczęła rozwidlonym końcem gałązki o związane sznurowadła bucików. Po skomplikowanych manipulacjach udało jej się ściągnąć jeden bucik trochę niżej, tak że dosięgła jego czubka. Energicznie zań pociągnęła i już trzymała zdobycz, a dookoła unosiła się chmura płatków osypujących się z górnej gałęzi. Kurczowo ściskając skórzane buciki, Hallie poczekała, aż będzie cokolwiek widać. Potem wolno zaczęła się odwracać, żeby lepiej uchwycić gałąź dającą jej rękojmię bezpieczeństwa. Właśnie kucała, gdy rozległ się trzask. Gałąź pękła pod jej ciężarem i żałośnie zwiśla. Hallie zsunęła się po niej jak po zjeżdżalni, odzierając ją z drobniejszych gałązek i kwiatów, aż wreszcie boleśnie wylądowała na ziemi.

- Moje drzewo! Moje drzewo!

Piskliwy, zawadzający krzyk prześwidrował jej uszy na wylot. Piekącą dłonią odgarnęła z twarzy jasne włosy. Stał przed nią rozwścieczony Abner Brown, wymachując rękami niczym sygnalizator na szczycie Telegraph Hill. Ubrany jak zwykle w czarny strój przedsiębiorcy pogrzebowego, drobnymi podskokami punktował kolejne wezwania swej litanii do drzewa.

- Och, pan Brown. Bo widzi pan... no... - plątała się Hallie. Spłoszona tą apoplektyczną reakcją, za nic nie mogła wykrztusić z siebie sensownego wyjaśnienia.

Bładość skóry pana Browna była deprymująco trupia, a jej żółtawy odcień sprawiał, że brązowych, prostych włosów tego zaledwie trzydziestokilkuletniego mężczyzny właściwie się nie widziało. Jedyne akcent kolorystyczny w jego twarzy stanowił natychmiast zwracający uwagę wielki nos. Był jaskrawoczerwony. Ponieważ pan Brown nieustannie poruszał szczęką do

przodu i do tyłu, Hallie uznała, że stąd właśnie wziął się u niego wydatny podbródek. Gniew bijący z jego chłodnych, przenikliwych oczu przyprawiał ją o ciarki, tym bardziej że przyglądając się długim, kościstym palcom wyobraziła sobie, jak te szpony zaciskają się jej na gardle.

- Panie Brown, wiem, że uszkodziłam panu drzewo. - Hallie przełknęła ślinę widząc, że tym zagajeniem jeszcze go rozsierdziła. Jabłko Adama zaczęło mu pulsować w bardzo gwałtownym rytmie. - Przykro mi...

- Przykro ci! Tobie jest przykro? - wykrzyknął i podszedł kilka kroków, by stanąć dokładnie nad nią. - Powiem ci, co jest naprawdę przykre, a właściwie żalosne. Ty i ta banda rozwrzeszczanych bachorów. Nie macie ani krzty szacunku dla cudzej własności! - Urwał, mroząc ją lodowatym spojrzeniem.

Hallie siedziała na ziemi, przerażona. Gdy jednak Abner Brown odwrócił od niej oczy i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem, jej lęk ustąpił.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to drzewo specjalnie sprowadziłem statkiem z New Hampshire? Musiało opłynąć przylądek Horn, wytrzymało burze morskie i podróż w towarzystwie hołoty goniącej za złotem. Przeżyło trzy pożary San Francisco. I jaki koniec je spotyka?! Śmierć od zarazy, która zwie się rodziną Fredriksenów. - Abner zatrzymał się dokładnie przed nią.

Hallie spojrzała na jego oskarżycielsko wyciągnięty palec.

- Wiem, co sądzisz o tym drzewie.

Och, ja też wiem, pomyślała Hallie, czując niespodziewany przypływ zrozumienia dla biednej Liv. Popatrzyła, jak palec pana Browna wznosi się ku niebu, ciągnąc za sobą patykowate ramię, i zaczyna wygrażać. Znała już ten gest z poprzednich wykładów.

- Pannico, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to jest jedyna jabłoń w San Francisco?

Och nie, przebiegło jej przez myśl. Teraz dopiero się zacznie.

- Daje wyśmienite owoce. Na Wschodzie za te soczyste, okrągłe jabłuszka ludzie płacą olbrzymie pieniądze. Przyjeżdżają z daleka, żeby skosztować tych chrupiących, słodkich, czerwonych...

Znużona Hallie wstała. Znała te wszystkie wywody aż za dobrze z wizyt Abnera Browna, które składał w jej domu. Piętnował wtedy Liv albo bliźniaki, a jej wymawiał, że pozwala dzieciakom robić, co im się żywnie podoba. Nazywał je małymi hultajami i wandalami, i twierdził, że Hallie jest za młoda, by się nimi opiekować. Zirytowana tym przypomnieniem, Hallie otrzepała spódnice. Wcale nie była za młoda, miała prawie dziewiętnaście lat.

Gdy skończyła piętnaście, ojciec powierzył jej pieczę nad rodziną. Ponieważ był kapitanem statku wielorybniczego, w domu pokazywał się rzadko. Praktycznie więc Hallie sama opiekowała się gromadką, złożoną z dwóch młodszych siostr i dwóch braci bliźniaków. Próbowała stworzyć dzieciom normalny dom, ale przy braku matki nie było to łatwe. A ich dom się zmieniał.

Przez ostatnie trzy lata San Francisco szybko rosło. Z sennej wioski stało się awanturczym portem. Na oczach Hallie do miasta tłumnie przyjeżdżali mężczyźni, zwabieni pogłoskami o złocie. Wielu z nich przeżyło głębokie rozczarowanie i zamieniło się w półdzikich ludzi, nie lepszych od wszelkiego rodzaju przestępców, którzy również masowo ciągnęli na Zachód. Trudno było mieszkać w mieście, w którym gorączka złota nawet najnormalniejszych ludzi doprowadzała do obłędu.

Może częściowo z tego brały się kłopoty z Liv? Jak mała dziewczynka ma być grzeczna, skoro dorośli mężczyźni dookoła wykazują tak mało ogłady? Może należałoby wyjechać, żeby znaleźć się jak najdalej od przemocy San Francisco? Hallie postanowiła porozmawiać o tym z tatą, gdy tylko zajrzy do domu.

Uświadomiła sobie, że Abner nawet na nią nie patrzy. Wpadł w trans i osiągał właśnie szczyty oratorskiego zacietrzewienia. Gdy schyliła się po nieszczęsne buciki, długi blond warkocz przeleciał jej przez ramię. Odrzuciła go z powrotem na plecy i zaczęła rozgarniać liście w poszukiwaniu spinek, którymi zwykle upinała go w kok. Znalazła tylko dwie. Schowawszy je do kieszeni, wyprostowała się.

Boże, ten człowiek uwielbia dźwięk własnego głosu, pomyślała z niechęcią. Pokręciła głową, a potem z nudy zaczęła przyglądać się wrakowi drzewa. Na widok szkód, jakich narobiła, zapragnęła schować się do mysiej nory. Na jabłonce zostało najwyżej kilkadziesiąt kwiatków, a

największa gałąź, złamana, smutno zwieszała się ku ziemi. Wyglądem przypominała trochę kulę kaleki. Nie ulegało wątpliwości, że w tym roku drzewo nie wyda wielu owoców, jeśli w ogóle będzie owocować.

Hallie wiedziała, że postąpiła źle. Zniszczyła drzewo Abnera Browna. Ale on zachowywał się... no, delikatnie mówiąc, nienaturalnie. Rzecz jasna, Abner Brown zawsze był dziwakiem, mantykowatym durniem. I uwielbiał gadać. Ponieważ jednak prowadził zakład pogrzebowy, a wiadomo, że zwłoki nie mogą mówić, wcale nie wydawało się zaskakujące, że dawał upust swojemu upodobaniu, gdy tylko miał przed sobą człowieka, którego ciało było ciepłe.

Uzmysłowiwszy sobie nagle ciepło własnego ciała, Hallie spojrzała ku słońcu. Jego położenie wysoko na niebie wskazywało, że większa część poranka była bezpowrotnie zmarnowana.

- Panie Brown - przerwała monolog mężczyzny. - Zapłacę panu za szkodę.

- Pewnie, pewnie, pannico. Żeby ktoś w twoim wieku włąził na drzewa zamiast pilnować tych... tych bachorów. Też coś! - Prychnął. - Zamierzam złożyć doniesienie o tym wandalizmie! - Wyraziwszy swój zamiar, Abner Brown dumnie uniósł głowę, skrzyżował chuderlawe ramiona i czekał, co będzie dalej.

Hallie rozważyła jego groźbę. Zdawała sobie sprawę, że Abner Brown chciał ją po prostu zastraszyć. Władze ledwie mogły utrzymać spokój w mieście, więc raczej nie należało się obawiać kłopotów z ich strony. Ale Abner Brown miał swoje wpływy. Dobrze znał szeryfa Hayesa, bo był jedynym przedsiębiorcą pogrzebowym w mieście, a przy takim stanie przestrzegania prawa i porządku, jaki panował ostatnio, ciała do pogrzebania trafiały się w San Francisco dość często.

- Powiedziałam, że zapłacę za szkodę - powtórzyła Hallie. - Ile pan chce?

Abnerowi błysnęły oczy. Spojrzał na prawie całkiem ogołocone drzewo, a potem na resztki kwiecica, które zasały trawę dookoła. Pochylił się, podniósł kwiatek i zaczął czule go głaskać.

- Och, myślę, że pięćset dolarów powinno wystarczyć.

Pięćset dolarów! Hallie z trudem przełknęła ślinę. Ten chciwy rabuś miał ją w potrzasku i oboje o tym wiedzieli. Mógł twierdzić, że za te pieniądze sprzedałby owoce kopaczom, i prawdopodobnie miał rację. W miejscu, gdzie tyle złota przechodziło z rąk do rąk, żywność osiągała astronomiczne ceny, a w największym stopniu dotyczyło to jaj i owoców. Za rzadkie towary ludzie byli gotowi zapłacić zadziwiające sumy.

Ponieważ istotnie zniszczyła drzewo, czuła się za swój postępek odpowiedzialna, ale mimo to nie mieściło jej się w głowie, że Abner może w majestacie prawa domagać się od niej takiej kwoty. Nie chciała jednak mieć kłopotów podczas nieobecności ojca, więc postanowiła nie ryzykować próby sił z panem Brownem, żeby nie postawić siebie i dzieciaków w trudnej sytuacji. Była wściekła na tego podstępnego szczura, wściekła na Liv, a najbardziej na siebie, że wpakowała się w tarapaty.

Zaczynała kipieć ze złości, uznała więc, że musi jak najszybciej odejść. Gdyby pozwoliła sobie na wybuch, jeszcze pogorszyłaby swoją sytuację.

- Przyniosę panu pieniądze najpóźniej w piątek. - Jakos wydusiła z siebie to zdanie i oddaliła się sprężystym krokiem. Zanim jeszcze dotarła do granicy swojego podwórza, usłyszała nosowy głos Abnera Browna:

- Lepiej, pannico, żebyś naprawdę przyniosła. Oj, byłoby dla ciebie dużo lepiej.

Kit Holland zmiął list i cisnął papierową kulę w drugi koniec pokoju. Wyciągnął rękę nad swym zaśmieconym biurkiem i podniósł mosiężne wieczko ozdobnego, rzeźbionego puzderka, w którym trzymał tytoń. Nabił fajkę, po czym wsunął ją między zęby. Zapaliwszy, zaczął ją pykać z nadzieją, że tytoniowy dym złagodzi odczuwane przezeń napięcie.

Ojciec napisał list w tonie przeproszającym. Próbował odwieść matkę i ciotkę Kita od ich zamiaru, tłumacząc im, że Kit jest dorosłym człowiekiem i świetnie sobie radzi na Zachodnim Wybrzeżu. Ale matka nie przestała się martwić.

Kit przypomniał sobie jej łzawe prośby sprzed kilku lat, gdy oznajmił, że zamierza się przeprowadzić do San Francisco. Żona mu umarła, co wreszcie położyło kres ich katastrofalnemu małżeństwu, chciał więc wyjechać gdzieś daleko, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Kochał swoją rodzinę, ale nie mógł znieść współczucia, które niezmiennie widział w oczach bliskich.

Gdyby pozostał w New Bedford, tylko przypominałoby mu to nieudane małżeństwo i miłość, a może nienawiść, którą, na własną zgubę, wciąż czuł do swej niewiernej, teraz już nieżyjącej żony.

Głęboko się zaciągnął, przez dłuższą chwilę trzymał w ustach dym, mający posmak rumu, i dopiero potem wydmuchnął go w górę. Gorzko-słodki smak palił mu usta, tak samo jak gorycz po zdradzie żony wypaliła mu serce. Kit wstał i podszedł do zgniecionej kartki, którą w złości cisnął na podłogę. Podniósł ją, rozprostował i zaczął się jej przyglądać z nadzieją, że może za pierwszym razem źle zrozumiał treść listu. Dwa słowa natychmiast rzuciły mu się w oczy: ciotka Madeline.

Głośno jęknął. Miał takie wrażenie, jakby z wiszącej nad nim czarnej chmury nagle lunął deszcz. Nie dość tego, że musiał płacić gigantyczne sumy za składowanie towaru, nie mając innego wyjścia, jak czekać na ten przeklęty statek, to jeszcze ojciec napisał mu, że na pokładzie znajduje się ciotka Madeline, o czym wcześniej rodzina jakoś zapomniała napomknąć. Bez wątplenia uważali, że statek już zawinął do portu, a ciotka stanęła na kwaterze u niego w domu i z czystej filantropii zaczęła mu matkować. Zdaniem ojca, Kit był dla niej beznadziejnym przypadkiem, którym koniecznie należało się zająć.

Zaklął głośno, co sprawiło mu ulgę. Tylko gdzie, do diaska, jest statek Tabera? Kliper powinien był zawinąć do portu wiele tygodni temu. Niestety, statki handlowe nierzadko się spóźniały, po drodze ze Wschodniego Wybrzeża zdarzało im się bowiem napotykać najróżniejsze przeszkody, od huraganowych burz po długotrwałą ciszę morską.

Kit sam był kiedyś kapitanem statku, wiedział więc, jak coś takiego działa człowiekowi na nerwy. Statek zdany jest wtedy na kaprysy prądów morskich i tylko one popychają go w którąkolwiek stronę. Dlatego nieustannie wyczekuje się wiatru, żeby wreszcie pod pełnymi żaglami skierować się do portu przeznaczenia. Wyobraziwszy sobie ciotkę podczas takiego rejsu, Kit uśmiechnął się mimo woli. Oczami duszy zobaczył starszą panią, jak rozstawia załogę po kątach niczym stary wilk morski. Długie godziny w jej towarzystwie niewątpliwie będą dla marynarzy trudne do zniesienia.

Zachichotał. Wprawdzie swym zrzędzeniem ciotka była w stanie zmóc nawet pogodę, ale gdyby Charles Taber wykazał prawdziwą wynalazczość, złapałby w żagle wiatr, który Madeline robi obracając językiem, i w ten sposób na pewno dotarłby do celu.

Z tą myślą Kit wrócił za biurko. Wziął do ręki wykaz cen z ostatniego kwartału, przysłany mu przez ojca, i porównał z liczbami figurującymi w podpisanych przez niego umowach. Stracił ochotę do śmiechu. Ceny spadały, co nie było dobrą wiadomością dla agenta, który wynajmował magazyn na tłuszcz i kość wielorybią, czekające na wysyłkę do fabryk Wschodniego Wybrzeża. Swojemu przyjacielowi, kapitanowi Janowi Fredriksenowi, obiecał wszak zarobić krocie na ostatnim ładunku „Sea Haven”. Uzgodnili, że nie będzie śpieszył się ze sprzedażą i odda towar temu, kto zaoferuje najwyższą cenę.

Kit rozsiadł się wygodniej na krześle i żując końcówkę cybucha fajki dalej dumał, kiedy przyplynie kliper. Gdy wreszcie zacumuje w porcie i zostanie rozładowany, będzie można załadować nań towary Jana, które, oddane w komis, wciąż czekają na sprzedaż. Cóż to będzie za ulga, sfinalizować tę transakcję i uwolnić się od płacenia składowego. Za swój udział w tej transakcji Kit zamierzał wybudować własny magazyn, żeby więcej nie uszczuplać zysków pokaznymi opłatami za skład towarów.

Naturalnie powstał teraz nowy kłopot. Wprawdzie przyplnięcie klipra położy kres zastojowi w interesach, lecz za to będzie oznaczało również wizytę ciotki. Kit przeklinał własny los, dobrze wiedząc, że przy Madeline nie będzie mu dane zaznać spokoju, którym dotąd bez przeszkód się cieszył.

Stopa Hallie zapadła się głęboko w błoto, udające ulicę. Po wiosennym deszczu ostatniej nocy piaszczyste podłoże zamieniło się w mokrą, czerwono-brunatną glinę, co praktycznie uniemożliwiło pieszym przejście suchą stopą. Hallie z samozaparciem podkasła spódnice i powoli brnęła przez plaskającą maź.

Tak się śpieszyła, żeby znaleźć się jak najdalej od tego chciwego szczura, że ze

zdenerwowania przegapiła przecznicę z drewnianym chodnikiem. Teraz musiała więc przedzierać się naprzód nie utwardzonym poboczem jednej z wąskich uliczek San Francisco. Gdy wreszcie stanęła na deskach, tupnęła parę razy, usiłując pozbyć się błota z pantofli, ale bez powodzenia. Oblepiony gliną żwir wciskał jej się w dziurki od sznurowadeł i przedostawał do środka, co jeszcze podsycalo irytację Hallie. Tupnęła mocniej, wyobrażając sobie, że ma pod stopami pulsującą grdykę Abnera Browna.

Nieco tym uspokojona, puściła spódnice i już bez przeszkód doszła do budynku, w którym miały siedzibę bank i firma kurierska Adamsa. Drzwi otworzyły się nagle, więc przystanęła. Ze środka wyszła drobna kobieta o kruczoczarnych włosach, ubrana w kosztownie wyglądającą śliwkową suknię z tafty. Ściągnęła paseczkiem haftowaną torebkę i zsunęła jedwabną pętlę parasolki z nadgarstka, odzianego w rękawiczkę. Zmierzywszy Hallie wzrokiem od stóp do głów, zrobiła bardzo pogardliwą minę i z trzaskiem rozpostarła parasolkę, jakby odgradzała się w ten sposób od źródła zarazy. Przy okazji wypchnęła rękę do przodu, Hallie musiała więc wykonać szybki unik, bo ostry, drewniany czubek tego koronkowego cuda przesunął się niebezpiecznie blisko jej nosa.

- Co za bezczelność! - mruknęła Hallie, przyglądając się kobiecie, która już się oddalała, dzierżąc w dłoni swój frymuśny oreż.

Przy samych drzwiach Hallie zauważyła nagle odbicie swojej postaci w szybie. Boże, co za żaloszny widok! Grube kosmyki jasnych włosów wyswobodziły jej się z warkoczy i zwisały z głowy jak węże Meduzy. Zerknęła niżej, na obszerny roboczy chałat z flaneli, okrywający jej ciemną wełnianą sukienkę. Cały był w płatkach jabłoni i drobnych gałązkach. Strzepnęła wszystkie te śmiecie i jeszcze raz krytycznym okiem przyjrzała się swojemu odzieniu. Nie wyglądało najlepiej.

Hallie miała zwyczaj noszenia roboczych chałatów od prawie dwóch lat, dla zamaskowania kobiecych zaokrągleń, których w ciągu paru miesięcy nabrała jej smukła, chłopięca sylwetka. Ubierając się tego ranka, Hallie nie zamierzała wychodzić z domu, ale ponieważ gdzieś zapodziała się Liv, zostawiła bliźniaki pod opieką szesnastoletniej siostry Dagny i wyruszyła tropić to nad wiek rozwinięte półdiabło.

Widok chałatu bardzo ją zasępił; wyglądała doprawdy rozpaczliwie. Przód odzienia był zmechacony, a w zestawieniu z ponurym odcieniem szarości jej cera wydawała się ziemista. W chwili desperacji weszła na najbliższy ganek, rozpięła pelerynkę i ściągnęła chałat przez głowę. W pobliżu dostrzegła starą spluwaczkę. Zwinąwszy więc chałat w kulę, wepchnęła go do mosiężnego pojemnika. Musiała przy tym wstrzymać dech i bardzo uważać, żeby nie myśleć o cuchnącej zawartości.

Następnie zebrała ręką włosy, wyciągnęła z kieszeni dwie szpilki i wzięwszy je w zęby, zaplotła warkocz i uformowała z niego przekrzywiony koczek. Utrwaliła fryzurę szpilkami, kilka niesfornych kosmyków wsunęła za uszy i popatrzyła na ciemną sukienkę. Miękka wełniana tkanina nie tuszowała jej krągłości. Przeciwnie, w górnej części sukienka wydawała się bardzo obcisła, a dopiero niżej opadała swobodnie, rozszerzając się ku ziemi. Stanowczo nie była to śliwkowa tafta, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Hallie wyprostowała więc ramiona i zdecydowanym krokiem przestąpiła próg banku.

Przed mahoniowym kontuarem tłoczyli się kopacze, tworząc mur o grubości sześciu ludzi, natomiast po drugiej stronie dwaj panowie w sztywno wykrochmalonych białych koszulach ważyli złoto, sakiewkę za sakiewką. Gdy gwar czasem trochę przycichał, słychać było brzęk złotych bryłek wysypywanych na szalkę wagi.

Inna kolejka ciągnęła się przed kontuarem po prawej stronie. Hallie uznała, że musi to być stacja kurierska, wykrzykiwano tam bowiem nazwy miast, a ludzie przepychali się do kontuaru, żeby załatwić wysyłkę swoich pieniędzy.

Do sali wciśnięto jeszcze trzy biurka, zaślane papierami i pustymi skórzanymi sakiewkami. Droga do jednego z biurek była wolna, a siedzący za nim mężczyzna wydawał się zajęty stertą papierów i całkowicie obojętny na chaos dookoła.

Hallie podeszła do tego biurka:

- Przepraszam pana...

Brzmienie kobiecego głosu sprawiło, że gwar w sali ucichł. Młody mężczyzna podniósł

głowę, zrobił zaskoczoną minę i szybko wstał.

- Czym mogę pani służyć?

- Nazywam się Fredriksen. Jestem córką Jana Fredriksena, kapitana „Sea Haven”. Ojciec poczynił starania, żebym w razie potrzeby mogła korzystać z jego pieniędzy, kiedy wypływa w rejs. - Jej głos zdawał się odbijać echem w całej sali, taka cisza nagle zapadła.

- Chwileczkę, panno Fredriksen. Zawołam pana Adamsa. - Podeszedł do wielkich drzwi w głębi sali, zapukał i wszedł do środka.

Hallie zdawała sobie sprawę, że skupia na sobie wzrok wszystkich obecnych, niewątpliwie bowiem wyróżniała się tutaj jak zakonnica w domu rozpusty. Czuła żar spojrzeń kopaczy złota, którzy wcale nie ukrywali, że się na nią gapią. Przerazało ją to. Po kilku bardzo długich sekundach skrzyżowała ramiona na piersi w obronnym geście. Starła się patrzeć prosto przed siebie. Bardzo żałowała, że pozbyła się tego wstrętnego chałatu. Odniosła wrażenie, że gdzieś obok niej wszczął się jakiś ruch, zanim jednak zdążyła wpaść w panikę, drzwi w głębi sali otworzyły się i wyszedł do niej starszy mężczyzna.

- Bardzo mi przyjemnie panią poznać, panno Fredriksen. - Obszedł biurko i uściśnął jej wciąż drżącą rękę. Widocznie wyczuł to drżenie, bo nagle przybrał zatroskany wyraz twarzy. Dokonał szybkiej oceny sytuacji i omiół gapiących się kopaczy surowym spojrzeniem. Następnie ofiarował Hallie ramię i zaprowadził ją do pokoju na zapleczu.

Wskazał jej krzesło, zamknął drzwi, potem obszedł masywne dębowe biurko i również usiadł.

- A teraz słucham. Czym mogę służyć?

Hallie spojrzała na jego sympatyczną, okrągłą twarz i poczuła się nieco pewniej.

- Potrzebuję pięciuset dolarów.

- Rozumiem - powiedział z niezmiennym wyrazem twarzy. Zaczął kartkować księgę oprawną w skórę. Wydawało się, jakby znalazł to, czego szukał, bo zaczął z uwagą studiować jedną ze stron. Trwało dość krępujące milczenie, aż w końcu Hallie uległa ciekawości. Wyciągnąwszy szyję, spróbowała coś przeczytać do góry nogami. Zdążyła nawet nieznacznie unieść się z krzesła, gdy usłyszała westchnienie pana Adamsa i szybko z powrotem zajęła swoje miejsce. Mężczyzna podniósł głowę.

- Zdaje się, że mamy kłopot.

- Przecież ojciec zapewnił mnie, że poczynił wszystkie potrzebne starania, żebym mogła korzystać z jego konta. Ostatnio wypływa w coraz dłuższe rejsy, liczył się więc z tym, że w pewnej chwili może mi zabraknąć pieniędzy. To jest nagły przypadek. Potrzebuję...

- Bardzo przepraszam, panno Fredriksen - przerwał jej bankier. - Kapitan Fredriksen istotnie poczynił wszelkie niezbędne kroki. Nie w tym rzecz. Kłopot polega na tym, że na jego koncie nie ma pięciuset dolarów.

Hallie osłupiała.

- Nie rozumiem. Powinno być przynajmniej piętnaście tysięcy. Ostatni ładunek przywieziony przez ojca miał właśnie taką wartość.

Bankier ponownie zajrzał do księgi.

- Od ośmiu miesięcy kapitan Fredriksen nie dokonał żadnej wpłaty.

- Agent mojego ojca powinien był złożyć pieniądze w banku ponad dwa miesiące temu.

Pan Adams wydawał się strapiiony.

- Kto jest jego agentem?

Hallie poruszyła się na krześle.

- Howland i Spółka, siedziba po drugiej stronie ulicy.

- Ach, tak. Znam Kita Howlanda. Bardzo sympatyczny młody człowiek. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Kit jest kryształowo uczciwy.

Kit Howland. Na wzmiankę o nim Hallie poczuła ssanie w dołku. Boże, nie chcę go widzieć, pomyślała. Czuła, jak czerwieni się z zakłopotania. Sama myśl o tym, że znowu miałaby stanąć twarzą w twarz z Kitem Howlandem, wprawiła ją w stan absolutnej drętwoty. Zaciśnęła dłonie na poręczach krzesła tak, że aż pobielały jej knykcie.

- Jestem pewien, że pan Howland wszystko wyjaśni - powiedział bankier, nie zwracając uwagi na zmieszanie Hallie. Wstał z krzesła. - Prawdę mówiąc - dodał, otwierając kopertę ozdobnego złotego zegarka - mam akurat umówione spotkanie, więc pozwolę sobie odprowadzić panią

prosto do pana Howlanda.

Wsunął zegarek z powrotem do kieszeni kamizelki, zdjął z wieszaka kapelusz i pomógł oszołomionej, a przez to niezwykle potulnej Hallie wstać z krzesła. Dosłownie wypchnął ją ze swego biura i przeprowadził przez tłum, zanim zdążyła znaleźć rozsądny powód uniemożliwiający jej spotkanie z Kitem Howlandem.

Na dworze łęk świeżego powietrza wytrącił Hallie ze stanu odrętwienia. Jej wzrok zatrzymał się na czarnych literach szyldu firmy Howland i Spółka. Im bliżej byli przeciwległej strony Montgomery Street, tym litery stawały się większe. Bankier prowadził ją po drewnianym przejściu przez błotnistą jezdnię, ze swadą perorując, jak łatwo będzie wyjaśnić to nieporozumienie. Zapewnił ją, że pan Howland jest rozsądnym człowiekiem, a do tego dżentelmenem.

Ha! - pomyślała Hallie. Dobrze pamiętała ich ostatnie spotkanie. Ów „dżentelmen” wcale nie był wtedy rozsądny. O wiele właściwszym określeniem byłoby „siny z wściekłości”.

Szesnastoletniej Hallie wystarczyło jedno rozmarzone spojrzenie na bardzo przystojnego agenta statków wielorybicznych, z którym zaprzyjaźnił się kapitan Fredriksen, by pokochać go prawdziwą cięłą miłością. Gdy więc usiadł przy stole do obiadu, Hallie była tak nieprzytomna z uwielbienia, że naląła mu chochlę zupy na kolana zamiast na talerz.

Przeżrana swą nieporadnością, uciekła splakana do swojego pokoju, zaparła drzwi i wyszła stamtąd dopiero następnego dnia. Ojciec okazał się wyrozumiały, powiedział, że Kit wcale nie był na nią bardzo zły, a zupa nie była taka gorąca, więc za dzień lub dwa wszystko będzie w najlepszym porządku. Ale Hallie wiedziała swoje. Kit wyglądał tak, jakby chciał jej sprawić lanie. Przez chwilę widziała jego pąsowiejącą ze złości twarz, zaraz potem łzy upokorzenia przesłoniły jej wzrok. W każdym razie od tej pory bardzo uważała, żeby nie być w domu podczas wizyt Kita. Na szczęście ojciec załatwiał większość interesów z agentem w jego biurze, więc nie musiała się szczególnie ukrywać.

Pan Adams odprowadził Hallie do drzwi firmy Howland i Spółka i poklepał ją po ojcowsku.

- No, moja miła. Jak tylko pieniądze znajdą się u mnie, postaram się, żeby pani natychmiast je dostała. Niech pani idzie prosto do pana Howlanda, on na pewno wszystko bezzwłocznie wyjaśni. - Otworzył przed nią drzwi i pobladała Hallie, chcąc nie chcąc, musiała stanąć na progu.

Tknięta nagłą myślą, użyła drzwi jak zasłony. Ustawivszy się tak, żeby nie dostrzegł jej nikt z biura agenta, pożegnała pana Adamsa wymuszonym uśmiechem.

- Bardzo panu dziękuję.

Odczekała, aż pan Adams zawinie przed nią kapeluszem i obróci się w stronę swojego banku, po czym szybko wyszła przed próg, zamierzając uciec w przeciwnym kierunku. Niestety, bankier przystanął i ponownie obrócił się w jej stronę. Cofnęła się więc do biura agenta i zerkając stamtąd z przyklejonym do twarzy fałszywym uśmiechem pomachała do niego ręką. Bankier nadal stał nieruchomo, przyglądając się jej z dużym zaciekawieniem.

Zrezygnowana Hallie poddała się losowi. Zamknęła za sobą drzwi. Potem wzięła głęboki oddech i powoli wykonała obrót, nastawiając się na spotkanie z człowiekiem, którego zżęcznie unikała przez ostatnie dwa lata.

Dźwięk dzwonka oderwał uwagę Kita od dokumentów. Na drewnianej framudze pojawiła się dłoń, a zza drzwi w dolnej ich części wypłynęła falująca, ciemnogrnatowa spódnica. Przez dłuższą chwilę widok się nie zmieniał, wreszcie jego oczom ukazała się kobieca postać, aczkolwiek nie cała. Kobieta trzymała drzwi w taki sposób, jakby chciała znaleźć za nimi zasłonę, głowę zaś wystawiała na zewnątrz.

Kitowi przemknęło przez myśl, że kobieta przed kimś się chowa, wstał więc i podszedł do niej z nadzieją, że będzie mógł w czymś pomóc. Był już bardzo blisko drzwi, gdy zatrzymał wzrok na okrytej tkaniną tylnej części ciała kobiety. Część owa wydała mu się apetycznie okrągła, mimo iż zdobiło ją kilka kawałków zeschniętych liści. Zmierzył spojrzeniem zgrabną figurę, aż po krzywy koczek, cudem trzymający się na gołej głowie, i nagle znieruchomiał, gdyż niezwykle, bardzo jasny odcień włosów wydał mu się znajomy. Nie, niemożliwe, pomyślał, kręcąc głową.

I wtedy kobieta obróciła się, biorąc głęboki oddech, który wyeksponował jej pełne piersi. Odetchnął z ulgą, gdyż srebrnowłosa dziewczyna, którą pamiętał, z pewnością nie miała takiej

figury.

Przywoławszy na twarz powitalny uśmiech, spojrzął jej w oczy i osłupiał. Przez chwilę wędrował wzrokiem od twarzy do piersi i z powrotem. To jednak była ona.

Zaskoczona nagłą bliskością Kita, Hallie poderwała dłoń, do serca, wyrwijącego jej się z piersi, patrzyła jednak prosto w oczy agenta. Wciąż miał ciemne, kręcone włosy. To było pierwsze, co u niego zauważyła, owe smoliste kędziory jak sprężynki, tak bardzo różniące się od tego, co sama miała na głowie. Nieco przewrotny uśmiech pogłębił mu bruzdy na policzkach. Biegły ukośnie w dół od wystających kości policzkowych, których kształt wydał jej się tak doskonały, jakby widziała jednego z mitycznych wojowników, o których uwielbiała czytać Dagny.

Zamarła, gdyż niebiański uśmiech nagle zwiądł, Kit bowiem ją poznał. Co ja tu robię? - pomyślała z niezadowoleniem. Spostrzegła, że agent raz po raz spuszcza wzrok. Nawet zerknęła na stanik sukni, żeby dociec, co tam jest takiego wstrząsającego. Zrozumiała dopiero po chwili.

Natychmiast skrzyżowała ręce na piersiach. Wolałaby, żeby były małe i delikatne jak u Dagny i nie takie... nie takie rzucające się w oczy. Wiedziała już, że Kitem wstrząsnęła radykalna zmiana jej figury, ale ponieważ nic na to nie mogła poradzić, czuła się zakłopotana w dwójnasób. Gdy Kit zaklął, zachnęła się przekonana, że to jej wygląd wprowadził go w zły humor. Choć w środku cała się trzęsła, mimo to dumnie podniosła głowę. Miała nadzieję pokazać w ten sposób agentowi, że się go ani trochę nie boi.

Kit tymczasem nie mógł pojąć, jak to się stało, że pajęczakowata, wstydliva córka jego przyjaciela Jana Fredriksena tak się rozwinęła. Oj, rozwinęła. Jan ze śmiechem wspomniawszy mu kiedyś, że na sam dźwięk imienia Kit Hallie znika szybciej niż rum ze szklaneczki wilka morskiego. Opisał jej sztukę uników z taką swadą, że Kit wciąż wyobrażał sobie nieopierzoną młódkę.

Boże, co się ze mną dzieje? - pomyślał. Przecież to nadal prawie dzieciak, ma niewiele ponad osiemnaście lat. Co prawda gdy brał ślub, Jo miała tylko siedemnaście. Jej osiemnaste urodziny spędzili zamknięci w kapitańskiej kabinie statku wielorybniczego. Było to najbardziej zmysłowe doznanie w dotychczasowym życiu Kita. Zaklął z żalu. Czy nigdy nie wyrzuci z pamięci tej ladacznicy?

Zatrzymał wzrok na Hallie. Patrzyła na niego z tą samą bezczelną miną, którą przybierała jego żona, gdy chciała mu dokuczyć. Lekko wysunięty do przodu podbródek wskazywał, że za chwilę Jo zacznie jedną z niezliczonych tyrad, służących objaśnieniu mu powodów, dla których to, co on robi, nic a nic jej nie obchodzi. To wspomnienie bardzo Kita rozzłościło.

- Przed kim się teraz chowasz, Hallie? Czyżbyś znalazła następną niewinną ofiarę swoich gospodarskich umiejętności? - Obrażliwe słowa zawisły w powietrzu. Atmosfera była napięta. Urażone spojrzenie dziewczyny sprawiło, że Kit pomyślał o sobie z dużą niechęcią.

Odwrócił się raptownie i podszedł do biurka. Tam mógł zakłócić ciszę przekładaniem papierów. Wreszcie z trzaskiem odłożył gruby plik na blat i potarł dłonią czoło.

- Przepraszam cię, dzieciaku. Nie myśl już o tym głupim wypadku, jaki mi się przydarzył. - Spojrzął na jej pobladłą twarz. - I usiądź, na miłość boską! - krzyknął gromko.

Wciąż stała i patrzyła na niego wzrokiem pełnym wyrzutu, jakby właśnie jej powiedział, że nie ma świętego Mikołaja.

Czuła się zdruzgotana. Kit nazwał ją dzieciakiem. Była dla niego ni mniej, ni więcej, tylko nieznośnym bachorem. Czyżby oczekiwała, że Kit potraktuje ją zupełnie inaczej? Dwa lata temu uciekła przed nim mażąc się jak smarkula. A potem co? Chowwała się przed nim za wszelką cenę.

Usiadła. Co się z nią dzieje? Uświadomiła sobie nagle, jak niedojrzale się zachowuje. Nigdy nie była taka strachliwa. Ale gdy tylko Kit Howland znajdował się w pobliżu, popełniała głupstwo! Ręce miała jak z gliny, dostawała zawrotu głowy i natychmiast wpadała w panikę. A gdy świat wreszcie nieruchomiał, szybko coś robiła, zanim zdążyła pomyśleć. No, i przez to pakowała się w kłopoty, zazwyczaj bowiem jej pierwszą reakcją rządził odruch, a refleksja przychodziła dopiero potem.

W tym akcie samosądu przeszkodził jej dźwięk męskiego głosu. Kit o coś ją spytał. Wiedziała, że musi się nauczyć opanowanego zachowania w obecności tego mężczyzny, zmusiła się więc, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Pytałem, co tu robisz.

Jego napastliwy ton ją zirytował. Zachowywał się tak, jakby trwoniła jego cenny czas. Ale popełnił błąd. Gdzie są pieniądze za ostatni ładunek „Sea Haven”? Próbuje ją zastraszyć. Niedoczekanie jego, zaraz zobaczy, jak dorosła niedoświadczona panienka.

- Powiem panu wprost. Nie wiem, jak pan wpadł na ten dziwny pomysł, że się przed panem chowam. Grubo się pan myli. W istocie, mam wrażenie, że jest odwrotnie. - Hallie zauważyła, że przejście z obrony do ataku wcale nie było trudne. Łgała jak z nut. - Nie wiem, jak pan to robił, ale przychodził pan zawsze wtedy, jak mnie nie było. - Zakończyła natarcie z bardzo gniewną miną, mogłaby nawet rywalizować ze swoją siostrą Liv.

Kit pochylił się do przodu.

- Zaraz, zaraz...

- A teraz co do powodów mojej wizyty... - Nie pozwoliła sobie przerwać. - Byłam w banku. - No, teraz cię mam, pomyślała. Odchyliła się na oparcie dębowego krzesła i z nadzieją czekała, aż Kit Howland zacznie pokornie się przed nią widać.

- I co? - Wydawał się dość zdziwiony. Naprawdę sądził, że ma przed sobą głupią gęś.

- Panie Howland, widzę, że uważa mnie pan za tępe, nic nie rozumiejące dziecko. Znowu grubo się pan myli. Ojciec polecił mi sprawdzić stan swojego konta bankowego. - Skoro raz się zełgało, trudno było przestać. Nic dziwnego, że bliźniacy wygadywali takie niestworzone rzeczy. - Właśnie wyszłam od pana Adamsa. Gdzie są pieniądze za ostatni ładunek?

Kit pomyślał, że chyba się przesłyszał. Czyżby rozmawiał z tym samym dziewczęciem, które zachowywało się jak spłoszony królik? Najpierw znieacka zarzuciła mu, że jej unika, a teraz chce go sprawdzać w interesach. Tylko co taki dzieciak może wiedzieć o interesach? Nic. Po prostu stosuje kobiece sztuczki, wykręca kota ogonem. Czyżby wszystkie kobiety, nawet bardzo młode, miały tę zadziwiającą umiejętność wykrzywiania rzeczywistości wedle własnego kaprysu? Uff! On i jego bracia dorastali przyglądając się, jak matka z ciotką wnoszą sztukę przeinaczania słów na niebotyczne wyżyny. Ale dopiero po piętnastu latach zrozumiał, że gdy inne środki zawodzą, kobieta oszałamia ofiarę stwierdzeniem całkiem pozbawionym logiki. No, i masz babo placek. Oto latorośl Jana Fredriksena przyszła na nim ćwiczyć. Trudno, przynajmniej miała teraz... ikrę. Tak, ikrę, bo pierwszy wyraz, który przyszedł mu na myśl, niechybnie spowodowałby poważny błąd anatomiczny. Wyobraził sobie, jaką minę zrobiłaby Hallie, gdyby zechciał się z nią po męsku rozmówić. Wybuchnął śmiechem.

- Nie widzę nic śmiesznego w tym, że ma pan dług wobec mojego ojca - prychnęła Hallie. - Pieniądze powinny leżeć w banku od dłuższego czasu.

Kit nie mógł się nie uśmiechnąć, tym bardziej że wyraźnie irytował w ten sposób Hallie. Oczy jej zabłyśły, a skóra ślicznie się zaróżowiła. Pokręcił głową, żeby o tym nie myśleć, był bowiem na prostej drodze do narobienia sobie kłopotów.

- Przyszłam dopilnować przekazania tych pieniędzy do banku. Natychmiast, panie Howland.

- Uspokójże się, Hallie. - Kit poparł swoje żądanie stosownym gestem. To jeszcze bardziej ją rozzłościło. - Ładunek twojego ojca jest w magazynie DeWitta. Ma odpłynąć klipem handlowym, który się spóźnia.

- Chce pan powiedzieć, że ładunek nie jest jeszcze sprzedany? - W szeroko rozwartych oczach Hallie odbiło się zaskoczenie.

- Statek ma zawinąć do portu lada dzień. - Kit liczył, że jego głos brzmi przekonująco, w głębi duszy bowiem wcale nie był o tym przekonany. Prawdę mówiąc, sam się martwił i nawet zamierzał rozpocząć poszukiwania, w razie gdyby kliper nie zawinął do San Francisco przed końcem tego tygodnia.

- Nie rozumiem. Ładunki taty zawsze sprzedawano w ciągu kilku tygodni od zakończenia wyładunku. Ten ładunek przyplłynął tutaj w listopadzie. Jest kwiecień! - Podejrzliwie zmrużyła oczy. - Skąd takie opóźnienie?

- Dla pani wiadomości, panno Fredriksen, powiem, że zawarliśmy z pani ojcem umowę w tej sprawie. Miałem poczekać ze sprzedażą, aż wzrosną ceny tłuszczu wielorybiego. A w ogóle, to wcale nie muszę się z tego przed panią tłumaczyć - dodał ze zniecierpliwieniem. - Kliper, który się spóźnia, stanowi własność... mojego krewnego. - Kit nie wyjawiał, że owym krewnym jest

jego szwagier, Charles Taber, ani że celowo wstrzymał sprzedaż, żeby mieć radość ze złupienia rodziny żony. - Oni potrzebują tłuszczu i zapłacą za baryłkę więcej niż inni oferenci. - W tej chwili uświadomił sobie, że usprawiedliwia się przed nieopierzoną córką przyjaciela. Skąd mu się to wzięło? - W każdym razie nie zaprzataj sobie tym głowy. I tak nic nie zrozumiesz, dzieciaku. A twój ojciec zostawił mi wolną rękę w sprawie sprzedaży. - Jan był wypróbowanym przyjacielem i nigdy nie zakwestionował jego uczciwości.

Ale Hallie to zrobiła.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że ładunek ojca pięć miesięcy leży bezużytecznie w magazynie tylko po to, żeby mógł pan napchać kieszenie krewnym? To prawda, że ojciec panu zaufał, ale dostarczenie towaru do portu kosztowało go wiele ciężkiej pracy. Stanowczo za wiele, żeby tak długo zwlekać ze sprzedażą.

Kit instynktownie pojął, że coś jest nie tak. W głosie dziewczyny usłyszał panikę.

Hallie pochwyciła jego spojrzenie i zrozumiała, że się zdradziła. O drzewie jednak nie mogła mu opowiedzieć. To było zbyt kompromitujące. Gdyby powiedziała, że złapano ją na drzewie, naprawdę wyszłaby na nieznośnego dzieciaka. Jeszcze bardziej utwierdziłaby Kita Howlanda w jego przekonaniu, zamiast sprawić, żeby wreszcie zobaczył w niej kobietę.

Kit z westchnieniem rozparł się na krześle.

- Dobra, Hallie, do rzeczy. - Splótł dłonie za głową. - I żadnych takich o napychaniu kieszeni moim krewnym. Oni nie potrzebują tych pieniędzy. Powiedz mi wprost, o co chodzi.

Jak wybrnąć z kłopotu? Mogłaby go przekonać, że potrzebuje tych pieniędzy na prowadzenie domu. Ale jeśli ładunek wciąż jeszcze leży w magazynie, małe są szanse, żeby zdołała zgromadzić pieniądze dla Abnera Browna. Chyba że widząc jej desperację Kit szybko sprzeda ładunek komu innemu albo nawet zaliczkowo wpłaci pieniądze do banku. Musiała mu jednak coś odpowiedzieć. Wbiła wzrok w dłonie splecione na kolanach, bo nie mogła wytrzymać jego przenikliwego spojrzenia.

- Taty nie ma od początku roku. Odkąd mama umarła, nigdy nie wypłynął na tak długo. - Hallie westchnęła, żeby zabrzmiało to jeszcze smutniej. - Pieniądze na prowadzenie gospodarstwa już się kończą, więc poszłam do banku. No, i okazało się, że na koncie prawie nic nie ma. - Celowo poprzestała na mętym wyjaśnieniu.

- To dziwne. - Kit zmarszczył czoło. - O ile wiem, masz kredyt u Oatta. Czy są z nim jakieś kłopoty?

A niech to! Ojciec na pewno powiedział mu o kredycie w sklepie. Kit wydał jej się szczerze zatroskany i to obudziło w niej poczucie winy. Nie dość wielkie jednak, by wyznała mu, że potrzebuje pięciuset dolarów, ponieważ Abner Brown zastał ją na drzewie. Kit był twardym i surowym człowiekiem, a ona czuła się jak zwierzę zapędzone do rogu. Musiała go zbić z tropu.

Ukryła twarz w dłoniach i wydała kilka nad wyraz realistycznych szlochów. Przez szparę między palcami zobaczyła, że Kit wstaje i zaczyna klepać się po kieszeniach, niewątpliwie w poszukiwaniu chustki.

Od szlochu przeszła do żalosego zawodzenia, tymczasem zaś szukała rozwiązania. Już prawie miała pomysł, jak wymusić na Kicie wcześniejsze przekazanie pieniędzy.

Kit wreszcie wyciągnął chustkę i zaczął się do niej zbliżać. Hallie słyszała, że mruczy pod nosem coś o kompletnych idiotach.

No, ładnie. I co dalej? Znowu najpierw zrobiła, a potem pomyślała. Z deszczu wpadła pod rynnę.

Wciąż zerkając przez palce, zauważyła przed sobą wyciągniętą rękę z białym kawałkiem materiału. Wciąż żalosem zawodząc, chwyciła za chustkę, uważając, by nie podnieść przy tym głowy, bo wtedy Kit mógłby zauważyć, że jej oczy są całkiem suche. Kilka razy efektownie pociągnęła nosem i zakryła twarz białym płótnem. Zapach męczyzny niespodzianie przyprawił ją o zawrót głowy.

Kit próbował ją pocieszyć. Bardzo zmiękł, mówił jej teraz, że jest dzielna i że musi być bardzo ciężko zajmować się wychowaniem rodzeństwa po śmierci matki.

Hallie rozmarzyła się i zapomniała, że powinna wydać jeszcze kilka przejmujących chlipnięć. Na szczęście nie zdążyła się zdradzić, bo Kit ją objął, a ona wtuliła twarz w wycięcie jego kamizelki i splótła mu dłonie na plecach. Przy okazji dotknęła Kita swymi pełnymi piersiami.

Wydało jej się, że usłyszała gardłowy jęk.

Wciąż tuliła się do Kita, żeby się nie zdradzić. Ale uciskał ją twardy guzik koszuli, a nos zaczął ją swędzieć od udawanych siąknięć. Odwróciła więc głowę, żeby powstrzymać kichnięcie i odrobinę się od Kita odsunąć. Zastanawiała się właśnie, czy jednak nie wrócić do pierwotnej pozycji, która była dziwnie przyjemna, gdy potężne kichnięcie odrzuciło jej głowę do tyłu. Całkiem suche policzki i oczy winowajczyni zdradziły ją natychmiast.

- Och, ty mała nabieraczko! - Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

Przez głowę Hallie przemknęła jedna myśl: uciekać! Ale Kit mocno ją trzymał. Zamachnęła się więc i z całej siły kopnęła go w goleń.

- Au, do stu piorunów!

Zaczął podskakiwać na jednej nodze, toteż siłą rzeczy zwolnił uścisk. Ponieważ jednak zastawił drogę do drzwi, Hallie zrobiła błyskawiczny zwrot i uciekła za biurko. Kit obrócił się za nią. Na chwilę znieruchomiła. Kitowi bił z oczu gniew, źrenic w ogóle nie było widać. Wpatrywała się w hipnotyczny, ciemnozielony blask.

Kit pochylił się. Cofnęła się o krok.

Położył dłonie na rogach biurka i jego twarz znalazła się nagle tuż przed nią. Biurko jakby się skurczyło.

Usiłując zapanować nad drżeniem kolan, Hallie chwyciła za oparcie krzesła na kółkach. Trzymając je przez sobą, przesuwiała tę tarczę to w prawo, to w lewo, gotowa do odparcia ataku. Czuła się jak mysz zapędzona do rogu. Milczenie przejmowało ją dreszczem.

Szerokie ramiona Kita wykonały ruch w lewo. Hallie z krzesłem odsunęła się w prawo. Nie odważyła się zaryzykować skoku do drzwi, bo niewątpliwie w tej samej chwili jej przeciwnik rzuciłby się na zdobycz.

Kit z kocią zręcznością przesunął się w prawo, wciąż mierząc ją morderczym spojrzeniem. Hallie skierowała krzesło w lewo. Nie spuszczała z niego wzroku, mając nadzieję, że zdąży przewidzieć jego następną manewr.

- Jan powinien od czasu do czasu przetrzepać ci pupę, Hallie!

- Tata nigdy mnie nie bił!

- To widać.

Tą wymianą zdań rozproszył jej uwagę. Niepotrzebnie przeniosła ciężar ciała na prawą nogę.

Kit błyskawicznie obiegł biurko. Pchnęła ku niemu krzesło i rzuciła się do ucieczki, ale miał dostatecznie długie ręce, by chwycić ją za suknię. Guziki ze stukiem posypały się na podłogę. Stanik sukni się rozchylił. Fala zimnego powietrza przeniknęła cienką koszulkę. Poczawszy następne szarpnięcie, Hallie zerknęła przez ramię. Kit siedział na swoim krześle, jedną ręką opierał się o biurko, a drugą trzymał za plecy jej sukni. Na twarzy miał paskudny, triumfalny uśmiech.

Próbowała się wyrwać, ale szwy sukienki niebezpiecznie trzeszczały. Gdyby skoczyła do drzwi, stanik niechybnie by się osunął. Zanim jednak zdążyła coś wymyślić, Kit podjechał do niej na krzesło od tyłu i pociągnął. Upadła mu prosto na kolana.

- Komuś, kto zachowuje się jak nieznośny dzieciak... - sapnął Kit, usiłując przekręcić ją na brzuch - należy się kara dla nieznośnego dzieciaka.

Zamierzał sprawić jej lanie! Przygniół ją do twardych, mięsnych ud i próbował unieruchomić ręce i nogi, którymi wymachiwała jak szalona. Zaczęła wrzeszczeć, jakby obdzierała ją ze skóry.

Kopała, biła i krzyczała.

Zaraz jednak umięśniona noga przygwoździła jej kończyny i ani się Hallie obejrzała, jak leżała na kolanach Kita, twarzą do ziemi. Gdy poczuła pierwszego klapsa na już i tak obolałych pośladkach, spróbowała się obrócić, ale Kit trzymał ją mocno. Znow zaczęła się więc szarpać, zorientowała się bowiem, że wtedy nie można jej uderzyć. I nagle dostrzegła to, czego potrzebowała: wymarzone miejsce.

Raptownie wyciągnęła rękę, sięgnęła pod kolano Kita i z całej siły uszczypnęła, a potem dla wzmocnienia efektu jeszcze poruszyła palcami. Usłyszała bolesne charknięcie. Już chciała się uśmiechnąć, ale nie zdążyła, bo nagle się uniosła. Teraz Kit trzymał ją tak, że ich twarze były o centymetry od siebie. Odwzajemniła jego wściekłe spojrzenie. Oko za oko, ząb za ząb.

- Tata nigdy nie uderzyłby kobiety! Jest dżentelmenem i nie szuka perwersyjnych przyjemności w przemocy - oświadczyła wyzywająco, odrobinę unosząc głowę. - Tata umie obchodzić się z kobietami.

- Perwersyjnych przyjemności, powiadasz? - Kit zacisnął usta. - Z kobietami? - Spojrzenie miał bardzo wymowne. - Więc chcesz być traktowana jak kobieta? No, to pokażę ci „perwersyjną przyjemność”.

Prawą rękę podłożył jej pod głowę. Poczuela, jak zaimprovizowany koczek wgniata jej się w kark. Kit wessał się w jej usta.

Unieruchomił ją całkowicie. Chciała go odepchnąć, ale nie miała na to ani miejsca, ani siły. Tymczasem Kit zębami przyszczypał jej górną wargę. Głośno nabrała powietrza. Kit wykorzystał sytuację i wsunął język w jej otwarte usta. Gdy zaczął się poruszać, zaparło jej dech.

Wciągnęła zimne powietrze przez nos. Fala chłodu w gardle jeszcze wzmogła doznanie gorąca, jakie wywoływał jego szalejący język.

Usta miała w ogniu.

Po chwili pocałunek stał się mniej łączywy. Kit zaprosił jej język do wspólnej igraszki i przestał ją tak mocno ścisnąć. Ramiona Hallie z własnej woli oplótły mu szyję. Kit położył jej dłonie na biodrach i znów przyciągnął ją do siebie. Powoli zaczął ocierać się o jej ciało i mimo dzielącej ich warstwy ubrań poczuł twardniejące sutki Hallie. Sam również stwardniał.

Dziewczynie kręciło się w głowie. Miała całkiem nieważkie ciało, tylko piersi dziwnie jej ciążyły. W ich głębi czuła gorąco, które promieniowało koncentrycznymi kręgami ku nabrzmiałym sutkom. Piersi i usta dostarczały jej oszałamiających doznań, aż dzwoniło jej w głowie.

- Jak to dobrze, przyjacielu, że się nie przepracowujesz. - Dudniący głos odbił się echem w dusznym pokoju. Kit poderwał głowę, puścił Hallie i zaklął pod nosem.

Przystojny mężczyzna z zabójczym uśmiechem na ustach niedbale opierał się o futrynę.

- Ach, więc to tym zajmują się agenci statków wielorybicznych. Zawsze zastanawiałem się, co takiego widzisz w tej pracy, że aż przestałeś dla niej pływać.

- Zamknij się, Lee. - Kit wstał i zasłonił Hallie. Natychmiast wspięła się na palce, żeby zerknąć mu przez ramię.

Przybysz również się poruszył, chcąc bokiem zerknąć za plecy Kita. Miał bujną rudą brodę.

- Może też powinienem zejść na ląd. Zrobiłbym ci konkurencję. - Piętą zamknął za sobą drzwi. Dzwonek wydał spóźnione ostrzeżenie. Mężczyzna zdjął czapkę i przeczesał palcami bujną czuprynę rudoblond, otaczającą twarz o wyrazistych rysach. Podszedł do Kita i Hallie, przystanął może o pół metra od nich, położył dłoń na sercu i skłonił się szarmancko, jak aktor. - Leander Prescott, niewiarygodnie przystojny i bogaty kapitan słynnego statku „Wanderer”, do pani usług. Przypadkiem jestem również przyjacielem tego tu diabła, nie wątpię jednak, że wybaczy pani tę fatalną pomyłkę mojej poza tym nieskazitelnej i absolutnie czarującej osobie. - Tej potoczystej przemowie towarzyszył uśmiech, który mógłby zmiękczyć najbardziej zatwardziałe kobiece serce.

- Nie wysilaj się, Lee. Przecież ją znasz - burknął Kit i odsunął się, żeby Lee mógł dokładnie obejrzeć Hallie.

- Dzień dobry, kapitanie Prescott - powiedziała cicho, wciąż wstrząśnięta pocałunkiem, a do tego bardzo zakłopotana. Na całowaniu się z Kitem zastał ją drugi przyjaciel jej ojca.

Przybyszowi prawie odebrało mowę.

- Hallie? Hallie Fredriksen? - Stał z otwartymi ustami, wędrując wzrokiem od Hallie do Kita i z powrotem. Po dłuższej chwili zatrzymał wreszcie spojrzenie na biuście Hallie. - Urosłaś. - Zabrzmiało to nietaktownie.

Hallie chwyciła za przód sukienki.

- Wyciągnęłaś się w górę - poprawił się niezręcznie. Hallie była tak zakłopotana, że chciała jak najszybciej stamtąd uciec.

- No, cóż - powiedziała nerwowo, w drodze do drzwi ściskając suknię prawie tak kurczowo jak dziecko spódnice matki. - Panowie na pewno mają sobie wiele do powiedzenia, więc już pójdę...

- Siadać! - ryknął Kid.

Lee i Hallie jednocześnie opadli na krzesła, stojące przed masywnym biurkiem.

Hallie wiedziała, że znowu wpakowała się w tarapaty. Kit sprawiał wrażenie rozwścieczonego w najwyższym stopniu. Zresztą miał do tego święte prawo, chciała go bowiem ordynarnie podpuścić. Należało od razu uczciwie mu powiedzieć, po co jej są potrzebne pieniądze. Ale w pojedynku dumy z rzetelnością zwyciężyła duma, która popchnęła ją do kłamstwa.

Czy to jej wina, że gdy Kit jest w pobliżu, mącą jej się myśli? Rozum zamienia się w papkę, a ona dokonuje wtedy najgłupszych wyczynów. Trudno, nie mogła dalej ciągnąć kłamstwa. Poza tym i tak nie udało jej się wymyślić żadnej prawdopodobnej historyjki, bo zaszumiało jej w głowie, a żołądek zaczął wyprawiać dziwne harce.

Kit usiadł z powrotem za biurkiem, nie spuszczał z niej jednak gniewnego spojrzenia, wiedział bowiem, że gdy tylko się odwróci, dziewczyna wyprysnie z jego biura jak z procy. Lee doszedł już do siebie i przypatrywał się zażenowanej Hallie, skupiając wzrok na biuście.

- Chyba powiniennem ci powiedzieć, Lee, co tu się stało, zanim przyszedłeś. - Kit poczuł pilną potrzebę odwrócenia uwagi przyjaciela od rozkosznych wypukłości Hallie.

Lee spojrział na niego z porozumiewawczym błyskiem w oku.

- Nie ma potrzeby, ojciec opowiedział mi wszystko na ten temat, kiedy miałem dwanaście lat. Wziął mnie nawet do...

- Daj spokój! - Kit dostrzegł, że po głupim dowcipie Lee Hallie zalała się jaskrawym rumieńcem. - To poważna sprawa. Ona potrzebuje pieniędzy, a Jana nie ma. - Zwrócił się do Hallie. - Opowiedz nam wszystko, tak jak jest. Tylko już bez teatru.

- Potrzebuję pięćset dolarów - wymamrotała.

- Głośniej, dziewczyno. Nie słyszę, co mówisz. - Kit zagrział tak, że Hallie się skuliła. Dobrze, pomyślał. Jak się trochę przestraszy, to wreszcie wydusi z siebie prawdę.

- Potrzebuję pięćset dolarów - powtórzyła tak głośno, że usłyszano ją chyba w Sacramento City.

Kit przymknął oko na tę bezczelność, chociaż ręka go świerbiła.

- Po co?

- Przez buciki - odpowiedziała zagadkowo.

- Jakie buciki? - spytali jednocześnie Kit i Lee.

- No, buciki Liv, naturalnie. - Ton Hallie był niezwykle rzeczowy.

Kit podrapał się po dłoni. Lee pochylił się i delikatnie poklepał Hallie po ręce.

- Nie denerwuj się, moja miła. - Uśmiechnął się do niej z sympatią. - Nie śpiesz się i po kolei wszystko nam opowiedz.

Hallie wzięła więc głęboki oddech i wreszcie wydusiła z siebie całą historię. Gdy doszła do miejsca, w którym Abner Brown zażądał pieniędzy, urwała, bo Kit spurpurowiał. Uznała, że jest wściekły na nią za jej głupotę, więc szybko podjęła:

- Głupio zrobiłam, włączając na drzewo, ale musiałam zdjąć te buciki. Nie sądziłam, że gałąź się złamie, i wiem, że pięćset dolarów to mnóstwo pieniędzy, ale on powiedział, że jak nie, to złoży na mnie doniesienie. Ja się naprawdę staram opiekować dziećmi, a taty nie ma i... - Czuła upokarzające łzy, cisnące jej się do oczu. Na szczęście w porę ugryzła się w język i nie powiedziała, że się boi.

- Hallie - łagodnie odezwał się Kit. - Trzeba było mi od razu powiedzieć, co się stało. Abner Brown chce cię wykorzystać. Pozwól, że się nim zajmę.

- To nie pana kłopot, a w czasie nieobecności taty ja jestem głową rodziny. Muszę się nauczyć załatwiać takie sprawy. - Spojrzała na niego pogardliwie. - Już nie jestem dzieckiem.

- Twój ojciec jest naszym przyjacielem. Na pewno chętnie przyjąłby od nas pomoc w opiece nad jego rodziną. Ty jesteś kobietą, Hallie, w dodatku bardzo młodą. - Kit się uśmiechnął. Biedna dziewczyna potrzebowała pocieszenia od silnego mężczyzny. - Mężczyźni lepiej znają się na takich sprawach.

Hallie spojrzała na Lee, który przytaknął przyjacielowi. Żaden z nich nie był jednak świadom, jakim zarozumiałstwem trąciło stwierdzenie Kita. Ona nie była przecież byle kim, słabą, wiotką niewiastą. Czyżby naprawdę im się zdawało, że mężczyźni są lepsi od kobiet? Prawdopodobnie uważali, że jest za młoda, żeby samodzielnie radzić sobie z kłopotami. Cóż, płci ani wieku nie mogła sobie zmienić, nie miała więc o co wszcząć kłótni. Ech, ci mężczyźni i ich głupie

samouwielbienie!

Lee wstał i pomógł podnieść się z krzesła wzburzonej Hallie.

- Idź do domu i nie martw się panem Brownem. Zostaw to nam.

Kit wziął z wieszaka kapelusz i wierzchnie okrycie.

- Lee ma rację, Hallie. Biegnij do domu i nie zaprzataj sobie tej ślicznej główki Abnerem Brownem.

Hallie pojęła, że została wyproszona. Mimo swej ślicznej główki.

Podeszła do drzwi i szarpnięciem otworzyła je na oścież. Potem jeszcze odwróciła się do zdumionych mężczyzn i powiedziała:

- Macie rację, panowie, powinnam była od razu do was przyjść. Przecież kobieta, która chce posprzątać w domu, nie musi sama dźwigać wiader z wodą znad rzeki. Wystarczą jej dwa osły, które zrobią to za nią.

I z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

- Chyba się rozzłościła. - Zdumiony Lee zwrócił się do Kita. - Jak myślisz, dlaczego?

Kit włożył okrycie.

- Diabli wiedzą. Ten dzieciak to szatańskie nasienie. Robi same nedorzeczności. Przez dwa lata chowa się przede mną, a potem ni stąd, ni zowąd zjawia się tutaj i oskarża mnie, że oszukałem jej ojca. Uważa, żeby nie skłamać, ale i prawdy nie powiedzieć, udaje, że płacze, i robi się niebezpieczna, kiedy chcę jej dać nauczkę. - Kit potarł uszczyknięte miejsce pod kolanem. Ból pozostał i niemiło przypominał mu to wszystko, co stało się potem.

Lee słuchał przyjaciela, ale z trudem powściągał szeroki uśmiech.

- Czy to właśnie robiłeś, kiedy wszedłem? Daweś jej nauczkę?

Kit miał dość przyzwoitości, by się zaczerwienić, tym bardziej, że jego myśli podążały w podobnym kierunku co myśli Lee. Dumiał bowiem nad reakcją swojego ciała na pocałunek z Hallie. Stracił panowanie nad sobą, a bardzo tego nie lubił. Jo nauczyła go, że kobietom nie należy ufać. Pamiętał, jak bolesna była ta lekcja, i dlatego postanowił, że nigdy więcej kobieta nie okręci go sobie dookoła palca. Gdy tylko jakaś znalazła się w pobliżu, natychmiast wyostrzał czujność. Ale Hallie obudziła w nim instynkt. Poddał się zwykłej chuci, pożądaniu. I z tego powodu miał wyrzuty sumienia.

Aby uspokoić sumienie, należało wyrzucić ten incydent z pamięci.

- Przestań myśleć trzecią nogą, Prescott - powiedział, beczelnie ignorując fakt, że sam robił dokładnie to samo przynajmniej w czasie, gdy całował się z Hallie. Natychmiast zresztą wynalazł dla siebie usprawiedliwienie. - Chciałem nastraszyć tego dzieciaka.

- Dlaczego nazywasz ją dzieciakiem? - Lee przyjrzał mu się badawczo. - Przecież wiesz, że wcale nie jest.

- Czym nie jest?

- Dzieciakiem.

- Stanowczo jest. Rozwój ciała nie musi oznaczać rozwoju umysłu. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to nie sądzę, żeby Janowi podobały się lubieżne spojrzenia, którymi obmacujesz jego córkę. Mnie też się nie podobają. - Lee odpowiedział mu kpiącym spojrzeniem. Zanim jednak skomentował tę uwagę, Kit dodał: - To znaczy, nie podobałyby mi się, gdybym był jej ojcem.

Lee miał dość rozsądku, by zachować milczenie, chociaż z jego miny Kit wyczytał, że przyjaciel doszedł do całkiem błędnych wniosków. Znaczące milczenie bardzo Kita zmieszało.

Lee był wystarczająco spostrzegawczy, by natychmiast zauważyć, że Kit jest skrepowany swoim niezwykłym zachowaniem. Niech tam, nie należało go jeszcze dobijać. Postanowił odwrócić uwagę przyjaciela.

- Chodź, pójdziemy odwiedzić tego nieboraka, Abnera Browna.

Hallie weszła w mrok. Chociaż o tej porze roku dni się wydłużały, miasto spowijał całun mgły i dlatego popołudniowe słońce ginęło w wilgotnym oparze, który nie dopuszczał promieni do wąskich okien. W domu panowała cisza.

Podjeżdżana i złowroga cisza.

Hallie weszła z sieni w wąski korytarz przy stromych schodach.

Nagle powietrze przeszył dziki krzyk zawodu. Sięgnęła do klamki i pchnęła masywne drzwi kuchni.

Wewnątrz stała solidna wanna, wypełniona do połowy wodą, a obok niej, przemoczona od stóp do głów, Dagny.

- Wy małe potwory! - Dagny odrzuciła na plecy swe długie, mokre włosy i otarła z wody piwne oczy.

Z głębokiego zbiornika wystawały dwie identyczne, jasnowłose główki.

- To on zaczął! - oskarżył chłopiec z lewej strony.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Właśnie, że nieprawda - jęknął Knut. - Gunnar kopnął mnie pierwszy!

Gunnar poczuł się urażony tym zarzutem, wziął do buzi duży haust wody i bryznął na brata.

- Papla!

- Przestańcie! Natychmiast! - Hallie dołączyła do przemoczonego towarzystwa.

Obie piegowate twarzyczki o szeroko rozwartych oczach natychmiast zwróciły się ku niej. Każdy z chłopców wyciągnął palec wskazujący ku bratu i jednocześnie powiedział:

- To on zaczął!

- A ja z tym skończę - zabrzmiała surowa odpowiedź. Hallie zerknęła na Dagny. - Chodź, Duggie, wytrzymy ich. A potem sama idź się przebrać w coś suchego. Wstańcie, chłopcy. - Hallie chwyciła za wielki ręcznik, owinęła jednego z chłopaków i wyciągnęła jego żylaste ciało z wanny. Zaczęła energicznie wycierać mu głowę, przy okazji dokładnie oglądając wielkie uszy.

- Gdzie jest Liv? - spytała.

- Nie tutaj. - Po tej dowcipnej odpowiedzi nastąpił wybuch śmiechu.

- Cisz! - zakomenderowała Hallie, rozszoszona ptasimi mózdzkami młodszych braci.

- Na górze, o czymś rozmyśla - powiedziała Dagny. - Wiesz, jaka ona jest ostatnio. Ponura jak noc. - Włożyła Knutowi przez głowę flanelową piżamę, wzięła szare spodnie i rozłożyła przed chłopcem, żeby wszedł w nogawki. - Myślisz, że tęskni za tatą? - Podciągnęła mu spodnie, wsunęła w nie górę i zapięła szelki.

- Nie wiem, czy właśnie o to chodzi - odparła Hallie. - Znowu nakryłam ją dzisiaj na drzewie pana Browna.

Dagny zadrżała.

- Uff, nie lubię tego człowieka! Ile razy tu przychodzi, zawsze się gapi.

- Miejmy nadzieję, że po dzisiejszej karze Liv będzie się trzymać z dala od jego wyjątkowego ogrodu. Nie znosi szycia prawie tak samo jak siedzenia w domu, więc kazałam jej pocerować to wszystko, co leży przy łóżku.

Dagny uśmiechnęła się.

- Nic dziwnego, że tak cicho tam siedzi. Głupie zawiązanie supełka na nitce zajmuje jej pół godziny.

Gunnar był już ubrany, więc Hallie czule klepnęła go po pupie.

- Wy dwaj idźcie na górę do Liv i powiedzcie jej, żeby zeszła nakryć stół do kolacji.

Gdy chłopcy wybiegli z kuchni, Hallie wyprostowała plecy.

- Dzisiaj, po tym jak zagoniłam Liv do domu, pan Brown złapał mnie u siebie na podwórzu. - Zobaczyła, że siostra drży. - Idź się przebrać. Opowiem ci całą historię po kolacji.

Schyliła się i popchnęła wannę z rozchlapującą się wodą w stronę kuchennych drzwi. No, może nie całą historię, pomyślała. Dziewczyna nie opowiada o swoim pierwszym pocałunku. Poza tym Dagny z pewnością chciałaby wiedzieć, jak to jest, a Hallie nie była pewna, czy potrafiłaby to wrażenie opisać.

Zamknawszy oczy, oparła się o futrynę drzwi. Próbowwała zapomnieć dotyk jego ust. Najpierw były twarde, przygniatały jej delikatne wargi do zębów. Potem Kit złapał zębami jej górną wargę. To powinno było zboleć, ale zanim zdążyła zebrać myśli, język wypełnił jej usta. Jego język! Co za pomysł! W najbardziej szalonych marzeniach Hallie nie wyobrażała sobie, że całuje się również językiem. Zawsze myślała, że tylko wydyma się wargi i przyciska.

To było nawet przyjemne, tylko musiała najpierw odkryć, że trzeba oddychać przez nos. Te wędrówki języka tam i z powrotem całkiem ją oszołomiły, a jej ciało zaczęło na to reagować w

najdziwniejszych miejscach.

Na samo wspomnienie tych chwil robiło jej się gorąco. Otworzyła rozmarzone oczy i potrząsnęła głową, żeby wrócić do rzeczywistości. Zapomnij o tym, Hallie! - skarciła się. To był dla ciebie pierwszy i ostatni pocałunek Kita Howlanda. On myśli, że jesteś głupim dzieciakiem. Powinnaś być na niego wściekła, że tak zadziera nosa.

Wypchnęła wannę na schodki z tyłu domu i powoli przechylała, aż wylała całą wodę. Ale dlaczego Kit ją całował, jeśli uważa ją za dzieciaka? Przez chwilę, zanim ich wargi się zetknęły, patrzył na nią bardzo dziwnie. Trudno coś z tego zrozumieć. Ten mężczyzna zachowuje się zupełnie bezsensownie.

Odgłosy czeredki dzieciaków wpadających do kuchni ostatecznie wyrwały ją z rozmarzenia. Z westchnieniem odwróciła się do drzwi i ruszyła z powrotem, żeby dopilnować podania kolacji. Porozmyślać mogła później. Powinna znaleźć jakiś sposób, żeby Kit zaczął na nią patrzeć jak na dorosłą kobietę. Trzeba tylko ruszyć głową. Nie, nie głową: śliczną główką.

Salon zakładu pogrzebowego był pusty, ale gdy dwaj wysocy mężczyźni wkroczyli między czarne draperie, z przyległego pomieszczenia rozległo się głośnie stukanie młotka. Kit minął migający kinkiet i przez łukowate przejście zajrzał tam, skąd dochodziły dźwięki.

Zadumany Abner Brown stał przy otwartych drzwiach warsztatu i przyglądał się jasnowłosemu młodzieńcowi, który wbijał gwoździe w sosnową skrzynię. Wielkie dłonie przesuwają się wzdłuż krawędzi trumny, powtarzając bez końca ten sam ruch, skuteczny, lecz hałaśliwy.

Kit zauważył, kiedy Brown go poznał, jako że nagle wychudzoną twarz przedsiębiorcy okraślił przymilny uśmiech. Ponieważ Howlandowie byli bardzo szanowaną i zamożną rodziną, ten rodzaj uśmiechu nie był Kitowi obcy, zarazem jednak nigdy nie przestał go drażnić. Doświadczenie nauczyło go bowiem, że w ten sposób uśmiechają się ludzie, których wśród wielorybników zwie się wiatrokradami. Wiatrokrad ma zwyczaj płynąć za innym statkiem i jak pijawka wysysać mu wiatr z żagli. Sposób, w jaki Abner Brown potraktował Hallie, potwierdzał słuszność takiej oceny, nic więc dziwnego, że Kit uległ pokusie, by trochę zabawić się kosztem Browna.

- Och, pan Howland. Bardzo przepraszam, nie miałem pojęcia, że pan przyszedł - przedsiębiorca powitał go zgrzytliwym falsetem i natychmiast przeszedł do pierwszego pomieszczenia. - Proszę, niech pan usiądzie.

Wskazał parę pięknie rzeźbionych krzeseł w stylu mauretańskim, które przedzielał stolik pod lampę, wykonany z różanego drewna. Natomiast reszta kompletu, sofka i intarsjowany stolik, stały na podwyższeniu, niczym tron, dzięki czemu Abner mógł spoglądać z góry na każdego gościa. Gotów do przewodniczenia spotkaniu, zasiadł na sofce, wystudiowanym ruchem krzyżując patykowate nogi. Pochłonięty manifestowaniem swojej ważności nie zwrócił uwagi na to, że przybysze nadal stoją.

Kit spojrzał porozumiewawczo na Lee, potem wszedł na podwyższenie i nonszalancko przysiadł na poręczy sofki, opierając rękę na udzie. W milczeniu przyglądał się Abnerowi, który wbrew swojemu zamierzeniu znalazł się teraz niżej.

Przedsiębiorca wyczuł napięcie; wyrwało go to ze stanu skupienia na własnej osobie. Podniósł głowę i pochwycił przenikliwe spojrzenie zielonych oczu Kita.

- Czy... czy coś jest nie tak? - bąknął.

Jego przestraszony i zakłopotany wywołany posępny uśmiech Kita, który skinał głową ku prawej poręczy sofki. Lee zajął tam miejsce, kopiując ruchy przyjaciela, i przeszył Browna nie mniej groźnym spojrzeniem niż Kit.

Ostra woń strachu zmieszała się z gryzącym w nos zapachem kostnicy. Abner spoglądał to na Kita, to na Lee. Oblizwał swe grube wargi. Kit z trudem powstrzymał się, żeby nie sparodiować tego gestu.

- Zastój w interesach? - Kit rozejrzał się po niegustownie urządzonym salonie. Omiótł wzrokiem kilka marmurowych cokołów i zatrzymał się na złożonych amorkach, unoszących się w niebywałej liczbie przy gzymsie pod sufitem. Omal nie parsknął śmiechem.

Abner, który wyglądał tak, jakby waliły się na niego ściany wyłożone imitacją czerwonego

aksamitu, wybąkał:

- Nnnie, czemu?

Kit jeszcze bardziej pochylił się nad nim.

- To dlaczego chcesz wyłudzić pięćset dolarów od bezradnej, Bogu ducha winnej dziewczyny?

Przedsiębiorca znów zaczął wędrować wzrokiem między Kitem a Lee. Jak zwinięty wąż, zaskoczony w miejscu, z którego nie ma ucieczki, wysyczał:

- Zniszczyła moją własność! Mam pełne prawo domagać się zadośćuczynienia za szkodę. Może ta sfora małych wandalów wreszcie dostanie nauczkę. Powinno się ich oddać do sierocińca. To są wyjątkowo nieznośne bachory, praktycznie porzucone przez ojca! A tę turkaweczkę, która za nie odpowiada, nazywa pan bezradną? Ha! Jest tak samo bezradna jak Dalila z nożycami. Tej rodzinie potrzeba przede wszystkim silnej, męskiej ręki...

Niecałą godzinę wcześniej Kit bez zastrzeżeń zgodziłby się z oceną Abnera Browna. Ale nagle drgnęła w nim opiekuńcza struna, bardzo nie spodobał mu się bowiem opis Hallie, usłyszany z ust tego wrednego płaza, którego fałszywa mina zachęcała do gruntownego przerobienia naznaczonej nią facjaty.

Nie znający wybuchowego usposobienia Kita Abner Brown nierozsądnie wyrzekł dalej:

- Jedyną cywilizowaną osobą w tym towarzystwie jest ta ciemna, ładna...

Jękliwą tyradę przerwał nieartykułowany gulgot, Kit bowiem zacisnął dłoń na kołnierzyku koszuli przedsiębiorcy.

- Masz zostawić Fredriksenów w spokoju. - Żądanie zabrzmiało jak karabinowy wystrzał.

- Ale owoce z tego drzewa...

Kit podniósł Abnera za kołnierzyk.

- Może chcesz podyndać na tym drzewie?

Abner, który już, już otworzył usta, w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Dosyć, Kit. Nie warto robić sobie przez tego drania tyle kłopotu. - Lee skinął głową w stronę sąsiedniego pomieszczenia, na progu którego stanął jasnowłosy gigant z młotem w dłoni. Minę miał wprawdzie nieprzeniknioną, ale nie odrywał wzroku od poczerwieniałej twarzy chlebobawcy. - Chcesz stąd wyjść, czy masz ochotę na małe łamanie głów? - spytał Lee.

Zanim Kit zdążył mu odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do środka wszedł rozkołysanym krokiem szeryf Hayes, a za nim procesja z ciałami.

- Mam dla ciebie jeszcze dwóch, Abner - zagrzmiał szeryf i dopiero wtedy zauważył Kita. - O, jak się masz, Howland.

Kit skinął Hayesowi głową. Korzystając z sytuacji, Abner poprawił sobie kołnierzyk. Wyprostował ramiona na znak, że to on jest tu panem, i wystąpił naprzód.

- Widziałeś idiotów? - ciągnął szeryf. - Pojedynkować im się zachciało. - Przygryzł prymkę tytoniu i z niechęcią pokręcił głową. - Ten szurnięty metodysta Will Taylor wygłaszał przed jednym z nich swoje pioruńskie nauki. Tak zdenerwował ludzi tym kłapaniem, że ani się kto obejrzał i już ci dwaj ściskali dłonie ze świętym Piotrem.

W czasie gdy Abner paradnym krokiem ruszył ku grupce niosącej zwłoki, szeryf językiem przesunął prymkę do drugiego kącika ust i rozejrzał się po salonie, marszcząc czoło. Ulżyło mu, gdy dostrzegł drogocenną orientalną wazę na marmurowym postumencie. Podeszedł do niej i soczyście odcharknął.

Abner stanął jak wryty.

Szeryf otarł rękawem zaflegmione usta i spojrzał na grupkę z błogim uśmiechem.

- Gdzie ci zostawić te trupy, Abner? Tam dalej?

Kit ledwie powstrzymał śmiech widząc, jak bardzo Abner się stara, żeby nie okazać zgorznienia. Lee dostał nagiego ataku kaszlu, wydało mu się też, że usłyszał dziwne parsknięcie z prawej strony. Odwrócił się tu jasnowłosemu wielkoludowi, ale zobaczył tylko jego plecy i nieznaczne drżenie szerokich ramion.

Abner skoczył do drzwi w głębi salonu, wlokąc za sobą Hayesa.

- Zaraz ci pokażę. O, tam. - Prawie przepchnął szeryfa do drugiego pomieszczenia, po czym, przepuszczając idących rzedem ludzi ze zwłokami, zatrzymał wzrok na wielkoludzie. - Duncan, chodź tu! Będziesz mi potrzebny.

Gigant ciężko powlókł się do drzwi, za którymi właśnie znikł przedsiębiorca. Na progu przystanął i na chwilę się odwrócił. Błysk inteligencji w jego oczach zaskoczył Kita. Tymczasem Duncan puścił do niego oko i znikł.

- Chodźmy. - Lee klepnął Kita po plecach, nie pozwalając mu medytować o wielkoludzie. - Teraz Abner Brown dwa razy pomyśli, zanim tknie rodzinę Jana. Nie wyglądasz sympatycznie, jak się złościsz, a on miał takie wytrzeszczone oczy, że chyba boi się już wystarczająco.

Brzuch Lee wydał grzmiący odgłos.

- Z głodu skraca mi się równik - oświadczył Lee, robiąc krok w kierunku drzwi. - Idę do Millie. Od tygodni marzę o grubym na palec steku z czerwonymi cebulami. I o jej puddingu. Boże, już czuję smak tych specjałów.

Kit wyszedł za przyjaciелеm na dwór.

- Zgoda, ale najpierw musimy zajrzeć do kapitanatu. Może wiedzą coś o „Abigail”.

- Nie ma sensu. Jak byliśmy w del Cabos uzupełnić zapasy, naprawiali tam ster... - Odwrócił się nagle i spojrzał na Kita w zadumie. - Poza tym, o ile wiem, zerwałeś kontakty z krewnymi żony, chociaż wasze rodziny żyją w przyjaźni. Czemu interesuje cię jeden z ich kliprów? I to akurat ten, którego kapitanem jest twój były szwagier?

Kit wyminął przyjaciela i z plaskaniem butów pokonał błotniste skrzyżowanie.

- Podobno na pokładzie jest moja ciotka Madeline. Razem z moją matką wbiły sobie do głowy, że potrzebna mi jest czuła opieka. Skończyło się na tym, że Madeline niezwłocznie zamustrowała na statek Tabera. Moja matka nigdy nie odkłada planów na później, a ciotka jest pod tym względem jeszcze gorsza. Ta stara kobyła... - Kit obrócił się gwałtownie, bo Lee ryknął śmiechem. - Co w tym śmiesznego?!

Przyjaciel opierał się o słupek zaimprovizowanego znaku drogowego i rżał ze śmiechu. Niekiedy dziwaczne poczucie humoru Lee bardzo irytowało Kita. Tak jak tym razem. Jego kłopoty wcale nie wydawały mu się śmieszne. Gdyby Lee znał Madeline, na pewno rozumiałby go znacznie lepiej. Mimo głębokiego poirytowania Kit postanowił jednak zachować spokój, skrzyżował więc ramiona na piersi i czekał.

Trwało to długo. Już miał zrobić przyjacielowi jakąś zgryźliwą uwagę, gdy Lee wreszcie się opanował.

- Czy mówisz o takiej jędzy z pomarańczowo-rudymi włosami, która jest mniej więcej tego wzrostu? - Zatrzymał dłoń na wysokości piersi.

Kit skinął głową.

- Nie martw się - pocieszył go Lee. - Kiedy ostatnio ją widziałem, wymachiwała jakąś potworną parasolką przed nosem pierwszego oficera Tabera i koniecznie chciała wiedzieć, gdzie się ukrywa ten nieznośny kapitan.

- A już miałem nadzieję, że ją zmyło z pokładu - mruknął Kit. - Rozumiem, że trzymałeś się z dala od tej jędzy.

Lee tylko uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak myślałem. Za dobrze wyglądasz. Pamiętaj, że urok Prescottta na nią nie podziała. Gdybyś znalazł się w odległości kilku metrów od mojej ciotki, nie szczyrzyłbyś zębów, tylko miałbyś tik nerwowy. - Kit ruszył dalej.

Lee podążył za nim, starając się robić wrażenie skruszonego. Niestety, zupełnie mu się to nie udawało.

- Powiem ci za to coś na pocieszenie - odezwał się w końcu - bo nawet żałowałem, że cię ze mną nie ma. Potem wpadłem na Tabera, który raczył się rumem w kantynie. Twój prezbiteriański szwagier siedział z jakąś Juanitą, był opleciony jej różańcem i bełkotał nad kubkiem coś o przeklętych strzygach. Och, co za widok. Jestem pewien, że rośłoby ci serce.

Kit uśmiechnął się wbrew swojej woli.

- To znaczy, że jest jeszcze jakaś sprawiedliwość na świecie. - Przyśpieszył kroku.

- Skoro ulżyło ci na duchu, to może popłynąłbyś ze mną na parę dni do Sausalito? „Wanderer” stoi w doku, bo naprawiają mu bezan, a ty też nie masz nic do roboty. Taber zawinie tutaj najwcześniej za tydzień, więc powinieneś trochę odpocząć, żeby się bez przerwy nie burmuszyć. - W brzuchu Lee znów coś zaburczało. Brodacz wymownie spojrzał w dół.

Kit wiedział, że przyjaciel ma rację. Potrzebny mu był oddech. Wiedział też, że gdy razem się

gdzieś wybierają, zwykle mają świetną zabawę. Uśmiechnął się.

- Chodź, poratujemy ten twój brzuch, zanim jakaś świnia pomyśli, że wieprz ma ochotę na amory.

Brzęk cynowej miski zwrócił uwagę Hallie. Podniosła głowę znad skwierczącej patelni i spojrzała z dezaprobatą na Liv. Dziewczynka szybko odwróciła się i podniosła miskę. Hallie zatrzymała wzrok na dłoniach siostry, które niezdarnie dobierały się do chwiejnej piramidy naczyń. Liv miała zabandażowane oba kciuki.

- Nic ci to nie pomoże, Liv.

Mała głośno odstawiła kilka naczyń na drewniany stół i wyciągając do góry kciuki w grubych białych czapach, zrobiła minę niewiniątka.

- Co takiego?

Hallie spojrzała znacząco na dłonie Liv.

- Zawijanie palców.

- Ale jak cerowałam, to igła...

- Na pewno nie pokłuła cię na tyle, żebyś sobie robiła takie białe ogórki. Nie oczekuj ode mnie współczucia. Dobrze wiesz, że nie wolno ci chodzić do ogrodu Abnera Browna. A teraz zdejmij te bandaże, zanim połowa zastawy wyląduje na podłodze.

Liv opadła na krzesło z plecionki i spróbowała zębami rozluźnić węzeł. Bliźniacy bawili się w kącie swoimi najcenniejszymi i najbardziej strzeżonymi zabawkami: zwierzątkami z kości wieloryba, wyrzeźbionymi przez ojca.

Hallie odwróciła się z powrotem do kuchni, rozkoszując się chwilą ciszy. Zamknęła oczy, ale zamiast uspokajającej czerni zobaczyła twarz Kita Howlanda. Była pewna, że nie jest mu obojętna. Wprawdzie nie miała doświadczeń z pocałunkami, widziała jednak, że Kit nie całkiem panuje nad sytuacją. Zresztą nie odepchnął jej, w każdym razie nie przed przyjściem kapitana Prescottta, a potem przez dłuższą chwilę wydawał się bardzo zakłopotany, prawie zażenowany.

Nawymyślał jej od dzieciaków, ale gdyby naprawdę tylko chciał ją nastraszyć i nie myślał o tym, co robi, to czy byłby potem zakłopotany? Hallie uważała, że nie. Mężczyźni nie umieją maskować uczuć, przynajmniej tak zawsze twierdziła jej mama. Bystra kobieta zawsze zauważy co trzeba. I wie, że mężczyźni instynktownie ukrywają najdrobniejsze przejawy uczuć, żeby nie wydać się mięczakami. Rzecz jasna, wolno im się wściekać, używają więc gniewu jako zasłony. Mama mówiła też, że spostrzegawcza kobieta zawsze potrafi przeniknąć przez tę zasłonę i odgadnąć, co mężczyzna ukrywa. A jej obowiązkiem jest ćwiczyć mężczyznę w sztuce okazywania uczuć, przede wszystkim miłości.

Gdyby Kit zobaczył w niej kobietę, a nie małą dziewczynkę, na pewno zdołałaby jakoś podbić jego serce, a przynajmniej nieco go wyćwiczyć. Pamiętała, jaki czuły stał się nagle, gdy wydała mu się zrozpaczona. Wspomnił coś o odpowiedzialności za wychowanie dzieci. No, tak. Mężczyźni uważają, że wychowanie należy do kobiet. Jeśli więc Kit zobaczy ją z dobrze ułożonymi dziećmi, to może pojmie, że ma przed sobą kobietę.

Hallie wiedziała, że gdy kapitan Prescottt zawija do portu, zaprasza tatę do Grotto. Tata zawsze je wtedy razem z przyjaciółmi, a nie z rodziną.

Zerknęła na smażące się mięso, potem na prawie pełną baryłkę solonej wołowiny pod ścianą. Wreszcie przyjrzała się dzieciom, trochę z poczuciem winy, ale też z wyrachowaniem. Stwierdziwszy, że wszystkie zajmują się czymś z dala od rozpalonej kuchni, ujęła przez fartuch rączkę patelni, przechyliła naczynie i wylała na fajerkę trochę gorącego tłuszczu. Płomienie, które nagle strzeliły, opaliły mięso. W powietrzu zakłębił się dym. Ale Hallie była na to przygotowana. Wcisnęła patelnię do pobliskiej torby z solą i szybko stłumiła płomień.

Gdy po kuchni rozszedł się gryzący zapach, Hallie otworzyła drzwi na dwór i zwróciła osmaloną twarz ku zdumionym i przestraszonym dzieciakom.

- Zdaje się, że spaliłam kolację - powiedziała. - Doprowadzę się do porządku i pójdziemy zjeść u Millie.

Bliźniacy natychmiast zaczęli dziko podskakiwać, a Liv ustawiać naczynia w kredensie. Millie zawsze dawała im wielkie desery.

Hallie w pośpiechu wypadła z kuchni, chcąc jak najszybciej urzeczywistnić swój plan. Po dwa

schody wbiegła na górę, wpadła do sypialni i rzuciła się do dębowej szafy, którą dzieliła z Dagny. Chwyciła z wieszaka różową suknię i rozłożyła ją na łóżku. Potem szybko obmyła twarz z sadzy. Wtedy zobaczyła w lustrze pytające spojrzenie Dagny.

- Przypaliłam kolację, idziemy do miasta coś zjeść - wyjaśniła, schylając się nad porcelanową miską, żeby ukryć podniecenie. Jeszcze raz ochlapała zimną wodą zaróżowioną skórę, mając nadzieję, że Dagny zaraz wyjdzie z pokoju. Siostra mogłaby coś zauważyć, Hallie wiedziała bowiem, że swoje oczekiwania ma wołami wypisane na twarzy.

Kit i Lee przystanęli przed wąskim drewnianym budynkiem, oddalonym o kilka przecznic od przystani. Do okapu przymocowany był przekrzywiony, zardzewiały szyld, który mgła znaczyła kreskami brunatnych, ściekających kropli. Napis głosił:

Grotto Właściciel: P. Millicent Dockery

Kit otworzył drzwi i razem z Lee wszedł do środka. Smakowity zapach steku i cebuli mile polectał jego zmysły. Zakręciło go w nosie, oczy zaszyły mu łzami i poczuł, że leci mu ślinka. Żołądek bolesnym skurczem przypomniał o swoich potrzebach.

- No, no, Kit, powiedzże, co to za sztorm przygnał wreszcie do portu twojego przyjaciela? - powitała ich starsza kobieta w fartuchu, mająca około metra pięćdziesięciu wzrostu i mniej więcej tyle samo w biodrach.

- To wcale nie sztorm, Millie. Znalazłem go pod skałą podczas ostatniej pełni księżyca. Wył, że jest zagłodzony. - Kit powiesił swój kapelusz na wieszaku, wśród wielu innych. Odwrócił się i stęknął, bo Lee dźgnął go łokciem.

- Jak ty mnie witasz, Millie? Tyle miesięcy utrzymywała mnie przy życiu jedynie myśl o twojej kuchni. - Lee zamknął kobietę w uścisku i bez trudu uniósł w powietrze.

Millie pogroziła mu przed nosem drewnianą chochłą.

- Odstaw mnie, ty byczku przystojniaczku, bo skręcisz sobie kark, a mnie wtedy znenawidzi połowa kobiet w San Francisco.

- Millie, moja ukochana, te kobiety nie są warte połowy ciebie. - Lekceważąc żądanie, Lee podniósł ją wyżej. - Kiedy wreszcie wyjdiesz za mnie za męża? - Spojrzał na jej różowe policzki tak, jakby naprawdę się oświadczał. - Przecież grozi mi śmierć głodowa na morzu.

Niewzruszona Millie spojrzała na Kita, który stał w swobodnej pozie przy samodziądłowej kotarze i przyglądał się tej utarczce.

- Mam nadzieję, Kit, że przyniosłeś nocnik, bo temu szelmie chlupie we łbie tak, jakby najadł się śliwek.

Stuknęła Lee chochłą w głowę, a gdy postawił ją na ziemi, znów zwróciła się do Kita.

- Won z tyłkiem od tej zasłony. - Każde słowo swojego rozkazu podkreślała pchnięciem chochli w metalowy guzik, błyszczący na piersi Kita. - Mama niczego cię nie nauczyła?

Kit roześmiał się i potarł dłonią pierś.

- Owszem, nauczyła, że wszystkie kobiety na „M” są piekielnicami. Mama... Millie... - Zręcznie uniknęła szttychu chochłą.

- Madeline - dodał Lee ze złośliwym uśmiechem.

- Oj chłopcy, chłopcy, trzeba się na was trochę popieklić, żebyście zbyt dużo nie rozrabiali. A teraz dość głupich żartów. - Millie odwróciła się i zagrzmiała: - Maria! Sprzątnij stół dla tych dwóch kogutów, bo z tego brodatego zaraz zostanie tylko kupa nawozu.

Z zaplecza dobiegło mężczyzn nagłe brzęczenie garnków i patelni, a na jego tle zabrzmiała wiązanka hiszpańskich przekleństw, zakończona jednym, jedynym angielskim słowem:

- ...niewolnica!

Krzepka Hiszpanka wpadła na salę przez kuchenne drzwi. Spojrzała na Millie spode łba, rozpromieniła się jednak natychmiast, gdy zobaczyła dwóch mężczyzn w drugim końcu sali.

Kit uśmiechnął się do Lee i obaj powiedzieli:

- Maria.

Burcząc coś o tym, że trzeba przetrzepać pysk temu dziewczuszyku, Millie wycelowała swój drewniany oręż w stronę stolika.

- Sadzajcie tam swoje dupska, jak chcecie coś zjeść. Ja muszę wracać do kuchni.

W chwilę później z postawionych przed nimi kubków uniosła się woń piekielnie mocnej czarnej kawy. Kit wciągnął w nozdrza cudowny aromat i upił pierwszy łyk gorącego płynu. Zerknął na Lee, który zajął się flirtem z Marią. Zazdrościł przyjacielowi swobody w obejściu z kobietami. Lee umiał traktować te sprawy lekko. Kobiety nie chciały z nim zostać, chociaż ciągnęły do niego jak muchy do spracowanego muła.

Kit tak nie potrafił. Po nieudanym małżeństwie przysiągł sobie, że nigdy więcej nie pozwoli kobiecie wkraść się w swoje łaski. Doświadczenie nauczyło go, że kto obdarzy kobietę miłością, składa w jej ręce władzę. Stanowczo za wiele władzy. Małe ręce Jo zmieniły się przez to w szpony, które rozszarpały na strzępy wszelkie jego złudzenia co do miłości i małżeństwa.

Ale Lee był cały czas sobą. Serce miał nietknięte. Kit wielokrotnie widział, jak po zawinięciu do portu przyjaciel natychmiast oczarowuje jakąś kobietę, potem następną i jeszcze następną, ale gdy wychodził w morze, wszystkie się uśmiechały i w ogóle za nim nie tęskniły.

Kit podniósł do warg toporny kubek i wypił duży łyk kawy. Kilka przelotnych romansów, jakie miał po przyjeździe do San Francisco, nie było wartych zachodu. Związek z pewną wdówką satysfakcjonował go fizycznie, póki kobieta nie uczepiła się go jak rzep. Od początku mówił jej jasno i wyraźnie, że nie zamierza ponownie się zenić, ona jednak wciąż łudziła się nadzieją. Przeżyła zawód. Od tej pory Kit wolał raczej zapraszać na noc płatne kobiety. Bez złudzeń, bez zobowiązań, tylko dla fizycznego zaspokojenia. W ostatnich latach żadna osoba płci przeciwnej nie wzbudziła w nim cieplejszych uczuć. Był przesiąknięty chłodem.

Wyprostował lewą nogę i poczuł pieczenie pod kolanem. Mimowolnie potarł bolesne miejsce. Zagrzała mu się dłoń. Przypomniało mu to, że tego popołudnia nie był chłodny. Przeciwnie, obudziła się w nim namiętność, chociaż sądził, że już nie jest do niej zdolny. Po niespodziewanym spotkaniu z Hallie krew zawrzała mu w żyłach. Znowu ożył.

Na to wspomnienie zrobiło mu się ciepło, aczkolwiek wcale nie był z tego zadowolony. Specjalnie ucisnął bolesne miejsce, mając nadzieję, że jego myśli zmienią bieg. Zdradziecki umysł podsunął mu jednak obraz pocałunku z Hallie.

Na szczęście jego uwagę zwrócił ruch przy drzwiach. Wśród małych postaci w płaszczykach stała tam Hallie Fredriksen - dziewczyna o gorących ustach. Zdjęła narzutkę i czepek, i wyciągnęła rękę do wysokiego wieszaka, który akurat był pusty. Kit nabrał pełne płuca powietrza. Sukienka obciskała górną połowę jej ciała, a gdy Hallie się odwróciła, zobaczył, że piersi jej okrywa koronka, delikatna, cienka koronka, pod którą maluje się jasnorożowa tkanina sukni. Przez chwilę myślał nawet, że widzi gołe ciało.

Hallie schyliła się, żeby pozdejmować chłopcom czapki. Koronka nieco się osunęła i odsłoniła zarys piersi, ciężących ku ziemi.

Kit spiekł raka.

Chwyciwszy za dzbanek, nalał zimnej wody do kubka i przełknął wszystko jednym haustem. Pomyślał przy tym, że powinien wylać sobie tą wodę na głowę.

- Dwa lata - mruknął. - Przez dwa lata nic, a teraz w jeden dzień podwójna dawka.

Potarł palcami pulsujące skronie i zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, że ściągnął tu tę jasnawłosą wiedźmę siłą myśli.

- Dawka? - Lee zerknął znad ciała Marii, która jak serweta leżała mu na kolanach. - Ohydnie to brzmi, zupełnie jakby miało coś wspólnego z tranem. - Lee spojrzął na marsową minę Kita, a potem na grupkę przy drzwiach. - Niech mnie kule biją, na pewno chodzi o ten medykament.

Kit nie umiał się powstrzymać. Zapatrzył się na Hallie, która nagle zwróciła ku niemu głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Lee zdjął Marię z kolan.

- Lepiej wracaj do kuchni, *querida*, zanim Millie wygarbuje mi skórę. - Czule ją klepnął i puścił do niej oko. - Muszę popatrzeć, czy mój przyjaciel połknie lekarstwo.

Hallie była przerażona. W uszach słyszała bicie serca. Gdy Dagny pomogła jej przeprowadzić trójkę dzieciaków przez próg, pomyślała, że chyba jednak nie był to najlepszy pomysł.

W zaciszu domowej kuchni mogła oddawać się marzeniom o zwróceniu na siebie uwagi Kita Howlanda całkiem bezkarnie i wtedy plan wydawał jej się dobry. Po drodze do Grotto twórcza wyobraźnia nadała westchnieniom serca konkretne kształty. Hallie zobaczyła całą scenę w

kolorze. Przyjdą dosyć wcześnie, żeby mogła spokojnie nakarmić dzieciaki do syta, zanim zjawi się tłum wyголоzonych gości. Tata zawsze spotykał się z przyjaciółmi dopiero po szóstej, miała więc mnóstwo czasu na urzeczywistnienie zamiaru. Kit wejdzie do środka, ujrzy ją z dziećmi, które z pełnymi brzuskami zawsze zachowują się przykładowie, i zwróci te swoje szmaragdowe oczy ku Hallie. Wtedy zobaczy w niej kobietę.

Plan był wyśmienity.

Tak przynajmniej jej się na początku zdawało. Teraz jednak, stojąc w sieni przed salą jadalną, czuła, że coś się układa nie po jej myśli. Zdjęła czepek, potem nakrycia głowy oraz płaszczyki chłopców i poszła powiesić to wszystko na wieszaku przy ścianie. Przez cały czas złościła się na siebie, że jest niemądra, bo z takim zniecierpliwieniem czeka, co wyniknie z jej pomysłu. Gdy jednak rozejrzała się po sali w poszukiwaniu odpowiedniego stolika, natychmiast dostrzegła Kita.

Ścisnęła ją w dołku. Zamknęła na chwilę oczy z nadzieją, że gdy je otworzy, przy stoliku będzie pusto, że wyobraźnia płata jej figle. Ale nie, Kit wciąż tam był. Co gorsza, poczuła szarpnięcie za rękaw i zorientowała się, że Knut z Gunnarem ciągną ją prosto do wolnego stołu.

Szybko się opanowała, przypomniała sobie bowiem, po co tu przyszła. Masz mu pokazać, że jesteś kobietą, i to kobietą z autorytetem, pomyślała. Przystanęła więc, bo nie mogła przecież pozwolić, żeby dzieciaki ciągnęły ją przez salę. Musiała zademonstrować, jak dobrze sobie z nimi radzi.

Mocniej uściśnęła palce bliźniaków i schyliła się, żeby ich przekupić:

- Bądźcie grzeczni, to w nagrodę podzielę się z wami moim deserem.

Wyprostowała się, nie zwracając uwagi na miny chłopców. Popęłniła błąd, bo ich błyszczące oczy mogłyby ją ostrzec przed smutnym końcem, do którego nieuchronnie zmierzał jej plan.

Mocno ściskając bliźniaków za ręce, podeszła do wolnego stołu jak prawdziwa dama, za nią zaś Dagny z Liv. Mężczyźni wstali. Lee uśmiechnął się na powitanie, a Kit zrobił taką minę, jakby ugryzł cytrynę.

- Dobry wieczór paniom. - Lee odsunął krzesło od stołu i dwornym gestem wskazał miejsce.

Hallie popchnęła w tamtą stronę Dagny i wyczekująco spojrzała w stronę Kita, nie zrażona jego kwaśną miną. Gdy i on odsunął krzesło, dyskretnie mu się przyjrzała. Nie miał już kwaśnej miny, obserwował ją, ale skupionego spojrzenia nie kierował bynajmniej ku twarzy. Zatrzymywał je gdzieś poniżej podbródka. Hallie dobrze wiedziała, co go tak zajęło, czuła bowiem, jak suknia obciska jej wypukłości.

Odrobinę straciła ze swej królewskiej pozy, zaraz jednak uświadomiła sobie, że mężczyzna nie gapi się w ten sposób na piersi dziecka.

Działa! Wzięła głęboki oddech i usiadła, pochłonięta reformowaniem swojego planu. Próbowwała też odgadnąć myśli Kita. Niepokoiło ją jego milczenie.

Gdy okazało się, że nowy plan za nic nie chce się ułożyć, Hallie, wychowana na dobrą chrześcijankę, zwróciła się do siły wyższej. Boże, proszę, niech Kit zobaczy mnie taką, jaka jestem naprawdę, niech mu się przestanie wydawać, że nadal jestem dziewczynką, którą kiedyś poznał. Tak bardzo zajęło ją wspieranie tej prośby odmawianiem w myślach wyznania wiary, że przestała zwracać uwagę na zachowanie bliźniaków, którzy przez cały czas z zachwytem na twarzach przyglądali się dwóm wspaniałym mężczyznom. Nagle Gunnar, zawsze szybszy od brata, podbiegł do krzesła stojącego obok Liv i zaczął robić miny do dorosłych. Knut, nie chcąc pozostać w tyle, złapał za to samo krzesło akurat w chwili, gdy niczego nie podejrzewająca Liv postanowiła usiąść.

Hallie przypadkiem spojrzała w tę stronę i z przerażeniem zobaczyła, niczym na zwolnionym filmie, jak bliźniacy razem odsuwają krzesło do tyłu.

Jasnowłosa główka Liv znikła z pola widzenia jak kotwica rzucona do morza. Niebieski obrus, przykrywający stół, zsunął się za nią, a naczynia z brzękiem pospadały na podłogę. Hallie i Dagny zerwały się z krzesel i złapały każda po bliźniaku, zanim Liv z pałającym wzrokiem i cynowymi talerzami w obu rękach zdążyła dokonać zemsty.

Trzymając Gunnara za szelki, Hallie doholowała go do wolnego krzesła.

- Siadaj!

Wskazała Knuta.

- Ty też!

Liv wstała, zrzucając przy tym na podłogę kilka sztućców. Hallie poczuła, że cierpną jej zaciśnięte zęby.

- Przepróście siostrę!

- Ale to było niechcący.

- Szybko!

Chłopcy drżącymi głosami wybąkali słowa przeprosin. W ich wielkich piwnych oczach zabłyśły łzy upokorzenia. Obaj zwiesili głowy, w dramatycznym dziecięcym geście oznaczającym zawstydenie.

Podziałało.

Wprawdzie Hallie wiedziała, że nie powinna mieć wyrzutów sumienia, ale niestety je miała. Gdy Dagny uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem, poczuła, że więcej nie zniesie, i schyliła się, by pozbierać porozrzuconą zastawę. Gdyby spojrzała na tych dwóch rozbójników, niechybnie by ich przeprosiła i całą nauczkę diabli by wzięli.

Koniec marzeń o pokazaniu się w roli głowy rodziny, pomyślała. Zamiast imponować, kucała za stołem, zbierając talerze. Znalazła sobie bezpieczne schronienie. Wcale nie tak miało być. Trudno, dała nura pod obrus, wysunęła spod kolan halki i krynolinę i zaczęła pełzać pod stołem na czworakach, a spódnica powiewała wokół niej jak żagle armady. Podniosła widelec i w tej samej chwili zauważyła ruch po drugiej stronie wolnego krzesła Liv. Podniosła głowę. Ujrzała bezgłowy tors, okryty białą płócienną koszulą, i aż za dobrze jej znaną ciemną kamizelką. Wstrzymała dech.

Kit przykucnął nie dalej niż pół metra od niej, ze stertą naczyń na zgiętych kolanach. Obcisłe spodnie podkreślały umięśnienie jego ud, talerze cicho podzwaniały przy każdym drgnienu nóg. Zanim Hallie zdążyła zareagować, obrus się uniósł i zobaczyła w swoim schronieniu również twarz Kita. A ponieważ zastał ją tam z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, szeroko się uśmiechnął, czym do reszty wyprowadził ją z równowagi.

A niech to! Wpadłam jak śliwka w kompot, pomyślała i odwróciła oczy. Natychmiast musiała upozorować jakieś zajęcie, żeby nie zorientował się, że po prostu znalazła sobie pod stołem kryjówkę. Ocalił ją samotny talerz, leżący przy stołowej nodze.

Sięgnęła po niego, ale Kit zrobił to samo.

I oto ocalenie okazało się przekleństwem. Ich dłonie zetknęły się na krawędzi talerza. Serce Hallie zaczęło bić tak mocno, że aż musiała zerknąć, czy Kit nie usłyszał. Przestał się uśmiechać. Patrzył na nią w znajomy sposób, tak samo jak na chwilę przed ich pocałunkiem. Nie był rozbawiony ani zły, za to promieniowała od niego siła. Pierwszy raz w swym niewinnym życiu Hallie poczuła, że ulega czyjejś władzy.

Miała bardzo dziwne wrażenie, jakby topniał jej szpik w kościach. Pulsowanie krwi w uszach zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Palił ją kark. Wstrzymała dech, czekając, aż coś się wydarzy. Przez następne sekundy oboje trwali nieruchomo po dwóch stronach pustego krzesła, mierząc się wzrokiem. Fajansowy talerz, który trzymali, przewodził niezwykle fale. Powietrze między nimi wibrowało, ich twarze były coraz bliżej, wargi się rozchyliły...

Nagle Liv usiadła na krześle i Hallie musiała się cofnąć. Puściła talerz, zrywając iluzoryczną więź tak łatwo, że aż nie była pewna, czy ona kiedykolwiek istniała. Gdy wreszcie zaczerpnęła tchu, świat z powrotem znormalniał.

Nie wstała jednak od razu, tak jak Kit. Potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Czy nie o to jej chodziło? Kit miał ją przestać traktować jak dziecko. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że podbijanie serca mężczyzny kosztuje tyle energii. Bardzo ją to osłabiło, była jak herbata z piątego parzenia.

Wreszcie zdecydowała się opuścić schronienie i udawać, że nic nie zaszło. Wycofując się tyłem, wpadła jednak na jakiś słup. Przesunęła się więc trochę do przodu, zamierzając powtórzyć manewr pod nieco innym kątem. Niestety zaczęła o coś spódnicą. Kilka razy zakołysała tylną częścią ciała, żeby się uwolnić, ale bez powodzenia. Rozzłoszczona, zerknęła przez ramię.

Jej pośladki opierały się o wysoki skórzany but. Przestała się wiercić i na swoją zgubę podniosła głowę. Spojrzała prosto w roześmiane oczy Kita Howlanda.

Lee Prescott odsunął krzesło od stolika i przyjrzał im się badawczo.

- Co tam się dzieje?

Kit zerknął na Lee, a potem spojrzął znacząco na tylną część ciała Hallie.

- Zdaje się, że Hallie czyści mi buty - powiedział, ledwo powstrzymując wybuch wesołości.

Myślała, że się zapadnie pod ziemię, ale tylko przez chwilę, bo wybuch śmiechu mężczyzn doprowadził ją do wrzenia.

- Co pan tam robi za mną? - burknęła gniewnie. - Stoi mi pan na drodze!

- Myślałem, że czegoś potrzebujesz, Hallie... - Kit znacząco zawiesił głos. - Przed chwilą, pod stołem...

Czegoś? Bardzo ją tym uraził. Żartował sobie z tej porywającej chwili, którą razem przeżyli. Zarozumiały osioł! To on zaczął, przez to, że tak... lubieżnie na nią patrzył. Zanim jednak zdążyła mu powiedzieć coś do słuchu, Kit jeszcze posypał jej soli na ranę.

- Po naszej rozmowie dziś po południu zrozumiałem, że to niemożliwe, żebyś się przede mną chowała...

Świetnie wiedział, jak było naprawdę.

- Dlatego... - ciągnął, udając całkowitą nieświadomość - pomyślałem, że o coś zaczepiłaś i potrzebujesz pomocy.

- Nie zaczepiłam, tylko pan mi przydepnął spódnicę zabłoconym buciorem! - Hallie usiadła na piętach i raz jeszcze bezskutecznie spróbowała uwolnić spódnicę. Kit nie puścił. Spojrzała na widelec, który wciąż miała w spoczonej dłoni, i na jej wargach zaigrał złośliwy uśmiešek. Wiedząc, że Kit jej się przygląda, powędrowała wzrokiem wzdłuż całej nogi, jakby zastanawiała się, w które miejsce uderzyć.

Kit wykazał rozsądek i usunął nogę. Na rąbku jej ulubionej sukni zostały błotniste ślady. Próbowwała je strzepnąć, ale ponieważ błoto nie było wyschnięte, więc zamiast odpaść, tylko rozmasało się na większej powierzchni. To wprawiło Hallie w jeszcze większą złość. Poza tym wciąż była zakłopotana, co również bardzo ją irytowało.

Dalej siedziała więc na piętach, dzierżąc widelec niczym sztylet. Nagle mała ręka delikatnie poklepała ją po szyi, tuż przy kołnierzyku. Knut pochylił się nad nią z bardzo niewinną miną.

- Czy znowu za mocno związałaś sznurówki agrestu, Hallie? - Bardzo przejęty spojrzął na Kita. - Kiedy Hallie sapie, tata zawsze mówi, że w za ciasnym agrestie nie można się ruszyć - oznajmił.

- To nie jest agrest, tylko gorset, ty głupku - poprawiła go autorytatywnie Liv.

- Ja nie jestem głupek. Dziewczyny są głupki.

- Dziewczyny nie są głupki!

- E, tam.

Hallie wyprostowała się na klęczkach i z całej siły trzasnęła widelcem o blat stolika. Knut i Liv umilkli. Nagle dwie mocne ręce ujęły ją w talii i postawiły na nogi. Wydało jej się, że między dłońmi Kita a jej ciałem przeskakują iskry. Spojrzała na niego bardzo groźnie.

- Sprawdzalem, jak to jest z tym gorsetem, dzieciaku - szepnął jej do ucha. - Rzeczywiście, dość ciasny.

- Właśnie że dobry. Taki jak trzeba. Doskonaly! - Wyszarpnęła się z jego uścisku, dawno już straciwszy ochotę do żartów. Ta brutalna napaść oburzyła ją.

Kit wzruszył ramionami i wrócił do swojego stołu, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, natomiast Hallie usiadła na krześle pąsowa na twarzy i bardzo zła. Wkrótce jednak złość jej przeszła, pozostało tylko poczucie klęski. O Boże, przecież wcale nie tak miało być. Nie chciała, żeby Kit się z niej wyśmiewał. I znowu była dla niego małą dziewczynką.

Wyrwał ją z zamyślenia szczebiotanie Knuta. Malec męczył Lee, żeby opowiedzieć mu o wielorybach. Gdy jednak karcąco zmarszczyła czoło, wrócił na swoje miejsce. Millie wyszła z kuchni z dymiącą wagą i postawiła ją przed mężczyznami.

Potem zwróciła swój pulchny brzuch opięty fartuchem ku bliźniakom.

- Patrzcie, patrzcie! A to ci urosli! Będę musiała dać im taaaki gar jedzenia, żeby nie byli głodni.

- A wie pani co? - spytał Knut.

- Co?

- Hallie przypaliła kolację! Szkoda, że pani nie widziała. - Knut wykonał szeroki gest

drobnymi ramionami. - Dym był wszędzie. A jak śmierdziało! I Hallie była cała czarna. Wyglądała jak Rufus Jefferson. Tylko że Rufusa Pan Bóg stworzył czarnego, sam mi to powiedział. I wie pani co?

- Co?

- Hallie obiecała nam swój deser, jeżeli będziemy grzeczni. - Rozejrzał się dookoła. - Tak było. Naprawdę nam obiecała. Pamiętasz, Hallie?

Hallie zamknęła oczy. Gunnar miał rację, że Knut jest papla. Spojrzała w błękitne oczy niewiniątka i ogarnęła ją rezygnacja. Przy czterolatkach nie ma sekretów. Takie dzieci jeszcze nie rozumieją, czym jest dyskrecja.

- Jestem grzeczny, prawda?

- Tak, kochanie - przyznała. - Jesteś grzeczny. - A ja jestem skompromitowana, pomyślała. Knut odwrócił się w stronę dymiącego naczynia.

- Co to?

- Coś na rozgrzewkę - dumnie powiedziała Millie. - Maria przyniesie wam zaraz drugie danie.

Knut ukląkł na krześle i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Millie zdjęła pokrywkę wazy i uniosła pełną chochlę. Na talerz Kita polał się gęsty płyn. Oberżystka uśmiechnęła się:

- Gorąca zupa.

Hallie siedziała zmartwiała. Była czerwona jak burak, nie wątpiła więc, że każdy, kto na nią spojrzy, zauważy jej śmiertelne zawstydzenie. Nie ryzykując spojrzenia na Kita, pochyliła głowę nad stolikiem. Chciała natychmiast wyparować, widziała jednak, że zamiast tego będzie musiała zjeść najdłuższą kolację w swoim życiu.

- Chłopcy leżą w łózkach.

- Pst - ostrzegła ją Dagny.

Hallie zamknęła drzwi sypialni najciszej, jak potrafiła. Jej uwagę zwrócił szelest w łóżeczku, stojącym po drugiej stronie pokoju. Liv wsunęła się głębiej pod gruby, wełniany koc. W sekundę później jej oddech stał się wolny i miarowy.

Hallie podeszła na palcach do łoża, które dzieliła z Dagny. Siostra leżała ze skrzyżowanymi nogami na dzianej narzucie, obie poduszki miała wetknięte między plecy a wezgielnie z żelaznych prętów. Hallie zrozumiała natychmiast: Dagny chce porozmawiać. Być może zresztą spostrzegawcza siostra uznała, że to Hallie potrzebuje rozmowy.

- Co ty wyrabiałaś dzisiaj wieczorem, Hallie? - spytała.

- Jak to „co wyrabiałam”? - Hallie usiadła na krawędzi łóżka i zajęła się rozwiązywaniem tasiemek przy bamboszach, demonstrując wścibskiej siostrze plecy w całej okazałości.

- Nie jestem taka znowu tępą - szepnęła Dagny - chociaż nawet kompletny dureń by zauważył, że nasze dzisiejsze wyjście na kolację miało wszelkie cechy szalonej intrygi, z jakich znana jest moja siostra, Haldis Fredriksen.

- Rozepnij mi suknię.

- Nie zmieniaj tematu.

- Dagny! - odszepnęła gorączkowo Hallie. - Jestem najstarsza w tej rodzinie i nie muszę się nikomu z niczego tłumaczyć. - Ładne rzeczy, pomyślała. Drętwa przemowa zamiast rozmowy.

- Ale masz sumienie - powiedziała Dagny, przeciskając guzik sukni siostry przez ciasną dziurkę. - I tatę, któremu musisz wszystko opowiedzieć, jak wróci do domu. Ja pytam tylko z troski o ciebie. Kocham cię, Hallie, i nie chcę, żebyś znowu zrobiła coś głupiego, a potem musiała się chować przed Kitem Howlandem przez następne dwa lata.

- Skończyłaś?

Dagny uporała się wreszcie z ostatnim guzikiem.

- Właśnie w tej chwili.

- Nie o to pytam. - Hallie zdjęła suknię, spódnice i krynolinę. - Czy skończyłaś mnie pouczać?

Pozbywszy się jeszcze obcisłej flanelowej halki, szarpnęła za sznurówki gorsetu. Były ściągnięte do granic możliwości i zaplątane tak, że obłąkana dziewiarka nie potrafiłaby lepiej. Gorset istotnie był zasnurowany za ciasno. Obróciła się do światła, żeby lepiej widzieć supły. Przy okazji zauważyła, że Dagny jest urażona.

- Och, Duggie, przepraszam. Nie jestem zła na ciebie, tylko na siebie. - Hallie musiała

przyznać, że wina za wieczorną kompromitację spoczywa wyłącznie na niej. Miała beznadziejny pomysł. Głupi, bez polotu i, jak wspomniała Dagny, całkiem w jej stylu. - Ten człowiek w ogóle nie wie, co to są maniery - mruknęła.

- Dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego! Może matka go tego nie nauczyła. Jeśli w ogóle kiedykolwiek miał matkę. Pewnie jest poczęty przez zapylanie albo stworzony przez czarownicę albo... - oczy Hallie zabłyśły - ...przez mulicę! - Parsknęła śmiechem, zaraz jednak spostrzegła, że Dagny przygląda jej się jak komuś, kto ma nie po kolei w głowie.

- Chciałam spytać, dlaczego jesteś na siebie zła - wyjaśniła Dagny.

- Ach, to. - Hallie opadła na łóżko. - Masz rację. Wygłupiłam się dziś wieczorem.

- Sądząc po twoich mętnych wyjaśnieniach, ma to coś wspólnego z panem Kitem Howlandem. Hallie skinęła głową.

- Opowiedz mi o tym. Przecież wiesz, że lubisz się martwić bez powodu. Pewnie wcale nie jest tak źle, jak ci się zdaje. - Wbrew tym słowom Dagny wtuliła się w poduszki, jakby oczekiwała długiej opowieści.

Hallie wreszcie wylała z siebie wszystkie żale, zaczynając od epizodu z jabłónką, a kończąc na swoim planie zaimponowania Kitowi.

- Och, Hallie.

- Wiem, wiem... To był bardzo głupi pomysł.

Dagny pochyliła się do niej.

- Czy on naprawdę cię pocałował? - spytała szeptem.

- Mhm.

- Jak to było?

- O, nie!

- Jak mam pomóc ci wymyślić, co robić dalej, jeśli nie chcesz powiedzieć mi wszystkiego?

Na twarzy Dagny odmalował się znany w rodzinie Fredriksenów wyraz słusznego oburzenia.

- To jest bardzo osobiste. Poza tym nikt mi już teraz nie pomoże. Sama słyszałaś, jak mu się śpieszy do Sausalito. Wyglądał tak, jakby chciał się tam znaleźć jak najszybciej. - Hallie wreszcie zdołała się rozebrać i nałożyła koszulę nocną. - Wątpię, czy jeszcze będę miała okazję go zobaczyć w najbliższym czasie. Dlatego właśnie ten wieczór był dla mnie taki ważny. W swojej głupocie myślałam, że może go zainteresują swoją osobą.

- Czy miał bardzo wilgotne wargi?

- Duggie!

- No, więc miał czy nie?

- No, nie. Dosyć suche...

- Eee tam! - Stłumiony wyraz dezaprobaty dobiegł z przeciwnego kąta, gdzie pod kocem rysowała się wypukłość.

- Spij, Liv! - wykrzyknęły jednocześnie Hallie i Dagny.

- Jak człowiek ma spać, kiedy gęgacie niczym stado gęsi?

Dagny sięgnęła za głowę po poduszkę i cisnęła nią w Liv.

- Masz, zakryj sobie uszyska!

- Może być, ale wtedy nie powiem Hallie, co widziałam. A to jest o tym panu, co ma suche wargi.

- Co takiego, Liv? - Hallie westchnęła, niewymownie cierpiąc z powodu wracających jak czkawka wspomnień tego wieczoru.

- On się gapił prościuteńko na ciebie.

- Naprawdę? - Hallie nastawiła uszu.

- Pewnie. A kiedy wyszedł spod stołu i odstawił talerze, to wyglądał bardzo dziwnie.

Dagny popatrzyła na starszą siostrę.

- Liv ma rację. Wyglądał tak, jakby go piorun trafił. Rozumiesz?

Hallie rozumiała bardzo dobrze. Tak samo można by w łagodny sposób określić jej samopoczucie. Wyraźnie pamiętała chwilę, w której spotkali się pod stołem. Była to jedyna przyjemna chwila tego wieczoru.

- Jakby go piorun trafił, mówisz?

- Mhm - potwierdziła w zadumie Dagny. - I wiesz co jeszcze?

- Co? - Hallie usiadła na krawędzi łóżka.

- Zaczerwieniły mu się uszy. - Dagny powiedziała to takim tonem, jakby te cztery słowa zawierały w sobie sekret obcowania mężczyzny z kobietą.

- Uszy? Co ty gadasz, na miłość boską?

- Kiedy mama jeszcze żyła i tata wracał do domu, też patrzył na nią w taki dziwny sposób i robiły mu się czerwone uszy. Zawsze chciałam, żeby mężczyzna spojrzął na mnie i żeby poczerwieniały mu uszy - oświadczyła Dagny z rozmarzeniem.

Hallie zadumała się nad tą sprawą, nagle jednak zauważyła, że Liv radośnie szerzy ząbki w swoim kącie.

- Śpijmy już, bo jutro nie będziemy mogły się dobudzić. - Hallie przykręciła knot w lampie przy łóżku i położyła się na wznak.

Tylko się nie łudź, pomyślała. Mimo to wyobraźnia nieśmiało podsuwała jej obraz Kita Howlanda z jaskrawoczerwonymi uszami.

Kit nasunął czapkę na zmarznięte uszy, żeby osłonić je przed podmuchami lodowatego wiatru. Stopę w wysokim bucie oparł na solidnej, dębowej poręczu, za którą znajdowała się wanna do chłodzenia. Jego wysokie, sprężyste ciało w naturalny sposób poddawało się kołysaniu statku na falach. Kit lekko stuknął fajką w pokrytą szelakiem balustradę.

Znad główki fajki unosiły się kółka dymu. Biała spirala ulatywała ku wieczornemu niebu, wijąc się wyżej i wyżej. Przez dłuższą chwilę całkowicie pochłaniała uwagę Kita. Słaby odbłask widoczny z lewej burty wskazywał, gdzie pozostało San Francisco, natomiast na zachodzie wysoko na niebie mrugała samotna gwiazda. Jej srebrnoszare błysnięcia przywoływały przed oczy Kita obraz pewnej niewiasty, pół na pół małej dziewczynki i dorosłej kobiety.

Wspomnienie szaleństw Hallie wywołało mimowolny uśmiech na jego wargach. Wyraz „kłopoty” nabrał dla niego całkiem nowego znaczenia. Nie był tylko pewien, komu te kłopoty są pisane. Za to dobrze wiedział, że jest dla niego znacznie bezpieczniej wyśmiewać się z Hallie, niż traktować ją serio. Przekonał się już, że wtedy zawsze jest górą. Musiał to sobie dobrze zapamiętać, przez cały dzień bowiem zdarzały mu się trudne do wytłumaczenia chwile utraty panowania nad sobą. Choćby ta scena w Grotto. Mimo swych trzydziestu jeden lat omal nie uległ nagłemu odruchowi i nie zaczął tarzać się pod stołem w publicznej jadłodajni z córką przyjaciela. Na szczęście to Jan powinien się o nią martwić, a nie on. Ta myśl sprawiła mu pewną ulgę.

Żagiel nad jego głową załopotał, dołączając do pozostałych. Kitowi wydało się, że komuś klaszczą. Pewnie poznały Hallie, pomyślał. Statek lekko się przechylił i skrzypnął. No, tak. Głupi dowcip. Kit wyjął fajkę z ust i odwrócił się pod wiatr, chcąc poczuć na twarzy uderzenia niesionych przeniń niezliczonych słonych kropli.

- Tęsknisz do tego? - spytał Lee, wyłaniając się zza wytapialni. Kit nie poruszył się, nie dał żadnego znaku, że zauważył obecność przyjaciela. Nie było to potrzebne, obaj dobrze znali uwodzicielską siłę morza. Lee wciąż jej ulegał, natomiast Kit uwolnił się spod jej czaru, żeby ratować życie.

- Czasami. Tyle czasu miałem dom na morzu. Tego nie da się przekreślić, tak jak nie można przekreślić wspomnień, ani dobrych, ani złych. To nie do wiary, ale gdy czuję smak i zapach morskiej wody, wciąż jeszcze coś we mnie drga. - Kit oparł się o reling. - Kiedy tutaj stoję i czuję kołysanie fal, to wydaje mi się, że mógłbym wrócić do pływania.

- Bo możesz, Kit. Zapomnij o przeszłości. Byłeś wielorybnikiem na długo przedtem, zanim poznałeś Jo.

- Nie. Teraz mam co innego do zrobienia. Przysiągłem sobie, że postawię firmę na nogi, i tego dokonam. A co do przeszłości, to zawsze będzie się za mną wlokła, wszystko jedno gdzie będę. - Kit nie potrafił ukryć gorzkiej ironii. - Taberowie, moi dawni teściowie, są potentatami w handlu wielorybim tłuszczem i kością na Wschodnim Wybrzeżu. Przejęli w całości Leviathan Enterprises. Teraz również przerabiają i kości, i tłuszcz. - Dym z fajki poleciał w niebo prostą drogą, co było świadectwem irytacji Kita. - Trzymam dla nich ostatni ładunek Jana.

- Masz ku temu jakieś szczególne powody? Słyszałem, że Nantucket potrzebuje tłuszczu.

- W Leviathanie zapasy kości zmalały do tego stopnia, że firma podwoiła ceny, a do tego

gwarantuje wyższe stawki za tłuszcz niż konkurenci. Kiedy usłyszałem o ich ofercie, postanowiłem nie sprzedawać ładunku Sea Haven nikomu innemu.

Lee dobrze znał przyjaciela, zadał więc pytanie, co do którego Kit miał nadzieję, że nie padnie.

- Chodzi ci o Jana, czy też nie możesz oprzeć się pokusie oskubania Taberów?

- Zupełnie jakbym słyszał głos sumienia.

Lee milczał i Kit zorientował się, że ironiczny unik nie na wiele się zda. Westchnął.

- Sam sobie zadaję to pytanie. Skłamałbym, mówiąc, że nie sprawiłoby mi przyjemności, gdyby Taberowie znaleźli się u mnie w kieszeni, zwłaszcza w czasach takiej drożyzny. Ale zanim Jan wypłynął w rejs, przyszedł do mnie i powiedział, że ma dosyć. Ostatnie lata porządnie dały mu w kość, a od śmierci żony bardzo się zmienił. Przestało go ciągnąć na morze. Zmęczyły go wieczne rozstania z rodziną, dlatego poprosił mnie, żebym sprzedał ten ładunek jak najdrożej, nawet gdybym miał go długo trzymać w magazynie.

Przyjaciele zamilkli. Obaj odgadywali nawzajem swoje myśli.

- Jan pomógł mi zdobyć kapitańskie papiery - wyznał Lee tonem, w którym słychać było szczerą wdzięczność.

- Naprawdę? - Kit zdziwił się. Przyjaźnił się z obydwojma, ale żaden dotąd nie wspomniał mu o tym ani słowem.

- Gdyby nie Jan, nie miałbym „Wanderera”. Za Jana oddałbym duszę diabłu. A czy to nie on dał ci pierwsze zlecenie?

- Pierwsze, drugie i trzecie - potwierdził Kit.

- Obaj mamy u niego dług wdzięczności. Cholera, gdyby ci wszyscy wielorybnicy nie uciekli na złotońskie pola, pewnie byłbyś dzisiaj właścicielem większej części San Francisco. Łatwiej jest tutaj handlować cudzymi ładunkami, niż tygodniami płynąć z własnym na Wschodnie Wybrzeże tylko po to, by natychmiast po wyładunku wracać po następny.

Kit odwrócił się i opróżnił wygasłą fajkę.

- Dlatego tu przyjechałem. W czterdziestym szóstym, kiedy wciąż jeszcze goniłem za wielorybami, atlantyckie łowiska były już prawie puste. A ponieważ tutaj wieloryby są, uznałem, że to najlepsze miejsce dla nowego agenta. - Z przyzwyczajenia wsunął fajkę do ust i zaczął skubać zębami cybuch, jakby rozjaśniało mu to myśli. Wreszcie wyjął fajkę z ust i spojrzał prosto na Lee. - Ale co do gorączki złota masz rację. Wiele zmieniła. Wystarczy zajrzeć do portu. Osiemset porzuconych statków. Boże, co za marnotrawstwo!

- Niektórzy mimo to twardo trzymają się swego. Dla mnie morze zawsze będzie więcej warte niż wszawy muł i kilof.

- Zastanawiam się, co zrobi Jan.

- Kiedy?

- Przecież chce zejść na ląd. Zapowiedział, że z ostatniego rejsu musi przywieźć ambry. Po drugiej stronie Atlantyku wybuchło zamieszanie, więc rynek przeniósł się do krajów Wschodu. Słyszałem, że tam płacą nawet po czterysta dolarów za funt.

Lee gwizdnął przez zęby.

- Boże, ile forsy! Ostatni kawał ambry, który znalazłem, ważył ponad tysiąc funtów. Ale od tamtej pory minęły trzy lata. To nie wróży Janowi dobrze, chociaż z całego serca życzę mu powodzenia.

- Jan chce mieć pewność, że nie będzie już musiał więcej pływać.

Lee podrapał się w rudą brodę.

- I w ten sposób, przyjacielu, los podsunął ci zemstę na srebrnym półmisku.

- Co masz na myśli?

- Ładunek Jana i oferta Tabera pasują do siebie jak ulał.

- I co z tego?

- Jak na mój gust, taki zbieg okoliczności jest trochę za wygodny.

Kit zadumał się nad tą uwagą, patrząc na przyjaciela znikającego pod pokładem. Do tej pory zdawało mu się, że robi wspaniały interes pod każdym względem, teraz jednak zaczął się zastanawiać nad swoimi motywami. Być może popełniał gruby błąd.

- Dobra, człowieku, masz czas do soboty wieczorem. Pamiętaj, że ostrzegałem, co się stanie, jak nie zapłacisz. Będiesz tu rozgarniał popiół pogrzebaczem. A jak zapłacisz, to jesteśmy w przyjaźni. Masz naszą ochronę. Pamiętaj, człowieku że ja zawsze dotrzymuję słowa.

Krępy Aussie wyszczerzył zęby w szczerbatym uśmiechu, z którym wyglądał jak stary drapieznik. Nasunął kapelusz na czoło, jeszcze bardziej przysłaniając pryszczatą twarz, i odwrócił się do drzwi, po drodze celowo przeciągając brudnym palcem po eleganckim biurku Abnera.

- Szkoda byłoby puścić z dymem taki ładny dom. Na razie, człowieku - dodał i opuścił zakład pogrzebowy.

Abner skulił się na krześle i wreszcie rozprostował palce, które przedtem kurczowo zacisnął w pięści. Co za okropność. Odsunął krzesło od biurka, wstał i podszedł do okna. Chustką otarł pot z czoła, a potem przetaił nią również zawilgoconą szybę. Krępy człowieczek, obecny przywódca bandy Sydney Ducks, dołączył do swoich drańskich kompanów. Abner stał w milczeniu, przyglądając się, jak jeźdźcy znikają we mgle, zostawiając po sobie jedynie echo rechotliwego śmiechu.

Była środa. Miał zaledwie trzy dni na zebranie pieniędzy. Do czorta! Zawsze dawali mu dłuższy termin. Kiedy przyłapał najstarszą dziewczynę Fredriksenów na swoim drzewie, był przekonany, że znalazł świetny sposób na uzupełnienie brakującej sumy. Przecież jej ojciec pływał na statku wielorybniczym. Dochodowy interes, a kapitan dostaje z niego największą działkę. Ponieważ zaś Fredriksen wypłynął w rejs, Abner założył, że bez trudu wyciągnie pieniądze od jego córki. Nie przypuszczał, że przeszkodzi mu ten cały Howland.

Rozglądając się po wystawnie umeblowanym salonie, usiłował wymyślić, skąd wziąć jeszcze pięćset dolarów. Same wazy i rzeźby były warte dwa razy tyle, ale w San Francisco nie było na nie zbytu. Nie mógłby ich sprzedać, bo durnie, którzy mieliby pieniądze na kupno, nie potrafili docenić wartości tych przedmiotów. Towarami, na których zarabiano się krocie w mieście ogarniętym gorączką złota, były wyłącznie skórzane sakiewki na bryłki kruszcu, żywność konieczna do nakarmienia ciągnących tu hord oraz whisky i dziwki konieczne do zaspokojenia głodu innego rodzaju. Sztuki ani piękna nikt w San Francisco nie popierał. Wartości estetyczne były zupełnie nie znanym pojęciem w miejscu, gdzie stały przede wszystkim namioty i baraki.

Palnął niewybaczalne głupstwo. Gdy w sprzedaży pojawiła się nowinka, metalowe trumny, uznał, że musi je mieć, mimo że producent zażądał zamówienia dużej liczby od razu i zapłaty z góry w gotówce. Stąd wzięły się obecne kłopoty Abnera. Trumny kosztowały go tyle, że musiał prawie wyczyścić swoje konto bankowe. Rzecz jasna, zamierzał szybko odzyskać zainwestowane pieniądze, wiedział bowiem, że za pogrzebanie ciała w metalowej trumnie będzie liczył dwukrotnie więcej niż w drewnianej, choć rzeczywisty koszt był wyższy tylko o jedną czwartą. Ponadto przestałby potrzebować pomocy cieśli, zwolniłby więc Duncana. Wielkolud był zresztą kompletnym idiotą. Pracował dobrze, trzeba mu przyznać, ale prawie się nie odzywał.

Natomiast ostatnio zaczął przybierać beczelne pozy. Abnera bardzo to irytowało, postanowił więc jak najszybciej pozbyć się kłopotliwego pracownika. Musiał jednak poczekać, aż zamówione trumny znajdą się w zakładzie.

Abner przesunął dłonią po parapacie. Powierzchnia była nierówna, chociaż budynek zakładu pogrzebowego miał opinię jednego z najlepszych w mieście. Jak wiele podobnych, postawiono go w jeden dzień z francuskich gotowych materiałów, sprowadzonych na Zachodnie Wybrzeże. Mimo iż Abner zapłacił za wyrafinowane sztukaterie, wciąż nie było to odpowiednie otoczenie dla resztek jego rodzinnego dziedzictwa. Wazy z Lovestoft i wytworna chińska porcelana zapełniały kiedyś liczne pokoje w domu rodziny Moffat-Brown. Pozwolono mu zatrzymać te resztki na mocy ugody sądowej. Jego ojciec przez dłuższy czas kusił los, bez umiaru oddając się hazardowi, aż wreszcie stracił wszystko. Wtedy wybrał rozwiązanie tchórza i wpakował sobie kulę w łeb, nie chcąc stanąć twarzą w twarz z synem. Jedyny pocieszający fakt Abner widział w tym, że jego matka umarła dwa lata wcześniej i nie dożyła chwili, gdy wszystko, co ceniła, poszło pod młotek.

Pod wpływem tych wspomnień Abner znowu poczuł ostry ból brzucha. Jego ataki dręczyły go od dnia, gdy zobaczył, co zrobił jego ojciec. Wytarł mokry nos zmiętą chustką, którą nadal nerwowo ścisnął w dłoni.

Która godzina? Zerknąwszy na inkrustowany zegar stojący, przekonał się, że minęło zaledwie pięć godzin, odkąd wziął ostatnią dawkę laudanum. Ostatnio doskwierał mu chroniczny katar, co wskazywało, że specyfik przestaje działać. Od pół roku Abner stosował coraz większe dawki, a mimo to nie czuł poprawy. Cierpiał z powodu bólów brzucha i potwornych migren, jakich dawniej nawet sobie nie wyobrażał.

Wyszedł z salonu i po wąskich schodach wspiął się na górę, do swojego pokoju. Każdy krok czuł w głowie, jakby ktoś rąbał tam drewno. Gdy usiadł na krawędzi łóżka, palący ból brzucha przeszedł w ściskający z wielką siłą skurcz. Abner sięgnął po duży, rdzawo-brązowy flakon i zaczął odliczać krople, które wpadały do szklaneczki z wodą. Ręka mu zdrząła. W powietrzu uniósł się mocny zapach goździków i cynamonu, a woda nabrała barwy rubinowej.

Zanim odliczył trzydzieści kropli, czyli tyle, ile zwykle, cierpiał już tak strasznie, że musiał położyć się na boku i podciągnąć kolana pod brodę, żeby zapanować nad bólem. Pozostając w pozycji embriona, zwiększył dawkę o dziesięć kropli i przysunąwszy szklaneczkę do wyschniętych warg, przełknął jej zawartość. Mocno zacisnął powieki. Chłodna wilgoć znaczyła mu szlak na lepkiej skórze policzka, łzy spływały na zmoczoną już poduszkę. Przetoczył się na drugi bok, nie był bowiem w stanie uleżeć chwili w spokoju. Wijąc się na łóżku, czekał, aż ból stępieje. Wiedział, że wtedy odzyska euforyczną siłę, daną mu przez kojący, lecz wpędzający w uzależnienie opium.

Hallie leżąc wpatrywała się w sufit. Przyzwyczała już oczy do ciemności i teraz oddawała się grze wyobraźni. Wypalane ciemne plamy na suficie przybierały nowe formy. Kakaowe znamię nad jej głową wyglądało jak orzeszek ziemny albo gruszka, a może jak odcisk stopy.

Jak błotnisty odcisk stopy na jej różowej sukni.

- Phi! - parsknęła, wydymając wargi. Potem zaczęła wsłuchiwać się w oddech siostry. Był równy i spokojny. Przynajmniej ktoś w tej rodzinie mógł spać. Oczywiście, reszta rodziny nie musiała się przejmować jej niedorzecznym zachowaniem.

Cały wieczór był jednym wielkim żartem, w każdym razie dla Kita. Hallie rozpaczliwie pragnęła, by potraktował ją serio, wbrew swemu pragnieniu odegrała jednak rolę błazna, który popisuje się przed księciem swą niezdarkością. Ile razy spoglądała na Kita, wyglądał tak, jakby z najwyższym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

Gdy oberżystka podała supę, Hallie odczekała chwilę, a potem zerknęła ukradkiem w stronę mężczyzn. Kit jadł, ale kapitan Prescott pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się do niej. Prawdopodobnie chciał jej dodać otuchy. Niestety, świadomość, że ktoś zdaje sobie sprawę z tego, jaka jest zakłopotana, jeszcze pogorszyła jej samopoczucie. Jej plan spalił na panewce. Zamiast zdobyć poważanie Kita, niewątpliwie znów wydała mu się dzieckiem. Kapitan Prescott również to wiedział i dlatego okazał jej współczucie. A teraz Kit na pewno śmieje się z niej przez całą drogę do Sausalito. Śmieje się i cieszy, że jest z dala od głupekowej rodziny Jana Fredriksena.

- Hallie?

- Duggie, czemu jeszcze nie śpisz?

- Martwię się.

- Czym?

- Czy myślisz, że tata niedługo wróci do domu?

Hallie odwróciła się na bok, położyła głowę na wyciągniętym ramieniu i spojrzała na siostrę. Na jej twarzy zobaczyła to samo, co przed chwilą usłyszała: z troskanie i lęk. Poczuli się tak, jakby patrzyła w lustro, bo ile razy myślała o tacie, ogarniały ją podobne uczucia.

- Nie wiem.

- Nigdy jeszcze nie wypląnął na tak długo. Chyba nie stało się nic strasznego, jak myślisz?

W końcu ktoś powiedział to na głos. Padło pytanie, które zawsze nurtowało bliskich, czekających na powrót spóźniającego się wielorybnika. Przez głowę Hallie przebiegło kilka przerażających przypuszczeń, musiała je jednak odegnąć, bo bardzo zależało jej na tym, żeby Dagny nie miała podobnych myśli.

- Tata za długo pływa, żeby popełniać głupie błędy. Wie, że go potrzebujemy, i na pewno jest ostrożny. Nie ma sensu wyobrażać sobie najgorszego. Widocznie znalazł wielorybią zatoczkę,

taką, o jakich krążą opowieści. Jest tak zajęty ćwiartowaniem wielorybów, że nie zdaje sobie sprawy, jak długo nie ma go w domu. Pomyśl, Duggie. Załatwił pełnomocnictwo w banku, więc na pewno wiedział, ile czasu to potrwa. Wszystko będzie dobrze. Sama zobaczysz. „Sea Haven” zawinie do portu ani się obejrzysz. A teraz śpij. Na pewno wszystko będzie dobrze - powtórzyła Hallie, usiłując przekonać również samą siebie.

- Masz rację z tym bankiem. Chyba niepotrzebnie się martwię. - Dagny odwróciła się plecami do Hallie i okryła chude ramię kocem. - Dobranoc.

W kilka minut później Dagny spokojnie spała. A Hallie, którą wcześniej zastraszone, rozwścieczone, wprawiono w zakłopotanie, całowano, zbito, onieśmielono, upokorzono, a teraz strwożono w najwyższym stopniu, mocno zacisnęła powieki, żeby mniej piekły łyzy cisnące się jej do oczu.

Wzdłuż pochyłych ulic na stoku wzgórza stały stłoczone budynki z płaskimi dachami, identyczne jak sztachety w płocie. Każdy przyklejał się do następnego i tylko pośpiesznie wypisane szyldy zdradzały, czego można się spodziewać po wnętrzach tych domów.

Mijając szyldy, Abner Brown mrużył oczy, usiłując cokolwiek przeczytać w słabym, migotliwym świetle rzadko rozstawionych latarni. Skręcił za róg i z ulgą stwierdził, że przynajmniej ta ulica jest oświetlona lepiej. Słyszając czyjś śmiech i dźwięki pianina w tle, przyspieszył kroku. Najwyraźniej zbliżał się do celu. Kierując się w stronę gwaru i dość niesamowitego blasku, przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w wąską alejkę.

Miał wrażenie, że z cmentarza przeszedł do cyrku. Tu pulsowało życie. Grupy mężczyzn stały na chodnikach i blokowały wejścia do wszystkich domów. Prawie wszędzie z gzymsów zwieszały się kolorowe światła. Przepychając się w gwarnym tłumie, Abner słyszał z oddali skwierczenie wielorybiego tłuszczu, kapiącego z chwiejnych latarni na nasiąkniętą mgłą ziemię. Od miejscowych zapachów zakręciło go w nosie. Najsilniejsze były odór potu i whisky, mieszały się z nimi wonie końskiego nawozu i pobliskiej przystani.

Dekadencja obskurnej części miasta była Abnerowi Brownowi obca, lecz zarazem działała na niego pobudzająco. Abner znalazł pusty ganek, wspiął się nań i oparł o ścianę. Z podniecenia dyszał, bóle głowy i brzucha ustąpiły. Prawie o nich zapomniał, przejęty nagle pewnością siebie, którą dał mu narkotyk. W przeszłości pamięć o klęsce ojca budziła w nim lęk i kazała mu unikać miejsc choćby trochę przypominających jaskinię hazardu. Teraz jednak był w takim miejscu i wiedział, że wygra.

Nagle rozległ się trzask i przez drzwi przeleciał postawny człowiek w czerwonej koszuli. Kopacz wyrznął o deski chodnika i przetoczył się pod barierką oplataną cugłami na błotnistą ulicę, między konie. W rozwalonych drzwiach pokazał się drugi człowiek.

- Ty brudny, śmierdzący oszuście! Wstawaj! Jak cię trzasnę, to wyrzycasz z siebie to gówno, które w tobie siedzi!

Wielkim łapskiem odsunął Abnera na bok i rzucił się za tamtym.

- Walcz, ty sukinsynu! Walcz!

Wezwanie odbiło się echem w okolicy i na ganek zaczęli się wysypywać następni mężczyźni. Popychany i trącany łokciami Abner musiał wcisnąć się do wnętrza, żeby ująć przed tym tumultem. Spelunka wciąż była pełna ludzi. Zaimprovizowane stoły wykonano z porozbijanych skrzyń i starych sosnowych drzwi. Jako stołki służyły baryłki wszelkich rozmiarów, po gwoździach i po piklach. Hałas był ogłuszający. Wśród brzęku szkła i grzmiących, ochrypłych głosów, Abner przesuwiał się centymetr za centymetrem wzdłuż ściany ku zapomnianej skrzyni w wilgotnym kącie. Usiadł tam, tak samo niewidoczny jak zapomniana skrzynia, i zaczął obserwować graczy, chłonąc każdy ich ruch, ucząc się jedynej sztuki, która mogła go teraz wybawić z finansowych kłopotów. Gdy do najbliższego stolika przyniesiono nową talię, Abnerowi przemknęła przez głowę cyniczna myśl, że szybko nabierze wprawy w grze. Technikę z pewnością ma wrodzoną. Oto spadek po ojcu, genetyczny defekt Brownów.

Dagny zbudziła się w zimnym, pustym łóżku. Usiadła rozespana i potoczyła wzrokiem po ciemnym pokoju. Liv spała, ale Hallie nigdzie nie było. Wytężyła słuch, żeby sprawdzić, czy starsza siostra jest na dole. Ty głupia, pewnie poszła do wygodki, pomyślała. Poczekała chwilę -

bez skutku.

W końcu poddała się i stanęła na wyziębionej podłodze. Narzuciła na siebie szlafrok, próbując jednocześnie wymacać nogami kapcie pod łóżkiem. Po chwili wsunęła je na stopy, pomagając sobie ręką.

Na palcach podeszła do drzwi i otworzyła je, opierając drugą rękę na framudze, żeby nie zaskrzypiały. W korytarzu panowała ciemność. Po omacku podeszła do stolika, podniosła hubkę i zapaliła lampę naftową. Przez moment czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do światła. Z dołu doleciał ją szmer głosów.

Droga była teraz jaśniejsza. Dagny zeszła kilka schodów niżej i schyliła głowę, żeby nie uderzyć się o podest na piętrze. Z tego miejsca dokładnie widziała sień, a w niej plecy Hallie szepczącej coś do mężczyzny stojącego w cieniu otwartych drzwi. Do domu sączyła się przenikliwa mgła, ale to nie chłód sprawił, że Dagny nagle okryła się gęsią skórką.

To przez tego człowieka.

Nosił ciężką, wełnianą kurtę wielorybnika i miał w rękach jaskrawy rybacki kapelusz. Czubek jego siwej brody prawie dotykał podbródka Hallie. Dagny przystanęła nieruchomo.

- O Boże... nie... proszę cię, Boże, nie... nieeee! - krzyknęła Hallie, opierając się na słupku wspierającym poręcz schodów.

Dagny ruszyła dalej, a gdy stanęła obok siostry na dole, odezwał się mężczyzna,

- Przykro mi, proszę pani. - Cofnął się za drzwi. Zanim je zamknął, powtórzył jeszcze raz: - Bardzo mi przykro.

Hallie zgięła się wpół, szlochając:

- Tata... Tata nie żyje...

- Moim zdaniem jest tak, jak trzeba. - Hallie obróciła się do siostry. - A twoim, Duggie?

Zasmucona Dagny spojrzała na słowa wyryte przez kamieniarza. Z trudem przełknęła ślinę i dopiero potem cicho odpowiedziała:

- Moim też. - I ruszyła przed siebie wąskim przejściem, zupełnie jakby nie obchodziło jej nic dookoła.

Hallie była tym bardzo zaniepokojona. Popatrzyła za siostrą, idącą między stertami świeżego drewna oraz blokami marmuru i granitu. Gdy Dagny wyszła z hali na nabrzeże, promień porannego słońca padł jej na czepek, a twarz znalazła się w cieniu. Hallie nie potrzebowała jednak widzieć twarzy, by wiedzieć, że jest na niej wypisany bezbrzeżny smutek.

W pierwszych godzinach żałoby Hallie znajdowała ukojenie w płaczu, ale Duggie reagowała inaczej. Nie uroniła ani jednej łzy. Siedziała nieruchomo, zmartwiła z rozpaczy. Hallie zastanawiała się, czy Duggie znajdzie siły, by podźwignąć się po kolejnej tragedii. Strata obojga rodziców, szczególnie w tak zżytej rodzinie, była strasznym przeżyciem, w dodatku Dagny musiała uporać się jednocześnie z problemami wieku dojrzewania. Groziło jej więc popadnięcie w uczuciowy chaos, w którym łatwo mogła stracić wolę życia.

Hallie była przekonana, że po śmierci mamy w przetrwaniu najtrudniejszych chwil pomogło tacie poczucie odpowiedzialności za dzieci. Tak samo było z nią. Przejęcie roli matki uratowało ją przed załamaniem. Ale z tatą byli do siebie podobni. Hallie odziedziczyła po nim nordycką determinację i przeświadczenie, że o jej losie decyduje tylko Bóg i ona sama. Natomiast Dagny miała więcej z matki. I nie chodziło tylko o śniadą karnację i urodę. Miała mnóstwo wdzięku, ale była zrównoważona, odporna na burze uczuć, które raz po raz szarpały Hallie.

- Powiedziała pani „w sobotę”? - Pytanie kamieniarza wyrwało Hallie z zadumy.

- Słucham?

- Powiedziała pani, że nabożeństwo żałobne ma być w sobotę, prawda?

- Tak. - Hallie zdobyła się na wymuszony uśmiech. Poczuli się z nim bardzo nieswojo. Wydał jej się nie na miejscu.

- Podejźmy do ściany, wybierze pani kształt nagrobka. Tam wiszą rysunki.

- To chyba... - głos Hallie załamał się. - ...To chyba wszystko jedno. - Zanim jednak zdążyła dokończyć zdanie, mężczyzna był już dość daleko. Nie usłyszał jej.

Hallie zerknęła na siostrę. Na nabrzeżu stał pusty wóz, Dagny zaś rozmawiała obok z jasnowłosym gigantem, ściskającym w dłoni kapelusz. Niedostatek kobiet w San Francisco

sprawa, że porwania były na porządku dziennym, zwłaszcza tu, w dzielnicy portowej. Zdając sobie sprawę, że Dagny nie przejawia w tej chwili dostatecznej czujności, Hallie wpadła w panikę. Wygląd tego mężczyzny jeszcze podsyłał w niej lęk. Ktoś taki mógł porwać jej siostrę w dwie sekundy. Dłonią odzianą w rękawiczkę podniosła z ziemi oskard, tak na wszelki wypadek, i zarzuciwszy go sobie na ramię, ruszyła w stronę domniemanego porwacza. Zdażyła jeszcze usłyszeć, jak mężczyzna mówi:

- ...panią uprowadzić.

Zacisnęła dłonie na uchwycie ciężkiego narzędzia i podniosła łokcie, żeby wykonać zamach.

- Hallie, nie! - krzyknęła Dagny i odepchnęła mężczyznę w bok.

Oskard minął go o centymetry i uderzył w deski przystani. Poleciały drzazgi. Hallie poczuła promieniujący ból w ramionach i karku. Zamknęła oczy, chcąc pokonać nagłe zamroczenie. Wreszcie szarpący ból zelżał i mogła z powrotem unieść powieki. Mężczyzna siedział na ziemi, strużka krwi ściekała mu z głowy, z miejsca, którym zawadził o stojącą obok skrzynię.

- Co ty sobie myślisz? - zawołała rozsierdzona Dagny. Szybko otworzyła aksamitną torebkę, wyciągnęła z niej chusteczkę i zaczęła ocierać krew ze skaleczenia, jednocześnie mamrocząc słowa przeprosin.

- Co ja sobie myślę?! Nie słyszałaś go? Chciał cię porwać. Na miłość boską, uciekaj stąd, póki czas, a ja znajdę kogoś, kto wezwie szeryfa. - Hallie obróciła się na pięcie i wpadła prosto na krępego kamieniarza.

- Co tu się dzieje? - Mężczyzna był bardzo zaniepokojony. Hallie nie dopuściła nikogo do słowa.

- Szybko, niech pan przyniesie linę. Trzeba go związać, zanim ucieknie! Próbował porwać moją siostrę.

- Duncan? - Kamieniarz wydawał się szczerze zdziwiony.

- Kto? - spytała Hallie.

- Och, cicho siedź, Hallie - rozłościła się Dagny. - Nikt mnie nie porwał.

- Jakże nie?! Tu jest jego wóz... - Hallie wskazała puste miejsce, w którym przed chwilą widziała pojazd. - No... w każdym razie był. - Spojrzała w głąb błotnistej ulicy. Nie zobaczyła żywej duszy. - Na pewno był! - oświadczyła z żarliwym przekonaniem.

- Panno Fredriksen, musiało zajść nieporozumienie. Duncan jest całkiem nieszkodliwy. Na pewno nie skrzywdziłby pani siostry.

- Sama słyszałam, jak mówi, że chce ją uprowadzić.

- O...

Blondyn, najwidoczniej noszący imię Duncan, spojrzał na Hallie.

- Ja tylko ostrzegłem pani siostrę. Powiedziałem, że nie jest bezpiecznie siedzieć samotnie w miejscu, z którego ktoś może ją uprowadzić.

- Ojej...

- Dokładnie tak było, Hallie! Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że ten pan chce mi zrobić krzywdę. Nie widzisz, jaką ma pocziwą twarz? - Bardzo rozłoszczona Dagny spojrzała na Hallie.

Duncan popatrzył na kamieniarza.

- Hank, Abner przysłał mnie po nagrobki i po zamówione drewno. - Zerknął w miejsce, gdzie przed chwilą stał jego pusty wóz. - Ale wygląda na to, że konie się spłoszyły i muszę najpierw odzyskać zaprzęg.

Hallie zrobiło się przykro i bardzo głupio.

- Bardzo przepraszam, panie...

- Po prostu Duncan, szanowna pani. - Uśmiechnął się do Hallie. - Nic się nie stało. Przecież broniła pani swojej uroczej siostry. - Zerknął na Dagny.

- Bardzo przepraszam z powodu wozu - powiedziała Hallie.

- Niech się pani nie martwi - powiedział Hank. - Pożyczę Duncanowi swój wóz. A teraz chodźmy. Duncan zaopiekuje się pani siostrą, a my dokończymy sprawę zamówienia. - Urwał i zatrzymał wzrok na oskardzie, wbitym w okaleczoną deskę pomostu. - Ale pani grzmotnęła.

Hallie puściła tę uwagę mimo uszu. Skutki tego grzmotnięcia wciąż czuła w łokciach. Popatrzyła na Dagny.

- Może tak być?

Dagny ostentacyjnie ją zignorowała, tylko wyżej zadarła nos. Wciąż była zła. Hallie westchnęła, odwróciła się i poszła za Hankiem. Po drodze jeszcze raz zerknęła przez ramię na siostrę. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przez ostatnie dziesięć minut Dagny okazała więcej uczuć niż przez cały czas od chwili, gdy dostały wiadomość o śmierci ojca. Może jednak wszystko się ułoży, pomyślała Hallie i mimo woli przyśpieszyła kroku.

Abner wyciągnął do góry długie ramiona i odchylił głowę do tyłu, broniąc się przed strzykającym bólem, promieniującym od ramienia. Przy łóżku, na stoliku z orzechowego drewna, leżała pękata, skórzana sakiewka, chyląca się na bok pod ciężarem zawartości. Obok znajdował się pusty flakonik po laudanum. Abner chwycił za rzemyki sakiewki i zakołysał nim, jakby złoto miało szczególne znaczenie dla tego pustego pokoju.

Udało mu się! Wygrał! I czuł się z tym wspaniale. Złe przeczucia natychmiast go odstąpiły. Miał teraz pewność, że zniósł klątwę, która ciążyła nad jego głupawym ojcem. Przechytrzył wszystkich, a najbardziej tych trzech pijanych kopaczy złota, którzy uznali, że łatwo go oskubią, tylko dlatego, że grał bez pośpiechu, ostrożnie. Najpierw po prostu się przyglądał, uczył się, czekał. Postanowił grać tylko z ludźmi, którzy wydają mu się intelektualnie mniej sprawni od niego. I sposób się sprawdził. A najważniejsze, że dokonał czegoś, czego nie zdołał zrobić jego mięczakowaty ojciec, wieczny przegrany. Ta myśl stanowiła dla niego źródło siły.

Miał pieniądze. Trochę mógł dać na odczepnego tym australijskim bandziorom. Na szczęście w mieście przebąkiwano ostatnio o powołaniu straży obywatelskiej dla pozbycia się takich szumowin jak Sydney Ducks, bandyci terroryzowali bowiem całe miasto wymuszeniami, podpaleniami i rabunkami. Abner wiedział, że jeśli jeszcze raz im zapłaci, zyska czas na sprzymierzenie się z takimi ludźmi jak Sam Brannan, który bardzo naciskał na stworzenie straży.

Z tą przyjemną myślą Abner obmył twarz i kark z potu, pozostającego po poprzedniej nocy, wytarł się bawełnianym ręcznikiem i podszedł do okna. Jego uwagę przykuły ostrzegawcze krzyki. Zobaczył wóz bez woźnicy, który wypadł z za rogu i zygzakiem pędził dalej. W pobliżu krzyżującej się z ulicą wąskiej drogi do stajni konie same zwolniły. Stajnia ta należała do Abnera.

- Ten głupek Duncan! - Abner cisnął ręcznik do kąta. - Co on narobił?! - Chwycił pasiąstą chustkę na szyję i zapinając kołnierzyk, wściekły wypadł na ulicę.

Wkrótce zajęchał odzyskanym wozem przed halę należącą do Battery Street Supply Company. Obwiązał cugłami dźwignię hamulca i zerknął na nabrzeże. W drzwiach hali, prowadzących na rampę, stał oparty o framugę jego niedorozwinięty pomocnik. Głowy Abner nie widział, bo zasłaniał ją daszek nad drzwiami, ale tak szerokie ramiona nie mogły należeć do nikogo innego. Z pozycji wielkoluda Abner wywnioskował, że w czasie, gdy wóz sam odjechał w nieznanym kierunku, Duncan bezczelnie się objął.

Ruszył do niego, żeby natrzeć mu uszu, i nagle zauważył zarys długiej spódnicy i lekko przekrzywiony czepek. Ten idiota rozmawiał z kobietą! No, no. Zamiast ładować zamówiony towar na nabrzeżu, gruchał z jakąś portową panienką.

- Duncan! Co ty robisz?! - zapał Abner. Obrócił się ku ładacznicy, żeby spojrzeć na nią z należnym potępieniem, i osłupiał. To była piękna córka Fredriksena. Delikatna, młodsza siostra tej jędzowatej chłopczycy.

Dziewczyna skuliła się i cofnęła o krok. Abner natychmiast spojrzął na nią innymi oczami.

- Bardzo przepraszam, panno Fredriksen. - Lekko się skłonił, nieświadom tego, że pożera ją wzrokiem. Dziewczyna cofnęła się jeszcze o krok i oparła plecami o skrzynię. Abner uznał, że obecność Duncana budzi w niej odrazę. - Czy ten ladaco ci się narzuca, moja droga? - spytał.

Zdobyła się jedynie na nikły ruch głowy, co Abner uznał za oznakę strachu przed gigantem. Obrócił się do Duncana.

- Zostaw ją w spokoju! - nakazał. - Nie płacę ci za zaczepianie niewinnych kobiet ani za marnowanie mojego najlepszego zaprzęgu. Miałeś załadować towar. - Ze złości piał coraz bardziej piskliwie, aż zaczęło go drapać w gardle. - I zaraz wrócić!

Wielka, kwadratowa twarz Duncana zalała się jaskrawą czerwienią, przez co jego jasne włosy wydawały się teraz prawie żółte. Olbrzym popatrzył śladem wskazującego palca Abnera i ku swemu zaskoczeniu ujrzał wóz. Kilka razy głęboko odetchnął. Gdyby Abner nie był przekonany,

że jego pomocnik ma dużo więcej włosów niż rozumu, zaczęłyby podejrzewać tego osiłka o napad złości. To go mimo wszystko na chwilę zastopowało.

A potem zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Dziewczyna położyła dłoń na napiętych mięśniach wznoszącego się ramienia Duncana.

- Daj spokój, proszę - powiedziała błagalnie. - Rób, co miałeś zrobić. Nie chcę, żebyś miał z mojego powodu jeszcze więcej kłopotów. Mnie się nic nie stanie.

Abner nie wierzył własnym uszom. Sądził, że dziewczyna boi się Duncana, a ona go dotyka! Nawet odniósł wrażenie, że jest między nimi jakieś milczące porozumienie. Istotnie, Duncan opuścił pięści. Odwrócił się w milczeniu i zaczął metodycznie ładować wóz.

To musi być współczucie, pomyślał Abner. Dagny Fredriksen jest młoda i widocznie ma miękkie serce. Każde tak urocze i niewinnie wyglądające stworzenie okazałoby współczucie kreaturze w rodzaju Duncana. Gdy Abner ujrzał Dagny pierwszy raz, na pogrzebie jej matki przed dwoma laty, pomyślał, że jest przeurocza. Zaczynała dojrzywać, ale wcale nie miała typowych dla tego okresu cech. Nie była ani patykowata, ani niezgrabna, ani pulchna jak pulpecik. Wyglądała dokładnie tak samo jak dzisiaj, zupełnie jakby całą jej postać wypalono z najwykwintniejszej porcelany. Czarnooka i ciemnowłosa Dagny bardzo się wyróżniała wśród bladych i nieciekawie wyglądających Fredriksenów. Samo spojrzenie na nią budziło w Abnerze najżywsze uczucia. Zdawało mu się, że w skrzyni z trocinami odkrył nagle wyrzeźbiony z wielkim kunsztem syngaleski posążek.

Chciał zapewnić pannę Fredriksen, że Duncan nie będzie jej się więcej naprzykrzał, postąpił więc krok naprzód.

- Panno Fredriksen... - Złudzenie prysło. To na niego dziewczyna spojrzała ze strachem w oczach, a jej małe, odziane w rękawiczki dłonie wyraźnie zdrząły.

- Przepraszam pana... - wybąkała, powoli się cofając. - Muszę... muszę znaleźć siostrę. - Odwróciła się i zaraz znikła w głębi hali.

Abner patrzył osłupiały, jak dziewczyna chroni się u boku siostry. Przestraszyła się go. Przemyślał zdarzenia ostatnich kilku minut z nadzieją, że odkryje, czym mógł ją spłoszyć. Wprawdzie przemknęło mu przez głowę, że dziewczyna po prostu woli Duncana niż jego, ale wrodzone poczucie własnej wartości pomogło mu natychmiast zapomnieć o tym absurdalnym przypuszczeniu. Wreszcie doszedł do jedynego racjonalnego wniosku. Przestraszył ją, gdy krzyknął na Duncana, a potem gniewnie na nią spojrzał. Mogła nawet wyobrazić sobie, że wini ją za lenistwo tego osiłka.

Popełnił fatalny błąd. Powinien był przewidzieć, jak niedobre wrażenie wywrze jego krzyk na młodej, wrażliwej istocie. Rozważając dalej tę myśl, przypomniał sobie, że podczas poprzednich spotkań z panną Fredriksen przeważnie albo był wściekły, albo też sprawiał takie wrażenie. Z zapamiętaniem łapał u siebie w ogrodzie smarkaterię Fredriksena, bo gdy odprowadzał intruza do domu, zawsze łudził się, że będzie miał okazję porozmawiać z Dagny. Ale pretekst nigdy na nic mu się nie zdał i jego skarg niezmiennie wysłuchiwała starsza siostra. Robił wtedy wielkie halo z niczego, żeby chociaż pogapić się na Dagny. Teraz powoli nabierał przekonania, że urodziwa czarnulka zawsze chowała się za plecami tej całej Hallie.

Zerknął na panny Fredriksen, opuszczające halę. Musiał znaleźć sposób, żeby uspokoić lęk Dagny i nastroić ją do siebie bardziej życzliwie. Porównał ją w myślach do płochliwej źrebiczki, którą miał w dzieciństwie. Jego podopieczna wciąż przed nim uciekała. Na szczęście matka, która znała się na koniach, nauczyła go, że marchewka, jabłko albo słodki smakołyk pomagają przewyciężyć strach zwierzęcia. Po latach zamierzał skorzystać z tej lekcji. Należało tylko wybrać odpowiedni smakołyk. Abner miał dość ograniczone doświadczenia w kontaktach z kobietami, wiedział jednak, że ich gusta bywają kosztowne.

Wciąż jeszcze był w euforii po szczęśliwej wygranej w karty i narkotycznym seansie. Snuł plany, ale opium nie pozwalało nadać im racjonalnych kształtów. Co gorsza, nadawało jego rozumowaniu dość szczególną postać. Stłumiło bowiem właściwe naturze Abnera poczucie zagrożenia i zaszczepiło na tym miejscu bezkrytyczną pewność siebie.

Pal licha szczęśliwy traf! Abner raz już dowiedział, że jest kowalem własnego losu, postanowił więc, że dokona tego ponownie. W ten sposób rozwiązał problem. Ruszył do domu po wygrane złoto, żeby wrócić do jaskini gry. Z takim kapitałem mógł wygrać naprawdę dużo.

W domu wziął wypchaną sakiewkę, zanim jednak opuścił pokój, wsunął do kieszeni bursztynowy flakonik. Nic, ani fizyczne cierpienie, ani cokolwiek innego nie mogło go odwieść od celu. Wyszedł, zdecydowany stać się kowalem swego losu.

- Czarna Maria. Siedmiokartowy studpoker. Najwyższy zakryty pik bierze wszystko. - Bankier, tasujący karty, zaanonsował następne rozdanie.

Abner obserwował karty ślizgające się po pokancerowanym blacie stolika. Jego pierwsza, dana koszulką do góry, poleciała prawie na krawędź stołu, zatrzymała się jednak na lepkiej plamie po rozlanej whisky. Abner oparł się plecami o ścianę. Starł się przybrać znudzony wyraz twarzy, chociaż w brzuchu czuł świdrujący ból.

Przyćmione światło z trudem przenikało opar dymu, otaczający stół w kącie. Słońce zaszło już dawno i teraz, gdy nerwy grały w nie znany dotąd Abnerowi sposób, cieszyła go ta dymna zasłona. Dostał drugą kartę, przyszła kolej na zakłady. Wziął pięć dwudziestodolarowych bryłek złota i rzucił na środek stołu. Pozostałych pięciu graczy poszło za jego przykładem.

Gracze znów dostali po karcie i mężczyźni siedzący po prawej ręce Abnera, kupiec nazwiskiem Harris, mający odkryte przed sobą dwa walety, zaczął drugą turę zakładów. Wartość puli wzrosła czterokrotnie.

Po rozdaniu piątej karty Abner nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Z zakrytymi kartami miał kolor na asie. Przed Harrisem na stole widniały trzy walety, ale czwarty leżał przed Abnerem koszulką do góry. Harris dołożył do kotła dwa tysiące. Dwaj mężczyźni spasowali, dwaj pozostali w grze.

Przyszła szósta karta. Abner próbował przypomnieć sobie zapowiedź bankiera: „Czarna Maria. Czarna Maria. Najwyższy zakryty pik bierze wszystko...” Harris na pewno nie miał karety waletów, ponieważ zaś mimo to podbijał stawkę, musiał mieć najwyższego pika. Abner dodał złota do puli, dwaj pozostali gracze spasowali.

Rozdano ostatnią kartę.

- Zakryta dla wszystkich - oznajmił bankier.

Abnerowi pot wystąpił na czoło. Dym gryzł go w oczy. Ostatnia karta leżała przed nim koszulką do góry. Zgodnie z regułami tego domu gry ostatniej karty nie wolno było podejrzeć.

Harris zerknął na zasoby Abnera i dołożył złota do kotła. Abner musiał teraz postawić na jedną jedyną kartę wszystko, co miał. Z udaną nonszalancją przesunął sakiewkę po stole.

- Sprawdzam - powiedział.

Gdy bankier odkrył karty Harrisa, kupiec roześmiał się. Miał asa pika, co dawało mu fula i najwyższego pika wśród zakrytych kart.

Abner przegrał. Tępo wpatrywał się w złoto, a Harris śmiał się i śmiał. Rechetliwy dźwięk przeszywał Abnera dreszczem.

Kupiec już chciał zgarnąć pulę, ale bankier go powstrzymał.

- Gramy Czarną Marię, proszę pana. Jeszcze nie wszystkie karty są odkryte.

Abner nie rozumiał, w czym rzecz. Inny gracz skinął ku jego dwóm zakrytym kartom i wyjaśnił:

- W Czarnej Marii zakryta dama pika jest starsza od najlepszego pokera i najwyższego pika. Ten, kto ją ma, bierze wszystko.

Bankier sięgnął po zakryte karty Abnera i pokazał je graczom. Ukazała się dama pika.

Przy stoliku rozległy się wiwaty. Abner wygrał. Wszystko. Poczł suchość w ustach. Ludzie go poklepywali. Ktoś wsunął mu w ręce płócienną torbę. Na pieniądze.

Zgiełk dookoła nagle go zdenerwował. Zgarniając wygraną do torby, czuł na sobie niezliczone spojrzenia pełne oczekiwania. Czł się tak, jakby miażdżono go w tłoku.

Na stole zostało jeszcze kilka monet. Abner machnął ręką.

- Kolejka dla wszystkich na mój koszt - oznajmił.

Tłum rzucił się do baru. Abner tymczasem zacisnął rzemień torby i przytwierdził ją do szelek. Gwałtownym ruchem ściągnął poły luźnego surduta i westchnął.

Na stole stała zapomniana butelka whisky. Abner wciąż był odrętwiały, potrzebował czegoś, co przywróciłoby mu czucie, niechby była to nawet tandetna, paląca przelyk whisky. Uniósł flaszkę i pociągnął z niej duży łyk.

Trzeba było trzech minut, by whisky uczyniła spustoszenie w żołądku Abnera. Złapały go silne skurcze, od żołądka w dół promieniował nieznosny ból... zaczął rozrywać mu odbyt i pięć się w górę wzdłuż kręgosłupa, dotarł do karku... Abner zgiął się wpół.

Butelka whisky z trzaskiem upadła na podłogę. Abner zaczął na oślep przesuwając dłońmi po surducie w poszukiwaniu flakonika z lekarstwem.

- Wody! - zachrypiał w stronę najbliższego człowieka. Podszedł do niego drobny Chińczyk. Wyjął mu z kieszeni flakonik laudanum i uważnie obejrzał. Abner wyszarpnął mu go z małej dłoni, zakończonej szponiastymi paznokciami.

- To moje!

Chińczyk wyszczerzył zęby i skinął głową. Śmiesznie podskoczył mu przy tym warkoczkiem.

- Idź sobie! - Abner kurczowo chwycił flakonik i mocno zacisnął powieki, naszała go bowiem następna fala bólu nie do zniesienia. Kiedy minęła i mógł wreszcie otworzyć oczy, dziwny Chińczyk stał przed nim, trzymając szklankę wody. Abner zdjął zakrętkę z flakonika i drżącymi rękami próbował przelać płyn przez kroplomierz. Ale że flakonik był już prawie pusty, z desperacją przechylił go i wlał niewielką dawkę laudanum do wody bez odmierzenia. Mimo to zamiast nasyconej barwy rubinu ujrzał zaledwie blade róż.

Uśmiechnięty Chińczyk pokręcił głową, tymczasem Abner nasadą dłoni usiłował wytrząsnąć z flakonika jeszcze choćby parę kropel. Wreszcie z trzaskiem odstawił flakonik na stół, podsunął sobie szklankę pod nos i zaczął chciwie wąchać jej zawartość, jakby się dusił, a szklanka zawierała powietrze.

- Chodź za mną. Chodź za mną. - Drobny Chińczyk skinął głową, z wciąż nie zmienionym uśmiechem na twarzy. Postukał ostrym paznokciem w ciemnobrązową jedwabną bluzę, która okrywała mu chudy tors. - Chi Ho. Chi Ho.

Abner stęknął z bólu. Musiał wyjść z domu gry, póki jeszcze był w stanie chodzić. Zmusił się do zrobienia kilku kroków, a Chińczyk powtórzył:

- Chodź za mną. Chi Ho.

Objąwszy w pasie zgiętego Abnera, pomógł mu wyjść na ulicę przez małe, boczne drzwi.

Lekarstwo prawie nie podziałało. Ból był nadal tak ostry, że Abner właściwie nie zdawał sobie sprawy z tego, dokąd Chińczyk go prowadzi, było mu zresztą wszystko jedno. Pragnął jedynie doznać ulgi. Wziąć lekarstwo i zapaść w kojący sen.

Wydawało mu się, że minęły godziny, nim zakrztusił się dziwnie pachnącym dymem. Otworzył oczy. Chi Ho stał nad nim, wymachując długim różnem, na końcu którego żarzyła się kulka. Abner próbował odepchnąć to coś od twarzy, ale Chińczyk nie dawał za wygraną, Abner zaś był tak słaby, że nie był w stanie tego zrobić. Najbardziej chciał spać.

- Pozwól mi spać... proszę. - Dym nadal płynął w jego stronę, a Abner leżał, na wpół uśpiony. Czarna kulka opium pokonała ból, na który laudanum było za słabe.

*Wypijmy, bracia, raz i dwa
za śmiałka, co walenie gna,
w szalupie kruchej mężnie kusi los;
Wypijmy, bracia, raz i dwa
za chwata, co walenie gna
z harpunem ostrym, żeby zadać cios
i forszę za walenie brać,
tak jak uczyła jego mać,
kurewska jego mać!*

- Zamknij się, Lee! - Kit podciągnął się odrobinę bliżej krawędzi błotnistego klifu. Zerknął przez ramię na zawodzącego Lee, piorunując go sławnym morderczym spojrzeniem... a' la Howland.

Mocniej zacisnął dłonie na wystającym z ziemi skalnym grzebieniu. Odruchy miał spowolniałe, a i jego mózg wysyłał polecenia bardzo leniwie, co niewątpliwie było skutkiem olbrzymiej dawki rumu. Przesunął prawą nogę nieco wyżej, tak że kolanem prawie dotknął czoła. Przemoczone spodnie śmierzdziały mu gliną, zgniecioną trawą i... pociągnął nosem. Tak,

niewątpliwie śmierdzący również zdechłą rybą, starą, zdechłą rybą.

Chwiejną podstawą z ramion, na której wspierała się druga noga Kita, wstrząsnęło czknięciem. Kit omal nie ześlizgnął się na ziemię.

- Do jasnej cholery, Lee! Stój spokojnie!

- Nie mogę. Mam czkawkę.

- To nie oddychaj! Przecież sam chciałeś podebrać te jajka!

- Eee... eep!... Eee...

- Jaja nurzyków, co za pomysł! - burczał dalej Kit. - Ale skoro tak ci na nich zależy, to podsadź mnie wyżej. Już prawie je mam. - Wyciągnął rękę i zaczął po omacku szukać gniazda. Wreszcie wyczuł pod dłonią chłodne skorupki. Ostrożnie podał zdobycz przyjacielowi. - Masz te swoje drogocenne jaja!

Zeskoczył z ramion Lee i wylądował na ziemi z zadziwiającą lekkością jak na człowieka, który samym oddechem mógłby stłuc lustro. Obejrzał swoje ubranie. Było brudne, mokre i zimne. Nie potrafił zrozumieć, czemu pozwolił się napuścić na tę idiotyczną eskapadę. Zmęczył się tylko, przemarzył do szpiku kości, a pulsowanie w skroni zapowiadało, że wkrótce będzie mu pękać głowa. Zerknął na Lee, który przyciskał do piersi kapelusz z ptasimi jajami, tak jak dziecko trzyma pierwszą zabawkę, i wciąż fałszywie podśpiewywał.

- Chodź, wracamy do łódki i wynosimy się z tej piekielnej wyspy! Wieki miną, zanim dopłyniemy z powrotem do Sausalito. - Kit wcisnął zgrabiałe ręce do kieszeni wełnianej kurty i ruszył wzdłuż brzegu, pomrukując ze złością: - Kto wymyślił nazwę Wyspa Aniołów?! Żaden anioł nie zbliżyłby się do takiej lodowni na pięć kilometrów, nie mówiąc już o stąpaniu po niej. - Kit parsknął pogardliwym śmiechem. - Ech, co tam, głupich nie sieją. Mam rację, Lee?

- Hep.

Przynajmniej wiem, że jeszcze się za mną wlecze, pomyślał Kit. Stał przy niewielkiej łódce i czekał, aż przyjaciel znajdzie się z drugiej strony, żeby pomóc w zepchnięciu jej na wodę. Przejmujące zimno i dotkliwy ból głowy bardzo go otrzeźwiły. Przymrużonymi z bólu oczami patrzył, jak Lee składa swój tobołek w bezpiecznym zakątku łódki.

- Gotowy? - spytał Kit.

Lee skinął głową, a ponieważ policzki miał wydęte jak chomik, Kit uznał, że ćwiczony wstrzymywanie oddechu. Zepchnęli łódkę i mimo upojenia rumem wskoczyli do niej ze swobodą marynarzy, którzy znaleźli się w swoim żywiole.

- Wiosłuj... pierhep...wszy. Daj mi trochep...posieeep...dzieć, muszę sieep...ozbyć czkawki.

Kit zaczął poruszać wiosłami, zadowolony, że może się rozgrzać. Dobrze mu to robiło na ból głowy. Wokoło było słychać tylko czknięcia Lee i miarowy szmer wiosel.

Nagle Lee zachichotał.

- Co cię tak śmieszy?

- Tak sobie myśl...eep!

- O czym?

- O twojej buźce.

- Boże, Lee, jesteś pijany.

- Nieep... tak bardzo. A ty wyglądasz eep...odobnie jak u Millie. Hep!

- I to cię tak śmieszy?

- Nie. - Lee uśmiechnął się szeroko mimo nie ustającej czkawki. - Ale nieep... wiem, czy widziałeś twarz Hallie, jak Millie podała zuup...ę.

- Widziałem. Dziewczyna spiekła raka. Żal mi jej było. Ładna jest.

Lee nagle się rozpromienił.

- Ej, przeszła mi czkawka. Od myślenia o tym uroczym stworzeniu!

Kit reagował całkiem odwrotnie. Myśl o tym uroczym stworzeniu wywoływała u niego wzmożone łupanie w głowie. Mocniej zacisnął dłonie na wiosłach i łódka popłynęła szybciej.

- Kto by pomyślał, że z takiej niezdary rozwinie się słodki kwiatusek? - Lee kilkakrotnie cmoknął. - Oj, ma ona ładne płatki.

- A tobie wara od tego kwiatka, nie będziesz go zapyłał. - Łódka nagle wystrzeliła do przodu, jakby przybyło dwóch wiosłarzy.

Lee wyciągnął zza pazuchy flaszkę i poczęstował Kita.

- Zapyłanie zostawiam tobie. - Pociągnął duży haust z butelki i usiadł okrakiem na ławeczce, pod którą wsunął wcześniej swój skarb.

- Zamknij się, Lee, bo jak nie, to wyrzucę za burtę twój kapelusz z jajami. Dość mam swoich kłopotów, nie potrzeba mi dodatkowych z tą przeklętą kobietą, dziewczyną, panienką czy jak tam chcesz. Poza tym pamiętaj, że to jest córka Jana! - Kit głęboko zanurzył pióra wiosel i pociągnął tak mocno, jak tylko mógł.

- Nie warcz na mnie, Kit. Chciałem się z tobą tylko trochę podroczyć. Moja wdzięczność wobec Jana rozciąga się również na jego rodzinę. Sam zresztą wiesz. Masz, napij się. - Podsunął mu flaszkę. - No, rozchmurz się. Jeszcze przed chwilą byłeś prawie taki jak dawniej. Przepłucz gardło!

Kit nie bardzo rozumiał, jak Lee może jeszcze mieć ochotę na to ohydztwo. Wprost odrzucało go od butelki. Poza tym głowa bolała go tak, jakby w każdej chwili mogła pęknąć na kawałki.

- Jeszcze masz to świństwo? Lee, powiedz mi, jak możesz przełknąć takie szczyzny?

- Co ty wiesz, człowieku?! To jest wspaniały rum! Ma gwarancję jako środek na porost włosów! - Lee dokończył trunku i szerokim, pijackim gestem zakorkował butelkę. Potem odchylił się do tyłu, zamknął oczy i oparł głowę o burtę w pobliżu dziobu. Wkrótce Kit usłyszał jego pochrapywanie.

Dzięki pochrapującemu teraz przyjacielowi Kit trzeźwiej spojrział na sprawę umów z Janem i Taberem. Natomiast rum pomógł mu zapomnieć o ciotce. Lee miał rację. „Po co martwić się na zapas? Będzie do tego mnóstwo okazji potem, jak statek przyplynie”.

Gdy jednak kilka razy złapał się na nawracających myślach o Hallie, zaczął sobie przypominać z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie najgorsze chwile małżeństwa z Jo. Koszmarną scenę, podczas której żona wykrzyczała mu rozdzierająco, że nie potrzebuje jego miłości. Niech wreszcie zapakuje się na ten swój statek i popłynie na drugi koniec świata, żeby nie musiała znosić jego dotyku ani słuchać zapewnień o miłości. Bo jego uczucie guzik ją obchodzi.

Brał ślub z naiwnym przeświadczeniem, że spełniają się jego sny o kochającej kobiecie, z którą będzie mógł dzielić najskrytsze marzenia. Przez pierwsze kilka lat istotnie żyli jak w zacisznym porcie, póki długi, brzemienny w skutki rejs nie rozdzielił go z żoną na wiele miesięcy. Przedtem sądził, że prawdziwym piekłem jest separacja, ale jak naprawdę wygląda piekło, przekonał się po powrocie do domu. Jo przestała go kochać. Za długo nie było go w domu, stracił jej miłość.

Przywoływanie obrazów z przeszłości miało stanowić kurację na dolegliwość, która dręczyła go ostatnimi czasy. Odkąd Hallie wtargnęła tyłem do jego biura, wspomnienia o niej nieustannie nachodziły to jego umysł, to ciało. Jedynym ratunkiem dla jego obłąkanego serca było upokarzające rozmyślanie o klęsce poniesionej w małżeństwie. A on, o zgrozo, kompletnie się wygłupił, szukając zapomnienia w butelce z rumem. Pamiętał z tego tylko, jak razem z Lee wychodzą z ciepłej budy Richardsona i wiosłują na Wyspę Aniołów po te durne jaja.

Gdy znaleźli się blisko lądu, Kit poczuł przejmujący powiew wiatru. Zaczął szczełkać zębami. Napał więc mocniej na wiosła i wyobraził sobie ciepłe, suche koce, żar ognia i wysoką, jasnowłosą kobietę, od której dotyku zalewa go fala gorąca. Łódka wbiła się dziobem w piaszczysty brzeg. Lee wciąż jeszcze spał, więc Kit ściągnął mu buty i kurtę i cisnął je na brzeg. Potem obrócił się i skoczył do wody. Wynurzył się jakieś dwa metry od brzegu. Unosząc się w lodowatej cieczy, próbował zrozumieć, co mu nagle strzeliło do głowy. Doszedł do wniosku, że po prostu chciał przegonić sprzed oczu obraz Hallie.

Wczesnym rankiem w niedzielę Kit siedział naprzeciwko Lee i patrzył, jak przyjaciel pochłania dwa ostatnie jaja.

- Mmm... pycha! - Lee nałożył widelcem następną kopę czerwonego specjału na grubą pajdę chleba. Policzki z rudymi bakami wydatnie mu się zaokrągliły, gdy wepchnął do ust kęs, który starczyłby dla trzech.

Kit pokręcił głową.

- Nigdy nie widziałem nikogo, kto by zmieścił w sobie tyle jedzenia, co ty. Tylko cudem nie osiągnąłeś jeszcze rozmiarów wieloryba.

- Nieważne, ile mieszcę, bo wszystko przerabiam. Nie samym jedzeniem człowiek żyje. - Lee zmarszczył brwi. - Pamiętasz wczorajszy wieczór?

- Chętnie bym o nim zapomniał - jęknął Kit.

- Pewnie zapomnisz, bo nie byłeś zbyt ożywiony. Nie widziałem, żebyś się tak nudził, odkąd przegrałeś zakład i musiałeś spędzić trzy godziny na spotkaniu modlitewnym pastora Treadwella. Wiesz, czego ci trzeba?

- Tak. Ale ty i tak bez wątpienia powiesz mi swoje.

- Musisz się trochę odprężyć. Komu praca jest zbyt miła, ten się robi tępa piła. - Lee podetknął mu pod nos górę jajecznic. - Masz, spróbuj.

Woń jaj i cebuli, a do tego rozgniecione kawałki krwistoczerwonego paskudztwa zwanego pomidorem przyprawiły Kita o mdłości. Odepchnął dłoń Lee.

- Boże, nie! Za nic nie zmusisz mnie do spróbowania tej śmierdzącej brei.

Lee wzruszył ramionami.

- Twoja strata, przyjacielu. - Przełknął jeszcze dwa kęsy i odłożył widelec. - Co cię ugryzło wczoraj wieczorem?

- Nic. Byłem zmęczony - skłamał Kit. Sam chciał wiedzieć, co naprawdę go naszło. Cały wieczór przesiedział tutaj, w sali pełnej rozweselonych ludzi, z których połowa była jego przyjaciółmi, a mimo to miał wrażenie, że jest w obcym miejscu. Zdawało mu się, że wszyscy się na niego gapią, poza tym czuł się samotny. Było to bardzo dziwne uczucie. Zresztą musiał przyznać, że odkąd przyjechał do Sausalito, bez przerwy był w bardzo drażliwym nastroju.

Dopił kawę. Tłok w ciasnym, drewnianym baraku działał mu na nerwy, podobnie jak unoszący się tam zapach. Raptem wstał.

- Idę odetchnąć świeżym powietrzem. Spotkamy się na dworze, jak będziesz miał dość. - Lee odpowiedział mu coś ustami pełnymi jajecznic, ale Kit już zmierzał do drzwi.

Podmuch chłodnego wiatru sprawił mu ulgę, choć w tej części Rancho Sausalito wiało tak mocno, że miejscowi zwali ją Wąwozem Huraganów. Wcisnął dłonie do kieszeni kurty i zaczął się oddalać od zgrupowania baraków i szop. Gdy doszedł do samotnej kępy wierzb, oparł się o powykręcany pień drzewa i obserwował, co się dzieje w dole.

Z pobliskiego drewnianego zbiornika woda płynęła wspartą na kozłach rurą, która skręcała za drzewa. Cichy bulgot stanowił miłą odmianę po zgiełku knajpy i usypiających szantach. Był kojący, podobnie jak szum strumyka wartko wijącego się ku nabrzeżu. Ich melodie zakłócało skrzypienie pompy, którą ludzie nabierali wody do wielkich beczek, ładowanych następnie na statek cumujący przy nabrzeżu.

Inny statek rzucił kotwicę na redzie, za krótkim moło. Wygląd miał znajomy. Gdy spuszczone żagle, Kit wyprostował się i wyteżył wzrok, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście widzi przed sobą „Sea Haven”.

Lee podszedł do niego i wskazał żaglowiec.

- Widzisz?

- Pewnie. Chodźmy. - Kit ruszył w dół stoku. - Tylko nie rozumiem, dlaczego widzę Jana w tym miejscu. Zawsze cumował tak, żeby mieć blisko do domu.

Obaj stanęli na moło i zaczęli wypatrywać znaków spuszczenia szalupy. Gdy przez dłuższy czas nic się nie działo, zarekwirowali czyjąś łódź i popłynęli w stronę „Sea Haven”. Marynarz krzyczał do nich z pokładu, ale głośnie pochrapywanie fok na pobliskiej skale zagłuszyło słowa. Z lewej burty spuszczone drabinkę sznurową i przyjaciele wspięli się na pokład. Przeskoczywszy przez reling, Kit ujrzał przed sobą grupkę marynarzy. Rozejrzał się za kapitanem, ale Jan nie wyszedł im na powitanie, więc Kit obrócił się do Lee, który wzruszył ramionami, pokazując, że i on nic z tego nie rozumie. Z grupki wystąpił nieśmiało mały, ogorzały wielorybnik.

- Witajcie, panowie. - Nerwowo uściśnął im dłonie. - Muszę...

- Gdzie jest wasz kapitan, marynarzu? - przerwał mu Kit. - Idźcie powiedzieć, żeby zwałół swoje stare dupsko z koi i przywitał się z przyjaciółmi.

- Panie Howland... właśnie chcę panu wytłumaczyć. Kapitan... kapitan zginął przy wejściu do Zatoki Magdaleny.

- O, Boże... - Kit musiał oprzeć się o reling. Dłonią masował czoło, usta wykrzywił mu grymas.

Lee był podobnie wstrząśnięty.

- Jak to się stało?

- Trafiliśmy na wielkiego diabła i kapitan powiedział, że w polowaniu na ostatniego wieloryba musi mieć swój udział. Wsiadł z ludźmi do szalupy. Trafił go harpunem, ale lina pękła. Kiedy próbował ją chwycić, ta diabelska sztuka zrobiła nagle zwrot i rozbiła szalupę w drzazgi. - Na wspomnienie ponurego widoku marynarz przygarbił ramiona. Po chwili podniósł głowę. - Przypląnęły rekiny, wie pan, jak to jest. Żaden z pięciu ludzi nie ocalał. - Biedak wydawał się całkiem załamany. - Panie Howland, kapitan zapowiedział, że w razie gdyby coś mu się stało, mam się zwrócić do pana. Właśnie zamierzałem to zrobić. Słyszeliśmy, że jest pan z panem Prescottem w Zatoce Wielorybników, więc chcieliśmy was odszukać.

Nie było czasu na żałobę. Kit miał zbyt wiele do zrobienia. Myśli kotłowały mu się w głowie, gdy próbował ustalić, od czego należy zacząć. Wreszcie zdecydował, który z obowiązków jest najpilniejszy: przekazać wiadomość Hallie.

Z tą myślą objął dowództwo.

- Podnieść kotwicę, przygotować się do podniesienia żagli. Wracamy na drugi brzeg zatoki. Płyniesz z nami, Lee?

- Zaraz, tylko muszę przesłać wiadomość ludziom, którzy naprawiają mi statek.

- Dobrze. Ja tymczasem sprawdzę zapisy w dzienniku pokładowym i dokumenty przewozowe. Będę na rufie. - Po paru krokach zatrzymał się jednak, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy. Znow zwrócił się do marynarza. - Jak się nazywacie, marynarzu?

- Smalley, proszę pana. Amos Smalley, drugi oficer.

- A gdzie jest pierwszy oficer?

- Skoczył ratować kapitana, proszę pana.

Po dłuższej chwili milczenia Kit spytał:

- Weszliście do portu z pełnymi ładowniami?

Smalley skinął głową.

Człowieczek zachowywał się dziwnie nerwowo, ale przecież musiał znać swój fach, skoro doprowadził statek do portu.

- W porządku. Jesteście teraz pierwszym oficerem. Przygotujcie statek do wypłynięcia. - Kit ruszył do niewielkiej kabiny na rufie, która służyła Janowi za stanowisko dowodzenia.

Gdy Lee wszedł tam po niedługim czasie, Kit ślęczał nad stertą papierów. Sumował kolumny liczb. Lee opadł na krzesło i podrapał się w brodę.

- Ile towaru?

- Trochę ponad tysiąc pięćset baryłek tłuszczu i ... - Kit poskrobał jakiś zapis w księdze - ... jakieś dwanaście tysięcy funtów kości wielorybiej. Ambry nie ma. - Wziął z rogu biurka arkusik bardzo porządnego papieru i podał go przyjacielowi. - Przeczytaj to i powiedz mi, co o tym myślisz.

Lee zajął się dokumentem, a Kit nasłuchiwał odgłosów dobiegających z pokładu. Podniesiono kotwicę rufową. Łańcuch zgrzytał i obijał się o boczną ścianę kabiny.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał Lee, wciąż jeszcze czytając, być może drugi raz.

- W szufladzie, obok kilku innych papierów. - Kit poruszył się niespokojnie na małym krześle. - Jak to interpretujesz?

- Myślę, przyjacielu, że jesteś teraz dumnym właścicielem „Sea Haven”.

- Tak mi się zdawało, ale przeczytaj dalej.

- Przeczytałem.

- No i co?

- Jeśli dobrze widzę, zostałeś opiekunem córki Fredriksena w majestacie prawa.

- Miałem nadzieję, że coś źle zrozumiałem. - Kit podrapał nasadę nosa. Potem plasnął dłońmi o blat biurka i wstał. - Cholera jasna! Niby jestem to Janowi winien, ale na co mi taka odpowiedzialność?! - Zaczął chodzić tam i z powrotem po wąskim pomieszczeniu.

Lee zerknął w dokument.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał robić wiele ponad to, co już robisz.

Kit przystanął.

- Jak to?

- Pomyśl przez chwilę. Jan bywał w domu tylko parę miesięcy w roku. Kto zajmował się domem podczas jego nieobecności?

- Hallie.

- Ty sprzedawałeś ładunek i pilnowałeś, żeby pieniądze trafiały prosto do banku, zgadza się? Kit skinął głową.

- Kto opłacał rachunki podczas nieobecności Jana?

- Albo ja, albo urzędnik z banku.

- No, więc powiedz mi, co się zmienia? Rodzina dom ma, więc nie musisz im zapewniać dachu nad głową. Naprawdę nie widzę istotnej różnicy. Będę ich odwiedzał, gdy tylko zawinę do portu, a ty w razie potrzeby jesteś na miejscu. Jeśli chodzi o finanse, sprzedaż tego ładunku i spadek uwolnią ich od wszelkich trosk finansowych. Gdzie tu widzisz kłopot?

Kit uświadomił sobie, że przyjaciel rozumuje całkiem logicznie, a mimo to nie bardzo umiał sobie wyobrazić, że jako opiekun trzech istot płci żeńskiej, w tym Hallie, oraz dwóch małych chłopców, nie będzie miał żadnych kłopotów. Wyjaśnił to, a po chwili dodał jeszcze:

- Zanim cokolwiek zrobię, to znaczy zrobimy, trzeba przekazać wiadomość rodzinie. Przynajmniej dwóm najstarszym córkom.

- Boże, nie znoszę tego. Zawsze ciężko odchorowywałem zawiadamianie rodzin o śmierci moich ludzi. Na szczęście straciłem tylko czterech, ale...

Głośne pukanie przerwało im rozmowę. Lee odwrócił się i otworzył drzwi. Do kabiny wszedł Smalley.

- Mamy niedaleko do portu, proszę pana, a jest sobota. Ludzie chcą wiedzieć, czy mogą iść na nabożeństwo.

Kit spojrzał na niego zaskoczony.

- Jakie nabożeństwo?

- Żałobne, za duszę kapitana, proszę pana. Córki przysłały wiadomość, że nabożeństwo ma się odbyć dzisiaj, a...

- Chcecie powiedzieć, że rodzina kapitana już wie o jego śmierci? - krzyknął Kit, mając przed oczami obraz załamanej Hallie. Śmierć ojca była wystarczająco przygnębiająca, gdy jednak Kit wyobraził sobie, że Hallie musiała jeszcze sama powiedzieć o tym młodszemu rodzeństwu, poczuł, że pęka mu serce. Ale nabożeństwo załatwiły na pewno Hallie i Dagny. Miał w tej chwili przeświadczenie, że zawiódł Jana, i wcale nie czuł się usprawiedliwiony z tego względu, że nie zawiadomiono go na czas, by mógł zdjąć z barków dziewcząt choćby cząstkę smutnych obowiązków.

Na wybuch gniewu Kita Smalley zareagował tak, jakby jeszcze zmałał o dziesięć centymetrów.

- Uznałem, że trzeba przekazać wiadomość jak najszybciej. Rodzina to rodzina.

- Kiedy im powiedzieliście? - spytał Lee.

- W środę późnym wieczorem - odparł marynarz.

- Ponad dwa dni temu! - wykrzyknął Kit.

- Spokojnie! - zmiłgował go Lee, zwracając się z powrotem do Smalleya. - O której jest nabożeństwo?

- Na Telegraph Hill o pierwszej po południu.

Kit wyciągnął zegarek z kieszonki.

- Już jest prawie pierwsza. Jak daleko mamy do przystani?

- Około dziesięciu minut, proszę pana - odparł Smalley i podjął początkowy temat: - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, załoga i ja chcielibyśmy uczcić pamięć kapitana.

- Oczywiście, oczywiście, powiedzcie ludziom, że mogą to zrobić. Ale zaraz potem ma się rozpocząć wyładunek. Załatwię dodatkowe miejsce u DeWitta. Czy możecie zająć się rozładowaniem statku dziś po południu?

- Tak jest, proszę pana.

- To dobrze. Teraz jak najszybciej wejdźcie do portu, żebyśmy nie spóźnili się na nabożeństwo. - Kit spojrzał na Lee. - Mówiłeś, zdaje się, że nie będzie żadnych kłopotów...

Hallie stała w chłodzie smutnego popołudnia, a obok pastor Treadwell głośno czytał fragment

z Biblii. Nie słuchała, co duchowny mówi nad pustym grobem jej ojca, wiedziała bowiem, że pod wpływem słów pocieszenia uczucia, nad którymi jeszcze panowała, prawdopodobnie wzięłyby nad nią górę. Patrzyła przed siebie nieruchomymi, szarymi oczami, których matowy odcień był jak odbicie zachmurzonego nieba. Po każdym wydechu unosił się z jej ust obłoczek pary. Oddychała głęboko, mając nadzieję, że z każdą porcją powietrza uchodzi również cząstka wypełniającej ją pustki. Ale nie, wręcz przeciwnie. Pustka zdawała się rozszerzać, gęstniała i zalegała w niej jak mgła nad Zatoką San Francisco.

Śmierć nie staje się łatwiejsza do zniesienia przez to, że wraca i zabiera następnego bliskiego człowieka. Jest to jak zabawa w chowanego. Z upływem lat ból tępieje i tylko od czasu do czasu głośno się odzywa, budząc poczucie straty. Życie toczy się dalej, aż do następnego razu, gdy śmierć zdradziecko wdziera się do czyjegoś serca i porywa stamtąd jeszcze jedną kochaną osobę.

Zostaje po niej świeży ból i jeszcze większe osamotnienie. Ale Hallie nie była osamotniona. Na niej jednej spoczywała teraz odpowiedzialność za los Dagny, Liv i bliźniaków.

Boże, jak bardzo się tego bała.

Ledwie stłumiła okrzyk bólu, nagle bowiem zacisnęło się na jej dłoni małe imadło. Spojrzała na Liv, najbardziej bojową istotę w rodzinie, bo to właśnie ona chwyciła ją z całej siły za rękę. Siostrzyczka stała sztywno wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie, na mały granitowy słupek wystający z trawy na pochyłym cmentarnym zboczu. Broda drżała jej od powstrzymywanych łez, Hallie wiedziała jednak, że Liv postanowiła być dzielna i nie będzie płakać.

Dziecięcym uporem Liv kielznała uczucia tak samo jak wszystko, co uważała za oznakę słabości. Hallie bardzo chciała ją objąć i przytulić, zdawała sobie jednak sprawę, że duma nie pozwoliłaby siostrzyczce przyjąć żadnego gestu pocieszenia.

Drugą ręką Liv ścisnęła sukienkę, poddzierając ją na tyle, że spod rąbka ukazywał się duży palec u nogi, i Hallie niespodziewanie poczuła, jak usta układają jej się w mimowolny uśmiech. Co za ironia losu. To jej przez chwilę zrobiło się raźniej na duszy. Miejsce smutku i niepewności zajęło wspomnienie bućków Liv, zwisających z zakazanego drzewa Abnera Browna.

Nagle przez trawę przetoczył się kamień i z głośnym stukiem uderzył w but pastora. Potok słów natychmiast ustał, duchowny popatrzył z wyrzutem na chłopca, trzymającego Hallie za drugą rękę. Hallie spojrzała Knutowi w oczy i wyczytała w nich poczucie winy. Gunnar stał spokojnie między bratem a Dagny. Siostra i brat również patrzyli na Knuta. Hallie groźnie zmarszczyła czoło i nieznacznie pokręciła głową. Po kilku długich sekundach pastor znów ją wychwalać cnoty zmarłego.

Hallie wiedziała, że chłopcy nie rozumieją straty, jaką ponieśli. Dla czteroletniego dziecka śmierć jest tylko słowem. Jej następstwa stają się odczuwalne, gdy pierwszy raz pada pytanie, dlaczego taty nie ma w domu. Dopiero czas może nauczyć, że ojciec nie wróci już nigdy.

Obaj bliźniacy niewątpliwie byli śmiertelnie znudzeni tą dziwną ceremonią. Hallie dziwiła się nawet, że do tej pory zachowywali się spokojnie. Ale dzieci są bystre i potrafią wyczuć nastroj otoczenia. Prawdopodobnie dlatego chłopcy byli przez ostatnie dni podejrzanie wyciszeni.

- Przesstań!

Jękliwy syk zabrzmiał prawie jak wystrzał z armaty. Ku zaskoczeniu Hallie pastor Treadwell całkiem go zignorował.

Winowajca, Knut, spojrzał bykiem na Gunnara, a Hallie mocniej ścisnęła go za rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Chłopiec nieznacznie podniósł głowę i naskarzył:

- Bo on mnie dotyka!

- Pst - skarciła go Hallie.

Pochyliła się w stronę Gunnara, żeby udzielić mu krótkiej reprimendy, zobaczyła jednak, że Dagny już ją w tym zastąpiła i szepcze coś chłopcu do ucha.

Bliźniacy mieli za sobą trudny tydzień. Prawdopodobnie gwałtowne uczucia, okazywane przez innych członków rodziny, nie pozostały bez echa, należało więc mieć ich na oku. Po napomnieniu Hallie Gunnar odczekał chwilę, a potem pochylił ramię w stronę Knuta. Brat zauważył ten manewr i usunął się poza zasięg Gunnara, ale takie zwycięstwo wyraźnie mu nie wystarczyło. Pokazał więc bratu język. Była to jawna prowokacja. Gunnar zmrużył oczy i zbliżył twarz do twarzy Knuta, gotowy do ataku.

Hallie strzeliła palcami tuż przed nosami chłopców. Poskutkowało. Obaj na nią spojrzeli, mogła więc skarcić ich wzrokiem, a potem znów pokręcić głową. Uspokoił się i wkrótce stali grzecznie, patrząc prosto przed siebie jakby nigdy nic. Hallie odetchnęła z ulgą.

Dagny wciąż trzymała Gunnara na rękę, wydawała się jednak pochłonięta własnymi myślami. Wprawdzie odkąd poznała giganta Duncana, przejawiała więcej zainteresowania światem zewnętrznym, ale niezmiennie była bardzo przybita. Musiała jednak zachować bystrość umysłu, skoro tak szybko zareagowała na występki Gunnara. Hallie uświadomiła sobie, że każde z nich na swój sposób jakoś sobie radzi, i ta myśl bardzo podniosła ją na duchu.

Ogarnął ją spokój, ucichły jej niedawne wątpliwości. Niestety, utrzymała ten stan tylko do chwili, gdy pastor Treadwell znalazł się mniej więcej w połowie psalmu dwudziestego trzeciego:

- Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę...

Zanim zdążyła zapobiec aktowi przemocy, Gunnar niespodziewanie sięgnął za plecy brata i dotkliwie uszczypnął go w ramię. Hallie odruchowo zasłoniła Knutowi usta, żeby stłumić krzyk, a potem wtuliła malca w spódnicę. Knut zamachnął się nóżką, celując w goleń brata, nie zdążył jednak go kopnąć, bo między chłopcami stanął mężczyzna. Rozdzielił ich i do bójki na cmentarzu nie doszło.

Hallie podniosła głowę, żeby złożyć gorące wyrazy wdzięczności temu aniołowi, zesłanemu z niebios...

Spojrzała w oczy Kita Howlanda. Szybko odwróciła głowę. To wcale nie był anioł.

Ręka wibrowała jej od stłumionych krzyków Knuta. Gdy po chwili Hallie odstłoniła malcowi usta, Kit położył mu dłoń na ramieniu. Poprzednim razem trzymał ją na talii dziewczyny i sprawdzał, czy gorset rzeczywiście jest ciasny.

Hallie nadal trzymała Liv, ale ręka, która nagle zawisła w powietrzu, zwilgotniała jej i stała się lepka. Machinalnie próbowała otrzeć rękę o spódnicę wełnianej sukni, zaraz jednak zatrzymała ją, bo przypomniała sobie, że włożyła rękawiczki. Nie miało to praktycznie żadnego znaczenia, było zwykłym nerwowym gestem. Zastanowiło ją, czy ktoś to zauważył.

Nieznacznie przechyliła głowę w prawo. Zobaczyła dzięki temu miejsce, zasłanianie dotąd przez wielką kokardę przy kapeluszu. Za Knutem stał Kit i przyglądał jej się z zafasowaną miną.

Wyprostowała głowę i spojrzała przed siebie. Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, podejrzewałaby Kita, że potrafi czytać w jej myślach. Napawało ją to lękiem. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie zwracać na niego uwagi. Przynajmniej chwilowo.

Kit zauważył, że Hallie stara się traktować go jak powietrze, i nawet sprawiło mu to ulgę. Idąc na cmentarz nie bardzo wiedział, czego należy się spodziewać po dzieciach Jana. Dagny i Hallie wyobraził sobie jako wątłe, pogrążone w żałobie dziewczęta. Przypuszczał, że zastanie obie w stanie hysterii, którą trzeba będzie leczyć wielogodzinnym pocieszaniem i dużą dawką laudanum. Tymczasem okazało się, że wszystkie trzy dziewczęta stoją sztywno wyprostowane i mają suche oczy, a bliźniacy psocą. Może Lee miał rację. Może przejęcie roli opiekuna rodziny Fredriksenów nic nie zmieni w życiu Kita.

W chwili gdy pastor zamknął Biblię i podchodził do rodziny, zajęchały dwa wozy pełne wielorybników. Hallie z zaskoczoną miną patrzyła, jak otacza ją cała załoga „Sea Heaven”. Kit nie był pewien, co z tego wyniknie.

Na czele grupy szedł Amos Smalley, znów nerwowo zgniatający kapelusz w dłoniach. Kita zastanowiło nawet, czy to nakrycie głowy kiedykolwiek służy swojemu podstawowemu celowi.

Smalley wystąpił naprzód.

- Panno Fredriksen, bardzo mi przykro z powodu pani ojca... Tym bardziej przykro, że to ja musiałem pani powiedzieć...

Hallie wyciągnęła przed siebie dłoń w czarnej rękawiczce z gracją, która wprawiła Kita w zdumienie.

- Niech pan sobie nie czyni wyrzutów - powiedziała, skinieniem głową dając znak pobladłej młodszej siostrze. - Dagny i ja bardzo dziękujemy, że pan niezwłocznie przyszedł nas zawiadomić. Wiemy, że to nie było łatwe. - Zdobyła się nawet na wąty uśmiech.

Smalley jeszcze mocniej wykręcił kapelusz w dłoniach.

- Dziękuję pani. - Zaczął się odwracać, ale jeszcze na chwilę znieruchomiał i dodał: - Pani ojciec był najlepszym kapitanem, jakiego może sobie wymarzyć wielorybnik. Nigdy nie kazał

nikomu zrobić nic takiego, czego nie zrobiłby sam. - Otarł wilgotne oczy i dołączył do grupki.

Kit stanął nieco z tyłu obok Lee, a marynarze po kolei podchodzili do Hallie zamienić kilka zdań. Hallie znajdowała dla każdego miłe słowo, nie wahała się też uściśnąć dłoni i podziękować za kondolencje. Nie uroniła ani jednej łzy i ani razu głos jej się nie załamał. Kit pomyślał, że może jednak młody wiek pomaga jej dzielnie znieść tę tragedię. Przedtem wydawała mu się niedojrzała, teraz dostrzegał w niej coś nowego, aurę świeżości. Zobaczył zupełnie inną Hallie. Miała w sobie siłę, jaką rzadko spotykało się u jej rówieśnic. Kit nie rozumiał, skąd ta siła, ale patrzył na to z dumą.

Niekiedy Hallie włączała do podziękowań kogoś z rodzeństwa. Kit korzystał z tych chwil, by dokładniej przyrzeć się reszcie Fredriksonów. Stali jak posążki. Bliźniacy całą uwagę skupiali na wielorybnikach. Liv trzymała się boku Hallie, usta miała mocno zaciśnięte i nie odzywała się ani słowem. Natomiast Dagny zdawała się każdego przesywać wzrokiem na wylot.

Gdy ostatni z marynarzy dopełnił rytuału, Kit podszedł do Hallie i dotknął jej łokcia. Podniosła głowę. Tym razem jej mina była nieprzenikniona.

- Hallie, musimy porozmawiać. Jak zamierzasz wrócić z dziećmi do domu?

- Treadwellowie przywieźli nas powozem. O, tam stoi. - Odwróciła się i wyciągnęła rękę. Konie były przywiązane do ogrodzenia oddzielającego teren sygnalizatora na szczycie Telegraph Hill od zbrocza, na którym rozciągał się cmentarz.

Pastor włączył się do rozmowy:

- Zawieziemy rodzinę do domu, panie Howland. Czy pan chce się z nami zabrać?

- Przyjechaliśmy z kapitanem Prescottem konno - odparł Kit. Jeden z bliźniaków podbiegł do niego i zaczął podskakiwać.

- Czy mogę z panem jechać? Mogę? Mogę?

- Ja też chcę! - zapiszczał drugi, identyczny. - Hallie, proszę!

- Chłopcy, idziemy - zakomenderowała Hallie, malcy jednak nie przestawali prosić i podskakiwać.

Kit przykucnął, żeby zrównać się z nimi wzrostem. Knut i Gunnar patrzyli na niego z nadzieją. Pomyślał, że za nic ich nie odróżni. Spojrzał na tego, który miał zamiar odezwać się pierwszy.

- Ty jesteś który?

- Gunnar.

- W porządku, Gunnar. - Kit delikatnie pchnął palcem drugiego chłopca. - A więc ty jesteś Knut?

- Mhm. Czy ja też mogę z panem jechać?

- Spokojnie, chłopcy. Myślę, że powinniście jechać razem z siostrami.

- Ale my jeszcze nigdy nie jechaliśmy na koniu - zaprotestował Gunnar.

- Posłuchajcie. Jeżeli dzisiaj pojedziecie z siostrami i pastorstwem, to jutro was odwiedzę i wezmę na przejażdżkę. Co wy na to?

Chłopcy spojrzeli po sobie, a potem na Kita. Wyraźnie dokonywali oceny jego wiarygodności. Musiał wydać im się uczciwy, bo poszeptali przez chwilę między sobą, a potem wyrazili zgodę.

Odbiegli do powozu, a Kit wstał. Hallie podeszła do niego.

- Dziękuję panu. Nie musi pan dotrzymywać słowa. Znajdę dla nich jakąś wymówkę...

Nie patrzyła na niego, choć nie sądziła, by było mu przyjemnie mówić do czepka. Mimo to odpowiedział:

- Wiem, że nie muszę, ale chcę.

- O... - Podniosła głowę. Teraz wyglądało to tak, jakby zapatrzyła mu się w kołnierzyk.

- Przyjadę do ciebie, jak tylko porozmawiam z załogą.

- Po co?

- Jak to po co? - odburknął. - Musimy porozmawiać o planach ojca w związku z tobą.

- Ze mną?

- Z wami wszystkimi. - Kit z wolna popadał w irytację.

- Nie musi pan się o nas martwić, umiemy dawać sobie radę. - Hallie chciała odejść, ale Kit przytrzymał ją za ramię.

- Hallie, nie bądź uparta jak osioł.

Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Uparta jak osioł? - powtórzyła.

Kit przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

- Przepraszam bardzo, ale mamy sprawy, które musimy jak najszybciej omówić.

- Nie dzisiaj - odparła.

- Czemu nie?

- Bo dzisiaj nie mam do tego głowy. - Wyrwała ramię z jego uścisku i jednak odeszła do powozu.

Kit popatrzył jej śladem.

- Nie ma do tego głowy! - burknął pod nosem, naśladowując minę Hallie. Wściekły, dołączył do Lee, który czekał na niego przy koniach. Minął ich powóz pastora i Kit spojrzał za nim, mając nadzieję, że Hallie poczuje żar jego gniewnego spojrzenia.

Dosiadł konia z myślą, że najchętniej przejechałby przez miasto i złożył komuś skórę. Zamiast tego zmierzył morderczym spojrzeniem przyjaciela.

- Co z tobą? - spytał Lee.

- Nic takiego. Jedźmy już.

- Poczekaj! - Lee chwycił za wodze, które Kit ścisnął w zaciśniętej dłoni. - Musisz porozmawiać z załogą o ładunku.

- Wiem! - krzyknął. Wyszarpnął wodze i galopem pognął w stronę wozów.

Lee przesunął czapkę na tył głowy i spojrzał za przyjacielem.

- O mało mnie nie zwiódłeś - mruknął.

W niecałe pięć minut później obaj musieli zwolnić, trafili bowiem na ciąg wozów załadowanych po sam czubek. Lee spojrzał na zadumanego przyjaciela.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytał.

- Nie - odburknął Kit.

- No i dobrze. Niech cię to zeżre od środka i będzie spokój. Z tego, co widzę...

- Kazała mi iść do diabła.

- Oho, więc to cię boli.

- Przestań się uśmiechać jak dureń. Ona jest śmieszna. Powiedziałem jej to.

- Co dokładnie jej powiedziałeś?

- Że jest uparta jak osioł!

- Bardzo politycznie.

Kit westchnął.

- Lee, nie sil się na sarkazmy. Wiem, że przesadziłem.

- Zważywszy na to, co Hallie przeszła w ostatnich dniach, powiedziałbym raczej, że to ty jesteś osłem.

- Ale ona źle się do mnie nastawiła. Chciałem tylko porozmawiać z nią o tym, jak zapewnić byt rodziny. Powiedzieć jej, że wszystkim się zajmę. Trochę jej ulżyć.

- I dlatego powiedziałeś jej, że jest uparta jak osioł.

- No, bo była. Dałem jej się oszukać. Myślałem, że dobrze to wszystko znosi. Wcale nie płakała. A widziałeś, jak rozmawiała z marynarzami? - Kit z niedowierzaniem pokręcił głową. - Nie mogłem się nadziwić, że tak dojrzałe się zachowuje.

Lee powściągnął konia i spojrzał osłupiały na Kita.

- Co jest? - spytał Kit.

- Chyba się przesłyszałem. Naprawdę uważasz, że Hallie dobrze to znosi? Człowieku, ona w każdej chwili mogła się załamać. Każdy głupi by to zauważył. Wszystkie córki Jana chciały za wszelką cenę zapanować nad uczuciami. Chłopcy są jeszcze za mali i nie rozumieją, co się stało, ale te biedne dziewczyny przeżyły stratę obojga rodziców w ciągu niecałych czterech lat. Jeśli sądzisz, że Hallie dobrze to znosi, to naprawdę jesteś kompletnym osłem.

Kit nie odpowiedział. W pierwszym odruchu chciał wyrzucić Lee pięścią w szczękę, ale w słowach przyjaciela było sporo prawdy. Hallie stała na cmentarzu z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami. A kiedy teraz o tym myślał, musiał przyznać, że jej głos brzmiał matowo. Jak u kogoś, kto nie przespał kilku nocy z rzędu. Słyszało się w nim zmęczenie i napięcie. Lee miał rację.

Gdy skręcili za róg, Kit uznał, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Chcesz „Sea Haven”?

- Po co mi dwa statki? „Wanderer” mi wystarczy. A co zamierzasz z nim zrobić? - spytał Lee.

- Najpierw spytam Smalleya, czy chce kupić. Ale jakoś mi się nie wydaje, żeby chciał. Jest chyba za stary, no i nie nadaje się na kapitana.

Gdy byli już blisko szczytu wzgórza, Lee zerknął ku porzuconym statkom, stojącym w porcie.

- Popytu na ten towar teraz nie ma.

- To się zmienia. - Kit zobaczył powątpiewanie na twarzy Lee. - Naprawdę. Słyszałem o sprzedaży działek, które są teraz pod wodą. Speculanci wykupili setki akrów zalanej przez morze ziemi i teraz ją osuszają. Kłopot w tym, że nie mają dostatecznej ilości piachu, więc biorą do tego śmieci, gruz, a niektórzy zaczęli wykupywać statki. Rąbią je na kawałki i z kadłubów robią podstawy takiej konstrukcji.

- Boże, co za marnotrawstwo. Szkoda na to dobrego statku.

Swoją uwagę Lee natychmiast zepchnął Kita do obrony.

- No, więc co twoim zdaniem mam zrobić z „Sea Haven”? Mnie zajmują interesy. Nie mogę pływać i nie będę tego robił. Czy naprawdę sądzisz, że znajdę kupca, skoro tyle pustych statków stoi w porcie?

- W zasadzie masz rację, ale to brzmi jak bluźnierstwo. Jan kochał ten statek.

- Wiem, ale jeśli uda mi się dostać za niego przyzwoitą cenę, będę mógł dołożyć pieniądze do tych ze sprzedaży ładunku i zapewnić dzieciakom przyszłość - powiedział Kit. Uważał, że rozumuje logicznie. Pozbędzie się niepotrzebnego statku i zdobędzie jeszcze trochę pieniędzy dla Hallie i rodzeństwa. Oto trzeźwa decyzja człowieka interesu.

- Powiesz o tym Hallie?

- Naturalnie. Co ją obchodzi statek? Jest kobietą.

W tej chwili minął ich z grzechotem wóz wypełniony narzędziami górniczymi. Metaliczne zgrzyty całkiem zagłuszyły proroczy jęk Lee.

Gdy Hallie pchnęła masywne dębowe drzwi, rozległ się jękliwy protest spaczony ramy. Spojrzała na nią i pomyślała: muszę poprosić tatę, żeby to naprawił. Dopiero wtedy przypomniała sobie, co się stało.

Rozwiązała tasiemki czepka i powiesiła nakrycie głowy przy drzwiach. Zdjęła narzutkę, po czym cisnęła ją w stronę starego trójkątnego krzesła. Chybiła. Cofnęła się więc po okrycie, a gdy się schyliła, spostrzegła mały, kremowy przedmiot. Był to lew, wyrzeźbiony w wielorybiej kości.

Hallie powiesiła narzutkę na krzesło i popatrzyła na zwierzątko. Pochodziło z parki, którą dzieci dostały razem z miniaturową arką. Ojciec bardzo zręcznie posługiwał się nożem. Lew miał nos z dwiema małutkimi dziurkami, skośne, kocie oczy i rozwianą grzywę. Musiał kosztować twórcę wiele godzin pracy.

Z każdego rejsu ojciec przywoził bliźniakom parkę innych zwierząt. Jego powroty do domu zawsze trochę przypominały Boże Narodzenie. Zbierała się cała rodzina, wszyscy śmiali się, oglądali podarki i słuchali, jak ojciec opowiada o wielorybach. Hallie mocno zacisnęła palce na lewku i przez chwilę miała cudowne uczucie, że znalazła się bliżej taty.

Głosy dochodzące z salonu przypomniały jej, że wciąż jeszcze są u nich Treadwellowie. Ostatni raz spojrzała na lewka, schowała go do kieszeni sukienki i poszła do gości.

Niecały kwadrans później Hallie bardzo żałowała, że nie ma skłonności do omdleń. Zdawało jej się, że zacznie głośno krzyżeć, jeśli jeszcze przez minutę będzie słuchać wyrazów współczucia i dobrych rad Agnes Treadwell. Dagny uciekła do kuchni, by jeszcze raz zrobić herbatę, a sądząc po tym, jak długo jej nie było, zaparzyła tyle, że wystarczyłoby do zalania siedziby brytyjskiego parlamentu. Natomiast Liv siedziała na krzesle obok pani pastorewej i raz po raz ziewała. Hallie nie mogła na nią patrzeć, bo natychmiast sama musiała powstrzymać ziewnięcie.

Agnes przerwała swój monolog i zerknęła w drugi koniec pokoju, gdzie bliźniacy pokazywali pastrowi swoją arkę.

- Wiesz, kochana, pastor i ja bardzo chętnie przyjmiemy na pewien czas tych maluchów i małą Liv. To są urocze dzieci, zwłaszcza Liv. - Obróciła się i uśmiechnęła do dziewczynki, która

właśnie zamknęła buzię po ostatnim ziewnięciu. - Jest taka ułożona. Och, byłoby bardzo miło, gdyby te śliczne maleństwa nas odwiedziły.

Liv zaczęła głośno wyłamywać sobie palce. Agnes rozejrzała się dookoła.

- Co to za dźwięki?

Hallie usiłowała przyciągnąć uwagę Liv, ale gdy dziewczynka kompletnie ją zignorowała, postanowiła zagłuszyć trzaski podniesieniem głosu.

- Jakie dźwięki? Ja nic nie słyszę. A ty, Liv? - Spojrzała na siostrzyczkę z groźną miną.

Liv przestała. Ale gdy zamiast tego zaczęła łykać powietrze, co było zwykle wstępem do efektownego beknięcia, Hallie nie wytrzymała. Podeszła do siostrzyczki, zdjęła ją z krzesła i postawiła na ziemi.

- Liv, proszę cię, zobacz, co zatrzymuje Duggie w kuchni. Szybciutko.

Wypchnęła małą z pokoju. Uspokojona, zamierzała właśnie z powrotem usiąść, gdy w korytarzu rozległo się grzmiące beknięcie.

Agnes Treadwell zrobiła wstrząśniętą minę.

- Nie mów mi, Hallie, że tego też nie słyszałaś! Cóż to znowu było?

Zabiję ją, pomyślała Hallie.

- Ach, to... Czasem pompa się zatyka i wtedy... wtedy powietrze wydaje taki dźwięk, kiedy wydostaje się z rury.

- Jejku, co za okropność.

- Nie rozumiem, co Dagny tak długo robi w kuchni. - Hallie wstała. - Chyba pójde sama sprawdzić.

Pastor ją powstrzymał.

- Nie warto, moja droga. I tak czas na nas. Muszę napisać jutrzejsze kazanie. Tylko zapamiętaj: gdybyś czegoś potrzebowała, zwróć się do nas. - Oboje pokleпали Hallie po dłoni i wyszli na dwór. W chwilę potem wsiedli do spowitego w opary mgły powozu.

Hallie jak burza ruszyła korytarzem w poszukiwaniu sióstr. Wiedziała, że wszyscy mieli trudny dzień, ale ileż można mieć cierpliwości? Zresztą dla jej bólu nikt w rodzinie nie wykazywał najmniejszego zrozumienia. Po drodze wetknęła głowę do salonu, żeby sprawdzić, co robią bliźniacy, ale pokój był pusty. Pchnęła drzwi do kuchni i tam nagle ujrzała mnóstwo ludzi. Duggie trzymała na kolanach Gunnara, Lee Prescott Knuta, Kit Howland stał obok z nieodłączną fajką w zębach, a Liv przygotowywała się do kolejnego wstrząsającego beknięcia.

Na widok Hallie przestali się śmiać. Zapadło kłopotliwe milczenie. I wtedy Hallie w końcu straciła panowanie nad sobą.

- Liv, nie przerywaj sobie przedstawienia. - Hallie wykonała dramatyczny gest. - Popisuj się dalej. Pokaż nam, jaka dobrze jesteś wychowana.

Liv potulnie usiadła na krześle i wbiła wzrok w kolana.

Hallie podeszła do kuchni. Uniosła zimny, pusty garnek, używany do gotowania wody na herbatę. Ostentacyjnie zajrzała do środka i przeniosła wzrok na Dagny, która przygryzła dolną wargę. Hallie jeszcze przez chwilę trzymała miedziane naczynie w dwóch palcach, jakby było zdechłym szczurem, a potem wypuściła je z ręki. Garnek z głośnym łoskotem upadł na kuchnię. Piekielny huk sprawił Hallie taką samą satysfakcję, jak widok zmieszanej Dagny.

Taca i czajniczek stały zapomniane na kredensie. Hallie podeszła tam i sięgnąwszy po czajniczek, przechyliła go nad filiżanką z cieniutkiej porcelany. Nie pociekło ani trochę esencji, więc potrząsnęła naczyniem, przytrzymując wieczko. Z dziobka spadło kilka kropel. Przestała się zneść nad czajniczkiem i z brzękiem postawiła filiżankę przed Dagny.

- Proszę, niestety, herbata jest dosyć słaba. - Odwróciła się, ale Kit chwycił ją za ramię.

- Nie złość się na siostrę, Hallie. W niczym nie zawiniła. Specjalnie weszliśmy z Lee od tyłu. To my znaleźliśmy Dagny tyle zajęć, że zapomniała o herbacie.

Jak zwykle trzymał w ustach swą idiotyczną fajkę, więc Hallie ledwie zrozumiała to mamrotliwe usprawiedliwienie. Musiała pochylić się w jego stronę. Nadal jednak była wściekła i wcale nie miała ochoty go słuchać. Zerknęła na rękę, która zacisnęła się na jej ramieniu.

- Drugi raz dzisiaj siłą mnie pan zatrzymuje. - Spojrzała mu w oczy. - Niech pan mnie puści!

Ręka pozostała tam, gdzie była. Hallie parsknęła piskliwym, histerycznym śmiechem.

- I to podobno ja jestem uparta jak osioł!

Kit cofnął rękę, ale nadal żuł cybuch fajki.

- Spokojnie, malutka.

- „Spokojnie, malutka”? - powtórzyła, dysząc ze złości. - Tak się mówi do kłaczy!

Oparła zaciśnięte pięści na biodrach i pochyliła się w stronę Kita.

- Nie jestem kłaczą! Nie życzę sobie, żeby pan tak do mnie mówił. Jestem ludzką istotą, mam swoje uczucia i swój rozum. Nie jestem głupią zabawką, która służy wyłącznie do tego, żeby miał pan się z czego śmiać!

Okręciła się na pięcie i omiotła zebranych gniewnym spojrzeniem.

- Jest mi smutno i źle, tak samo jak wam wszystkim! – Znów stanęła twarzą w twarz z Kitem.

- I niech pan wreszcie wyjmie tę durną fajkę z ust, żeby mogła zrozumieć, co pan mówi!

Zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem przed osłupiałą i spotulniałą grupką. W chwilę później zawróciła dokładnie przed Kitem.

- Albo nie. Niech pan dalej zajada tę fajkę, bo właściwie wcale mnie nie interesuje, co pan ma do powiedzenia! A ty - wyciągnęła oskarżycielski palec ku Liv - jeśli jeszcze raz tak ordynarnie się zachowasz, to wyślę cię na miesiąc do Agnes Treadwell!

Jakby błagając o odpowiedź, Hallie wyrzuciła ręce ku niebu.

- Co jest z wami? Nie widzicie mojego bólu? Kochałam tatę z całego serca, ale ukryłam mój smutek, żeby pomóc wam, niewdzięcznicy! Martwiłam się o was, o to, jak będziemy teraz żyli, czy będę umiała was wychować i dać wam to wszystko, co daliby tata i mama. Myślicie, że łatwo jest być najstarszą siostrą? No, więc nie jest! Kocham was, ale w tej chwili mam was serdecznie dość!

Potrząsnęła głową tak mocno, że zamglili jej się wzrok, więc uniosła pięści, żeby zapanować nad falą emocji. Łzy wściekłości popłynęły jej po policzkach. Otarła je wierzchem pięści, którą potem zatrzymała przed sobą.

- Widzicie? Płaczę prawdziwymi łzami. A wiecie dlaczego płaczę? Bo jesteście samolubni i wstrętnei, i teraz wcale nie chcę być z wami!

Nie potrafiła już zapanować nad szlochem, więc wybiegła na korytarz i schroniła się w sypialni za kuchnią. Oparłszy się o drzwi, zasunęła zasuwkę, po czym rzuciła się na łóżko ojca. Leżała tam cierpiąca, wyczerpana i zapłakana. I nic, ani krzyk, ani płacz, ani drżenie nie mogło ukoić bólu, który ją przygniatał.

Pokój był wąski, większą jego część zajmowało łóżo z orzechowego drewna. Na wezgiłowi wyrzeźbiono wzór, który budził skojarzenia z wodnymi wirami. Mieszkańcowi tego pokoju z pewnością przypominał kłębiące się fale morskie. Łoże było przykryte prążkowaną aksamitną narzutą w kolorze ciemno rudym; na niej leżała uśpiona Hallie.

Gdy uniosła napuchnięte powieki, przez nie zasłonięte zachodnie okno wpadały promienie popołudniowego słońca. Zamrugęła, osłepiona blaskiem, i zobaczyła, że mgła wreszcie ustąpiła.

Przewróciwszy się na wznak, przetarła oczy i zaczęła się zastanawiać, jak długo spała. Usiadła na łóżku, przypomnięła sobie swój histeryczny wybuch i poczuła się bardzo nieswojo.

Bezmyślnie zaczęła wciągać na nogi czarne, wełniane pończochy. Co ją napadło? Żeby tak stracić panowanie nad sobą! Przecież zawsze była dumna ze swej powściągliwości. Tym razem jednak się nie popisała. Krzykami i złością nie dała dobrego przykładu. I to przy bliźniakach. Mali chłopcy na pewno śmiertelnie się przestraszyli. Nic nie zrozumieli z jej ataku hysterii. To ona zachowała się egoistycznie, upajając się własnym żalem.

Bardzo zawstydzona wstała i podeszła do drzwi. Przyłożyła dłoń do ucha, spodziewając się usłyszeć szmer przyciszonych głosów. Z kuchni nie dolatywały jednak żadne znajome dźwięki. Przez chwilę nerwowo chodziła po pokoju, potem przystanęła. Może czekają na nią z przygotowaniem kolacji? Wyciągnęła rękę do zasuwki, ale zatrzymała ją w pół drogi. Nie była jeszcze gotowa do stanięcia twarzą w twarz z rodziną.

Podeszła do orzechowej komody i oparła na niej łokcie. Spojrzała w owalne lustro. Zobaczyła w nim ślady swego wybuchu. Warkocz zwiisał jej żałośnie z przodu. Szpilki wystawały z niego pod najróżniejszymi kątami, niektóre wygięte. Wyciągnęła szpilki i okręcając warkocz wokół głowy, zbudowała z niego koczek. Przysunęła twarz nieco bliżej lustra i zmrużyła oczy, mając nadzieję, że teraz będzie wyglądać nieco bardziej korzystnie.

Niestety. Wyglądała jak świnia. Z napuchniętymi powiekami jej szare oczy wydawały się dwa

razy mniejsze niż normalnie. Świńskie oczka, pomyślała.

Przesunęła dłonią po wysuszonych wargach i wyczuła, że są spękane. Policzki miała wydęte, jakby jeszcze spała, a jedną stronę twarzy znaczyły jej równoległe śliwkowe linie, pozostałość prążków na poduszce. Zniechęcona swoim wyglądem, przytknęła palec do czubka nosa i nacisnęła, opanowała się jednak i nie zachrzękała. Jeszcze szczecina na brodzie, nogi zamieniają mi się w racice i można mnie peklować, pomyślała.

Spojrzała na miskę z dzbankiem. Porcelana zmatowiała od nieużywania. Warstwa kurzu zasnuła skomplikowany wzór, przedstawiający ptaki i kwiaty. Dzbanek niewątpliwie był nie mniej suchy niż jej wargi. Tata nie spał w tym pokoju od wielu miesięcy. Wróciła spojrzeniem do lustra. Może gdyby poczekała jeszcze kilka minut, przestałaby być tak bardzo podobna do świni... Zaczęła spacerować po pokoju, tu i ówdzie przystając, żeby dotknąć jakiejś pamiątki po ojcu. Odwlekała trudną chwilę.

Na biurku, w kącie pokoju stała tania, acz bogato zdobiona szkatułka nie wiadomo na co. Lakier, którym ją pokryto, nabrał z wiekiem pomarańczowego odcienia. Hallie uniosła wieczko i zaczęła przeglądać zawartość. Spinki od koszul, zepsuty zegarek z dewizką, klucz i sygnet. Podniosła deseczkę, dzielącą wysokość kasetki na połowę, i zajrzała na dno. Miniatur nie było, tata zawsze brał je z sobą, ale brązowy dagerotyp przedstawiający „Sea Haven” leżał na brunatnej aksamitnej wyściółce.

Ojciec kochał „Sea Haven”. Statek był dla niego czymś znacznie więcej niż tylko źródłem utrzymania rodziny. To była jego dusza. Jedno z jej najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa łączyło się właśnie z „Sea Haven”. Miała wtedy pięć lat. Ojciec wziął ją na statek i wszystko pokazał, od głębin nieskazitelných ładowni po lśniący mosiądz okrętowego dzwonu. Młody kapitan Fredriksen wprowadził wtedy swoją pierworodną córę, dziecko swego serca, w świat swej duszy.

Hallie umieściła deseczkę na miejscu i zamknęła wieczko. Dość mitrężenia czasu. Należało znaleźć rodzeństwo. Podeszła do drzwi, odciągnęła zasuwkę. Wzięła głęboki oddech, nacisnęła klamkę i wyszła z pokoju.

W kuchni nikogo nie było, ale kuchenne drzwi stały otworem. Wyszła na drewniany ganeczek i omiotła wzrokiem niewielkie podwórko. Również tam nikogo nie zauważyła. Już miała wrócić do wnętrza domu, gdy spostrzegła Liv siedzącą na najniższym stopniu.

Zeszła po schodkach i stanęła przy siostrze, pochylonej nad tabliczką.

- Czy mogę usiąść?

Kreda znieruchomiała, ale Liv nie podniosła głowy.

- Jak chcesz. - Przesunęła się, robiąc miejsce dla starszej siostry.

Hallie usiadła.

- Co robisz, słodyczku?

- Nie nazywaj mnie tak.

- Czemu nie?

- Bo nie.

- Och. - Hallie skinęła głową, jakby dokładnie zrozumiała przyczynę. Miała wrażenie, że jej popołudniowy wybuch źle zrobił siostrzyczce, która i tak chodziła ostatnio bardzo przygnębiona.

- Czy sprawiłam ci przykrość tam, w kuchni?

Liv pokręciła głową.

- Mimo że cię skrzyczałam przy wszystkich?

- Mhm.

- Jeśli jednak tak, to bardzo cię przepraszam.

Liv sumowała liczby wypisane na tabliczce. Hallie westchnęła.

- Gdzie jest reszta?

- Jak wyszło słońce, Knut i Gunnar zaczęli nudzić tych panów, żeby się przejechać na koniu.

- A Duggie?

- Pojechała z nimi.

- A ty dlaczego nie pojechałaś?

- Nie chciało mi się.

- Rozumiem. - Hallie rozejrzała się dookoła, szukając pomocy. Nikt jednak nie nadszedł. -

Dlaczego ci się nie chciało? Przecież lubisz konie.

Liv wzruszyła ramionami. Hallie zerknęła na tabliczkę.

- Bardzo dobrze, Liv. - Sięgnęła po tabliczkę. - Chcesz, napiszę ci kilka liczb, a ty je dodasz.

Tak jak lubimy robić.

Zaczęła pisać, ale Liv wstała.

- Nie mam ochoty. Idę na górę. Jestem zmęczona.

- Ale Liv...

Było już jednak za późno. Mała wbiegła na schody i zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim Hallie zdążyła wstać.

Poczuła się jak beznadziejna niedorajda. Nie umiała sobie poradzić nawet z dziewięcioletnią siostrą. Jak miała zapewnić opiekę całej gromadce dzieci? Och, tato, nie radzę sobie najlepiej. Spojrzała na tabliczkę Liv, leżącą na jej kolanach, i znów zebrało jej się na płacz. Oplotła ramionami kolana, oparła o nie czoło i poddała się słabości.

Kit znalazł ją później, gdy całkiem zgnębiona siedziała skulona na stopniu.

- Hallie?

- Boże, tylko nie pan - jęknęła.

Stał nad nią, szarpany współczuciem. Lee miał rację. Dziewczyna była bliska załamania. Każdy jej jęk, każdy szloch przeszywał mu serce. Chwycił ją za łokcie, podniósł i przytulił, chcąc wziąć na siebie choć część tego straszego bólu.

- Tak mi przykro, Hallie, tak bardzo mi przykro. - Próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno. - Nie, Hallie! Musisz się wypłakać. Niech ci to sprawi ulgę. Jestem z tobą, pomogę ci. - Delikatnie poklepał ją po wstrząsanych szlochem plecach.

Z ust popłynął jej potok nieskładnych słów, głuszonych jeszcze przez koszulę. Kit nachylił się więc, by cokolwiek zrozumieć.

- Nie słyszysz, co mówisz, moja miła.

- Jak pan może mi pomóc? Nikt, nikt nie może mi pomóc!

Kit pogłaskał ją po plecach.

- Liv mnie nienawidzi! - wybuchnęła.

- To nieprawda. Po tym, jak wybiegłaś z kuchni, ciągle patrzyła na drzwi, wcale nie z nienawiścią. Wyglądała na bardzo zmartwioną dziewięcioletnią dziewczynkę, która ma wyrzuty sumienia. A Dagny sprawiała nie lepsze wrażenie. Wzięliśmy chłopców na przejażdżkę, żebyś mogła w ciszy i spokoju trochę pobyć ze sobą.

- Naprawdę? - Siąknęła nosem.

- Tak. Hallie. Nie możesz być opoką dla wszystkich. Nie wtedy, kiedy sama też cierpisz. - Pogłaskał ją po luźnych kosmykach na karku, które wyswobodziły się z warkocza. Z każdym ruchem dłoni czuł, jak jej drżenie ustaje. - Dagny pojechała z nami, ale Liv nie chciała.

- Nie chciała?

- Nie. - Przesunął palcem po jej gładkiej skórze. Hallie westchnęła z poczuciem klęski.

- Pewnie tak ją zawstydziłam, że aż bała się z wami jechać.

- Raczej nie chciała zostawić ciebie samej w domu. Nie zachowywała się tak, jakby była zawstydzona, tylko tak, jakby się o ciebie martwiła, chociaż, o ile ją znam, wątpię, czyby się do tego przyznała. - Te słowa wyrwały mu się całkiem spontanicznie, po części Kit nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział. Nie myślał jasno, bo dotykając Hallie, nie był do tego zdolny.

- Naprawdę tak pan uważa?

- Mhm. - Wolno przesunął dłoń po jej plecach, aż do talii i zawrócił w górę, przesuwając palec z tyłu wzdłuż każdego z żeber. Wzdrygnęła się nieznacznie, gdy dotknął wrażliwego miejsca pod pachą, więc szybko wycofał się w bezpieczniejsze rejony. Drobnymi, okrągłymi ruchami dotarł do łopatk, wyobrażając sobie, że pięści pełną pierś Hallie.

Oboje milczeli, pochłonięci dźwiękami, które ich otaczały: szelestem sukni pod jego dłonią i swymi oddechami.

- Boję się - szepnęła Hallie.

Te dwa bezradne, błagalne słowa, okazały się dla Kita zgubne.

- Zaopiekuję się tobą, moja miła. Nie bój się, pozwól sobie pomóc. - Odchylił jej głowę, tak że

patrzył teraz w zbolaną twarz. - Pozwól martwić się za ciebie, pozwól... - Poczul na brodzie jej ciepły oddech. Przebiegł go dreszcz. - ... Pozwól się pocałować.

Hallie poczuła dotyk jego warg, ciepłych i suchych. Dłoń Kita zawędrowała aż na jej kark, a kciuk zaczął zmysłowo głaskać wrażliwą skórę za uchem. Hallie rozchyliła wargi, pamiętała bowiem poprzedni pocałunek i pragnęła poczuć coś więcej. Kit zaczął pieścić językiem jej wargi i zęby, a ramieniem mocno przyciągnął ją do siebie.

Igraszki języka trwały, Hallie wspięła się więc na palce, objęła Kita za szyję i instynktownie przywarła mocniej do jego ust.

Kit zrozumiał, co dziewczyna czuje. Hallie raptownie wciągnęła powietrze do płuc, poczuła bowiem jego dłoń na piersi, a jednocześnie język wdzierający się w głąb spragnionych ust. Znów poddała się czarowi pocałunku. Ogarnęło ją jednak całkiem nowe uczucie. Zapagnęła, by Kit trzymał ją w dłoni, tej dłoni, która czyniła cuda. Która dotykiem i nieznacznymi poruszeniami budziła jej uśpioną kobiecość.

W dole brzucha odezwało się doznanie, którego znaczenie dopiero miała poznać. Nieświadomie wypchnęła biodra. W odpowiedzi Kit objął dłonią jej pośladki i podniósł ją wyżej. Mocno oplotła mu szyję, bo nagle jej stopy znalazły się w powietrzu.

Kolano Kita zaczęło odgarniać ze swej drogi obfite fałdy spódnicy. Kit posadził sobie Hallie okrakiem na udzie, podtrzymując ją za biodra. Stopniowo przesunął ją coraz wyżej. W pewnej chwili napięty mięsień uda dotknął jej najwrażliwszego miejsca.

Hallie poczuła, że się unosi, a wszystko dookoła niej wiruje. Pragnęła znaleźć się jeszcze odrobinę wyżej, by dotrzeć niedostępnego tymczasem szczytu. Jej ciało dążyło do tego całkiem niezależnie od woli.

Nagle szaleńczy wir, który porwał jej ciało, obudził w niej niepokój, szybko nabierający rozmiarów paniki. Hallie pomyślała jeszcze, że zaraz umrze. Dusił ją. Potrzebowała powietrza! Próbowana głęboko odetchnąć przez nos...

Więcej nie pamiętała.

Ciało dziewczyny nagle zwiotczało. Bezwładnie oparła się o pierś Kita. Jego pierwszą myślą było, że Hallie znalazła zaspokojenie, ale rytm jej oddechu był powolny, wcale nie jak u szczytu rozkoszy.

Chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie, żeby zobaczyć, co się stało. Głowa Hallie poleciała do przodu i zakotłosała się jak korek na powierzchni morza.

Przestraszył się. Zaczął myśleć trzeźwiej. Chwycił Hallie pod ramiona i postawił na nogach. Potem unióśł ją i usiadłszy na schodach, ułożył ją sobie na kolanach. Podparł jej głowę ramieniem i spojrzął na pobladłą twarz.

- Hallie?

Nie zareagowała.

- Zbudź się, moja miła. - Pogłaskał ją po policzku. Wciąż nie reagowała. - Hallie! - Kit podniósł głos i zaczął klepać ją po policzku szybkimi, lecz delikatnymi ruchami. - Zbudź się!

Głowa Hallie bezwładnie przetaczała się z boku na bok.

- Nie wygłupiaj się! Zbudźże się, do stu piorunów! - Poruszyła wargami, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Kit mocno potarł jej policzki.

- Co takiego? Nie słyszysz cię!

- Jestem świnią - wyszeptła Hallie, wciąż mając zamknięte oczy.

Wydaje jej się, że jest świnią? Szpetnie zaklął i tym doprowadził ją do przytomności. Otworzyła oczy i zamrugowała.

- Czy mam jeszcze nogi?

Nogi? Kit pochylił się nad nią i popatrzył uważnie w jej zamglone oczy. Stopniowo spoglądały coraz przytomniej i w pewnej chwili zorientował się, że dziewczyna odzyskała świadomość.

- Co się stało? - spytała.

- Zemdlałaś - odrzekł, próbując odgadnąć, co Hallie pamięta. Zastanawiała go ta historia ze świnią. Czyżby uznała, że jest nieczysta, bo pocałunek doprowadził do bardziej intymnej pieczyoty? Boże, jak jej to wyjaśnić? I o co chodzi z tymi nogami? Kit spojrzął w dół ciała

Hallie. Nogi miała zupełnie normalne.

- Możesz poruszyć palcami u nóg? - spytał.

- Oczywiście. A czemu pan pyta?

Westchnął.

- Pytałaś mnie, czy jeszcze masz nogi.

Hallie zmarszczyła czoło, a po chwili zachichotała. Kit nie mógł się nie uśmiechnąć. Chichot był zaraźliwy, a widok dołeczków w jej policzkach budził w nim bardzo dziwne uczucia.

- Coś mi się pomieszało - wytłumaczyła. - Myślałam, że jestem świnią...

- Chwileczkę! - przerwał jej. - Zatrzymajmy się w tym miejscu. Muszę ci kilka spraw wyjaśnić. - Nie mógł spojrzeć jej w oczy, gdy mówił, że to, co się stało, nie było jej winą. - Hallie, nie chodzi mi konkretnie o ciebie. Są odruchy, nad którymi nie panujemy. To, co się stało, było odruchową reakcją. Przestałem jasno myśleć. A ponieważ jestem starszy i bardziej doświadczony, nie powinienem być do tego dopuścić.

Radosna twarz posmutniała. Hallie wydała mu się nagle rozczarowana; wyglądała jak ktoś, kogo odrzucono. Poczul się okropnie.

Wbiła wzrok w nerwowo splatające się dłonie.

- Rozumiem, że to nie było na serio - powiedziała cicho.

Jak miał jej odpowiedzieć?

- Nic się nie stało - ciągnęła. - Nie musi pan czuć się do niczego zobowiązany. Umiem zaopiekować się dziećmi. Naprawdę nie potrzebuję pomocy. Ze współczucia obiecał pan coś, co przekracza pana możliwości. Proszę się nie przejmować, ja to rozumiem. Jest pan zajęty...

- O czym ty mówisz?

- Obiecał pan nam pomóc, zaopiekować się nami. Wcześniej... - twarz jej lekko pokraśniała - ...przed tym małym pocałunkiem.

Mały pocałunek? Jeszcze jeden taki mały pocałunek i krew wyparowałaby mu z żył. I nagle dotarł do niego sens jej słów. Wybuchnął śmiechem. Hallie pomyślała, że on, Kit, zamierza ich zostawić na łasce losu. Wcale nie czuła się nieczysta. Zmrużył oczy i natychmiast chciał wyjaśnić nieporozumienie, potrzebował jednak chwili, by się uspokoić.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego, proszę pana!

- Poczekaj, Hallie. Nie bądź taka narwana, bo strasznie namieszasz. Mam zamiar się wami zaopiekować i zaopiekuję się. Nie o tym mówiłem.

- Nie?

- Nie, moja miła. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić byt tobie i twojemu rodzeństwu. Jest dokument, w którym twój ojciec oficjalnie mianował prawnego opiekuna rodziny.

- Naprawdę? - spytała łamiącym się głosem. Przeczynała, do czego zmierza Kit. - Kogo?

- Mnie - powiedział z dumą.

- Pan jest naszym opiekunem? - Wydała mu się przerażona. Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby nie chciało jej przejść przez gardło.

- Ma to znaczenie przede wszystkim finansowe. Zajmę się sprzedażą ostatnich ładunków i przekazaniem pieniędzy na wasze konto, zapłacę ewentualne rachunki, dopilnuję sprzedaży „Sea Haven”. Trzeba doprowadzić do końca interesy.

- Chce pan sprzedać statek? - Hallie usiadła sztywno wyprostowana. - Chce pan sprzedać statek taty?

Ile razy próbował skłonić Hallie do rozsądnego myślenia, wykręcała kota ogonem i kwestionowała słuszność jego decyzji. Był tym bardzo zmęczony.

- Naturalnie. Jan zostawił statek mnie. Ja mam firmę, którą muszę prowadzić, więc po co mi statek? - Znowu się bronił i znowu wpadał w złość. - Gdybyś nie wiedziała, to powiem ci, że na statki wielorybiczne nie ma w tej chwili zbytu. Widziałaś chyba, co się dzieje w zatoce, prawda?

Hallie zignorowała sarkazm i postawiła własne pytanie.

- Komu?

Kołnierzyk koszuli Kita nagle jakby skurczył się o dwa numery.

- A kto to wie? - odparł wymijająco. - Lepiej zdecydujmy, co zrobić z dziećmi. Nie przejmuj się statkiem.

- Zadałam panu pytanie. Komu sprzedaje pan statek? - wycodziła słowo po słowie.
- Firmie Dickson and Hay - odparł przez zęby.
- To są handlarze nieruchomości. Po co im statek? - Hallie intensywnie myślała, a Kit miał wrażenie, że czuje iskry w powietrzu. - Oni sprzedają zalane działki, prawda?

- Co ty o tym wiesz?

- Umiem czytać, panie Howland! Pisali o tym na pierwszej stronie w gazecie. Wiem, że ta firma zbija majątek, sprzedając tereny, które są w tej chwili płytko pod wodą. Muszą tylko podnieść poziom gruntu i... - Hallie zasłoniła usta dłonią i podejrzliwie zmrużyła oczy.

Kit poczuł, że chętnie zapadłby się pod ziemię.

- Chyba nie zrobiłby pan czegoś takiego - powiedziała, kręcąc głową i jednocześnie mierząc Kita bardzo groźnym spojrzeniem. - Chce pan sprzedać statek, żeby go zatopili! I pan śmie tytułować się przyjacielem taty? On kochał ten statek. Za nic nie pozwolę panu zniszczyć „Sea Haven”!

- Nie masz wyboru. Statek należy do mnie, a ja zrobię z nim to, co mi się żywnie podoba. Żadna osiemnastoletnia dzierlatka nie będzie mi mówić, co mam robić! - ryknął, zrywając się na równe nogi. Omal nie zrzucił tej niewdzięcznicy z kolan na jej uroczą pupcię.

Hallie również się zerwała, gotowa do walki twarzą w twarz.

- Coś mi się zdaje, że przed chwilą wcale nie byłam dla pana dzierlatką. Może się myłę? - spytała słodko.

Kit zrobił krok w jej stronę. Zaciśnął dłonie w pięści, z trudem powstrzymując się, by nie sprawić jej lania. Obawiał się jednak, że długo nie potrafi się powstrzymać.

- Ty... ty sukinsynu bez serca! - wyszczała Hallie.

- Zamknij się, Hallie. - Kit chwycił prawą ręką za poręcz schodów.

- Nie mów mi, żebym się zamknęła, ty Judaszu!

- Znowu histeryzujesz. Nikt nie zechce z tobą poważnie rozmawiać, jeśli będziesz się w ten sposób zachowywać. Odłożymy tę rozmowę na później. - Wyminął tę niewdzięcznicę wiedząc, że musi jak najszybciej odejść. Jeszcze nigdy w życiu nie był taki wściekły. Skręcił za róg domu; miał przed oczami czerwone płatki.

Ostatnie słowa Hallie ścigały go jeszcze na ulicy:

- Ile pan za niego dostanie? Trzydzieści srebrników?

Po upływie czterech godzin Hallie była wciąż jeszcze taka wściekła, że miała ochotę kopać w kuchnię bosymi stopami. Zamiast tego jednakże tylko wygarnęła popiół. Wysypując czarny proszek do wiadra, co pewien czas przerywała pracę, żeby odzyskać kawałek węgla, który jeszcze nadawał się do spalania. Dookoła niej unosiła się chmura sadzy.

Mordercza praca dobrze jej zrobiła i pomogła uporać się z przygnębieniem. Wreszcie wyrzuciła wszystek popiół i wymyła brudną podłogę.

Boże, co za dzień. Zmęczona, oparła się o kuchnię i przycisnęła obolałe ramiona do zbiornika z wodą. Był wciąż gorący, dostarczyła więc mięśniom miłego ciepła. Rozkoszując się tym ciepłem, usiadła na podłodze i wyciągnęła przed siebie nogi. Przez chwilę czuła w odrętwiałych kończynach mrowienie, potem poruszyła stopami i jakoś to przeszło. Popadła w zadumę.

Tego dnia miała stanowczo za dużo przeżyć. Kiedy Bóg rozdawał ludziom rozum, musiała chyba stać w kolejce po dokładkę głupoty. Jak mogła tak się omylić w ocenie charakteru, a właściwie braku charakteru Kita? I jak mógł się omylić tata?

Ona prawdopodobnie pomyślała sercem zamiast głową, ale tata zawsze dobrze wiedział, co robi. Rzadko popełniał błędy. Tym razem jednak niewątpliwie błąd popełnił. Nie mogła pozwolić, żeby zdradziecki przyjaciel taty, Kit Howland, sprzedał „Sea Haven” na zatopienie. Statek znalazłby się w kawałkach pod stosami najrozmaitszych śmieci, gruzu i piachu. Hallie nie bardzo wiedziała, co zamiast tego zrobić ze statkiem, była jednak pewna, że coś musi zrobić. Mocniej przywarła do ciepłego zbiornika, ciężkie powieki jej opadły.

Zbudziła się bardzo gwałtownie. Wyczuła w powietrzu ostry swąd spalenizny. W pierwszej chwili pomyślała, że ma sadzę w nosie. Otarła nos jednym palcem i ponownie wciągnęła powietrze do płuc. Nie. Swąd był zbyt silny. Wyraźnie pochodził od dymu.

Hallie skoczyła do kuchennych drzwi. Szarpnięciem otworzyła je na oścież i natychmiast

doleciały ją z ulicy paniczne krzyki. W chłodnym, wieczornym powietrzu unosiła się gęsta chmura dymu. Podmuch niosący bure kłęby, żar i popiół uderzył ją w twarz. Zatrzasnęła drzwi i przytrzymując klamkę, chciała obetrzeć twarz z popiołu. Ale klamka nagle zrobiła się gorąca i zaczęła parzyć ją w palce. Hallie obróciła się ku małemu oknu, w którym zobaczyła złowrogą lunę od zachodu. San Francisco znowu stanęło w płomieniach.

Wpadła na górę i otworzyła drzwi swojej sypialni. Głośny trzask obudził Liv i Dagny. Gdy tylko Hallie krzyknęła „Pali się!”, obie zaczęły miotać się po pokoju, chwytając wszystko, co im wpadło w ręce.

- Nie ma czasu! - krzyknęła Hallie. - Bierzcie tylko buty, będą wam potrzebne. - Odwróciła się, żeby biec po chłopców, i w tej samej chwili dach domu zajął się ogniem, jakby zmiotło go tornado. Zrobiło się czerwono; pulsujący żar uderzył Hallie w twarz. Mimo to nadal biegła ku sypialni bliźniaków.

W pokoju jedna ściana już się paliła. Płomienie pełzły do góry i pochłaniały cienką ścianę, jakby była z papieru. Dym kłębił się coraz gęściej, ogarniał już duszącymi oparami dwa małe ciała, stulone w jednym łóżku. Chłopcy krzyknęli przeraźliwie, zaraz jednak ich krzyk zginął w huku płomieni i brzęku szkła.

Strach dał Hallie nadludzkie siły. Chwyciła braci pod pachy i wybiegła z płonącego pokoju na korytarz. Strop częściowo się zapadł, drogę do drugiej sypialni blokowała ziejąca czeluść. Pozostałe jeszcze deski podłogi trzaskały, farba tworzyła na nich czarne, syczące bąble, które pękały jak w piekielnym kotle ze smołą. Hallie krzykiem wzywała siostry, w duchu modląc się, by okazały dość rozsądku i w porę uciekły. Teraz nie było już sposobu, żeby dotrzeć do drugiej sypialni.

Chłopcy boleśnie zaciskali jej palce na karku, a głowy wtulali z całej siły między szyję a obojczyk. Hallie prawie nic już nie widziała. Szukając po omacku drogi na dół, uderzyła biodrem o poręcz schodów. Zatrzymała się na chwilę, by mdlejącymi ramionami trochę wygodniej chwycić chłopców. Trzymała ich tak blisko siebie, jak tylko mogła.

Stopień po stopniu zbliżała się do parteru, błagając Boga, żeby drewniana poręcz wytrzymała. W pewnej chwili uderzyła ją chmura gorącego popiołu, wdzierająca się przez otwarte drzwi. Rozżarzone węgielki paliły skórę jej i bliźniakom, chłopcy krzyczeli z bólu i przerażenia. Na szczęście poręcz nie puściła. Hallie stanęła na dole. Już myślała, że jej błaganie zostało wysłuchane, gdy coś gorącego spadło jej z tyłu na nogę. Zatoczyła się, ale na szczęście zdołała przestąpić próg. Czowała, jak płomienie wolno pełzną jej po nodze. Ból był nie do zniesienia, rzuciła się więc na ziemię. Tocząc się i próbując zdusić ogień, starała się jednocześnie nie zgnieść chłopców.

Zatrzymało ją uderzenie o twarde koło wozu. Nadal kurczowo trzymała braci przy sobie, mimo iż palący ból pożerał coraz większą część jej nogi. Ktoś chciał wyrwać jej chłopców, ale nie pozwoliła.

- Nie! O Boże, nie! - krzyknęła, zaciskając ramiona.

Ktoś próbował stłumić ogień pochłaniający jej spódnice. Po każdym uderzeniu czuła falę piekącego bólu, bo rozżarzony materiał przesuwiał jej się po gołym ciele. Miała wrażenie, że na nodze wyskakują jej pękające bąble, jakby była płonąca podłoga. Nie mogła zapanować nad szlochem. Jak przez mgłę usłyszała błagalny głos Dagny:

- Zgaś to, musisz to zgasić!

Drewniane koło przy jej skroni zawibrowało. Boże, wóz! Rozjedzie nas, pomyślała. Puściła chłopców, ale zanim zdążyła się poruszyć, wibracje stały się jeszcze silniejsze i nagle trysnął na nią potężny strumień zimnej wody.

Ułga była natychmiastowa. Ustało wściekłe palenie, strach przed rozjechaniem i troska o bezpieczeństwo siostry. Hallie wiedziała, że skoro Dagny jest przy niej, to również Liv jest cała i zdrowa. Dagny nie zostawiłaby młodszej siostry. Na wszelki wypadek jednakże przemogła ból i usiadła, żeby się o tym przekonać.

Przed nią stał jasnowłosy olbrzym, Duncan, ubrany w skórzany kombinezon ochronny strażaka ochotnika. Trzymał w dłoni zwiotczały już wąż, ciągnący się z wozu. Duggie wciąż kurczowo ścisnęła wybawiciela za ramię. Liv stała obok, trzymając jedną ręką Knuta, a drugą Gunnara. Wszyscy troje płakali.

- Hallie, nie ruszaj się. Masz poparzone nogi - ostrzegła Dagny, widząc, że siostra próbuje się podnieść. Ale z pomocą Duncana Hallie jakoś wstała.

Uściskała wielkoluda, który przyszedł jej z pomocą. Bez końca powtarzała słowa podziękowania. Duncan stał zakłopotany i wyraźnie nie wiedział, jak się zachować wobec tego wybuchu wdzięczności. Wreszcie Hallie nieco się od niego odsunęła. Natychmiast się zachwiała, dała bowiem o sobie znać poparzona noga. W tej samej chwili zabrzmiał głośny okrzyk:

- Ej, ty! Podjedź tu z tą pompą!

Duncan odwrócił się do Hallie.

- Muszę wracać. Czy pani może chodzić?

- Ma spaloną nogę - wykrzyknęła płaczliwie Duggie. - Nie możesz jej pomóc?

- Nic mi nie będzie, Duggie. Niech Duncan wraca do pracy. - Hallie poparła te słowa wymownym gestem i powiedziała stanowczo: - Musimy stąd uciekać.

Dagny spojrzała na nią powątpiewająco, ale skinęła głową. Duncan odjechał wozem. Hallie popatrzyła wzdłuż ulicy, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, usiłując zdecydować, gdzie będzie bezpieczniej.

Chociaż na północnym krańcu ogień wydawał się mniejszy, nieprzebrane tłumy zdążyły tamtędy ku wybrzeżu. Hallie zrozumiała, że skoro przebiecie się nad zatokę może być trudne, najlepiej skierować się ku wysoko położonemu, bezdrzewnemu miejscu. Najbliższym było Telegraph Hill, ale żeby się tam dostać, musieli pobiec na południe, gdzie wciąż buchał żywy ogień.

- Duggie, musisz ponieść Gunnara. Ja wezmę Knuta. Nie udało mi się zabrać ich bucików. Ty, Liv, trzymaj się mnie jak najmocniej i nie puszczaj, żeby nie wiem co się działo.

Dagny posłusznie uniosła Gunnara.

- Ale co z twoją nogą, Hallie?

- Nie martw się, nie jest tak źle. Poradzę sobie. - Bolało ją jak diabli, nie mogła jednak zepchnąć odpowiedzialności na młodszą siostrę. Jeśli miała być głową tej rodziny, musiała stać się nią od zaraz. Poza tym wiedziała, że jeśli jej noga wygląda tak, jak jej się zdaje, to nie wolno zwracać na nią uwagi i tak już przerażonych do ostateczności maluchów. Oparła sobie Knuta na biodrze i chwyciła Liv za rękę. - Bądź jak najbliżej mnie, Duggie, i trzymaj Liv za drugą rękę. Gdybyśmy się rozłączyły, spotkamy się na szczycie Telegraph Hill. Rozumiesz?

Dagny skinęła głową i wyruszyły w drogę. Im dalej były, w tym większym szły tłoku. Wozy z zapasami i powozy z dobytkiem zablokowały zadymioną ulicę. Na skrzyżowaniach ludzie wciskali się w najmniejszą przerwę w sunącym naprzód tłumie. Konie, spłoszone zapachem dymu i zgiełkiem, boczyły się i stawały dęba. Jeden z powozów przewrócił się na jakiegoś niewinnego człowieka, unieruchomionego przez tłum.

Powietrze rozdarły przenikliwe krzyki. W oddali niczym odgłos młota Thora rozległy się głuche łaskoty. To ogień napotkał na swej drodze materiały wybuchowe. Hallie z rodziną przesuwała się wraz z tłumem. Czasem udawało im się postąpić kilka metrów, innym razem ścisk robił się tak wielki, że groziło im zagniecenie na śmierć. Większość ofiar pożaru uciekła z domu bez dobytku albo z niewielkimi tobołkami, ubrana w cienkie nocne stroje. Inni pilnowali swych rzeczy, zsypanych na stertę w pobliżu, i gołymi rękami kopali w ziemi dziury, żeby ukryć kosztowności.

Hallie nieustannie urażała się w poparzoną nogę. Gdy wreszcie znaleźli się na stoku wzgórza, trochę jej ulżyło, droga pod górę sprawiała bowiem mniej bólu.

Blisko grzbietu ogień się nasilał. Płomienie strzelały wysoko w niebo. Eleganckim, dwupiętrowym budynkom zakładały niszczące, niebiesko-pomarańczowe korony. Prawie nad trzecią częścią miasta unosiła się luna. Jego serce, dzielnica handlowa, była spowita dymem i wymarła, a jej mieszkańcy, wśród których znajdowali się również Fredriksenowie, szukali ocalenia na podmokłych lub niedostępnych dla ognia terenach.

Gdy Hallie z dziećmi dotarła wreszcie do ogrodzenia wieży sygnalizacyjnej, zastała tam wolontariuszy, rozdzielających koce i udzielających pierwszej pomocy poszkodowanym. Część wzgórza wygradzono linami i urządzono tam prowizoryczny szpital. Dagny uparła się, żeby Hallie poszła pokazać lekarzowi nogę. Poszli więc wszyscy razem.

Bliźniacy mieli niewielkie oparzeliny na policzkach. Liv i Dagny były czarne od sadzy,

natomiast Hallie, podobnie jak bliźniacy, miała poparzoną skórę. Pojawiało się na niej coraz więcej bąbli. Wszyscy ustawili się więc w kolejce po pomoc. Gdy wreszcie dotarli do namiotu, anioł miłosierdzia przybrał postać Agnes Treadwell.

- Jejku, popatrzcie tylko, jak wy wyglądacie. - Agnes zagarnęła całą gromadkę do środka i przyprowadziła do stolika w pobliżu wejścia. Z masztu podtrzymującego dach namiotu zwisały dwie lampy. Ich migotliwe światło tworzyło w okolicy masztu nieco jaśniejszy krąg. W powietrzu unosił się przykry zapach środków odkażających; wolontariusze uwijali się przy ofiarach pożaru wszędzie, gdzie tylko było trochę wolnej przestrzeni. Mimo tłoku w namiocie Hallie dostrzegła ruch cieni w jasno oświetlonym miejscu, wydzielonym prześcieradłami. Zza płótna dolatywały bolesne jęki i szlochy, znacznie głośniejsze niż gwar na zewnątrz namiotu. Gdy rozbrzmiał wyjątkowo głośny krzyk, bliźniacy natychmiast przytulili się do Hallie. Knut niechcący uraził ją przy tym w nogę. Hallie syknęła z bólu.

Agnes była za bardzo zajęta płukaniem szmat w wiadrze z wodą, by zwrócić uwagę na jej reakcję.

- Daj tu maluchy, opatrzę im oparzenia - powiedziała. Wyżeła płótno i podeszła do Knuta.

Zerknął na nią nieufnie.

- Nie zrobisz mi krzywdy, prawda?

Agnes przystanąła.

- Naturalnie, że nie. Muszę tylko zmyć z was sadzę, a potem odkazić te bąble.

Hallie wstrzymała dech, wiedziała bowiem, że bliźniacy są bardzo mało odporni na ból. Ale Agnes miała więcej doświadczenia w obchodzeniu się z czteroletnimi chłopcami, niż przypuszczała Hallie. Wzięła duży, brązowy flakon i wylała z niego trochę płynu na czyste płótno.

- Teraz uwaga, kochanie, to może być trochę kłujące, ale...

- Co to znaczy kłujące? - spytał Knut.

- Pszczoły kłują, ty głąbie - poinformował go Gunnar. - I to bardzo boli.

Zaczęła się kłótnia.

Hallie stanęła tak, żeby nie opierać ciężaru ciała na chorej nodze. Dagny musiała to zauważyć. Dźgnęła siostrę łokciem.

- Każ najpierw opatrzyć swoją nogę - szepnęła. - Chłopcy nie są mocno poparzeni, a będą się szarpać z panią Treadwell Bóg wie jak długo, bo myślą, że im to ujdzie na sucho.

- Cicho! Moja noga później! - zaprotestowała Hallie. Wcale nie miała większej ochoty niż chłopcy na opatrywanie rany.

Dagny podniosła głowę i wyraźnie zamierzała powiedzieć jej coś do słuchu, ale nie zdążyła. Liv, wcielenie niewinności i dobroci, podeszła do żony pastora.

- Pani Treadwell, Hallie jest poparzona. Dużo bardziej niż moi bracia. Proszę, niech jej pani pomoże. - Ten pełen wdzięku apel zwrócił uwagę pastorowej. Liv wskazała na nogę Hallie.

- Boże Wszechmogący! Czemuś wcześniej nic nie powiedziała, dziewczyno? Daj, niech to obejrzę. - Wzięła lampę z masztu i pochyliła się, żeby dokładniej zbadać ranę. - Niedobrze. Usiądź tutaj, a ja zawołam doktora.

Hallie pogodziła się z losem i usiadła na stoliku. Prawdę mówiąc, bardzo uspokoiło to pulsujący ból w poparzonej nodze. Cztery niespokojne, umorusane twarze patrzyły na skórę pod kolanem Hallie. Dagny wydawała się głęboko zatroskana, Liv miała buzię koloru zupy z zielonego groszku, a bliźniacy wykazywali duże zainteresowanie.

- Hallie? - szepnął Knut.

- Mhm?

- Czy to... jest kłujące?

- Nie, kochanie. Zresztą wiesz przecież, że klucie to nic takiego złego. To jest trochę tak, jakby odrobinę za mocno łaskotać. - Sama pierwszy raz spojrzała na oparzelinę. Wyglądała okropnie. Na pobielącej skórze zrobiły się niezliczone bąble z wodą. Brzegi przypalonej połaci skóry wyglądały jak czarna skorupa; między nimi sączyły się krew i ropa. Dziwny był to widok. Hallie miała wrażenie, że patrzy na cudzą ranę i sama niczego nie czuje.

- Ojejku, a cóż to takiego, moja panno? - Przejęty mężczyzna pochylił się nad oparzeliną. Spozregł wystraszone twarze dookoła. - Jeśli wyżej ta rana wygląda podobnie jak pod kolanem, to powinniśmy panią zabrać na zaplecze. - Pomógł Hallie zejść ze stolika i odprowadził ją w głąb

namiotu.

Wzdłuż ściany namiotu stały prycze, zajęte przez bardziej poszkodowane ofiary pożaru. Wolontariuszki moczyły kawałki płótna w mleku i zwilżały nimi poparzenia. Przez woń środków odkażających przebijał tu odór spalonego ciała. Lekarz zaprowadził Hallie do wygradzonego stołu i pomógł jej się na niego wspiąć.

- Proszę się położyć na brzuchu, obejrzę ranę.

Hallie w milczeniu czekała, aż doktor oczyści oparzelinę i przekłuje nabrzmiewające bąble.

- Jeszcze tylko chwila. Bardzo jest pani dzielna. Dzielniejsza niż większość mężczyzn, którzy tu byli. Muszę jeszcze nałożyć na oparzelinę maść i owinać wszystko czystym płótnem. - Podeszedł do szczytu stołu, a Hallie otarła łzy, które zbierały jej się w kącikach oczu.

Lekarz uśmiechnął się do niej ciepło i poklepał ją po dłoni.

- Po zagojeniu będzie pani miała bliznę - powiedział. Skinęła głową. - Ale nie ma się czym martwić, moja miła. Taka ładna panna nie musi przejmować się głupią blizną. Zresztą będzie ją oglądał tylko pani mąż. Na razie trzeba zmieniać opatrunek co kilka godzin, mniej więcej po dwudziestu czterech godzinach wystarczy już tylko dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Bąble, które będą się robić, trzeba przekłuwać i smarować tą maścią. Gdy spalona skóra się złuszczy, może pani przestać bandażować nogę, ale gojącą się ranę nadal trzeba smarować maścią, żeby nie pękała skóra. Przez pewien czas będzie okropnie swędziało, ale to minie.

Dokończył swoich zabiegów i pomógł jej wstać.

- Poparzenia na twarzy może pani smarować tą samą maścią. No, i w razie gdyby pojawiły się jakiegokolwiek ślady infekcji, proszę natychmiast do mnie przyjść. Mieszkam w Brannan Building na drugim piętrze. Trzeba pytać o doktora Jima.

Przy wejściu czekała na Hallie pani pastorowa. Podeszła do niej zmęczonym krokiem.

- W porządku, moja droga? Usadziłam twoją rodzinę tu w pobliżu, na wzgórzu. Jak noga? Potrzebujesz jakiejś pomocy?

- Nie, tylko jestem bardzo zmęczona. Jak spisali się chłopcy? Nie sprawili pani kłopotów?

- A skąd! Całej czwórce urządziliśmy spanie na miejscu. Już cię do nich prowadzę. - Agnes ruszyła wąskim przejściem w tłumie bezdomnych ludzi, którzy obsiedli niższe partie zbocza Telegraph Hill.

Zatrzymała się przy zaspanej gromadce, skulonej niedaleko wejścia na teren wieży sygnalizacyjnej. Dostali górę koców i poduszek, niewątpliwie dzięki pomocy Agnes.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziała Hallie. - Oni mieli dzisiaj bardzo ciężki dzień.

- Nie dziękuj, moja droga. To wszystko jest straszne. Wielebnemu i mnie spaliły się plebania, kościół i szkoła. Dziś zostaniemy tutaj, na wzgórzu, a od jutra zamieszkamy u mojej siostry, póki nie odbudujemy domu. - Agnes położyła swą małą dłoń na ramieniu Hallie. - Okropnie mi przykro, że nie możemy zaproponować wam w tej chwili żadnego miejsca do zamieszkania.

- Proszę się o nas nie martwić. Jestem pewna, że znajdziemy sobie miejsce bez trudności. - Hallie wiedziała, że w takiej sytuacji drobne kłamstwo ułatwia życie wszystkim zainteresowanym. Mimo to przez chwilę zastanawiała się, czy okłamywanie żony pastora nie jest szczególnie ciężkim grzechem. - Mamy gdzie zamieszkać. Mój ojciec uczynił pana Howlanda naszym prawnym opiekunem, więc pan Howland na pewno znajdzie nam dach nad głową. Jak dwa razy dwa jest pięć.

Agnes odetchnęła z ulgą.

- Och, to jest bardzo uczciwy człowiek. Wielebny na pewno ucieszy się z tej wiadomości tak samo jak ja. A na razie uważajcie na siebie. Będziemy się dowiadywać, co u was słychać. - Zaczęła się oddalać, ale po chwili przystanęła i odwróciła się do Hallie: - Przekaż panu Howlandowi wyrazy naszego szacunku.

Przyda mu się czyjś szacunek, pomyślała gniewnie Hallie. Kit Howland byłby ostatnią osobą, do której by się zwróciła o pomoc. Bolesne pulsowanie pod bandażem odwróciło jednak jej uwagę od tej myśli. Powoli ułożyła się przy swoim wymęczonym rodzeństwie i ostrożnie wyciągnęła przed siebie nogę. Znów pochłonęły ją rozmyślenia o Kicie Howlandzie.

Gdy tylko przypominało jej się, że chciał sprzedać „Sea Haven” na zatopienie, wpadała we wściekłość. Wiedziała też, że trzeba go jakoś powstrzymać... Przekręciła się na wznak, zmęczenie bowiem nie pozwalało jej zasnąć.

Gdzieś musieli zamieszkać, ale spoglądając na setki okutanych w koce postaci, Hallie rozumiała, że znalezienie miejsca nie będzie łatwe. Część miasta żarzyła się jeszcze jak węgle pod kuchnią, tu i ówdzie wciąż strzelały płomienie.

Widok ze wzgórza był rozległy, Hallie mogła więc obserwować ogień posuwający się w stronę zatoki. Przy samym brzegu dym wzbijał się w górę, zasnuwał port i zasłaniał gwiazdy. Hallie widziała w jego kłębach sylwetki porzuconych statków. Były stłoczone jak śledzie w beczce, a ich maszty zgodnie wskazywały niebo. Gdzieś w tym lesie masztów był także „Sea Haven”, czekający, aż dopełni się jego los.

Mamy w sobie coś podobnego, my i ten statek, pomyślała.

Ojej, co za wspaniały pomysł! Przeniosą się na pokład „Sea Haven”. Będą wygodnie mieszkać, a Kit nie sprzeda statku. Bądź co bądź, kto użytkuje, ten posiada. A nawet gdyby prawo stanowiło inaczej, to nie szkodzi. W ten sposób mogła mieć na oku i statek, i zdradzieckiego niby przyjaciela taty.

Pierwszy raz od paru dni Hallie uśmiechnęła się ze szczerą satysfakcją. Nawet zachichotała. Jednak nie okłamała Agnes Treadwell. Kit istotnie zapewni im dach nad głową. Otuliła się kocami i zamknęła oczy, wreszcie uspokojona. Haldis Fredriksen obmyśliła następny niezawodny plan.

- Wszystko pójdzie z dymem! - krzyknął Kit, gdy kolejna ściana magazynu DeWitta zajęła się ogniem. Przebiegł obok brygady ludzi z wiadrami do miejsca, gdzie Lee Prescott i jego podkomendni gorączkowo usiłowali uzdatnić zaciętą pompę. Obaj napaarli na ramię, ale nic się nie stało. Lee wskoczył na pokrywę urządzenia i otworzył obudowę. Kit tymczasem oparł but na wozie, żeby przedłużyć dźwignię i z całej siły spróbował jeszcze raz pocisnąć. - Co się z nią stało?

- Nie wiem - odkrzyknął Lee i wychylił się, żeby pogrzebać w mechanizmie.

Kit wsunął się między wóz i ceglana ścianę i mocno kopnął w ramię pompy. Udało mu się ją uruchomić, ale z węża nie pociekła ani kropla wody. Lee zeskoczył z obudowy i wzdłuż węża doszedł aż do zbiornika koło przystani. Złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Zbiornik jest pusty! - Wskazał dłonią ku zatoce. - To przez odpływ.

Kilku mężczyzn pobiegło na brzeg i zaczęło przelewać cofającą się wodę do zbiornika, ale Kit wiedział, że na nic się to nie zda. Zanim zdążą wiadrami napełnić ten zbiornik, spłonie całe miasto, szczególnie podczas odpływu.

- Jasna cholera, Lee! Co mam zrobić? - Kit bezradnie pokręcił głową. - To nie ma sensu. Sam popatrz! - Mężczyźni lali wiadrami słoną wodę na rozszalałe płomienie. Woda nie tłumila jednak ognia, zamieniała się bowiem natychmiast w kłęby pary, które z sykiem ulatywały pod niebo wraz z duszącym dymem.

Ogień przerzucił się na sąsiedni, ceglany budynek. Ten powinien wprawdzie być ognioodporny, ale metalowe drzwi i okiennice rozżarzyły się do czerwoności i w parę minut stopniały, a ściany pękły jak wyschnięty chleb.

- Może uda nam się wytoczyć część baryłek przez drzwi od strony przystani - zaproponował Lee.

Kit pokręcił głową.

- Nie ma sposobu, żeby się do nich dostać. Pomosty i nabrzeże są porąbane, żeby ogień nie przeniósł się na statki. Na tych dwóch barkach przy końcu pomostu jest amunicja i proch.

Wiatr zadął ze zdwojoną siłą. Płomienie skoczyły, jakby podsycano je wielkimi miechami. Kit musiał podejść bliżej do przyjaciela, żeby zrozumieć, co ten do niego krzyczy.

- Gdzie jest tłuszcz?

- Tam, w głębi. - Kit wskazał ścianę ognia.

- Jezu! A co z kością wielorybią?

- Magazynier gdzieś ją wsadził. Może być wszędzie. - Kit był już bliski rezygnacji. W ostatnim przejawie energii odszukał magazyniera, który, jak się okazało, przelewał wiadrzem wodę do płytkiego zbiornika. - Nazywam się Howland. Gdzie jest kość wielorybia z ładunku „Sea Haven”?

- Po stronie pomostu, za baryłkami z octem.

- Z octem? Jakim octem? - spytał Kit.

- Przy wejściu mamy na składzie osiemdziesiąt tysięcy galonów octu.

- Chryste, człowieku! Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałeś?! - Kit rzucił się z powrotem do pompy, po drodze wykrzykując polecenia. Zlikwidował ciąg ludzi z wiadrami i kazał im przetaczać baryłki z octem, żeby napełnić nim zbiornik. Lee zaczął pompować, a Kit i kilku pomocników skierowali wąż na płomień.

W powietrzu uniósł się ostry zapach, znacznie gorszy niż smród dymu. Ogień zaczął przygasać, lecz nagle rozległ się potężny huk i płomień wystrzelił na pięć metrów w górę. Wiatr jeszcze je podsycał, dookoła zrobiło się jasno jak w dzień. Połowa magazynu paliła się niczym pochodnia, a wraz z nią przepadł cały wielorybi tłuszcz Jana Fredriksena.

W oddali rozległ się wybuch. Grzmiący odgłos przetoczył się nad zatoką. Fale kołysały jednym z wielu opuszczonych statków, maszty trzeszczały od podmuchów porywistego wiatru. Abner zbudził się w jakimś ohydnie wilgotnym i zimnym miejscu.

Zobaczył nad sobą stare, najeżone drzazgami drewno koi. Usiadł, przetarł oczy zdrętwiałymi palcami i rozejrzał się po pomieszczeniu. Pozostałe koje były puste, tylko stara Chinka siedziała oparta o bims. Kołysała się w tym samym rytmie co statek i przesuwała coś w długich, szponiastych palcach. Obok niej w kwadratowych, brunatnych cegiełkach leżało opium, przypominające z wyglądu glinę. Stara kobieta brała z kostki po małym kawałeczku i skręcała każdy w palcach w kulkę wielkości oliwki. Czarne kulki odkładała do trzcinowego koszyka.

Abner wstał, choć musiał przytrzymać się górnej koi.

- Gdzie ja jestem?

Kobieta skręciła w palcach następną kulkę.

- Odpowiedz mi! Czy jesteśmy na morzu? - W piskliwym głosie Abnera słychać było panikę.

Kobieta kiwała się do przodu i do tyłu, jakby była umyślowo chora. Nie przestawała przy tym wprawnie przebierać palcami. Po chwili zwróciła ku Abnerowi zapadłe, zmatowiałe oczy. Przez kilka sekund patrzyła na niego bez wyrazu, po czym wróciła do poprzedniego zajęcia.

Boże, która to godzina? Abner próbował wymacać kieszonkowy zegarek, ale nie było go na miejscu. Złoto! Wszystkie wygrane pieniądze! Zaczął gorączkowo obszukiwać kieszenie, a potem zrywać z koi zapleśniałe płótno. Pieniądzy nie było.

Miał miękkie nogi. Odwrócił się słysząc, że ktoś schodzi. Po schodkach prowadzących pod pokład przydreptał Chi Ho. Abner chwycił Chińczyka za jedwabną bluzę i z siłą, którą dał mu narkotyk, cisnął go na pustą koję.

- Kradniesz, ty mały sukinsynu! - Zacisnął dłonie na szyi Chińczyka, kciukami ucisnął grdykę. Z ust zaatakowanego dobył się niezrozumiały charkot. Długie paznokcie wbiły się w nadgarstki Abnera i nagle Chińczyk w niewytłumaczalny sposób wyciągnął spod ubrania jedwabny woreczek. Abner przestał dusić Chi Ho, wyrwał mu woreczek, szarpnął za tasiemki i wysypał zawartość na koję. Na płaską powierzchnię upadły sakiewka ze złotem, zegarek, parę monet i klucz od domu, czyli cały dobytek Abnera.

- Chciałeś zabić Chi Ho! - Chińczyk skulił się przy deskach kadłuba statku. - Ja trzymałem dla ciebie bezpieczne. Ja nie mały sukinsyn, nie kradnę! - Odwrócił się i wskazał koje w głębi pomieszczenia. Trzy z czterech były zajęte. Jeden człowiek przebudził się i obrócił swą niewidoczną twarz w ich stronę, a potem przyzwał gestem starą kobietę. Ramię miał długie i brudne. - Oni ukradną, jak Chi Ho nie trzyma.

Abner zobaczył, że kobieta bierze pudełko z hubką i krzesiwem i podchodzi do leżącego mężczyzny. Ujęła nasadzoną na szpikulec kulkę opium i zapaliwszy, pottrzymała w dłoni, póki dym nie zaczął unosić się nieprzerwaną smugą. Wtedy przysunęła do koi drewnianą skrzynkę, stanęła na niej i zaczęła przesuwać kulkę opium tam i z powrotem pod nosem mężczyzny. Po wąskim pomieszczeniu rozszedł się słodkawy, gryzący zapach. Chi Ho pociągnął Abnera za marynarkę.

- Rozumiesz? Chi Ho nie kradnie! Chi Ho pomaga! Rozumiesz?

- Tak, tak. - Abner odepchnął od siebie natrętne dłonie Chińczyka i zaczął ładować dobytek do kieszeni. Zważył w dłoni sakiewkę ze złotem. Ale że nie miał pojęcia, ile ważyła przedtem, zrezygnował ze sprawdzania zawartości i otworzył kopertę zegarka. Dochodziła piąta rano.

Musiał wrócić do domu przed zachodem słońca, żeby zapłacić tym przeklętym bandziorem. Schował zegarek, po schodkach doszedł do kabin na rufie, pokonał jeszcze kilka stopni i znalazł się na pokładzie.

Otaczał go szary, ponury świt.

Na uginających się nogach Abner doszedł do relingu i strwożony spojrzął na ciągnący się przed nim widok. W świetle wschodzącego słońca okoliczne wzgórza rzucały na miasto rozżarzone cienie. Serce San Francisco padło łupem ognia.

Coś uderzało rytmicznie w lewą burtę statku. Zwróciło to uwagę Abnera. Okazało się, że do drabinki jest przywiązana mała łódka. Wkrótce Abner zajął miejsce w kołysanej falami łupinie, chwycił za wiosła i pokonał kilkaset jardów dzielące go od stałego lądu.

Po dziesięciu minutach dotarł do zrujnowanego placu za swym domem. Tłumek ludzi przepychał się pod strzeżoną barierą. Inni chodzili w kółko, jakby nie mieli dokąd iść. Abner utorował sobie łokciami drogę do bariery i zaczął się na nią wspinać.

- Hej! Co ty wyrabiasz?! - Osiłkowaty strażnik chwycił Abnera za ramię i zamachał mu pistoletem przed nosem.

- Jestem Abner Brown, przedsiębiorca pogrzebowy. Mieszkam tutaj i muszę wrócić do domu!

- Próbował się wyrwać, ale strażnik trzymał go mocno.

- Mam swoje rozkazy. W nocy nieraz chcieli tu rabować. Możesz jakoś dowieść, kim jesteś?

- Znajdź szeryfa Hayesa albo kogoś z jego ludzi. Każdy mnie pozna. Pośpiesz się!

W tej chwili ze wzgórza zjechał ku barierze wóz strażacki. Na koźle siedział Duncan.

Abner chwycił strażnika za ramię i wskazał olbrzymia.

- O, tam! Ten człowiek może potwierdzić, kim jestem. Duncan!

Duncan zatrzymał wóz i wolno zsiadł na ziemię. Strażnik zaczął coś mówić, ale Abner mu przerwał.

- Duncan, powiedz mi, kim jestem! Nie chce mnie przepuścić!

- Jest tak, jak mówi - oznajmił Duncan. - Zakład pogrzebowy jest zaraz za tym placem.

Strażnik puścił Abnera, który podbiegł do wozu.

- Dalej, Duncan, dowiesz mnie tam szybciej! - Wskoczył na miejsce obok olbrzymia i zaczął go poganiać.

Minęli kilka przecznic. Cały teren był jednym wielkim pogorzeliem. Gdy stanęli przed zgliszczami domu Abnera, przedsiębiorca doznał wstrząsu. Zupełnie nie był przygotowany na taki widok. Wszystkie ściany runęły. Zostały tylko kolumny i sterty poczeriałego drewna. Zeskoczył na ziemię i zaczął się przemieszczać wśród gruzów drogą, którą kiedyś biegł drewniany chodnik, równoległy do gwarnej ulicy. Kopnął w jakąś nadpaloną belkę - osunęła się na ziemię. Skorupy wazy, odziedziczonej po matce, były przemieszane z żarzącymi się jeszcze pozostałościami jego imponującego biurka, po którym niedawno przejechał palcem ten przeklęty bandzior. Zakręciło mu się w głowie, żołądek podszedł do gardła i Abner stracił panowanie nad sobą.

W pobliżu dawnej frontowej ściany domu stał Duncan. Przedsiębiorca schylił się, zebrał kawałki rozbitej wazy i zaczął nimi ciskać, celując we współczującą twarz olbrzymia. Czuł, że od widoku tej głupiej gęby robi mu się niedobrze.

- Wynoś się! Wynoś! - zapiał histerycznie. - Ty tępy, bezmyślny sukinsynu! Nie potrzebuję cię! - Opadł na kolana i zagarnął następną porcję amunicji. Teraz rzucał już gdzie popadnie. - Przepadło... wszystko przepadło! - Głos mu się załamał.

Chwycił poczerniałą metalową kasetkę, wciąż jeszcze rozgrzaną. Zasyczała mu w dłoni, ale jej nie puścił. Przeciwnie, zamknął na niej dłoń jeszcze mocniej i zazgrzytał zębami tak, że aż zatrzęsała mu się głowa. Zaciśnął powieki. Z kącików oczu popłynęły mu łzy. Wreszcie puścił parzącą kasetkę i wlepił wzrok w dłoń. Rozgrzane rogi kasetki zostawiły mu na skórze czarne znamiona w kształcie litery V. Jak dziury po gwoździach na ciele Chrystusa, pomyślał. Odrzucił głowę do tyłu i wydał przeszywający, przepojony bólem okrzyk, wraz z którym uleciała jego dusza. Umysł Abnera Browna nieodwracalnie stracił kontakt z rzeczywistością.

- Co za noc! - Lee siedział na pustej baryłce po occie i wycierał czarne od sadzy ręce w bardzo brudne spodnie.

Kit, umazany wcale nie mniej, oparł się o piastę koła od wozu i spojrzął na stojącą jeszcze połowę magazynu De Witta. Reszta, w której znajdował się jego ładunek, przestała istnieć.

- Wszystko diabli wzięli, Lee.

- Wiem, to okropne, ale nic nie mogliśmy na to poradzić. Kit, nie myśl, że w czymś zawiniłeś, bo tak nie jest.

- Nieprawda. Gdybym się nie uparł, żeby naciągnąć Tabera, dawno sprzedałbym ładunek Jana komu innemu. - Kit odwrócił się do przyjaciela. - Sam kwestionowałeś mój wybór kupca, pamiętasz?

- Nie chciałem wcale...

- Wiem, że nie chciałeś krytykować. Nie musisz się bronić. Jeszcze tego brakowało, żebyś i ty się dręczył wyrzutami sumienia. Sam o wszystkim decydowałem. Ale miałeś rację. Chciałem się zemścić. Tak bardzo mi na tym zależało, że naraziłem ładunek Jana i przyszłość jego dzieci. - Kit odchylił głowę do tyłu i spojrzął w niebo. - Boże, ale ze mnie osioł. Jak pomyślę o tym, że tak poganiałem załogę, z wyładunkiem... Jezu! - Pokręcił głową. - O której wybuchł pożar?

- Około północy.

- Dwie godziny. Skończyli wyładunek głupie dwie godziny wcześniej. Gdybym poczekał z tym do jutra, drugi ładunek byłby uratowany.

- Posłuchaj, Kit. Wiem, że czujesz się w tej chwili paskudnie, ale nadal masz do sprzedania mój ładunek, trzy razy większy od tego, który był na „Sea Haven”. Możesz go zaproponować Taberowi i będziesz miał swój zysk.

- A co z Hallie?! - burknął Kit. Był zmęczony i przybity, ale przede wszystkim wściekły na siebie, więc wyładował się na człowieku, którego akurat miał pod ręką, na swoim najlepszym przyjacielu.

Lee spojrzął na niego zaskoczony. Zrobił groźną minę. Kit natychmiast pożałował swego wybuchu. Mógł go złożyć na karb zmęczenia, ale to i tak nie usprawiedliwiałoby napaści na Lee. Zanim jednak zdążył wystąpić z przeprosinami, Lee powiedział:

- Nie zapomniałem o Hallie. - Spojrzął na Kita i dodał z naciskiem. - Ani o jej rodzeństwie.

Kit zacisnął zęby. Najchętniej odgryzłby sobie język.

- Jeśli Taber rzeczywiście płaci tyle, ile mówisz, to na moim ładunku zarobisz krocie. Będziesz miał pieniądze i dla siebie, i dla nich. - Mina Lee nie była już kwaśna, lecz zatroskana. - A może coś przede mną ukrywasz? Jeśli potrzebujesz pieniędzy albo wpadłeś w kłopoty, to powiedz, pomogę ci.

- Nie, nie o to chodzi. Za pieniądze z ładunku Jana mógłbym zbudować własny magazyn i jeszcze żyć jak basza. Za twój ładunek dostanę dużo więcej. - Kit nie ukrywał niesmaku. Zaczął się przechadzać, rozcierając dłonią kark. - Rzecz w tym, że teraz wszystko jest inaczej. Czuję się jeszcze bardziej odpowiedzialny za nich niż przedtem. Tłumaczę sobie, że masz rację, że mógłbym po prostu zapewnić im pieniądze i od czasu do czasu sprawdzić, co u nich słychać. Na tym kończyłaby się moja rola. Ale ja tak nie mogę.

- Czy te twoje wahania mają coś wspólnego z Hallie?

Kit przystanął.

- Powinieneś być adwokatem, a nie wielorybnikiem. Umiesz trafić pytaniem w samo sedno.

- Nie odpowiedziałeś mi.

- No, więc dobrze. Mają wiele wspólnego z Hallie. Kiedy poszedłem do niej po pogrzebie, płakała tak, że krajało mi się serce. Żal mi się jej zrobiło. Powiedziałem, że zaopiekuję się dziećmi. Ona koniecznie chce wszystko robić sama, więc... - Powiedziawszy tyle, Kit poczuł nagle, że musi usprawiedliwić swoje postępowanie. - No, jestem to winien Janowi. A poza tym przekonałem się już, że ona jest zupełnie niepoważna. - Urwał w obawie, że zaraz wkroczy na zakazane tereny i chłapnie coś o swych mniej ojcowskich uczuciach do Hallie. Nie śpieszyło mu się też, by przyznać przed Lee, że grubo pomylił się w ocenie tego, jak Hallie zareaguje na wiadomość o sprzedaży „Sea Haven”. Przyjaciel niewątpliwie spojrzalby na niego wymownie, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”, i wtedy Kitowi trudno byłoby zapanować nad pięściami. Poza tym czuł się śmiertelnie zmęczony, a czekała go jeszcze rozmowa z Hallie, tym diabełkiem wcielonym.

Spojrzał na Lee.

- Powinienem zobaczyć, jak sobie radzą Fredriksenowie. Chcesz iść ze mną?

- Nie. Jestem głodny.

Kit zachichotał.

- Jakżeby inaczej.

Lee też się uśmiechnął.

- Wracam na statek. - Wstał i przyjrzał się swojemu zasmolonemu odzieniu. - Muszę się trochę wyczyścić.

Tak więc przyjaciele się rozstali. Lee poszedł w stronę zatoki, natomiast Kit ruszył ulicą z nadzieją znalezienia jakiejś stajni. Ale ta, z której zwykle korzystał, już nie istniała, a w najbliższym otoczeniu też były same zgliszcza.

Ludzie przewalali gruz, próbując cokolwiek ocalić. Przejechało kilka wozów, na których wywożono góry spalonych resztek. Pojawiły się również liczne wozy ze świeżym drewnem i cegłami. Jeszcze nie opadł dym, a już odbudowywano dzielnicę.

Wydawało się to dość naturalne, jako że mieszkańcy San Francisco przeżyli właśnie piąty wielki pożar w ciągu dwóch lat. Zdobyli już konieczne doświadczenia i teraz miasto odradzało się jak Feniks z popiołów, by stać się jeszcze większe i piękniejsze. Kit, który spędził całą noc na gaszeniu magazynu, nie miał dotąd czasu oszacować zniszczeń, ale widząc je na własne oczy, musiał przyznać, że widok jest przerażający. Z liczby mijających go wozów zaprzęzonych w konie wywnioskował, że szansa pozyczenia jakiegokolwiek szkapy jest bliska zeru. Wyglądało na to, że wszystkie zwierzęta pociągowe zaprzęgnięto do pracy przy odbudowie.

W kwadrans później skręcił za róg Serra Street. Budynki były tu spalone do tego stopnia, że w okolicy nie pozostała ani jedna ściana, czy to drewniana, czy to z cegły. Kit zbliżał się do domu Hallie, a obraz wcale nie zmieniał się na lepsze. Wcześniej założył, że Fredriksenom nic się nie stało, gdyż do dzielnicy Happy Valley ogień nigdy jeszcze się nie wdarł. Nagle jednak przyszło mu do głowy, że Hallie i dzieciaki wcale nie muszą być w bezpiecznym miejscu. Raptownie przyspieszył kroku, prawie biegł. Raz po raz stawały mu na drodze wozy, musiał więc przeciskać się między nimi. Wreszcie przystanął przed czarną stertą, która kiedyś była domem Jana.

Patrząc na te zgliszcza, poczuł ściskanie w żołądku. Poblady, odwrócił się ku rzece wozów. Po drugiej stronie ulicy grupa młodych ludzi przekopywała ruiny ceglanego budynku.

- Jeszcze dwoje! - zawołał jeden z nich.

Zaczął ostrożniej odgarniać gruz, odsłaniając dwa ciała ofiar pożaru. Kitowi pot wystąpił na czoło. Bał się spytać, choć wiedział, że musi. Podszedł więc do wozu, nad którym mężczyzna rozpiął płótno.

- Czy te zgliszcza są już przeszukane? - spytał, wskazując pozostałości domu Hallie.

Mężczyzna przelotnie zerknął na niego.

- Nie, tym się udało. Zdążyli uciec.

- Dzięki Bogu. - Kit odetchnął z ulgą. Rzecz jasna, musiał jeszcze ich znaleźć. - Nie wie pan, dokąd poszli?

- Stałem na ulicy i próbowałem gasić ogień, jak wybiegli z domu. - Poprawił węzły na linach.

- Taka wysoka blondynka paliła się żywcem. Myślałem, że już po niej. Ktoś krzyczał, żeby gasić, a kiedy znowu spojrzałem w tamtą stronę... - odwrócił się do rozmówcy - to już nikogo nie było.

- Podrapał się w głowę i dokładnie przyjrzał się miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał Kit. Potem wzruszył ramionami i znów wziął się do pracy.

Kit tymczasem pędził stromą ulicą, raz po raz zatrzymując się, żeby spytać, czy ktoś nie widział Fredriksenów.

W pięć godzin później nadal jeszcze niczego nie wiedział. Odwiedził trzy zaimprovizowane schroniska i wszystkie możliwe szpitale, które udało mu się znaleźć, ale nie zdobył żadnych informacji. Większość ewentualnych znajomych Hallie i dzieci uciekła gdzieś przed pożarem. O schronisku na Telegraph Hill ktoś powiedział mu, że jeszcze przed południem je zlikwidowano. Postanowił sprawdzić to później, najpierw zaś poszedł pod sklep Oatta z nadzieją, że może Fredriksenowie akurat kupują tam ubrania albo żywność.

Na miejscu zastał jednak tylko kolejkę. Sklep wyglądał jak urząd pocztowy na Pike Street w dzień zawinięcia parowca pocztowego do portu. Mężczyźni stali w bieliźnie, na bosaka, owinięci kocami lub płaszczami, natomiast kobiety, ubrane w najróżniejsze nocne stroje, próbowały jak

najdokładniej się otulić, czym tylko mogły. Z pobliskiego przejścia między budynkami sprzedawca wytoczył wózek pełen ubrań i ofiary pożaru rzuciły się, by wybrać z nie posegregowanej sterty coś dla siebie.

Kit wszedł w wąskie przejście, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Przez boczne drzwi wślizgnął się do sklepu. Zaplecze wyglądało jak splądrowane. Wszędzie leżały poprzewracane kufry, pudła i paki. Przebił się przez ten bałagan do zasłoniętego kotarą przejścia i zerknął przez szparę. We wnętrzu sklepu panował absolutny chaos. Co najmniej pięćdziesiąt osób tłoczyło się w małym pomieszczeniu, a towary fruwały w powietrzu jak puch w dzień skubania gęsi.

W przejściu ukazał się zatroskany, łysy człowieczek. Przystanął spłoszony, poznawszy Kita, natychmiast się jednak uspokoił. Twarz mu pojaśniała.

- Aleś mnie przestraszył! Co ty tu robisz? Jak widzisz, niewiele już zostało.

- Przykro mi, Charles, ale co do mnie, potrzebuję tylko informacji. Czy był u ciebie ktoś z Fredriksenów? Spalił im się dom i nie mogę ich znaleźć. Słyszałem, że Hallie, najstarsza z rodzeństwa, jest ranna.

- Byli tu wcześniej, kupili parę rzeczy i złożyli większe zamówienie, które mam dostarczyć, jak tylko będzie to możliwe. Panna Fredriksen trzymała się na moje oko całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. No, a wyglądali podobnie jak wszyscy. Byli na wpół ubrani i umorusani sadzą, ale nic strasznego im się nie stało.

- Dziękuję Bogu - mruknął Kit. - Gdzie się zatrzymali?

- Na statku ojca, „Sea Haven”. Mam dostarczyć towary na wschodni kraniec Broadway Wharf.

„Sea Haven”. Naturalnie!

- Dziękuję ci, Charles. Aha, od tej pory ja przejmuję ich sprawy. Słyszałeś, że Jan nie wrócił z ostatniego rejsu?

- Nie. Ale szkoda go, to był porządny człowiek. - Charles Oatt odepchnął się od futryny i pokręcił głową. - Niezła gromadka. Nie zazdroścę ci. - Drgnął niespokojnie, gdy zgiełk w przyległym pomieszczeniu stał się o oktawę wyższy. Zerknął za kotarę po części z lękiem, a po części z niesmakiem. - Muszę tam wracać. Potrzebujesz czegoś?

Kit pokręcił głową.

- Nie.

- To dobrze, bo nie wiem, skąd bym to wziął. - Podszedł do bocznych drzwi i otworzył je. - Zasunę za tobą rygiel. Niech Bóg broni, żeby ta horda dostała się do środka jeszcze tędy. Zdemolowałyby mi cały sklep.

Kit wrócił na ulicę. Sklepiarz uciszył jego niepokój. Hallie i dzieciaki przeżyli, w dodatku wbrew temu, co mu wcześniej mówiono, Hallie miała się dobrze. Pomyślał, że sam powinien był wpaść na to, gdzie szukać Fredriksenów. Skorzystali z jedyne go rozsądnego wyjścia. Statek był znanym im miejscem, do tego prawdopodobnie względnie bezpiecznym. Załoga na pewno zdążyła już zamustrować na inne statki. Marynarze znali plany Kita, a że byli to starzy wyjadacze, nie mieli kłopotu ze znalezieniem miejsca dla siebie gdzie indziej. Ludzi morza wciąż wabiła gorączka złota, toteż kompletowanie załogi spędzało sen z powiek niejednemu kapitanowi zawijającemu do San Francisco.

Iść na statek było o wiele łatwiej, niż przeczesywać ulice. Tak, Hallie tym razem naprawdę ruszyła głową. Kit zatrzymał się gwałtownie. Myśl o Hallie ruszającej głową budziła w nim jak najgorsze przecucia.

- Poczekaj, ja spróbuję - powiedziała Dagny, odsuwając dłonie rozdrażnionej Hallie. Wsunęła palce pod wąskie aksamitne ramiączka i pociągnęła do góry. Nic się nie stało. A właściwie niezupełnie. Coś się jednak stało. Dojrzewające, obfite piersi Hallie zafalowały w staniku sukni jak meduzy w morzu.

- O, do licha! - Hallie zerknęła w dół. Szkarłatny jedwab, wykończony czarną koronką z cekinami, mocno prześwitywał. - Jak mam się w tym publicznie pokazać?

- Nie mów po francusku, to nic się nie stanie - zażartowała Dagny.

Ale Hallie, wbita w wykwintną, głęboko wydekoltowaną suknię, nie miała nastroju do żartów. Właśnie przygotowywała ciętą ripostę po francusku, gdy do kajuty wtargnęła Liv.

- Dlaczego Hallie ma nie mówić po francusku? - spytała. Starsze siostry spojrzały po sobie, szukając zręcznej odpowiedzi.

Nie można było powiedzieć Liv, że w San Francisco każdą Francuzkę uważa się za prostytutkę.

- Mniejsza o to! - odparły chórem.

- Phi! Tak myślałam. Kiedy tylko usłyszę coś naprawdę ciekawego, zawsze powtarzacie „mniejsza o to”. Jak mam się czegoś nauczyć, jeśli nic mi nie chcecie powiedzieć? - Liv energicznie usiadła na koi. - Następnym razem jak wielebny Treadwell zapyta mnie, czego się nauczyłam, to będę milczała jak grób, i to będzie wasza wina. Przez was nie mam dostępu do wiedzy.

Hallie zmarszczyła czoło.

- Czego?

- Pewnie dostępu do wiedzy - podpowiedziała Dagny.

- Ach, tak. Posłuchaj, Liv. - Hallie spojrzała na siostrę z nonszalancją, od której w rzeczywistości była bardzo daleka. - Szkoła się spaliła, więc przez najbliższy tydzień nie musisz się tym martwić. Agnes powiedziała, że pastor zacznie wam dawać lekcje najwcześniej za tydzień. Dlatego na razie nie przejmuj się za bardzo nauką. A w ogóle, to przykro mi myśleć, że przez Duggie albo przeze mnie nie masz dostępu do wiedzy. Jeśli naprawdę się boisz, że narobisz sobie zaległości, to mogę ci zorganizować naukę. Codziennie będziesz przychodzić do mnie na lekcje w tej kajucie...

Liv nagle zamknęła buzię. Oparła łokcie na kolanach i dyndając chudymi nogami, zaczęła się przyglądać zabiegom, jakim siostry poddają głęboko wyciętą suknię.

Hallie zobaczyła w lustrze odbicie przeglądającej się Dagny. Poczowała ukłucie zazdrości. Dagny miała na sobie śliczną, blado-niebieską sukienkę w ciemniejsze paski, które podkreślały jej subtelną urodę. Rano, po wyjściu ze schroniska, Hallie zaprowadziła rodzinę do Oatta po zakupy. Niestety, na jej rozmiar nie było wielu ubrań.

Na drobną Dagny pasowało co najmniej trzydzieści sukienek, ale biust Hallie mieścił się w zaledwie trzech strojach, w tym tylko w dwu sukniach. Jedna z nich była uszyta dla kobiety mającej poniżej metra pięćdziesięciu wzrostu. Gdyby Hallie włożyła do niej długie majtki z koronkami, jakie nosiła jej mama, wyglądałaby jak pastereczka wiodąca trzodę owiec.

Czerwona suknia, którą miała w tej chwili na sobie, była właśnie tą drugą. Wprawdzie zakrywała jej nogi, ale o piersiach nie można było tego powiedzieć. Co gorsza, odcień czerwieni był oślepiający.

- Hallie?

- Słucham, Liv.

- Chyba włożyłaś suknię tył na przód.

Hallie puściła stanik. Przepęłnił się kielich goryczy. Szarpnęła za haftki i zirytowanym głosem spytała:

- Czy mogłybyście sprawdzić, co robią chłopcy, a przy okazji znaleźć w kambuzie coś do jedzenia?

Dagny wyciągnęła opierającą się Liv z kajuty. Gdy tylko drzwi za nimi się zamknęły, Hallie zdarła z siebie sukienkę. Nie mogła nosić czegoś takiego. Podeszła do innego zawiniątka i rozłożyła je na koi. Zdjęła halkę, którą kupiła, i cisnęła ją razem z czerwoną sukienką na zwój lin w kącie.

Włożywszy gorset, odetchnęła z ulgą. Wreszcie zakryła przerwę między piersiami. Bielizna sięgała jej pod szyję. Potem wzięła białą koronkową koszulkę i przełożyła ręce przez stosowne otwory.

Usiadłszy na koi, spojrzała na pozostać części odzienia zwanego suknią poprawioną. Odłożyła na bok krótki, niebieski żakiecik i zaczęła się zastanawiać nad sposobem noszenia dwóch pozostałych części stroju. Z opakowania wyciągnęła szkic ze starego numeru „Godey's Ladies Book”, który dał jej pan Oatt. Bufiaste spodnie, stanowiące spodnią warstwę dołu, wyglądały dziwnie, ale wygodnie. Poza tym Hallie uznała, że będzie miała lepsze zabezpieczenie bandaża niż w klasycznej sukni. Opatrunek sięgał jej wysoko, więc gdy teraz szła, wiązanie obcierało wrażliwą skórę na drugiej nodze. Zerknęła na bandaż. Okrywał nogę od kostki aż po

szczyt uda. Mimo maści, która powinna łagodzić ból, ciało Hallie pod płótnem płonęło żywcem.

Omali nie straciła równowagi, żaglowiec bowiem nagle zatrzeszczał i zakołysał się od silnego podmuchu. Nie dość, że bolała ją noga, to jeszcze była przemarznięta. Ale czemu miała się dziwić, skoro w kajucie nie było węgla do ogrzewania, a po południu nad zatoką zerwał się wiatr, który jeszcze wyziębiał zimne i wilgotne wnętrza statku. Wzięła z koi pozostałe części sukni poprawionej i zaczęła się ubierać z nadzieją, że ogłoszenia nie kłamią i dziwne odzienie, zaprojektowane przez Amelię Jenks Bloomer, rzeczywiście jest zdrowe, praktyczne i ciepłe.

Kit przerzucił nogę przez reling „Sea Haven” i zeskoczył na opuszczony pokład. Podmuchy wiatru z północnego zachodu zwiewały mu popiół z głowy. Odgarnął włosy na bok. W drodze na rufę i potem, na schodkach prowadzących do kajut, czuł przykrą woń dymu, którą przesiąkło mu ubranie. Marzył o kąpeli, ale najpierw musiał się przekonać, że Hallie i jej rodzeństwu rzeczywiście nic się nie stało.

- Ahoj! Jest tu kto? Hallie? Ahoj!

Dwie małe kajuty na rufie były puste. Kajuta Jana znajdowała się zaraz za nimi. Kit otworzył drzwi.

Hallie była w środku, cała i zdrowa. W każdym razie Kitowi wydało się, że to Hallie. Była pochylona i wiązała coś przy kostce, a pupa wyglądała znajomo, chociaż tym razem nie było na niej liści.

- Hallie?

Wyprostowała się gwałtownie i obróciła. Niewątpliwie ją zaskoczył.

- Kit! - wybąkała, chwytając za pasek najdziwniejszego stroju, jaki Kit kiedykolwiek widział. Wyglądało to jak olbrzymie, wydymające się gacie, ale wykonane z grubego sukna na spodnie, zamiast z czegoś delikatnego, z czego zwykle robi się bieliznę. Mimo woli wytrzeszczył oczy.

- Jest pan wyjątkowo źle wychowany. Mógł pan zapukać.

Wyglądała bardzo zabawnie, stojąc przed nim z obnażonymi ramionami i karcąc go w... czymś takim. Kit się roześmiał.

- Co ty masz na sobie? - spytał w przerwie między radosnymi czknięciami.

Spojrzała w dół i szybko się odwróciła.

- Ubieram się, a pan niech sobie idzie.

- Chcesz powiedzieć, że to jeszcze nie cała... kreacja? - Kit odbił się od framugi i podszedł do biurka Jana. Odsunął na bok przycisk do papierów z wielorybiej kości i oparł się biodrem o krawędź dębowego mebla. Strzepnąwszy popiół ze spodni, położył rękę na udzie, żeby móc wygodnie rozkoszować się tym widowiskiem. - Koniecznie muszę zobaczyć całość.

- Powiedziała, niech pan się wynosi! - Buzia Hallie stała się ciemnopurpurowa.

Kit zakręcił przyciskiem do papierów.

- Po co? Przecież miejsca, które skromność każe zakrywać, masz zakryte. - Odepchnął się od biurka i przez cały czas wpatrując się w nią z wielką uwagą, obszedł ją dookoła. Trudno mu było zachować powagę. - Nie wiem nawet, jak się nazywa to, co je zakrywa, ale niewątpliwie zakrywa.

- To jest suknia poprawiona - poinformowała go tonem, który świadczył o jej wyższości i daleko większej kompetencji.

- Z zakładu poprawczego zamiast krawieckiego, jak rozumiem. To naprawdę coś dla ciebie. I strój, i miejsce.

- Wolę poprawioną suknię od niepoprawnego opiekuna - odpaliła. - Bo pan się nie kwalifikuje nawet do zakładu poprawczego. To, co chce pan zrobić ze statkiem, jest głęboko niemoralne! - Tupnęła dla podkreślenia wagi następnych słów: - Nie pozwolę panu na to!

- Naprawdę? - Kit wziął z łóżka coś z ubrania Hallie.

Wyglądało to jak górna połowa spódnicy. Uniósł tę część odzienia i spojrzał na Hallie przez otwór, który jego zdaniem był przeznaczony dla talii.

- Jak zamierzasz mnie powstrzymać? - spytał, obracając owo coś na różne sposoby, żeby zgłębić technikę wkładania.

Hallie wyrwała mu wierzchnią część spódnicy i rzuciła ją za siebie.

- Będziemy tu mieszkać.

- Naprawdę?

- Tak. Może to pan nazwać... - Urwała.

Kit widział na jej twarzy mękę towarzyszącą szukaniu właściwego słowa.

- ...Osadnictwem! Zamierzamy się osiedlić na „Sea Haven”.

- Jest jeden kłopot. - Kit strzepnął sobie popiół z ramienia.

- Jaki?

- „Sea Haven” należy do mnie. Nie możesz się osiedlić na cudzym terenie.

- Och... - Posmutniała. Zaraz jednak zbyła ten argument niedbałym gestem i posłużyła się typową bronią kobiet: uporem. - Tak czy owak nie zamierzamy się stąd wyprowadzić.

Kit podszedł do otwartego iluminatora i spojrzął na zatokę. Nie było tam nic szczególnie interesującego, ale nie mógł patrzeć na Hallie. Widok jej twarzy budził bowiem w jego wnętrzu głos, którego nie chciał słyszeć. Wcisnął dłonie do kieszeni i zaczął się lekko kołysać na piętach, nie przestając wyglądać przez iluminator.

- Zrozum, dzieciaku, że jeśli każę ci się stąd wynieść, to się wyniesiesz. Mogę wyprowadzić stąd twoją uroczą pupkę tak szybko, że nie zdążysz mrugnąć.

- Niech pan spróbuje!

Obrócił się, gotów do akcji, ale zamiast spojrzeć w twarz nieznośnego, upartego, jasnowłosego dzieciaka, spojrzął prosto w lufę kolta, należącego kiedyś do jej ojca. Dłoń Hallie nieco drżała.

- Co ty wyrabiasz? - ryknął Kit. - Odłóż to natychmiast, zanim komuś zrobisz krzywdę. - Postąpił krok w jej stronę.

- Nie ruszaj się, Kit. Nie żartuję. Nie pozwolę się wyprowadzić z tego statku i nie pozwolę go sprzedać na zatopienie! - Teraz trzymała już kolta oburącz i obie ręce jej drżały.

Rozsądek powstrzymał go przed stawianiem oporu. Rozsądek i wyraz twarzy Hallie. Jeśli rzeczywiście była tak przerażona, jak mu się zdawało, to najbezpieczniejszą taktyką było ustępstwo. Wymachiwanie bronią w stanie silnego podenerwowania mogło oznaczać katastrofę, szczególnie z jego punktu widzenia. Miał przecież przed sobą długą, ciemną, trzęsącą się lufę rewolweru.

- Wynos się ze statku! - Odrobinę opuściła lufę. - Natychmiast!

Uniółszy ręce do góry, Kit powoli wycofał się z kajuty. Koniecznie musiał wymyślić sposób na odebranie jej broni, zanim stanie się nieszczęście. Hallie doszła za nim do wąskich schodków. Kit nadal się cofał i był coraz wyżej. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzasnąć luku, ale zrezygnował z tego pomysłu, bo gdyby rewolwer wystrzelił, pokrywa mogłaby polecieć do wszystkich diabłów, a przy okazji on także. Lepiej było poczekać, aż Hallie zacznie pokonywać stopnie. Kobiety zawsze mają kłopoty ze schodami na statkach. Brak miejsca sprawia bowiem, że są to właściwie wąskie drabinki, natomiast gigantyczne kobiece spódnice... Do diabła! Hallie miała przecież na sobie te więzienne galoty.

Poczuł się jeszcze bardziej zirytowany. Hallie bez kłopotów doszła do połowy schodków. Ale swoboda ruchów musiała zaskoczyć i ją, bo nagle spojrzała zdziwiona na swoje odzienie. Tego właśnie było trzeba Kitowi.

Błyskawicznym ruchem podbił jej ramię. Lufa rewolweru skoczyła w górę. Kit ciałem przygwoździł Hallie do szafki. Huknął strzał, z sufitu posypały się na nich drzazgi. Czuł, jak głowa Hallie szuka schronienia przy jego piersi. Zaczął kasłać, owionęła go bowiem chmura pyłu. Pył wkrótce opadł, ale żadne z nich się nie ruszyło.

Zapadła cisza, tak wielka cisza, że prawie było słychać zachód słońca.

Broń z grzechotem wpadła do cynowego wiadra. Hallie bała się podnieść głowę, ale Kit puścił jej nadgarstek i powoli zaczął przesuwając rękę po jej nagim ramieniu, ku wrażliwemu miejscu pod pachą. Tam wilgotna, gorąca dłoń skręciła i zamknęła się na piersi z nabrzmiałą sutką.

Hallie wiedziała, że Kit na nią patrzy, wciąż jednak nie mogła się zdobyć na odwzajemnienie jego spojrzenia. Bała się, bo chociaż Kit ją złościł, chociaż miał za nic statek jej ojca, był arogancki, wymagający i wciąż się z niej wyśmiewał, to nie mogła zaprzeczyć, że i tak zdobył jej serce. Minione dwa lata niczego w tej mierze nie zmieniły. Tyle że z chudej jak patyk pannicy stała się kobietą i gdy Kit jej dotykał, ogarniała ją niewyobrażalna słabość. Ciało miała jak z gliny, a dłonie Kita - rzeźbierza natchnione magią namiętności mogły czynić cuda.

Dotyk jego dłoni budził w niej pragnienie, oszałamiał ją tak samo jak język, zagłębiający się w jej ustach. Gdy Kit szepnął coś przy jej skroni, instynktownie rozchyliła wargi. Nie miała innego wyjścia, musiała spojrzeć w ciemnozieloną przepaść. Patrząc na siebie szeroko otwartymi oczyma, zaczęli się całować, toczyć milczący, zmysłowy pojedynek. Kit znowu wsunął kolano między jej uda, tym razem jednak poparzonej nogi nie chroniły liczne spódnice. Hallie odepchnęła Kita, przeszył ją bowiem ból nie do wytrzymania. Był tak silny, że stłumił namiętność, która jeszcze przed chwilą władała nią niepodzielnie.

Dziewczyna oparła się o ścianę, czekając, aż ból minie. Chłód przyniósł ulgę jej rozognionej skórze, a pewne oparcie było dla niej jak dar niebios. Słyszac, że Kit coś mamrocze, podniosła głowę.

- Na miłość boską, jesteś całkiem zielona na twarzy. - Przestał się złościć i wpadł w panikę. - Chyba mi znowu nie zemdlejesz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Kit poderwał ją z ziemi i wyniósł na pokład.

- Oddychaj! - nakazał stanowczo.

- Możesz mnie postawić na ziemi - odparła. Ból w nodze już przycichł. Czowała jeszcze tylko pulsowanie.

- Czy ty nigdy nie możesz zrobić tego, co mówię? Oddychaj!

- Ale...

- Oddychaj, do diabła!

Zirytowana, ostatecznie zapomniała o bólu. Kit nie miał powodu, by tak na nią krzyczeć. Poza tym nie życzyła sobie, żeby dyktował jej, co ma robić. Nienawidziła, kiedy inni ludzie mówią jej, dorosłej osobie, jak powinna postępować. Budziło to w niej poczucie, że jest... głupia. A przecież nie była głupia. Chce, żeby oddychała, przypomniało jej się. Pochyliła się i zaczęła mu głośno dyszeć w twarz.

- Hej!

Hallie i Kit spojrzeli na Knuta.

- Co robisz?

- Oddycham - powiedziała Hallie z przesadnym naciskiem.

- Kusi los - odrzekł Kit.

- Postaw mnie na ziemi! - wyszczała przez zaciśnięte zęby. Spojrzała na niego z bardzo złą miną, bo nagle nią lekko potrząsnął, niewątpliwie dla zmanifestowania swojej władzy. - Powiedziałam, postaw mnie na ziemi!

Nie ustąpił. Za to podjął walkę na spojrzenia.

- Halle, wiesz co? - spytał Knut.

Słowa dziecka przerwały ich zmagania. Hallie odwróciła głowę, najpierw jednak naparła dłońmi na klatkę piersiową Kita i zyskała kilka centymetrów swobody.

- Co, kochanie? - spytała. Kit wreszcie ją puścił, więc samopoczucie jej się poprawiło, ale tylko do chwili, gdy spojrzała mu w twarz. Uśmiechał się triumfująco.

- Gunnar ma rewolwer.

- Co takiego?! - przenikliwie krzyknęła Hallie.

Kit jednym susem pokonał schodki i znalazł się pod pokładem. Wrócił po paru sekundach z koltem w dłoni i Gunnarem pod pachą. Niezbyt delikatnie postawił chłopca na deskach, a rewolwer położył na półce z narzędziami poza jego zasięgiem.

Obrócił się w milczeniu do bliźniaków, którzy niepewnie stali obok siebie.

- Broń nie jest do zabawy - oznajmił groźnie.

- Ale my już nie mamy zabawek - bąknął jeden z chłopców.

- Wszystkie się spaliły! - dokończył drugi.

- Zabawa bronią jest niebezpieczna! - zaczęła ich rugać Hallie. - Nie umiecie...

- Ja się nimi zajmę, Hallie - przerwał jej Kit.

- Chwileczkę - powstrzymała go. Co on sobie właściwie myśli? To są jej bracia.

- Ja się nimi zajmę! - powtórzył Kit i uniósłszy Hallie w powietrze, posadził ją na pokrywie luku.

Poczuła się jak natrętna mucha, którą odgania się packą. No, to miej, czego chcesz, szanowny panie, pomyślała.

Spokojnie siedziała, czekając, co zrobi Kit. Rozumiała wprawdzie znudzonych chłopców, ale bronią stanowczo nie powinni się bawić. Na myśl o tym, co mogło się stać, przeszył ją zimny dreszcz. Tata wygarbowałaby Gunnarowi skórę. Hallie musiała uczciwie przyznać przed sobą, że sama dałaby mu klapsa. Nie miała jednak pojęcia, co zamierza Kit, i to ją bardzo niepokoiło. Od miesięcy stanowiła dla bliźniaków najwyższy autorytet i nagle Kit Howland postanowił podstępnie zająć jej miejsce. Co on sobie wyobraża?

Kit podszedł bliżej do chłopców, nie odrywając od nich wzroku.

- Który ty jesteś? - spytał Knuta.

Bliźniacy wymienili roześmiane spojrzenia. Na dwóch identycznych twarzyczkach wykwitły przewrotne uśmiechy. Hallie sama musiała uważać, żeby się nie uśmiechnąć, świetnie bowiem wiedziała, że jeśli tylko bliźniacy znajdą ofiarę, to nabierają ją bezlitośnie. W rodzinnym gronie kłócili się i skarżyli, ale wobec obcych zawsze przyjmowali wspólny front, zwłaszcza w obliczu kłopotów.

Przygryzła policzek, bo coraz bardziej chciało jej się śmiać. Kit miał bardzo zakłopotany wyraz twarzy. Gdy zwrócił się do niej o pomoc, z satysfakcją wzruszyła ramionami.

- Miał pan sam się tym zająć, już pan zapomniał?

Zmrużył te swoje zielone oczy.

Ostentacyjnie przyjrzała się paznokciom lewej ręki i dopiero wtedy spytała:

- Co pan chce zrobić?

- Dać mu nauczkę. Tylko powiedz mi, który jest który. - Skrzyżował ramiona i z arogancką miną czekał na odpowiedź.

- Jaką nauczkę?

- Niech cię to za bardzo nie interesuje.

- Chce pan go uderzyć?

- Chcę mu dać nauczkę. A jak myślisz, co zrobiłby twój ojciec? - Kit podniósł głos.

- To nie ma znaczenia. Nie jest pan moim ojcem.

- Jestem opiekunem, wskazanym przez ojca. Lepiej wszyscy się przyzwyczajcie, że należy mnie słuchać. - Teraz już krzyczał.

- Wobec tego niech pan nie zwraca się do mnie o pomoc. Skoro zamierza pan się tutaj szarogęścić, to musi pan zacząć rozróżniać chłopców.

Kit przykucnął, tak że oczy miał teraz na poziomie oczu bliźniaków. W całkowitym milczeniu mierzył ich wzrokiem, jakby starał się zapamiętać każdy por, każdy pieg, każdą oparzelinę na nagle spoważniałych małych twarzyczkach.

- Tym razem wyjątkowo powiem to wam obu. Broń nie jest dla dzieci. Nigdy więcej nie wolno wam dotknąć niczego, co strzela. Rozumiecie?

Chłopcy skinęli głowami.

- Zabawki nam się spaliły - powtórzył Knut i obaj chłopcy zaczęli żałośnie pochlipywać.

Kit położył im ręce na ramionach.

- Rozumiem was i postaram się jakoś temu zaradzić, ale bronią bawić się nie wolno! - Wyprostował się i wrogo spojrzał na Hallie.

- Ahoj! Christopher! Ahoj!

Na gniewnej twarzy Kita odmalowało się najczystsze przerażenie. Hallie obróciła się w stronę, skąd dochodził piskliwy głos. Kit zrobił to samo. Zobaczyli, jak Lee Prescott pomaga wspinać się na pokład niskiej kobiecie w średnim wieku. Olbrzymia masa loków koloru dojrzałej persymony kołysała się pod szerokim rondem słomkowego kapelusza. Największe zdumienie Hallie wzbudził jednak strój kobiety. Miała na sobie suknię poprawioną Amelii Jenks Bloomer w kolorze szmaragdowym.

Władczym gestem uniosła zieloną parasolkę niczym królowa Wiktoria berło.

- Podejdz tu, młodzieńcze, i powitaj ciotkę tak, jak przystoi!

Hallie bardzo się zdziwiła, że trzydziestoletni mężczyzna może nagle przeistoczyć się w zmieszanego dziewięciolatka. Kit wolno podszedł do ciotki. Gdy mijał Hallie, przemknęło jej przez myśl, że jednak omyliła się w ocenie. Nigdy w życiu nie słyszała, by dziewięciolatek mamrotał pod nosem takie przekleństwa. Nie chcąc stracić wyjątkowej okazji, szepnęła tak, by ją usłyszał:

- Teraz wiem, gdzie się pan nauczył rozstawiać wszystkich po kątach. To po prostu rodzinne przyzwyczajenie.

Słowa doszły celu, nagle bowiem Kit przystanął i wyprostował się, jakby kij połknął.

Ciotka położyła mu odziane w rękawiczki dłonie na przedramionach i spojrzała w oczy.

- Phi! Nie wyglądasz jak kandydat na samobójcę. Ale mógłbyś się wykapać. - Wbiła nóżkę parasolki w brzuch Lee. - Ej, młodzieńcze, okaż się użyteczny i potrzymaj to.

Przekopawszy zawartość torebki, dobyte parę okularów i spojrzała na nie pod słońce. Wynik oględzin zachęcił ją do sięgnięcia po chustkę Kita, która wystawała mu z kieszeni. Potrząsnęła skrawkiem materiału, żeby go rozłożyć, i wtedy w powietrzu zawirował obłok sadzy i popiołu. Ciotka cisnęła chustkę za burtę i przetarła okulary spódnicą. Potem, umieściwszy oprawkę na nosie, przyjrzała się dokładnie górującemu nad nią siostrzeńcowi.

- Wciąż palisz tę okropną fajkę, co, młodzieńcze? - Zanim Kit zdążył odpowiedzieć, podjęła: - To okropny zwyczaj. Wszystko jest potem usmarowane popiołem!

- Ciociu Maddie, tu był pożar! Nie zauważyłaś tego po wyjściu na nabrzeże?

- Pożar? A, tak - przyznała odruchowo. Nagle wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił. - Wielkie nieba! Nie powiesz chyba, że spalił ci się dom? Gdybym musiała zamieszkać w hotelu po spędzeniu czterech tygodni na tym zarobaczywiałym plugastwie, które Charles Taber dumnie nazywa statkiem, to ani chybi...

- Nie denerwuj się, Maddie, mojemu domowi nic się nie stało - przerwał jej Kit. - Spaliła się tylko trzecia część miasta, Happy Valley i centrum. Ja mieszkam na Fern Hill, o tam. - Odwrócił się i wskazał jedno ze wzgórz, do którego ogień nie dotarł. - Chodźmy, zaprowadzę cię do domu.

- Chwileczkę, Christopher. Powiedz mi, proszę, kto to jest. - Maddie wskazała Hallie i chłopców, nie dała mu jednak szansy na dojdęcie do słowa, lecz niezwłocznie wyciągnęła własne wnioski. - Dobrze zrobiłeś! Najwyższy czas, żebyś zapomniał o tym kapryśnym byle czym Tabera, które z głupoty wziąłeś za żonę. Cieszę się, że tym razem wybrałeś sobie silną dziewczynę. Wystarczy na nią spojrzeć! Wysoka i... Boże, czy to są bliźniaki? No tak, nie musisz nic mówić, sama widzę! Znakomicie. To znaczy, że jest również płodna.

Hallie usłyszała chichot Lee. Gdyby nie była oszołomiona tym potokiem stów, sama zapewne też wybuchnęłaby śmiechem. Kit złapał ciotkę za ramię.

- Nie tak szybko, Maddie. Nie jestem żonaty.

- Och. - Entuzjazm nagle ją opuścił.

Kit podszedł z ciotką do miejsca, w którym wciąż nieruchomo stała Hallie z braćmi. Dziewczyna nigdy nie widziała nikogo podobnego do ciotki Kita. Obecność starszej pani wydawała jej się nieco przytłaczająca i krępująca, ze względu na sytuację, mimo to przeczuwała, że w tej ekscentrycznej, gadatliwej osobie znajdzie sojusznika.

- Ciociu Maddie - powiedział Kit. - To jest Hallie Fredriksen i jej dwaj bracia, Gunnar i Knut.

- Kto jest kim? - spytała.

- Ja jestem Hallie.

Maddie roześmiała się serdecznie. Śmiech powoli cichł, ale kobieta wciąż spoglądała na Hallie z sympatią.

- Bardzo mi się podoba twój komplet. Świadczy o nadzwyczaj dobrym guście.

Hallie uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję. Mnie też podoba się pani komplet. - Poczuli, że jeden z bliźniaków zaczyna manipulować dolną częścią jej odzienia. - O, to jest Knut. - Położyła chłopcu ręce na ramionach i zwróciła się ku malcowi po swojej prawej stronie. - A to jest Gunnar. - Uśmiechnęła się prosto do Kita.

On się jednak nie uśmiechał.

- Zostałem prawnym opiekunem rodziny Fredriksenów.

Maddie ożywiła się.

- Naprawdę?

- Hallie ma jeszcze dwie siostry - dodał Kit, całkowicie obojętny na rozpromienioną minę ciotki.

- Ile mają lat? - spytała Maddie obojętnym tonem, który Hallie wydał się nieszczerzy.

- Dagny szesnaście, a Liv dziewięć...

- Och, to dobrze. Za młode... - powiedziała Maddie. Hallie radośnie się uśmiechnęła, a Maddie, która tymczasem zdjęła okulary, szelmowsko do niej mrugnęła. Kit wydawał się bardzo zmieszany. - No, więc dobrze, Christopher. Chcę położyć gdzieś swoje rzeczy, a ty musisz się wykąpać. Wciąż jesteś taki sam jak dwadzieścia lat temu. Zawsze muszę ci mówić, kiedy masz się wykąpać. - Maddie znów wpadła w rozmowny nastrój. - A wiecie państwo, co on jeszcze lubił robić?

- Co? - spytał Lee, w którego błękitnych oczach kipiała wesołość.

- Mniejsza o to! - wtrącił się Kit. - Chodź, Maddie. Zaprowadzę cię do domu.

Lee zwrócił ciotce parasolkę, podał jej ramię, a gdy odeszli w stronę trapu, Hallie usłyszała, jak wypytuje Maddie o słabostki i dziwactwa Kita z lat dzieciństwa.

Kit spojrzął na Hallie.

- Przyjdę jutro.

Z tymi słowami również odszedł. Hallie poczekała, aż Lee i ciotka Maddie znajdą się na nabrzeżu, i zawołała:

- Aha, Kit...

Przystanął i spojrzął na nią. Z uśmiechem na twarzy pokiwała trzymanym w dłoni koltem.

- Doładuję.

- Boże wszechmogący! Toż zafajdany wózek dziecińki nie jest taki brudny jak ta... ta lepianka!

Kit wzdrygnął się, słysząc z ust Maddie tak surową ocenę. Rozejrzał się po zaśmieconym wnętrzu i przyznał w duchu, że nie stanowi wzoru schludności. Z sufitu w salonie zwisały pajęczyny, a na gołej, zakurzonej posadzce stały sterty skrzyń i pudeł.

- Bo widzisz, Maddie, ja nie używam tego pokoju.

- Nie tłumacz się przede mną, Christopher. Wcale się nie dziwię, że go nie używasz. Dla ludzkiej istoty ten pokój nie nadaje się do użytku.

Maddie ściągnęła rękawiczki i ruszyła korytarzem na inspekcję pozostałych pomieszczeń. Pchnęła na oścież drzwi do kuchni. Zajrzała na chwilę do środka, po czym wycofała się.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Trzy lata - odrzekł Kit, podchodząc do drzwi kuchni. - A czemu pytasz?

- Co jest w tej skrzyni? - Maggie wskazała olbrzymi drewniany prostopadłościan, który zajmował większą część lewej strony pomieszczenia.

- Piec kuchenny.

- Niedawno dostarczony?

- No... nie. Stał, odkąd tu zamieszkałem.

- Rozumiem. - Maddie przeszła obok zapakowanego pieca i położyła rękawiczki na blacie przy zlewie. Chwyciła za wiadro i postawiła je pod pompą. Potem ująwszy za poczerwiałe ramię, wykonała kilka ruchów w górę i w dół. Po kilku zgrzytach i łoskotach z pompy popłynęła rdzawobrunatna ciecz. - Fuj! Ale przynajmniej masz wodę. - Rozejrzała się po kuchni, wyraźnie czegoś szukając. - Jak podgrzewasz wodę, skoro piec masz zapakowany?

- Nie podgrzewam. Chodzę do publicznej łaźni, a gdy jestem w domu, myję się w zimnej wodzie.

- Ja w każdym razie do publicznej łaźni chodzić nie będę! Bóg jeden wie, co tam można złapać. Poza tym... - dodała Maddie z obrzydzeniem - nie będę się myła w zimnej wodzie. - Z powrotem wzięła rękawiczki i zaczęła nerwowo uderzać się nimi po dłoni. Kitowi przypomniał się z dziecięcych lat przykry incydent z hikorową laseczką. Znów poczuł się tak, jakby miał dziesięć lat i czekało go lanie.

- Pokaż mi resztę domu - zarządziła ciotka i opuściła kuchnię. Kit westchnął i poszedł za nią, wiedząc, że za stan pozostałych sześciu pokoi także dostanie mu się po uszach.

W trzy godziny później piec był zainstalowany. Na górze rozległ się głośny łomot. Kit spojrzął w sufit ze znużoną miną. Ciotka nadal szalała. Oprowadził ją do domu, zgodnie z jej życzeniem, i wysłuchał długiego kazania, zgodnie ze swoimi przewidywaniami. Maddie uznała, że jedynie gabinet na dole i jego sypialnia jako tako nadają się do mieszkania, po czym zawłaszczyła sypialnię, oświadczywszy, że póki nie uda jej się posprzątać reszty domu, Kit może

spać na sofie w gabinecie.

Stłumił ziewnięcie. Była niedziela wieczorem, a on ostatnio spał w Sausalito z piątku na sobotę, w dodatku zaledwie trzy, może cztery godziny. Był śmiertelnie zmęczony, bolały go mięśnie i chciało mu się jeść.

Poszedł do spiżarni i zaczął przeglądać zawartość wąskich kredensów. Otworzył przegródkę na mąkę. O metalowe wnętrze szufladki zadzwoniła butelka whisky. Alkohol głodu nie zabija, ale Kit liczył, że przynajmniej pomoże złagodzić skutki chaosu wywołanego przez ciotkę. Postanowił wziąć z sobą butelkę do łóżka. Zważywszy na obecność ciotki, miał prawo przypuszczać, że innego towarzystwa w łóżku długo nie ma co się spodziewać.

W górnej szafce znalazł puszkę sucharów. Wsadził sobie do ust dwa naraz i podjął przerwane poszukiwania. Za pustym pojemnikiem na słoninę znalazł zapomniany słoik dżemu. Chwycił za niego tak, jak umierający grzesznik chwyta za Biblię, i spróbował otworzyć. Bez powodzenia.

- Gdzieś tu musi być nóż - mruknął na tyle głośno, na ile pozwalały mu suchary w ustach. Z trzaskiem otworzył i zamknął kilka szuflad, po czym przeniósł poszukiwania na wyższy poziom. - O! - Dostrzegł wreszcie nóż na parapecie, pod żółtawą kostką mydła ługowego. Przeciął woskową pieczęć na słoiku, zanurzył suchar w ciemnym dżemie i upojony słodkim smakiem z lubością poczuł, jak jedzenie dociera głębiej i głębiej, jest coraz bliżej wygłodniałego żołądka.

Mając puszkę sucharów pod pachą i dżem w dłoni, wziął jeszcze butelkę whisky i poszedł do gabinetu. Tam odłożył prowiant na biurko, po czym z niechęcią przyjrzał się sofie. Rozpiąwszy kamizelkę, zwinął ją w kulę, położył na poręczy mebla i wreszcie ułożył się z nogami w górze i głową na zaimprovizowanej poduszce. Pociągał z butelki długi łyk whisky i poczuł przyjemne pieczenie w przetyku.

Rozejrzał się po pokoju. Nie był brudny, choć może panował w nim lekki zaduch... Eleganckie mahoniowe meble były pokryte szarą warstwą, która zdawała się zsypywać na niego ze wszystkich stron. Kit zanurzył suchar w dżemie, wsadził go sobie do ust i w zadumie przeżuwał. Wiedział, że w końcu do tego dojdzie. Ciotka przyjechała i życie, które dotąd układało mu się jak należy, stało się nagle diablo skomplikowane.

Naturalnie, gdyby chciał być uczciwy wobec siebie, musiałby przyznać, że większość komplikacji pojawiła się przed Maddie. Ewentualnie mógłby obarczyć winą ojca, bo wszystko zaczęło się od jego listu. Ale nie! Przecież nie miał prawa winić ani ojca, ani Maddie za swoje kłopoty z Hallie, pożar albo stratę ładunku Jana. Tylko że ciotka odebrała mu jego jedyne azyl. Lubił swój zabałaganiony dom. To był dom należący do mężczyzny.

Przełknął następny łyk whisky. Do tej pory nie musiał się martwić o swe najbliższe otoczenie. Kiedyś nawet wynajął górę domu znajomemu marynarzowi i nikt nigdy nie narzekał. A publiczna łaźnia była bardzo wygodna! Mógł tam jednocześnie wziąć kąpiel, kazać się ostrzyć i ogolić, a wszystko za jedyne dwadzieścia pięć centów. Nie musiał grzać wody ani nieustannie targać wiader z wodą tam i z powrotem, ani wylewać wody z wanny, ani wypakowywać pieca ze skrzyni. Po prostu lubił żyć tak, jak żył. Nie potrzebował gospodyni. I dobrze, bo w tym mieście by jej nie znalazł. Gorączka złota wciąż jeszcze trwała, więc nikt nie miał ochoty zapracowywać się za śmieszną pensję, jaką dostaje służba. Po co? Większość ludzi łudziła się, że wydobywanie złota szybko i łatwo doprowadzi ich do majątku.

Wszystko szło jak najlepiej, dopóki nie zjawiła się Maddie. I nagle poczuł się w swoim domu jak chłopczyk, który nie posprzątał zabawek.

Zabawki. Kit usiadł wyprostowany na sofie, przypomniawszy sobie o bliźniakach. Odstawił na bok butelkę whisky i podszedł do biurka. Wyciągnąwszy dolną szufladę, wyrzucił jej zawartość na podłogę i zaczął grzebać w kopie papierów. Pod jakimiś starymi umowami leżała brunatna sakiewka, a w niej to, czego szukał: jego stare gliniane kulki.

Wrócił z sakiewką na sofę. Poluzował rzemyki i wysypał na dłoń kilka kulek. Najpierw wypadły jego trzy ulubione - niezastąpieni przyjaciele. To właśnie nimi wygrywał wszystkie partie.

Zdziwiło go, jak mało zmieniły się kulki przez dwadzieścia cztery lata. Zachowały blad różowy kolor i ciemnoczerwone żyłki. I wciąż były dla niego czymś tak samo wyjątkowym jak wtedy, gdy wygrał je od starszego brata.

Uśmiechnął się. Thomas był wtedy wściekły. Musiał głęboko przeżyć utratę wspianiałych

kulek, które nagle przeszły na własność trzy lata młodszego brata. Teraz Kit rozumiał, że był to przede wszystkim zabójczy cios dla dumy Thomasa.

Chłodne, różowe kulki przetaczały mu się w dłoni. Poczuł w sobie jakąś dziwną tęsknotę. Zawsze sądził, że podaruje je swoim synom. Wziął do ręki butelkę i pociągnął łyk, ale z drugiego zrezygnował. Co za sens się upić? To nic nie zmieni.

Odstawił whisky. Palcami zaczął przesuwac po kulkach, wyobrażając sobie, jak by się czuł, ucząc grać własnego syna.

Mocniej zacisnął dłoń. Nie będzie miał syna, bo się nie ożeni. Raz popełnił błąd i więcej go nie powtórzy. Nie mógłby już oddać serca kobiecie, nie sądził bowiem, by istniała gdzieś taka, która mogłaby szczerze i głęboko odwzajemnić jego miłość. Dla niego miłość okazała się słabością, narzędziem zniszczenia, bo gdy kochał, to kochał całym sobą i zdrada omal go nie zabiła.

Wsypał kulki z powrotem do sakiewki i zaciągnął rzemyki. Weźmie je na „Sea Haven” i nauczy grać Knuta i Gunnara tak, jak uczyłby swoich synów. Może to boski wyrok uczynił go opiekunem tych dzieci? Będzie mógł zaspokoić ojcowską tęsknotę, która ostatnio odzywała się w nim coraz silniej. Dla człowieka jego natury myśl o gnieździe, związaniu z jednym miejscem była bardzo niepokojąca.

Kit zamknął oczy i wkrótce oddychał równo i głęboko. Jedną rękę podłożył sobie pod kark, w drugiej trzymał sakiewkę pełną wspomnień z dzieciństwa.

Następny ranek Hallie spędziła na wynajdywaniu rodzeństwu najróżniejszych zadań związanych z przystosowaniem „Sea Haven” do mieszkania. Uznała bowiem, że jeśli dzieci będą miały zajęcie, to nie wpakują się lekkomyślnie w kłopoty. Dagny została szefową zaopatrzenia i musiała uporządkować żywność, którą dostarczono na statek poprzedniego wieczoru. Bliźniaków Hallie przekonała, że wyświadczą jej nieocenioną przysługę, jeśli po garstce poprzenoszą wszystkie gwoździe z pełnej baryłki, znajdującej się w nadbudówce dziobowej, do pustej, stojącej w kabinie na rufie. Odległość dziobu od rufy stanowiła dla niej gwarancję, że szczebiot chłopców długo nie będzie mącił jej spokoju. Niestety, z Liv sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Gdy Hallie wysłała ją do pomocy przy porządkowaniu zapasów, nie minęło nawet pół godziny, a Dagny już musiała gorączkowo szukać siostrzyczki po całym pokładzie, starając się odzyskać cenną torbę z rodzynkami, zanim zawartość zostanie w całości pochłonięta.

Liv dostała więc zadanie, by wynieść na dwór całą pościel i przewietrzyć. Po pewnym czasie Hallie poszła sprawdzić, jak jej to idzie. Dziewczynka z bosakiem w dłoni, opierając się o szalupę, próbowała wyłowić z wód zatoki szybko zanurzające się prześcieradła. Zrezygnowana Hallie kazała młodszej siostrze zbierać gwoździe, znaczące wyraźny szlak z dziobu na rufę.

Wreszcie znalazła się z powrotem w kajucie ojca, żeby zmienić opatrunek. Próbowała wymyślić jakiś sposób na Kita Howlanda. Wcierając maść w zaschniętą skorupę oparzeliny, przypomniła sobie zapowiedź jego ponownej wizyty. Zupełnie nie wiedziała, jak ma się wtedy zachować. Wymachiwanie rewolwerem na pożegnanie było częstą pogroźką. Wiedziała już, że z Kitem taka metoda nie na wiele się zda. Nawet gdyby zebrała w sobie dość odwagi, by pociągnąć za spust, za nic nie mogłaby go skrzywdzić. Nie pozwoliłby jej na to głos serca.

Z powrotem nasadziła cynowe wieczko na słoiček z maścią. Wiedziała, że powinna nienawidzić tego człowieka i pogardzać nim. Zachowywał się obrzydliwie, wyśmiewał się z niej i drażnił się z nią, a przede wszystkim zawiódł zaufanie, jakim obdarzył go ojciec. Hallie rozłożyła prześcieradło, z którego robiła bandaż. Tata nie zapisałby Kitowi statku, gdyby przewidział, że przyjaciel postanowi go zniszczyć. Większą miłością niż „Sea Haven” tata darzył jedynie swoich bliskich. To ona, Hallie, musiała więc dopilnować, by statek pozostał nietknięty i zabezpieczony przed bezdusnością i chciwością Kita.

Rozłożywszy lnianą płachtę, zaczęła oddzierać z niej wąskie paski. Poprzedniego dnia powinna była wyrzucić tego zdrajcę ze statku na zbity łeb, tymczasem wylądowała w jego ramionach, całkiem rozanielona. Odłożyła kawałek prześcieradła na koję.

Jak to możliwe, że jej serce jest takie zdradzieckie? Chwyciła za materiał i oddarła następny wąski pasek. Powinna była wydać Kitowi walkę na śmierć i życie, a tymczasem, gdy ciotka

Maddie omyłkowo wzięła ją za żonę Kita, tylko polectała tym jej próżność. Wieczorem Hallie zasnęła, wyobrażając sobie, jak czułaby się jako żona Christophera Howlanda. Jęknęła. Boże, doszło nawet do tego, że ćwiczyła na poduszce pocałunki. Ależ z niej wariatka!

Wstała. Następne kawałki płótna darła nerwowo przechadzając się tam i z powrotem. Najlepsze, co mogła w tej chwili zrobić, to uzmysłować sobie wszystkie wady Kita i na nich się skoncentrować.

Po pierwsze, jest pozbawiony wszelkiej wrażliwości. Właśnie przez to musiała się przed nim ukrywać pełne dwa lata. Rzuciła następny pasek na kupkę gotowych bandaży. Po drugie, publicznie sobie z niej kpi. Chwyliła za prześcieradło i pociągnęła z całej siły. No, i nazywa ją dzieciakiem! W kabinie rozległ się odgłos rozszarpywanego płótna. Co gorsza, uważa ją za głupią! Na kupkę upadły trzy następne bandaże. A jakiego zdziwionego zaczął udawać, gdy przejrzała jego plany, zupełnie jakby rozumienie handlu nieruchomościami było za trudne dla niej i jej ślicznej główki. Hallie zazgrzytała zębami i oderwała od prześcieradła półtorametrowy pasek.

Pfuj! Zerknęła na resztkę prześcieradła, wzruszyła ramionami i cisnęła strzępek na rosnącą kupkę. Może rzeczywiście jest głupia? Jak mogła się zakochać w kimś takim? Trudno, nie miało to już znaczenia, nieodwołalnie postanowiła bowiem jak najszybciej się odkochać.

Poza wszystkim Kit był całkiem nieobliczalny, a z tym nijak nie mogła się pogodzić. Usiadła na koi, wzięła z kupki pierwszy bandaż i owinęła nim nogę, zaczynając od najbardziej poszkodowanego miejsca pod kolanem. Gdy go wiązała, na jej wargach zaigrał uśmiešek. Przypomniała sobie Kita, patrzącego w twarze chłopców, żeby jakoś ich rozróżnić. No, właśnie. Zamiast jej pomóc, wtrącił się nieproszony i zaraz chciał rządzić, jakby sama nie potrafiła sobie poradzić z bliźniakami.

Niech to! Już trzy lata trwa jej gimnastyka z maluchami, a gdzie był przez cały ten czas Kit?! Hallie naciągnęła na bandaż ciemną pończochę i mamrocząc coś pod nosem o jego całkowitym braku wrażliwości włożyła dół sukni poprawionej: najpierw bufiaste spodnie, potem króciutką spódniczkę. Zamiast popisywać się arogancją, Kit powinien najpierw nauczyć się, jak postępować z małymi, osieroconymi dziećmi. Gdyby nie nadejście ciotki, mógłby zrobić chłopcom coś strasznego.

W tej chwili uświadomiła sobie, że już od dłuższego czasu nie sprawdzała, co porabiają te diabluki. Wyszła więc z kabiny nadrobić zaniedbanie. Przez całą drogę dumiała nad okrucieństwami wobec dzieci, do których byłby zdolny Kit. Miała dzięki temu pożywkę dla złości, a złość była sposobem na odkochanie się. Hallie skrzyła za róg wytapialni i stanęła jak wryta.

- Mam twoją kulkę! - krzyknął Knut, podskakując z podniecenia. Kit wyciągnął rękę i zmierzwił chłopcu włosy.

- Rzeczywiście, masz. Bravo! - Podniósł z pokładu różowawą kulkę i położył ją Knutowi na dłoni. - A teraz - zapowiedział, przyglądając jasną czuprynę Knuta - kolej na twojego brata.

Ze swojego miejsca Hallie zobaczyła, jak Kit się pochyła i cierpliwie pomaga Gunnarowi odpowiednio ułożyć wałeczkowate palce na kulce. W końcu dzięki wspólnemu wysiłkowi kciuk Gunnara pstryknął i różowa kulka uderzyła w grupkę kulek żółtych i brązowych, wybijając trzy poza narysowany kredą okrąg.

- Kurczaki! Mam trzy! Widzisz?! Widzisz? - Gunnar poderwał z desek kulki i ścisnął je w dłoni tak, jakby trzymał gwiazdkę z nieba.

Gdyby Hallie naprawdę nienawidziła Kita, w tej jednej chwili cała jej nienawiść zmieniłaby się w miłość. Tymczasem poczuła jednak, że kocha go wręcz przerażająco. Zupełnie nie miała nad tym władzy.

Bolesne ukłucie w sercu było tak silne, że musiała aż chwycić za bezan, żeby nie upaść. Gdy Knut rzucił się do Kita i z całej siły przytulił mu się do piersi, nie umiała dłużej powstrzymać głupich łez. Jeszcze zanim zdążyła się odwrócić, zobaczyła dwóch blondynków kryjących się w objęciach mężczyzny, którego nigdy nie potrafi przestać kochać.

W tydzień później Kit nerwowo spacerował po kabinie „Wanderera”.

- I co ja mam, u diabła, robić?

Lee oparł nogi o biurko.

- Możesz przenieść się tutaj. Niech ciotka robi, co chce, u ciebie w domu. Na moim statku nie będzie się nad tobą zęcać.

Kit trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch minut przeczesał dłonią włosy. Nie pomogło mu to jednak w myśleniu.

- Nie, nie mogę jej zostawić samej. To jest siostra matki. Nawet jeśli mnie irytuje, nie wolno mi zwinąć żagli i wynieść się z domu. Poza tym Maddie prawdopodobnie by mnie znalazła.

Podszedł do biurka przyjaciela i usiadł na wolnym krześle. Spojrzał na stertę papierów zasłaniającą blat. Wszędzie walały się mapy, a nogi Lee w ciężkich buciorach opierały się na grzbiecie otwartego egzemplarza „Barry'ego Lyndona”. Przy karafce z brandy stały dwie szklaneczki; kubek z wystygłą kawą służył za przycisk do papieru, pod którym leżały ostatnie umowy Lee na sprzedaż ładunku.

Rozglądając się po znajomym bałaganie, Kit wyciągnął kapciuch z tytoniem i nabił fajkę.

- Rzecz jasna, mógłbym przyprowadzić ją tutaj. - Zapalił fajkę i zaczął bez pośpiechu pykać. - Wystarczyłoby jej jedno spojrzenie, żeby się przekonać, że żyjesz w szańskim raju.

Lee zabrał nogi z biurka i wstał.

- Tylko nie to! Nie życzę sobie u mnie na pokładzie tego derwisza pucownika. Żeby nie przyszło ci na myśl zwalić mi ją na głowę. To twoja ciotka.

- Dziękuję za przypomnienie. Gdybyś nie wiedział, to ci powiem, że ona zaczyna każde zdanie od: „Czy mój siostrzeniec...” - Kit piskliwie zaskrzeczał, naśladując głos Maddie.

- Powiedz po prostu, że masz sprawę do załatwienia i przez kilka dni cię nie będzie. Możesz siedzieć tutaj, a jej nic do tego.

- Nie mogę - westchnął Kit. - Po pierwsze, muszę odwiedzać rodzinę Jana, a po drugie, Maddie ma zadziwiającą umiejętność odgadywania, kiedy mijam się z prawdą. Nie. - Kit pokręcił głową. - Gdybym się u ciebie zamelinował, na pewno przyszedłaby mnie tutaj szukać. No i szybko by mnie znalazła. Przysięgam ci, że ta kobieta ma w sobie coś z psa gończego.

Kit w zadumie przygryzł cybuch fajki.

- Muszę ją czymś zająć... porządnie zająć, żeby zostawiła mnie w spokoju.

- O, to proste - mruknął Lee. - Potrzebny jej jeszcze jeden beznadziejny przypadek, taki jak ty.

- Sądzę...

- Mógłbyś zaproponować jej, żeby włączyła się do porządkowania miasta. - Lee roześmiał się beztrąsko. - Nawet władze nie mogą sobie z tym poradzić. Będzie miała zajęcie na długo.

- I przy okazji straci życie. Nie. Ona się szarogęsi i wszystkich rozstawia po kątach, więc trudno z nią wytrzymać, ale ja ją nawet lubię. Wiesz, to ona nauczyła mnie łowić ryby. Bracia zrobili mi świństwo i wykradli się cichcem z domu, bo nie chcieli, żeby jakiś smarkacz się za nimi włóczył. No i wtedy wzięła mnie Maddie. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Złowiliśmy dwa razy tyle ryb, co Thomas, Nathan i Benjamin razem wzięci. Maddie jest bardzo obrotna i podobna do mojej matki. Jak raz wbije sobie coś do głowy, nie popuści, dopóki nie dopnie swego. Zważywszy na jej zainteresowanie losem kobiet, powiedziałbym, że powinna się raczej zająć przywracaniem moralności w dzielnicy francuskiej. Tylko co ty byś wtedy robił, biedaku, po zawinięciu do portu w San Francisco?

- To samo co teraz - odparł Lee. - Właśnie mi przypominałeś, że po południu mam spotkanie z pewną senioritą. - Uśmiech Lee stał się bardzo lubieżny. - Musisz sam wymyślić zajęcie dla ciotki. Ja ci mogę jeszcze tylko poradzić, żebyś podsunął jej rodzinę Fredriksenów. Hallie na pewno przydałaby się pomoc przy bliźniakach. Pamiętam, jak się świetnie przy nich bawiłem któregoś wieczoru. Te pytania bez końca załatwią ciotkę na amen.

Kit zerwał się z krzesła i wyjął fajkę z ust.

- Brawo! Kapitalny pomysł! Pozbędę się dwóch kłopotów naraz. A póki nie znajdę sobie jakiegoś miejsca, zamieszkać u ciebie na statku. - Kit odwrócił się do przyjaciela. - Czemu sam wcześniej na to nie wpadłem?

- Tylko jak namówisz Hallie, żeby wyprowadziła się z „Sea Haven”? - spytał Lee bardzo sceptycznie.

- Właśnie myślę... - Kit z powrotem wsadził fajkę do ust, rozważając różne możliwości. Mógł kazać Hallie wynieść się ze statku albo wynieść ją całkiem dosłownie, ale ostatnio się przekonał,

że takim zachowaniem tylko podsycy jej opór. W dzień po przyjeździe ciotki nawet nie chciała z nim rozmawiać. Najpierw uczył chłopaków grać w kulki, a potem, gdy ją znalazł, odbył dość nieciekawą rozmowę z zamkniętymi drzwiami kabiny.

Naturalnie, zawsze pozostawało mu przekupstwo. A za walutę mógł posłużyć statek Jana. Wprawdzie Kitowi w głowie się nie mieściło, że mógłby go Hallie podarować, ale na pewno nie musiał upierać się przy sprzedaży. Po zastanowieniu przyznał przed sobą, że gdyby Hallie nie wyprowadziła go z równowagi, wcale nie poruszyłby z nią tego tematu. Poza tym w gruncie rzeczy nie zamierzał podarować jej statku, lecz zawrzeć z nią zwykłą handlową umowę. On ustępuje jej prawo własności do „Sea Haven”, a ona zgadza się za to wprowadzić z rodziną do jego domu, pod skrzydła ciotki. Taka żywiołowa gromadka dostarczy Maddie zajęcia, a ciotka, ze swej strony, zapewni dzieciom opiekę.

Wiedział, że po takim manewrze będzie miał rozwiązany również inny problem. W obecności ciotki musiał bowiem panować nad sobą i nie pozwolić, by jego ciało spontanicznie reagowało na Hallie. Oto czego mu było trzeba. Hallie zburzyła bowiem gruby i wysoki mur, którym otoczył swe serce. Będąc z kobietą, dawno już nie czuł się tak jak w rodzinnym domu. A ramiona Hallie były ciepłe, delikatne, obiecywały bezpieczeństwo... Nie, Kit nie chciał, by myśli o domu i rodzinie wprowadzały niepokój do jego życia.

- Przekupię ją statkiem - powiedział stanowczo.

- Oho! Hallie górą - roześmiał się Lee.

- Nie Hallie, tylko ja - odparł Kit przekonany, że drobne ustępstwo, na jakie się zdobył, pomoże mu wrócić do normalnego życia.

Dagny zeszła z desek moło na żwirową ulicę. Miękką nawierzchnia głużyła odgłos jej sprężystych kroków. Dziewczyna powoli wspinała się na wzgórze. Szła do sklepu Oatta, od którego dzieliło ją dziesięć przecznic i jeszcze jedno wzgórze.

- Hallie jest śmieszna! - mruknęła pod nosem. - W biały dzień nic nie może mi się stać. - Szła dalej, rozmyślając o kłótni z siostrą, która wybuchła, zanim Dagny wykradła się z domu. W zasadzie nie było się o co kłócić. Hallie znowu przesadziła z opiekuńczością. Dagny uważała, że naprawdę może iść sama po zakupy. Po co ma czekać na resztę rodziny? Hallie nigdy tego nie robiła. Bez przerwy wychodziła gdzieś sama.

Popatrzyła przed siebie. Ulicą szło zaledwie kilka osób. Dla pewności obejrzała się za siebie. Nikogo nie zauważyła. Minęła przecznicę i znów znalazła się na drewnianym pomoście. Obcasy zastukały o deski. Również na tym odcinku ulica była prawie opustoszała, poza tym zrobiło się ciemniej. Dagny podniosła wzrok. Okazało się, że stojące w tym miejscu wysokie, ceglane budynki rzucają cień. Poczowała ukłucie lęku, zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że to zbędne przestrogi Hallie rozbudziły jej wyobraźnię.

Za jej plecami zadudniły inne kroki, głośniejsze, cięższe. Przystanęła. Tamten człowiek również. Przyśpieszyła kroku i usłyszała, że dudniący rytm również stał się szybszy. Zerknęła przez ramię, ale nie zobaczyła nikogo.

Westchnęła z ulgą, trochę rozbawiona swoim głupim zachowaniem. Ruszyła dalej, ale po kilku minutach ciężkie kroki za jej plecami rozległy się ponownie. Znów się obejrzała i znów nikogo nie zobaczyła. Tym razem poczuła się bardzo niepewnie. Na szczycie wzgórza przeszła na drugą stronę ulicy. Chciała wyciszyć swój lęk, a ponieważ jakieś dwie przecznice przed sobą dostrzegła niewielką grupkę, ruszyła prawie biegiem, by się do niej zbliżyć i znaleźć się wśród ludzi. Bała się coraz bardziej. Jeszcze raz spojrzała za siebie. Nie wiadomo skąd pojawił się za jej plecami człowiek, który chwycił ją za ramię tak silnie, że nagle uniosła się w powietrze.

- Nie powinnaś chodzić tędy sama.

Duncan!

- Och, dzięki Bogu, że to ty - odetchnęła. Serce biło jej jak szalone. Podniosła głowę. Na poczciwej twarzy Duncana malowała się troska. Błękitne oczy promieniowały ciepłem. - Przestraszyłeś mnie.

Spojrzał na nią nieco chłodniej.

- Powinnaś być przestraszona. To nie jest dobre miejsce na samotne przechadzki dla kobiety. Widzisz tych ludzi przed sobą? - Duncan wskazał grupkę, którą próbowała dogonić.

Skinęła głową.

- Mówi się o nich Hounds. Wiesz, kto to jest?

Dagny ponownie skinęła głową. Z jej szeroko rozwartych oczu wycierał łęk. Była to banda opryszków i złodziei, nie wzdragających się bynajmniej przed zabiciem człowieka, który stanął im na drodze. Hounds i Sydney Ducks współzawodniczyli o miano najgorszej bandy kryminalistów w San Francisco.

- Szedłeś za mną? - spytała z nadzieją, że ciężkie kroki, których odgłos słyszała, należały do niego.

- Nie. Wyszedłem ze stajni prosto na ciebie. Czy dlatego biegłaś, że ktoś cię gonił? - Duncan spojrział w stronę, z której przyszła.

Dagny nie lubiła niepotrzebnych kłopotów, a że przy Duncanie nie musiała się niczego bać, postanowiła nie mówić mu o tym, co słyszała. Zresztą prawdopodobnie oszukała ją wyobraźnia.

- Nie. Śpieszę się do Oatta.

- Pójdę z tobą. Nie powinnaś chodzić sama. - Podał jej ramię i razem przeszli przecnicę. - Dziwię się, że siostra cię puściła.

Dagny skrzywiła się z poczuciem winy.

- Wcale mnie nie puściła. Sama po cichu wyszłam. - Wbiła wzrok w ziemię, zastanawiając się, co Duncan pomyśli o jej nieposłuszeństwie. Czekwała, aż zacznie ją pouczać, on jednak milczał, chociaż czuła na sobie jego spojrzenie. Mruknął tylko coś pod nosem, wziął ją pod ramię i wkrótce znaleźli się w najbardziej ruchliwej części San Francisco.

Po drodze powiedziała mu, gdzie teraz, mieszkają. Gdy dowiedziała się, że Duncan szukał ich po pożarze, zrobiło jej się bardzo przyjemnie. Ten miły człowiek pomyślał o nich.

Nagle rozległ się krzyk. Przystanęli. Po drugiej stronie wąskiej ulicy przewrócił się powóz. Pasażerowie byli uwięzieni w środku. Koń przeraźliwie rżał i szarpał się jak oszalały, usiłując uwolnić się spod ciężkich dyszli i ze splątanej uprzęży.

Duncan pociągnął ją w tamtą stronę.

- Zostań tutaj i nie podchodź - powiedział w pewnej chwili. - Pomogę wyprząc tego konia.

Dagny stanęła więc i zaczęła się przyglądać. Dookoła powozu zbierał się coraz większy tłum gapiów. Duncan wyprzągnął konia, a potem dołączył do grupy stawiającej pojazd na kołach. Dagny uśmiechnęła się widząc, jak jego siła pomaga dokonać czegoś, co wydawało się niemożliwe. Mężczyźni, których teraz było już wielu, z wysiłkiem podnosili ciężką skrzynię powozu.

Dagny odsunęła się od ruchliwej cizby, żeby zobaczyć Duncana, ale ludzie wciąż jej go zasłaniaли. Podkasała spódnicę i zeszła z chodnika, po czym stanęła na palcach i wyciągnęła szyję.

I wtedy jakaś lepka dłoń zatkała jej usta. Ktoś wciągnął ją w mroczne przejście między domami. Chciała krzyknąć, próbowała się bronić, gryźć, ale napastnik ciągnął ją do tyłu. W niewygodnej, na wpół leżącej pozycji niewiele mogła zrobić.

Mężczyzna się nie odzywał, ale dyszał coraz ciężiej. Powietrze gwizdało jej w uszach. W pewnej chwili przystanął przy jakichś drzwiach. Jednym ramieniem oplótł jej szyję od tyłu, a drugim zaczął się z czymś mozolić. Dagny wydawało się, że słyszy brzęk kluczy. Ramię zacisnęło się mocniej, brakowało jej tchu. Próbowała zaczerpnąć powietrza, ale napastnik ją dusił. Ogień zaczął rozsadzać jej płuca. Przed oczami zamigotały jej gwiazdy i nagle zapadła całkowita ciemność.

Abner wciągnął nieprzytomną dziewczynę do ciasnego pokoiku. Położył ją na barłogu w kącie i związał jej ręce. Potem założył jej pętlę na kostkę prawej nogi, zacisnął, a luźny koniec liny przywiązał do rączki ciężkiego kufra. Teraz nie miała szansy uciec.

Szurając nogami po brudnej podłodze, wziął ogarek i postawił na połamanej skrzyni. Zapalił go i upuścił kilka kropel wosku na cynowy spodek. Przyglądał się temu zażawionymi, zamglonymi przez opium oczami. Niczym zwierzę wychodzące z kryjówki nocą, zamrugnął na widok światła. W narkotycznym oszołomieniu mdły blask płomyka wydawał mu się prawie oślepiający. Przylepił ogarek do spodka i usiadł przy Dagny. Próbował ją zbudzić, kołyszając świecą przy jej porcelanowej twarzy. Uniosła powieki i natychmiast w jej oczach odbiło się przerażenie. Abner widział, że dziewczyna zaraz krzyknie, wcisnął jej więc do ust swoją chustkę

do nosa. Krzyk wypadł bardzo blado.

- Bądź cicho. - Abner poklepał się po kieszeniach, szukając złota, które dla niej wygrał. - Coś ci pokażę. - Z uśmiechem wyciągnął sakiewkę. - Widzisz? - Rozluźnił rzemyki i zajrzał do środka pękatego woreczka. - Pełno złota. - Przechylił sakiewkę otworem ku jej przelężnionej twarzy. Dagny wzdrygnęła się.

Abner zmarszczył czoło, zdziwiony tą reakcją.

- To dla ciebie. - Wysypał sobie na dłoń kilka bryłek kruszcu i złotych monet i przysunął jej pod nos.

Wtedy dziewczyna zrobiła coś zupełnie niezrozumiałego. Zmrużyła oczy i głową odepchnęła jego dłoń. Złoto się rozsypało. Abner patrzył obojętnie, jak monety toczą się ginąc w grubej warstwie kurzu.

Przestał się interesować złotem i skupił wzrok na twarzy dziewczyny. Do tej pory nie chciał, żeby się go bała, teraz jednak coś mu się odmieniło. Gdy widział strach w jej oczach, podniecenie burzyło mu krew. Dziewczynę przebiegł dreszcz. Wyciągnął dłoń i odgarnął jej z twarzy lśniący, kruczoczarny lok. Opuszkami palców musnął skórę. Przesunął je po koniuszkach włosów, a potem delikatnie pogłaskał ślady, które zostały na gardle Dagny po jej desperackich próbach obrony. Wyczuł, z jakim trudem dziewczyna przetyka ślinę, i upajał się władzą.

Gdy dotknął pulsującego miejsca na jej szyi, gwałtownie skręciła ciało i odwróciła twarz ku ścianie. Jednocześnie szarpnęła nogą, ale lina nie puściła. Abnera ogarnęło poczucie triumfu, poczuł się zwycięzcą i nagle zapragnął zobaczyć, jak dziewczyna stawia mu opór.

Guziki sukni nie sprawiły mu kłopotu. Jeden za drugim przesuwały się przez dziurki. Dziewczyna szarpała się i to podniecało go coraz bardziej. Rozpiął wszystkie guziki.

Nagle jednak dziewczyna znieruchomiała. Potrząsnął nią. Chciał czuć jej daremny opór. Chwyił za poły rozpiętej sukni i ukląkszy, rozerwał tkaninę na połowę. Dziewczyna bezwładnie opadła na barłóg.

Nie stawiała oporu.

Abner rzucił materiał na ziemię i przekręcił dziewczynę na wznak. Znowu zemdlała. Dysząc ciężko, potrząsnął nią jeszcze raz.

- Walcz! Broń się! - Zamachnął się i wymierzył jej policzek. Nic się nie stało. Uderzył jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. W pokoiku rozbrzmiewały suche kłaśnięcia, ale dziewczyna nadal była nieprzytomna.

Abner oddychał coraz wolniej. Niespodziewanie zabrakło mu sił. Wstał i zamknął oczy, żeby zapanować nad wirowaniem i drżeniem, które ogarniały jego wnętrze. Po chwili znów wbił wzrok w dziewczynę. Na jej bladych policzkach pojawiły się liczne czerwone ślady po uderzeniach, odciski palców jego własnej ręki. Krew sączyła się z rozciętej wargi, spływała do kącika ust i dalej, po brodzie. Abner spojrzał na swe naznaczone szramami dłonie. Czy to możliwe, żeby zrobiły coś takiego?

Ktoś załomotał w drzwi. Abner podniósł głowę. Drzwi znowu się zatrzęsły. Rozległ się trzask, z drewna odleciały pierwsze drzazgi. Abner chwycił z podłogi kilka garści złota przemieszanego z kurzem i wcisnął wszystko do kieszeni. Drzwi zatrzęszczały jeszcze mocniej. Spojrzał na Dagny. Widok pokiereszowanej twarzy i poszarpanego ubrania z lekka otrzeźwił jego umysł. Należało zyskać trochę czasu na ucieczkę! Podbiegł do drzwi i zaparł je antabą.

Ze stryszku zwisała drabina, wspiął się więc po szczeblach na górę. W chwili gdy osiągnął cel, usłyszał, że drzwi puściły. Zaczął przeskakiwać upchnięte na strychu beczki i skrzynie, aż wreszcie zatrzymał się na wysokiej skrzyni, znajdującej się bezpośrednio pod klapą prowadzącą na dach. Odbił się i chwycił za wystającą krawędź. Jednym pchnięciem otworzył klapę i podciągnął się na dach. Tam kucnął przy otworze, żeby sprawdzić, czy ktoś go ściga. W dole drabiny ukazała się znajoma, jasnowłosa głowa Duncana.

Abner wstał i dobiegł do końca płaskiego dachu. Przelazł na sąsiedni. Pośpiesznie gramolił się po spadziście ułożonych gontach ostatniego domu w tym rzędzie. Właśnie zdołał uchwycić ręką szczytową belkę, gdy gonty nie wytrzymały nacisku. Zsuwał się w dół. Podrapanymi i pokaleczonymi rękami na oślep próbował zaczepić się o którąś z deszczulek. W końcu kurczowo zacisnął dłonie na samej krawędzi dachu i zawisł bezwładnie. Ciężar kołyszącego się ciała wyrwał mu ramiona ze stawów. Abner zerknął kątem oka na sąsiedni dach. Nikt go nie gonił.

Spojrzał w dół, na przejście między domami, znajdujące się mniej więcej sześć metrów pod nim. Trzask kłapy na sąsiednim dachu zrobił jednak swoje. Abner rozluźnił chwyt. Łądując, poczuł silny ból w wykręcających się kostkach, ale gnany strachem jakoś wpełzł w cień budynku. Z góry usłyszał tupot. Opierając się o ścianę, zdołał się wyprostować. Prawa noga wytrzymała ten skok, ale gdy spróbował stanąć na lewej, przeszył ją ostry ból. Mimo to pokuścił dalej, oszołomiony, lecz nie ogarnięty paniką. Wkrótce znalazł bezpieczne schronienie w labiryncie bocznych uliczek.

Hallie chwyciła Liv za ramiona.

- Czy na pewno jej nie widziałaś?

- Mmm... - Liv pokręciła głową.

Hallie wybiegła z kambuza dalej szukać Dagny, a Liv dreptała tuż za nią. Właśnie dotarły na górny pokład, gdy Hallie usłyszała wołanie o pomoc. Poderwała głowę i zobaczyła bliźniaków w olinowaniu tuż pod bocianim gniazdem.

- O Boże! Trzymajcie się! - zawołała, chwytając za rozkołysane liny.

Zaczęła się wspinać na maszt, przy każdym szczeblu drabinki sznurowej zatrzymując się na chwilę, by wziąć uspokajający oddech. Im wyżej była, tym bardziej chwiało się wszystko dookoła. I naturalnie kręciło jej się w głowie, ale musiała dojść jeszcze wyżej.

Usłyszała jednak krzyk i zerknęła w dół. Bardzo malutki Kit stał i coś do niej wołał, ale nie mogła zrozumieć co, bo krew pulsowała jej w uszach. Znów spojrzała w górę. Od chłopców dzieliły ją niecałe dwa metry. Knut był bliżej masztu, Gunnar zwisał z boku rei. Próbowwała chwycić za następną wyblinkę, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Wbrew jej woli nie chciały się ruszyć, podobnie zresztą jak nogi. Hallie wpadała w coraz większą panikę. Nie była w stanie nic zrobić! Spojrzała w dół. Kit był już tuż pod nią i wspinał się wyżej. Jeszcze chwila i uchwycił liny po obu stronach jej ciała. Poczowała na plecach jego ciepło.

- Mam cię. Nie bój się. - Uspokajające słowa trochę pomogły. - Wytrzymasz tu przez chwilę? Muszę wsadzić chłopaków do bocianiego gniazda.

Skinęła głową. Z przerażeniem przyglądała się, jak Kit chwycił Knuta i wrzucił go na zamkniętą platformę. Potem owinał sobie liny wokół nadgarstków i wychylił się pod tak niewiarygodnym kątem, że Hallie zrobiło się słabo. Instynktownie wzmocniła uścisk. Tymczasem Kit ulokował Gunnara we względnie bezpiecznym miejscu.

- Hallie?

Słyszając jego dźwięczny głos, podniosła głowę.

- Ciebie też wsadzę do bocianiego gniazda, a potem zniosę was po jednej osobie na dół. Zgoda?

Skinęła głową.

- Daj mi rękę.

Zdrętwiała. Kit chciał, żeby puściła linę. Jej ręka stawiała zdecydowany opór.

- Nie mogę.

- Możesz. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

- Nie mogę - jęknęła.

- No, dobrze. Wobec tego po prostu się trzymaj.

Hallie wyraźnie czuła, jak liny się kołyszają, zacisnęła więc dłonie tak mocno, że paznokcie wbijały jej się w ciało. Nagle jednak ciepła dłoń Kita ujęła ją jak kleszcze za nadgarstek.

- Teraz mam cię naprawdę. Złap mnie za rękę, to cię wyciągnę na górę.

- Nie dam rady. Ręka mnie nie słucha.

Kit odgiął jej zaciśnięte palce i oderwał dłoń od liny, po czym wywindował ją do bocianiego gniazda. Gdy znalazła się w bezpiecznym miejscu, poczuła ulgę. Mocno go objęła, przytuliła się do jego piersi i wybuchnęła szlochem. Odchylił jej głowę i spojrzeli sobie w oczy. W spojrzeniu Kita nie było nagany ani kpiny, tylko troska, kojąca jak dotyk matki. Hallie wzięła głęboki oddech.

- Już dobrze. Może pan się zająć chłopcami. - Oparła się o drewnianą ściankę platformy. - Posiedzę tu i poczekam.

Skinął głową i szybko wyjaśnił braciom, w jaki sposób znieśie ich na dół. Najpierw wziął

Gunnara i przyciskając chłopca przy piersi pokazał mu, w jaki sposób należy się trzymać. Tymczasem Knut siedział u Hallie na kolanach i przyglądał się tej lekcji. Gunnar objął Kita za szyję, oplótł go nogami w pasie i obaj znikli za barierką.

Hallie mocno przytuliła Knuta, odgarnęła mu włosy z czoła i zaczęła go kołysać. Bliskość ciepłego ciała chłopca trochę ją uspokoiła.

Upadek z tej wysokości musiałby być śmiertelny. Nie pierwszy raz chłopcy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Odkąd rodzina zamieszkała na „Sea Haven”, raz po raz trzeba było ratować ich z opresji. Hallie szybko doszła do wniosku, że statek nie jest najlepszym miejscem dla małych dzieci i młodych kobiet. Po nabrzeżu kręciło się bardzo podejrzane towarzystwo, więc Hallie nie pozwalała nikomu z rodzeństwa samopas schodzić z pokładu. Nie dalej jak godzinę, może dwie wcześniej pokłóciły się o to z Dagny, która teraz przepadła jak kamień w wodę. Wprawdzie Hallie łudziła się jeszcze nadzieją, że jest w błędzie, coś jednak mówiło jej, że siostra wykradła się cichaczem do sklepu po zakupy.

Kit wrócił do bocianiego gniazda i powiedział do Knuta:

- No, synu. Teraz twoja kolej. Będziesz umiał trzymać się tak jak twój brat?

- Pewnie! - Malec podskoczył z zachwytu. Wizja nowej ekscytującej przygody zatarła już przykre wspomnienie o niebezpieczeństwie sprzed paru minut.

Kit sprawdził, czy chłopiec rzeczywiście odpowiednio się trzyma, i zwrócił się do Hallie:

- Zaraz wrócę. Wytrzymasz?

- Tak - odparła i Kit znowu znikł jej z pola widzenia.

Bardzo szybko pojawił się jednak z powrotem.

- Chodźmy - powiedział. Otarł dłonie o spodnie i podał Hallie rękę.

Skorzystała z pomocy przy wstawaniu. Zaraz potem próbowała spojrzeć w dół, ale wysokość zrobiła na niej tak oszałamiające wrażenie, że musiała się przytrzymać obudowy bocianiego gniazda, żeby nie ugięły się pod nią kolana. Wiedziała, że ma lęk wypisany na twarzy, ale nic jej to nie obchodziło. Za bardzo się bała.

- Co... co mam robić?

Nie odpowiedział od razu, tylko przeszył ją wzrokiem. Poczuli się jak zoologiczny eksponat. On tymczasem bez pośpiechu przewędrował wzrokiem po jej ciele, od czubka głowy po palce stóp. Teraz nie widziała już na jego twarzy ani troski, ani sympatii, jedynie bezczelny, męski uśmiech.

- Złap mnie za szyję, dzieciaku... a potem obejmij mnie nogami w pasie, tak samo jak twoi bracia... - Demonstracyjnie spojrział na jej strój i z udaną niewinnością dodał: - W tych więziennych galotach nie powinnaś mieć z tym kłopotów.

Miała ochotę go spoliczkować i niechybnie by to zrobiła, gdyby знаła inny sposób powrotu na pewny grunt. W tej sytuacji ograniczyła się jednak do morderczego spojrzenia.

- To wcale nie są więzienne galoty. Już ci mówiłam, że to się nazywa suknia poprawiona. - Dumnie zadarła nos. - Poza tym musisz wymyślić inny sposób sprowadzenia mnie na dół.

Kit skrzyżował ramiona na piersi. Wyglądało na to, że szacuje wagę jej ciała. Minę miał mniej więcej taką, jakby dokonywał oględzin befsztyka. Potarł podbródek.

- No, możesz złapać się za wyblinki i po prostu zejść po drabince sznurowej. Ja będę odrobinę niżej i w ten sposób zejdziemy razem. - Radośnie wyszczerzył zęby. - To będzie taka zabawa w pająka.

Mhm, pomyślała Hallie. A ja będę muchą. Zerknęła na liny. Nie były napięte. Musiałyby uchwycić się ich rękami, a potem postawić stopę na czymś, co przez cały czas się kołysze. Nie miała na to najmniejszej ochoty.

- Nie.

- Wobec tego możemy zostać tu na górze. - Kit usiadł po turecku na deskach. Poklepał wolne miejsce obok siebie. - Siadaj. Niedługo zerwie się popołudniowy wietrzyk i będziemy mieli bardzo miły chłód. - Uśmiechnął się wilczo. - Ale nie martw się. Postaram się, żeby było ci ciepło.

Uśmiech był tak drapieżny i wygłodzony, że Hallie zaszumiło w głowie. Myśl o sam na sam z Kitem w bocianim gnieździe na „Sea Haven” pomogła jej podjąć decyzję.

- Niech pan wstaje - powiedziała bezceremonialnie. - Schodzę.

Przysunęła się nieco do barierki; Kit tymczasem wstał.

- Nie patrz w dół - ostrzegł.

Hallie przełknęła ślinę, ale usłuchała polecenia.

- Daj mi rękę - zażądał.

Podawała mu lewą dłoń i natychmiast poczuła się odrobinę różnie. Zaczepiła tchu i chwyciwszy za wyblinki, stanęła na rozkołysanej linie, bardzo uważając, by nie rozchylić zaciśniętych powiek. Zaraz potem poczuła na plecach ciepło ciała Kita, który stanął za nią, o szczebel niżej.

- Dobrze, grzeczna dziewczynka. - Poczowała na uchu jego gorący oddech. - Teraz przesun jedną rękę niżej, a potem drugą... dobrze.

Hallie machinalnie wykonywała polecenia.

- Teraz możesz zrobić krok w dół. Będę tuż za tobą, więc na pewno nie spadniesz.

Wiedziała, że jej nie oszukuje. Przy każdym kroku ocierała się o jego ciało. Zerwał się wiatr i raz po raz przynosił do niej przyjemny zapach tytoniu. Posłusznie schodziła krok za krokiem, słuchając hipnotyzującego głosu Kita. W ogóle nie zauważyła, że znikła gdzieś arogancka nuta.

Gdy dotknęła stopą twardych desek pokładu, wreszcie pozwoliła sobie na otwarcie oczu. Usiadła na pokrywie luku, zmęczona i szczęśliwa. Chłopcy przytulili się do niej; nad ich jasnymi główkami pochwyciła spojrzenie Kita. Uśmiechnęła się, a potem podziękowała mu i kazała chłopcom zrobić to samo.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Kit.

Boże, nie. Drugi raz tego nie zniosę, pomyślała. Wstała.

- Wie pan co, Kit, nie mam ochoty kłócić się o ten statek, a poza tym muszę znaleźć Dagny. - Chciała odejść.

- Dam ci „Sea Haven”.

Obróciła się w jednej chwili.

- Słucham?

- Dostaniesz ode mnie statek. Ale pod jednym warunkiem.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Pod jakim?

- Wprowadzisz się z dziećmi do mojego domu.

- Mam z panem zamieszkać? - spytała zdumiona, oburzona, a zarazem nieco tym podniecona.

- Z moją ciotką. Ja na razie przeniosę się na statek Lee, póki nie znajdę sobie czegoś innego - wyjaśnił Kit.

- Dlaczego?

Wcisnął ręce do kieszeni. Zwlekał z odpowiedzią. Patrzył wszędzie, gdzie się da, byle nie na nią. Wreszcie otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo przeszkodził mu hałas.

Zbliżał się ku nim jasnowłosy olbrzym. Duncan niósł przed sobą bezwładną Dagny.

Hallie skoczyła ku niemu, Kit i dzieci zaraz za nią. Dagny miała pokaleczoną, spuchniętą twarz, a na wargach zaschniętą krew.

- Boże, co się stało?

- Abner Brown ją porwał - odrzekł Duncan i w jego niebieskich oczach pojawił się nagle odcień chłodu. - Próbowałem go złapać, ale... no, musiałbym ją zostawić bez opieki. Nie mogłem, więc Abner uciekł. Nie wiem... nie wiem, co on jej zrobił...

Przeniósł wzrok na Kita. Hallie zauważyła tę wymianę spojrzeń między mężczyznami. Zrozumiała, co znaczą. Zerknęła na pokaleczoną siostrę.

Gwałt. Kit i Duncan sądzili, że Abner mógł być ją zgwałcić. Hallie zacisnęła dłonie na brzuchu, walcząc z falą mdłości. Po chwili odwróciła się do Kita.

- Niech pan sprowadzi lekarza. Kit, proszę, szybko!

W chwilę później już go nie było. Hallie chwyciła Duncana za ramię.

- Tędy, proszę. - Pociągnęła go w stronę kapitańskiej kajuty i wtedy przypomniała sobie o dzieciach. - Liv, zajmij się braćmi. - Otworzyła drzwi Duncanowi i znów zwróciła się do siostry. Odsunęła jej nierówną grzywkę, wpadającą do oczu. - Potrzebuję twojej pomocy, Liv. Czy dasz sobie radę z chłopcami, żeby mi nie przeszkadzali? Muszę zająć się Duggie.

Liv przygryzła wargę i skinęła głową. Hallie weszła do kajuty i zamknęła za sobą drzwi.

Duncan położył Dagny na koi. Wciąż była okryta jego obszernym szarym sakiem. Hallie nalała trochę wody do miski i postawiła ją na półce przy koi. Znieruchomiła z lęku przed tym, co może za chwilę zobaczyć, zaraz jednak uniosła sak.

Dagny miała sine ślady na szyi i rozdarty stanik sukni, ale bielizna wydawała się nietknięta. Hallie sprawdziła dokładnie stan halek i majtek, i przekonała się, że do gwałtu na pewno nie doszło. Obmyła zimną wodą pokaleczoną twarz siostry i zaczęła szeptać do niej słowa pociechy.

Duncan zbliżył się.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Ona jest taka niezwykła. Los nie powinien tak jej doświadczać.

- To prawda - przyznała Hallie. - Ale dlaczego Abner to zrobił? Zupełnie jakby był umysłowo chory.

- Bo jest umysłowo chory.

- Co takiego?! - Hallie obróciła się, wstrząśnięta. Zawsze uważała przedsiębiorcę jedynie za zdziwaczałego mantykę.

- Pożar go zniszczył. Ostatnim razem, jak go widziałem, klęczał w swoim spalonym zakładzie, krzyczał jak szalony i ciskał skorupami. Nie wiem, gdzie się od tamtego dnia podziewa, ale... - Duncan zacisnął dłoń w pięści. - Znajdę go. Obiecuję pani, że go znajdę.

Wszedł Kit, a zaraz za nim lekarz, ten sam, który opatrywał jej ranę po pożarze. Przystąpił do badania Dagny. Kit z Duncanem wyszli z kajuty; po chwili Hallie dołączyła do nich.

Cicho zamknęła drzwi i zerknęła na dół, gdzie Liv odwracała uwagę bliźniaków, zabawiając ich kocią kołyską. Usiadła na obudowie koła sterowego.

- Lekarz powiedział, że Abner jej nie tknął.

Duncan z zamkniętymi oczami oparł się o ścianę i Hallie widziała, jak ulga łagodzi mu rysy twarzy. Sama czuła się podobnie.

- Ale powiedział też, że bił ją mocno po twarzy i w ogóle po głowie. Niepokoi go, że Dagny jest tak długo nieprzytomna. - Hallie potarła piekące oczy. - Boże, dlaczego właśnie jej musiało się to przytrafić?

Kit przysiadł obok niej. Wziął ją za rękę. Przyjemnie było spleść z nim dłoń. Jej zlodowaciałym palcom zrobiło się nagle ciepło.

- Hallie?

Usłyszała go, ale się nie odezwała. Patrzyła na jego dłoń. Była wielka i silna, a mimo to trzymała ją bardzo delikatnie. Czemu wszystko musi być takie skomplikowane? Hallie zupełnie nie wiedziała, czy Kit jest ich przyjacielem, czy wrogiem. Czy chce ich skrzywdzić, czy im pomóc. Znowu wymówił jej imię, a jego głos był nie mniej delikatny niż uścisk dłoni. Spojrzała mu w oczy, żeby się przekonać, czy ich głęboka zieleń nie zdradzi, że za tą nagłą łagodnością coś się kryje. Ale nie.

- Chyba powinnaś się wyprowadzić z tego statku. Moja propozycja wciąż jest aktualna. Wydaje mi się bardzo rozsądna. - Kit skinął głową w stronę młodszego rodzeństwa. - Będą miały bezpieczny dom. Maddie umie obchodzić się z dziećmi, może też pomóc ci przy Dagny. Tak będzie najlepiej dla was wszystkich.

Miał rację. Bez względu na uczucia, jakie żywiła do Kita, w tej chwili musiała myśleć przede wszystkim o dobru rodziny. Potrzebowali spokojnego domu, a i jej pomoc była naprawdę potrzebna. Odkąd tata zginął, przydarzały im się same katastrofy.

Palce Kita dotknęły jej podbródka i popchnęły go w górę. Znowu musiała na niego spojrzeć. Szczerze zatroskanie, które zobaczyła, przekonało ją ostatecznie. Zamknęła oczy, ze złością myśląc o łzach, które potoczyły jej się po policzkach.

- Zgoda, przeprowadzimy się.

Hallie wyprostowała się i założywszy zmęczone ramiona za głowę, przeciągnęła się. Mięśnie bolały ją jak diabli. Przećwiczyła krążenie ramion, żeby trochę je rozruszać. Potem oparła dłoń na krzyżu i zaczęła wyginać się do tyłu, póki nie rozległ się trzask, po którym napięcie jej mięśni w krzyżu nieco zelzało.

Rozejrzała się po salonie i pomyślała, że nikt, nawet ciotka Kita, nie znalazłby tu już nawet pyłką kurzu. Ciemne, orzechowe meble lśniły od nacierania miksturą Maddie, robioną z wosku i

oleju orzechowego, a w pokoju unosił się miły zapach prawie jak od masy marcepanowej na Boże Narodzenie.

Boże, ależ była zmęczona. I bardzo swędziała ją noga. Hallie opadła na miękkie, tapicerowane krzesło, podrapała gojącą się oparzelinę i postanowiła odpocząć. Mieszkali w domu Kita już pięć dni, ale jak dotąd nie udało jej się spokojnie przespać ani jednej nocy. Chłopcy mieli ostatnio tyle ciężkich przeżyć, że z trudem zasypiali w nowym otoczeniu. Wielka sypialnia, przydzielona im przez Maddie, znajdowała się dokładnie naprzeciwko sypialni Hallie, ale widocznie i tak za daleko. Każdej nocy albo Knut, albo Gunnar, albo obaj wślizgiwali się w końcu do jej pokoju i włązili do łóżka. A we śnie wiercili się jeszcze bardziej niż za dnia.

Pierwszej bezsennej nocy Hallie kilkakrotnie wyganiała ich z powrotem do swoich łóżek. Nic tym nie osiągnęła. Chłopcy odkryli w sobie zadziwiającą umiejętność odgadywania, kiedy siostra zapada w sen, i jak za sprawą magii natychmiast ukradkiem wracali do jej łóżka. Gdy zaś spokojnie zasnęli, zniemacka trafiali siostrę piąstką albo rozbrykaną nogą. Po takiej nocy Hallie budziła się z uczuciem, że ją pobito.

Jak Dagny.

Myśl o posiniaczonej twarzy siostry i jej spuchniętych wargach budziła w Hallie poczucie winy. To ona była przecież odpowiedzialna za zdrowie i dobre samopoczucie rodziny, gryzła się więc, że nie stanęła na wysokości zadania. Dowodził tego stan Dagny. Gdyby nie zaproszenie Kita, wciąż tkwiliby całkiem bezbronni i zdani tylko na siebie na pokładzie „Sea Haven”. Naturalnie, uratowałyby wtedy swą dumę. Tylko czyje zdrowie musiałyby jeszcze za to poświęcić?

Gwizd podziwu, który przeszył ciszę, bardzo ją przestraszył. Aż podskoczyła.

- Tutaj pachnie jak w domu. - Do pokoju wszedł Kit. Stał przed Hallie, bezsilnie siedzącą na krześle. - Czyżby Maddie za bardzo goiła cię do pracy?

- Nie. Po prostu siedzę... i myślę - odparła Hallie nieprzytomnie.

- Jak ona się czuje? - Kit podszedł do sofy naprzeciwko krzesła Hallie i usiadł na oparciu.

Spojrzała na niego markotnie.

- Skąd pan wie, że myślałam o Dagny?

- Zgadłem.

Spuściła oczy. Skupiła wzrok na kolanie Kita zastanawiając się, czy już zawsze wszyscy będą mogli wyczytać jej myśli z wyrazu twarzy. Liczyła, że przynajmniej z głosem serca się nie zdradza, ale na wszelki wypadek w ogóle odwróciła głowę.

- Nic się nie zmieniło. Patrzy tępo przed siebie, jakbyśmy nie istnieli. Dzisiaj rano był lekarz, ale nie udało mu się skłonić jej do żadnej reakcji. Powiedział, że nie zna pewnego sposobu na wyrwanie jej z tego stanu i nie wie, jak długo to może trwać.

W pokoju zapadło grobowe milczenie. Hallie czuła się odpowiedzialna za tę tragedię i w dodatku całkiem bezradna. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Kit też nie miał nic do powiedzenia. Wiedział, że żadne słowa nie przywrócą zdrowia Dagny.

- Wracam od szeryfa Hayesa - odezwał się w końcu. - Nikt ostatnio nie widział Abnera Browna. Albo wyjechał z miasta, albo gdzieś się ukrył. Szeryf uważa, że raczej wyjechał, ale ja nie jestem tego taki pewien. Jeśli naprawdę wszystko poprzestawiało mu się w głowie, tak jak mówi Duncan, to lepiej nie ryzykować. - Oparł łokieć na kolanie, przez co ich twarze zbliżyły się. - Hallie?

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Nie chcę ryzykować. Zatrudniłem Duncana, żeby was pilnował. Wprowadzi się po południu do sypialni na dole. Nikt, nawet Maddie, nie ma prawa wyjść z domu bez niego. Duncan umie powozić i może zawieźć was wszędzie, gdzie chcecie. Rozmawiałem już na ten temat z Liv i bliźniakami, Maddie słyszała tę rozmowę, ale potrzebuję też twojej pomocy, żeby to polecenie było wykonywane.

- Dobrze - powiedziała Hallie wstając. - Dopilnuję, żeby dzieci wyraźnie zrozumiały, o co chodzi. - Nerwowo poruszyła splecionymi dłońmi. - Dziękuję panu, Kit. Za wszystko, co pan dla nas robi.

Kit również wstał i pochylił głowę, żeby widzieć twarz Hallie.

- Mówiłem całkiem serio, kiedy obiecałem, że się wami zaopiekuję, całą rodziną.

Hallie zajęła się wsadzaniem za ucho luźnego kosmyka włosów. Dzięki temu mogła przez chwilę nie patrzeć na Kita. Powietrze w pokoju nagle zgęstniało. Poczowała znajomy już, niepokojący dreszcz, bo Kit do niej podszedł. Dotknął jej ramion i zaczął przesuwając dłonie w górę i w dół. Zadrżała.

Oddech Kita owionął jej skroń.

- Zimno ci?

Powieki jej opadły.

- Nie.

Delikatna pieśczoła przenosiła ją prosto w świat zmysłowych doznań. Ramię Kita było tuż obok, przyzywało. Przysunęła policzek do szorstkiej wełny jego surduta, a sama przylgnęła mu do piersi. Zerknęła w górę i zobaczyła świeży zarost na szczęce. Ich usta spotkały się w pół drogi. Czując smak pocałunku, zapomniała o zmęczeniu. Drobnymi ruchami zaczęła głaskać Kita po ramionach, a on odwzajemnił pieśczołę. Otworzyła oczy, chcąc widzieć ten pocałunek, przekonała się bowiem, że to jeszcze zwiększa intensywność doznań. Kit miał powieki spuszczone, Hallie liczyła jednak, że zaraz je uniesie. Nie omyliła się, ale w chwilę potem Kit cofnął się, odsunął jej ręce i sam ją puścił.

- Co ja, do diabła, robię? - mruknął pod nosem i cofnął się jeszcze dalej. Wpatrywał się w nią tak, jakby to była jej wina, że ją obejmował i całował.

W tym spojrzeniu nie było miłości, tylko wyrzut. Hallie pomyślała, że musiała czymś zawinić. Zapragnęła nagle znaleźć się jak najdalej od niego.

- Zimno mi - powiedziała. Było to bardzo oględne określenie tego, co w tej chwili czuła.

- Hallie, poczekaj. - Kit wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. Wyminęła go i wybiegła z pokoju. Słowa pożegnania dobiegły go echem z korytarza.

- Co ty tu masz? - Maddie spojrzała badawczo na Liv, czającą się przy kuchennych drzwiach.

- Nic. - Liv stała wciśnięta w kąt i raz po raz poruszała ramionami, jakby próbowała coś schować za plecami.

- Liv! - powiedziała surowo Hallie. - Co to za muchy w nosie?! - Wyciągnęła rękę z miski, w której zmywała, i wytarła je w fartuch.

- Ja z nią porozmawiam, Hallie. - Maddie odstawiła tacę z resztą obiadu, właśnie przyniesioną z pokoju Dagny. Skrzyżowała ramiona na piersiach. - Pokaż ręce, moja panno.

Na twarzy Liv odmalowało się poczucie winy. Dziewczynka oparła się o ścianę. Było jasne, że cokolwiek chowała, tkwiło teraz zaklinowane w kącie za jej spódnicą. Wystawiła przed siebie jedną rękę, a drugą dopiero potem, gdy pierwsza już znikła.

Hallie i Maddie wymieniły znaczące spojrzenia, ale zanim któraś z nich zdążyła się poruszyć, Liv wytrzeszczyła oczy, a pomiędzy jej spódnic dobiegł wszystkich przeraźliwy, świdrujący uszy dźwięk.

- Au! Ojej! - Liv odskoczyła od ściany. - Zabierzcie go!

Pleców sukienki Liv uczeplił się wielki, bury kot.

- Ajaj! Hallie! Zabierz go! - Liv zaczęła skakać w kółko, usiłując strząsnąć z siebie zwierzę, które trzymało się jej wszystkimi pazurami.

- Nie ruszaj się, Liv! - Maddie chwyciła dziewczynkę za ramiona, a Hallie zdołała zdjąć przerażone zwierzę z pleców siostry.

Hallie wzięła kota na ręce. Był tak wielki, że sięgał jej od łokcia do łokcia.

Maddie wciąż trzymała Liv za ramiona.

- Dlaczego chciałaś wnieść tego kota do domu, nic nikomu nie mówiąc?

Liv odwróciła oczy, a potem szepnęła:

- Myślałam, że mi nie pozwolicie go zatrzymać. Jest taki brudny, a wy wszystko wyczyściłyście, a ja... ja nie mogłam go zostawić. Pewnie wszystko mu się spaliło tak jak nam, no więc chciałam... chciałam mu pomóc.

- Wiesz, że wnoszenie czegoś do domu bez pozwolenia jest tak samo złe jak kłamstwo, prawda, moja panno?

Liv skinęła głową; miała bardzo poważną minę.

- Powinnaś była najpierw spytać o pozwolenie. - Głos Maddie był surowy, ale przyjazny.

Liv słuchała pilnie każdego jej słowa, co nie zawsze udawało się osiągnąć Hallie.

- Gdzie znalazłaś tego kota? - spytała Maddie po długim milczeniu.

- Tam, za domem. Jest bardzo zimno, chował się pod krzakami, całkiem sam... i płakał. Musiałam coś zrobić, żeby nie umarł z głodu.

Hallie zdrętwiały ręce, ale kot zaczął przymilnie mruczeć.

- Toto miałoby umrzeć z głodu? Jest o wiele za ciężkie, żeby było kandydatem do śmierci głodowej.

- Może ma grube kości - wyraziła przypuszczenie Liv. Maddie spojrzała na Hallie nieco już rozdrażniona, a potem uważnie przyjrzała się kotu i tragicznej minie Liv. Skapitulowała.

- Tym razem pozwolę ci zatrzymać kota, ale pamiętaj, żebyś więcej niczego nie wносиła do domu bez pozwolenia. Zrozumiałaś?

- O, tak!

- I musisz o tego kota dbać. A zaczniesz od tego, że go wykąpiesz.

- Dziękuję, ciociu Maddie! Będę się nim bardzo dobrze opiekować. Sama zobaczysz. - Liv uśmiechnęła się promiennie.

- A za swój występ - dodała Maddie - powtórzysz dziesięć razy tabliczkę mnożenia.

Liv wykrzywiła buzię, jakby miała jęknąć. Spojrzenie Maddie powstrzymało jednak protest w zarodku. Ku zdumieniu Hallie, zamiast wszczać kłótnię, siostrzyczka wyciągnęła do niej ręce, żeby wziąć kota.

W kilka minut później Liv ze szczęśliwą buzią szorowała kota w misce do naczyń, a Maddie przyniosła kawał flaneli i położyła obok miski na blacie.

- Jak zamierzasz go nazwać?

- Nie wiem. - Liv popadła w zadumę.

Drzwi do kuchni otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadli chłopcy, starający się za wszelką cenę przeobrazić w plemię Indian. Za nimi zjawił się Duncan, któremu przypadła rola Wielkiego Białego Ojca. Chłopcy przerwali jednak dzikie wycie natychmiast, gdy zobaczyli kota. Zerkał na nich z ramienia Liv, wycierającej mu grzbiet.

- Ojejku, kot! - Gunnar podbiegł do siostry, żeby lepiej widzieć; Knut poszedł za jego przykładem.

- On jest mój. - Liv przycisnęła kota do piersi, co wywołało głośny, miauczący sprzeciw.

Knut obrócił się do starszej siostry.

- Hallie, Liv się nie chce podzielić.

Maddie przejęła inicjatywę.

- Chłopcy, podejdźcie do stołu. Postawimy tam kota, żebyście mogli mu się przyjrzeć. Ale pamiętajcie, że on się boi, więc go nie straszcie jeszcze bardziej. A ponieważ znalazła go Liv, więc kot jest jej. Jak będziecie starsi i nauczycie się opiekować zwierzętami, to też będziecie mogli mieć jakiegoś ulubieńca w domu. - Maddie pochyliła się do Liv i szepnęła. - Pozwól im trochę popieścić kotka, to ci zaraz dadzą spokój.

- Niech będzie - ustąpiła Liv, choć bez entuzjazmu. Postawiła owiniętego we flanelę kota na stole. Duncan w milczeniu podszedł do chłopców. Hallie przyglądała się, jak Liv zdejmuje szmatkę z mokrego zwierzęcia. Kot był cały czarny, tylko na pyszczku przy wąsikach miał białą plamkę, a na brzuszku szeroką białą pręgę.

- Ona się spodziewa - zauważył Duncan. Maddie jęknęła.

Knut podniósł głowę.

- Gdzie się podziewa?

- Nie „podziewa”, tylko „spodziewa”. Kociąt, bo to jest kotka! - wykrzyknęła radośnie Liv.

Zwierzę położyło się na boku i zaczęło sobie wylizywać łapki. Nie wydawało się ani trochę przestraszone. Hallie odniosła nawet wrażenie, że niewiele mu brakuje do szczęścia. Bliźniacy dokładnie przyjrzeni się nabrzmiałemu kociemu brzuchowi, najwyraźniej wypatrując kociąt.

- Ona wygląda jak skunks - oznajmił Knut.

- Wcale nie! - sprzeciwił się Knut, mierząc brata pogardliwym spojrzeniem. - Skunks ma pręgę na grzbiecie.

- O, tak ją nazwę - ucieszyła się Liv. - Skunks. Albo Pani Skunks, bo przecież będzie matką. - Wzięła kota ze stołu i powiedziała: - Biorę ją do siebie na górę, żeby mogła odpocząć. - Opuściła kuchnię, a bliźniacy zaraz za nią, kłócąc się o imię dla kota.

Maddie pokręciła głową.

- I co ja najlepszego zrobiłam?

- Prawdopodobnie oszczędziła pani Liv i nam wielu kłopotów na najbliższe tygodnie. Pani Skunks tak ją zajmie, że Liv nie będzie miała czasu na brewerie. - Hallie uśmiechnęła się do Duncana. - Już u nas zamieszkałeś?

- Tak, proszę pani.

- Może czegoś ci trzeba? Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję pani. Sprawdzę zamki, a potem położę się spać. - Duncan podszedł do kuchennych drzwi i zasunął rygiel, potem sprawdził okno i już go nie było.

Maddie zerknęła na drzwi, za którymi znikł.

- Jaki spokojny człowiek.

- I jaki wielki. Za pierwszym razem śmiertelnie mnie wystraszył. Ale tak naprawdę jest bardzo życzliwy i miły.

- Pytał mnie wcześniej, czy mógłby odwiedzić Dagny. Wygląda tak, jakby się o nią szczerze martwił. Co o tym sądzisz? - spytała Maddie.

- Uratował mnie podczas pożaru, a Dagny wyrwał z rąk Abnera Browna. Na pewno nie zrobi jej krzywdy. Zresztą już przedtem wydawało mi się, że oni poczuli do siebie coś wyjątkowego. Może Duncanowi uda się nawiązać z nią kontakt. Pamiętam, że gdy się poznali, niedługo po śmierci taty, Duncan był pierwszą osobą, z którą Dagny chciała rozmawiać. Tak się wtedy o nią martwiłam, a teraz... Och, Maddie. Nie sądziłam, że może być jeszcze gorzej, ale jednak może, i to wszystko przeze mnie.

Maddie chwyciła Hallie za rękę.

- No, no, tylko nie rozpaczaj. Wszystko będzie dobrze. To nie twoja wina, że na Dagny napadnięto. Obwinianiem się niczego nie zmienisz i na pewno nie przywrócisz zdrowia siostrze. Przeciwnie, możesz w ten sposób jeszcze pogorszyć sprawę. Dagny potrzebuje twojej siły. A ty, moja panno, jesteś jedną z najsilniejszych młodych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałam. Dlatego weź się w garść!

Hallie uśmiechnęła się. Maddie była dla niej bardzo życzliwa.

- Będziemy się dobrze opiekować Dagny - dodała Maddie. - Tutaj jest bezpieczniejsza. Wszyscy jesteście bezpieczniejsi.

- Ale czy nie sądzi pani, że trochę nas tu za dużo?

- Nawet o tym nie myśl. Gdyby nie było tu ciebie ani dzieci, chodziłabym po tym domu i nie miała komu zrzędzić, jeśli nie liczyć mojego nieszczęsnego siostrzeńca. A, właśnie. Pokłóciliście się?

- Nie. - To była prawda. Nie kłócili się. Znowu sama rzuciła mu się w ramiona, a potem z tego powodu uciekła z pokoju. Nie chciała go widzieć ani z nim rozmawiać.

- Aha. - Maddie wydawała się zaintrygowana. - Wobec tego musiało go wyprowadzić z równowagi coś innego. Ostatnio, gdy go tu widziałam, wypadł za drzwi jak huragan, a minę miał posępną.

Hallie nie chciała myśleć o Kicie, a rym bardziej rozmawiać o nim z Maddie. Wstała.

- Jestem zmęczona. Pójdę się położyć.

- Naturalnie, moja panno. Do zobaczenia rano. - Maddie starała się ukryć uśmiech doświadczonej osoby, ale jej się nie udało. Hallie postanowiła go jednak zignorować, tak samo jak ignorowała Kita.

Życzyła Maddie dobrej nocy, opuściła przytulną kuchnię i szybko poszła na górę, gdzie zachowało się jeszcze trochę ciepła po pogodnym dniu. W sypialni zaraz zdjęła nocną koszulę z haczyka na drzwiach. Rozebrała się, włożyła koszulę przez głowę i podeszła do toaletki. Sięgnąwszy do szuflady po puderko na szpilki do włosów, znieruchomiła. W powietrzu rozszedł się zapach tytoniu Kita. Przypomniało jej to, do kogo należy ta sypialnia. Nie chciała takich przypomnień.

Wyszarpnęła sobie szpilki z włosów, wrzuciła je do puderka i zatrzasnęła szufladę. Potem chwyciła za szczotkę, przerzuciła sobie długie, jasne włosy przez ramię i nerwowymi ruchami zaczęła rozczesywać splecione miejsca. Wciąż czuła zapach przypominający jej Kita.

Odłożywszy szczotkę, podeszła do toaletki i wzięła fiolkę z wonnym olejkiem, którą tata

przywiózł jej z Hawajów. Wyciągnęła koreczek i pokropiła olejkiem chusteczkę do nosa. Parę kropel zostało jej na palcach, więc wtarła je sobie w skórę za uszami. Potem podeszła jeszcze raz do toaletki, otworzyła szufladę i włożywszy tam chusteczkę, mruknęła:

- No, nareszcie!

Wróciła do wielkiego łóża, zdmuchnęła płomień lampy i wsunęła się pod górę pościeli. Naprawdę była zmęczona i obolała. Miała tylko nadzieję, że zmęczenie pozwoli jej zapomnieć o upajającym zapachu, który został w tym pokoju po jego właścicielu.

- Jeszcze rundkę? - spytał Lee, podnosząc pustą butelkę po rumie. Milczenie. - Kit, napijemy się jeszcze? - Milczenie.

Lee zerknął na przyjaciela.

- Hej, wiesz, że idzie w naszą stronę siedem pięknych, nagich dziewczyn z rudymi włosami?

- To dobrze - odparł Kit.

Lee dalej snuł swą rozpasaną fantazję:

- Jedna z nich ma tabliczkę.

- Mhm.

- A tam jest napisane: „Za jednego lek dla oczu, za piątaka lek dla rąs, za dychę karolek”.

- Jaki Karolek?

- Fredriksen - odparł Lee.

Kit zamrugał i odwrócił się do przyjaciela. Lee patrzył na niego i uśmiechnął się kwaśno.

- O czym ty mówisz?

- Ach, o niczym szczególnym. Powinienem być ci opowiedzieć o wysokich blondynkach - odmruknął Lee i wskazał szklaneczkę Kita. - Napijemy się jeszcze?

Kit zerknął na pustą butelkę

- Ech, do diabła! Czemu nie?

Lee głośno postawił butelkę na stole.

- Hej, więcej rumu tutaj!

W godzinę później Kit uniósł głowę ze stołu i spojrzał w swoją na wpół opróżnioną szklanekę.

- Jestem osioł.

- Ja też - przyznał Lee.

- Powinienem trzymać łapy z dala od Hallie, a nie potrafię - oznajmił Kit.

- No, to jesteś osioł.

- Wiem. - Kit podniósł do ust szklaneczkę i opróżnił ją z zawartości. - To wszystko jest moja wina.

- Mhm. - Lee dolał Kitowi rumu. Połowa znalazła się na stole.

- Powinienem być wcześniej sprzedać ładunek Jana. Zżarła mnie chciwość.

- Mhm. - Lee przymknął jedno oko, żeby lepiej wycelować, i ponownie spróbował napełnić szklanekę Kita. Trafił jednak strumieniem na żarzącą się fajkę.

- Puściłem z dymem majątek zabezpieczający przyszłość jego dzieci. Muszę się teraz nimi zająć. Nie mają na świecie nikogo oprócz mnie. - Kit westchnął.

- Lubisz tytoń rumowy? - zapytał Lee.

- Bardzo. To mój ulubiony gatunek.

- Cieszę się.

- Dlaczego?

- Tak pytam - odrzekł Lee uważnie wpatrując się w otwór w szyjce butelki.

- Hallie naprawdę się zmieniła - stwierdził Kit.

- Jasna sprawa.

- Chyba nigdy nie widziałem włosów w takim odcieniu. A ty?

- Nigdy. - Lee zrezygnował z napełniania szklanek i przytknął butelkę do ust.

- Jest urocza.

- Wspaniała - przyznał Lee, ocierając rękawem usta. Podał butelkę Kitowi.

- Ale młodziutka. Czuję się jak stary rozpustnik.

- Ja tam jestem rozpustnikiem. - Lee potoczył wzrokiem po sali. - Właśnie mi się zdawało, że chcesz wypuścić ptaszka z klatki. Potrzebujemy jakichś pań!

Kit dokończył zawartości butelki. Lee pewnie miał rację. Potrzeba mu było kobiety. Może wtedy przy Hallie nie swędziałyby go ręce. Bądź co bądź, był jej opiekunem, powinien więc jej pilnować także przed sobą.

Na stole z hukiem stanęła nowa butelka. Natomiast na kolanach Kita znienacka usiadła kobieta. Spojrzał na nią, ale nie widział wyraźnie twarzy. Zmrużył oczy, usiłując skupić się na kształcie nosa... nosów... Kobieta przykleiła się do niego. Mocny zapach perfum nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Odnalazła jego usta i rozchyliła wargi. Odruchowo przyjął zaproszenie do pocałunku i wsunął jej język do ust. Ale nie sprawiło mu to przyjemności.

- Przepraszam, kochanie. - Kit odsunął się i zsadził kobietę z kolan. - Musisz uraczyć swoimi wdziękami kogo innego. - Wsunął jej do ręki pieniądze. - To nie jest mój wieczór.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem jak potencjalnego kupca.

- Nie, króliczku. To nie jest mój wieczór - powtórzył i wtedy odeszła.

Kit wstał. Sala zakołysała się, jakby stał na pokładzie statku podczas sztormu, wielkiego sztormu. Oparł się o stół, żeby nie stracić równowagi.

- Lee?

- Hmm?

Kit nie widział twarzy Lee, zakrytej przez jakąś brunetkę.

- Idę do domu.

Lee przerwał na chwilę pieszczoty, żeby zaczerpnąć tchu, a przy okazji niedbałym gestem wyprawił Kita w drogę.

Kit zdjął z wieszaka kurtę i kapelusz, wziął butelkę i wyszedł z szynku. Ruszył ulicą, pomrukując wielorybniczą śpiewkę Lee, jednocześnie zaś mozolił się z kurtą. Na rogu nagle się zatrzymał. Przypomniawszy sobie o koniu. Zawrócił więc po niego. Po drodze zdążył nasadzić kapelusz na głowę i schować butelkę do kieszeni. Odwiązał cugle, dosiadł konia. Jadąc przez San Francisco, nadal nucił śpiewkę Lee, od czasu do czasu pociągając łyk z butelki.

Przed domem zgramolił się z konia, zarzucił cugle na słupek i pokonawszy schodki, stanął przed drzwiami. Były zamknięte.

- Do stu piorunów! - Zaczął obszukiwać kieszenie. - Gdzie jest ten przeklęty klucz? - Nagle przypomniał sobie, że ma też zapasowy, schowany za podszewką kapelusza. Po chwili palce uporały się ze skomplikowanym zadaniem i Kit zdołał przekręcić klucz w zamku.

Ruszył prosto do schodów przekonany, że powinien jak najszybciej znaleźć się w sypialni, bo inaczej padnie gdzieś na podłogę. Wszedł do pokoju i próbował wymacać lampę, ale nie było jej na miejscu. Phi, mniejsza o to, pomyślał.

Pozbył się butów, rzucił za siebie ubranie i odchyliwszy koce, wsunął się do łóżka. Zamknął oczy i przewrócił się na drugi bok, zagarniając ramieniem jakieś poduszki. Głęboko oddychając, zapadł w sen. Wyobraźnia podsunęła mu obraz tropiku i bujnych, wonnych kwiatów plumerii.

Hallie drgnęła i przebudziła się. Któryś z bliźniaków znowu włożył jej do łóżka. Chciała przewrócić się na drugi bok, ale była przygnieciona do prześcieradła czyjąś nogą. Próbowała strącić z siebie ten ciężar, noga jednak bezwładnie opadała z powrotem. Poirytowana Hallie otworzyła oczy, zamierzając wynieść chłopca z powrotem, okazało się jednak, że wcale nie przygniata jej noga. Było to ramię, owłosione ramię dorosłego mężczyzny. Przerażliwie krzyknęła i szarpnęła się. Rękami i nogami zaczęła wypychać mężczyznę z łóżka.

Kit, pijany jak bela, bezwładnie spadł na drewnianą posadzkę jak go Pan Bóg stworzył. Oszołomiony nagłym uderzeniem, spojrzał na Hallie, która klęczała na krawędzi łóżka i przyglądała mu się wstrząśnięta. Uświadomił sobie, że jest nagi, chciał więc chwycić za prześcieradło, żeby się okryć. Nie zdając sobie z tego sprawy, złapał jednak nie za prześcieradło, tylko za koszulę nocną Hallie. Gdy pociągnął, dziewczyna runęła jak długa prosto na niego. Odruchowo zamknął ją w ramionach i potoczyli się po podłodze. Przez cały czas oboje gorączkowo starali się jakoś wyplątać z uścisku.

- O Boże!

Na dźwięk znajomego głosu jednocześnie poderwali głowy. W drzwiach stała Maddie i szeroko rozpościerała spódnicę, żeby zasłonić wnętrze sypialni przed ciekawskimi oczami bliźniaków.

- Moja siostra wychodzi za mąż - oznajmił Knut, patrząc na Agnes Treadwell.

Kobieta uśmiechnęła się do chłopca.

- O tak, to jest piękne. Kto by się spodziewał, że Kit Howland, taki przystojny mężczyzna, nagle padnie jej w objęcia. Jakie to ekscytujące! - Zwróciła się do Hallie. - Prawda, kochanie?

Hallie skinęła głową niepewna, czy uda jej się utrzymać oficjalną wersję wydarzeń.

- Powiedz mi, kochanie, jak to było. Jak Kit ci się oświadczył? Albo nie, poczekaj! Sama zgadnę. - Agnes spojrzała w górę i oczy zasnuła jej mgielka rozmarzenia. - Na pewno w czasie romantycznego spaceru przy księżycu, czy tak? - Agnes skierowała na Hallie oczy pełne nadziei.

- No, niezupełnie. W zasadzie oświadczył mi się dzisiaj rano. - Hallie wzięła poduszkę z sofy i zaczęła bawić się frędzlami.

- Ciotka Maddie mu kazała - powiedział Knut.

Poduszka wypadła Hallie z ręki. Maddie wkroczyła do salonu.

- Knut, kochanie, czy mógłbyś poszukać Liv? - Zwróciła się do Agnes i wyjaśniła: - Ponieważ Hallie nie chce robić wielkiej fety, więc podsunęłam Kitowi pomysł, że mogliby się pobrać nawet dzisiaj. Rzecz jasna, jeśli wielbny Treadwell będzie mógł udzielić im ślubu.

- Ależ naturalnie. Oboje uwielbiamy dawanie ślubów. A jeśli o ten chodzi... prawdę mówiąc, spodziewaliśmy się, że tak będzie. Nie dalej jak ostatniej niedzieli Mary Oatt powiedziała Charlesowi, że po pożarze Kit wprost odchodził od zmysłów. I powiem pani, że jak tylko to usłyszałam, to już wiedziałam, co się święci.

Agnes bez przeszkód puściła wodze fantazji, a Hallie znowu zajęła się skubaniem frędzli. Jakoś nie mogła uspokoić rąk ani zapanować nad przykrym uczuciem w żołądku. Było jej bardzo źle na świecie. I to w dniu ślubu. Powinien to być najszczęśliwszy dzień w życiu, dla niej jednak oznaczał tylko upokorzenie.

W nocy, odesławszy braci do sypialni, Maddie jasno powiedziała jej i Kitowi, że mają zaraz następnego dnia wziąć ślub. Tak więc oświadczyzny, przedmiot długotrwałych marzeń Hallie, odbyły się na podłodze sypialni, a jej kandydat na męża był ustrojony jedynie w prześcieradło. Zamiast miłosego wyznania Hallie usłyszała od niego jedynie:

- No tak, chyba muszę się z tobą ożenić. - Nie były to słowa pełne miłości i oddania.

- Hallie?

Spojrzała na Maddie, która wpatrywała się w jej dłoni. Leżały tam trzy frędzle oderwane od poduszki.

- Słucham? - Szybko wcisnęła frędzle pod oparcie.

- Powinnaś już zacząć się przygotowywać. Ślub będzie o czwartej. - Maddie nieznacznie skinęła ku Agnes, która wciąż uśmiechała się tak szeroko, jakby to ona była oblubienicą.

Hallie skwapliwie skorzystała z danej jej drogi ucieczki.

- Ślicznie wyglądasz. - Maddie zamknęła drzwi sypialni.

Hallie siedziała na stołeczku przed toaletką i dokonywała oględzin swojej kreacji. Była to jedna z czterech sukni, które Maddie kazała dla niej uszyć zaraz po tym, jak zamieszkali u Kita. Maddie wyżywała się zresztą w ubieraniu całej rodziny Fredriksenów.

- Naprawdę pani tak uważa?

Maddie podeszła do niej i delikatnie ujęła jej twarz w dłonie. Pochyliła jej głowę w stronę lustra.

- A ty jak uważasz?

Hallie przygryzła wargę i spojrzała na swoje odbicie. Rękawy i wielka spódnica sukni były zrobione ze szmaragdowozielonego jedwabiu, na którym wyhaftowano białe kwiaty. Spódnica miała rozcięcie z przodu, spod którego wyzierała wstawka z białego jedwabiu, ozdobiona takimi samymi kwiatami, tyle że w kolorze szmaragdowozielonym. Również dopasowany stanik sukni był biały. Hallie wzięła głęboki oddech.

- To jest najpiękniejsza suknia, jaką w życiu widziałam. - Spojrzała na lustrzane odbicie Maddie. - Dziękuję pani.

- Nie ma za co. Zastanówmy się lepiej, co zrobić z twoimi włosami.

Hallie wyciągnęła szpilki z fryzury.

- Ściąć to wszystko! - Wyciągnęła przed siebie kilka kosmyków prostych, cienkich włosów. - Nigdy nic innego nie robią, tylko zwisają.

Maddie pochyliła się nad toaletką i wzięła do ręki szczotkę.

- Zobaczmy, co uda mi się zrobić.

Przez kilka minut pracowała w milczeniu, natomiast Hallie starała się nie okazać, jak bardzo jest nieszczęśliwa i urażona. Przecież nalegając na ślub, Maddie chciała tylko jej dobra.

- Wiesz, że tak jest najlepiej, prawda? - spytała nagle Maddie. Hallie wzruszyła ramionami. Nie chciała zaprzeczyć, choć uważała wręcz przeciwnie. Tak było najgorzej. Maddie zaplotła jej następny warkoczek.

- Masz mnóstwo miłości do dania, Hallie, a jeśli jest na świecie ktoś, kto potrzebuje miłości, to właśnie mój siostrzeniec.

Hallie nie powiedziała ani słowa, tylko podała Maddie następną szpilkę do włosów.

- Nie odrzucaj go. Mężczyźni potrzebują nas, kobiet, żebyśmy im uświadamiły, co jest dla nich najlepsze. Czy widziałaś kiedyś mężczyznę, który nie potrzebowałby kobiety prowadzącej go za rękę?

- Kit - odparła Hallie. Poirytowana Maddie zmarszczyła czoło.

- Mylisz się. On cię potrzebuje najbardziej na świecie.

- Po co?

Maddie włączyła ostatni warkoczek do skomplikowanej konstrukcji na głowie Hallie. Zachowywała się tak, jakby ostatnie słowa do niej nie dotarły.

- Pytałam...

- Słyszałam cię. - Maddie odłożyła szczotkę. - Znam mojego siostrzeńca i mogę ci powiedzieć, że jesteś dla niego ważna. - Wpięła we włosy ostatnią szpilkę. - No, gotowe. Jak ci się podoba?

- Ojej... bardzo - odrzekła Hallie, nie wierząc własnym oczom. Maddie zebrała jej proste, długie włosy w przynajmniej dwadzieścia warkoczków i splatała je tak, że łągodziły linię kwadratowego, nordyckiego podbródka.

Maddie uśmiechnęła się.

- Mam trochę jedwabnych listków, które są w tym samym odcieniu co suknia. Przyniosę je i wpleciemy ci je we włosy.

Hallie wstała i uniosła długą spódnicę sukni, żeby móc stanąć przed lustrem. Nadal była tą samą osobą co przedtem, wysoką, bladą, ale lustro mówiło też coś zupełnie nowego: że jest piękna i że z dziewczynki przeobraziła się w kobietę.

Właśnie tego potrzeba Kitowi. Niedawne słowa Maddie zabrzmiały dziwnie znajomo. Nagle Hallie skojarzyła sobie, że matka powiedziała jej coś bardzo podobnego. Mężczyźni potrzebują kobiet, żeby ćwiczyły ich w sztuce miłości. Zaczęła się zastanawiać, czy zdoła rozkochać w sobie Kita. Wciąż jeszcze żywiła do niego urazę po nieudanej próbie przekonania go, że jest już dojrzałą kobietą. Znów zerknęła na swoje odbicie. Naturalnie, do tej pory nie czuła się naprawdę kobietą. Broniła się tylko przed tym, żeby widział w niej „dzieciaka”. Skoro zaś sama nie wierzyła w swoją kobiecość, to jak mogła przekonać o tym kogoś innego. Teraz jednak nie miała już wyboru. Za niecałą godzinę zostanie żoną Kita.

Maddie wróciła do pokoju i wpięła jej jedwabne listki we włosy. Znakomicie uzupełniły kreację. Gdy Maddie poszła zajrzeć do dzieci, Hallie postanowiła poczekać na ceremonię na dole. Po schodach ciągnęła się za nią bogato haftowana, ciężka jedwabna suknia. Hallie czuła się w niej prawie jak królowa, toteż zyskała nagle mnóstwo pewności siebie.

Z sieni chciała iść prosto do salonu, ale przypomniała sobie o Agnes Treadwell. Tyle pewności siebie, żeby się z nią spotkać, jeszcze nie miała. Zerknęła w tamtą stronę i uznała, że bezpieczniej będzie poczekać w gabinecie. Tam w spokoju ducha będzie mogła zaplanować następny zamach na serce Kita.

Chwyciła za klamkę, ale z wnętrza gabinetu usłyszała głosy. Jeden należał do Kita, ten grzmot rozpoznałaby zawsze i wszędzie. Postanowiła więc schronić się w kuchni, gdy nagle usłyszała swoje imię. Zaciekawiona, przysunęła się bliżej do drzwi i wyteżyła słuch. Bądź co bądź, mężowie i żony nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

- Jo nie żyje, Lee! - burknął Kit.

- Boże, Kit. Nie chciałem otwierać ci starej rany. Bardzo cię przepraszam...

Joe? Co to za jeden? Hallie przysunęła się jeszcze bliżej do drzwi.

- Nie przejmuj się. To moja wina - powiedział Kit. - Samo wspomnienie jej imienia jeszcze mnie wyprowadza z równowagi.

Jej?!

- Wiesz, czuję się tak, jakby moja urocza, namiętna żoneczka była w stanie wyciągnąć z grobu tę swoją oszukańczą rączkę i wbić mi sztylet Brutusa jeszcze głębiej w plecy.

Hallie bezwładnie przyłgnęła do chłodnej powierzchni drzwi. Żona. Kit miał żonę!

- Czasem wciąż wydaje mi się, że to ja jestem winien zmianie, jaka zaszła w Jo. Może gdybym nie zostawił jej samej na tak długo, gdybym... - W jego głosie nie było już złości. Teraz sprawiał wrażenie człowieka, który nie potrafi sobie poradzić z życiowymi problemami. - Zdawało mi się, że łączy nas wystarczająco dużo, że nasz związek przetrwa taki rejs. Kochałem ją, Lee, ale ona przestała mnie kochać. Powiedz mi, jak to jest, że odpływając, zostawiasz w domu kochającą żonę, a wracasz w rok później do zimnej, obcej kobiety. Ona zabiła coś, co we mnie było, i słowo ci daję, że mnie to wciąż boli. Przez dwa miesiące starałem się znaleźć w niej choćby iskierkę miłości. Na dwa miesiące całkiem wyzbyłem się dumy. Prawie błagałem ją, żeby została w domu i dała nam szansę. Ale nie chciała nawet spróbować.

- Musiał być jakiś powód - zaryzykował Lee.

- Och, miała powód, to pewne. - W głosie Kita znów zabrzmiała gorycz. - Ten powód nazywał się Jonathan Hicks. Pamiętam ostatni raz, kiedy chciałem z nią porozmawiać. Zaproponowałem jej wyjazd. Po ślubie bardzo chciała, żebyśmy wybrali się razem do Paryża. Wiele razy mnie namawiała. Twierdziła, że z kochaną osobą trzeba jechać do Francji, bo tam ludzie zakochują się w sobie jeszcze raz, od początku. Tamtego rana próbowałem jej to przypomnieć. Ależ byłem głupcem, Boże. Prawie ją błagałem, żeby ze mną pojechała...

W pokoju rozległ się łoskot. Hallie zobaczyła oczami wyobraźni Kita uderzającego pięścią w stół po tych bolesnych, oczyszczających wyznaniach, które zabiły w niej wszelkie marzenia.

- A wiesz, co ona zrobiła? Wyśmiała mnie. Nigdy nie zapomnę tego śmiechu. Był taki nienaturalny. Jeszcze teraz, gdy go sobie przypomnę, czuję w sobie kompletną pustkę. A potem wymyśliła jakąś nie trzymającą się kupy historyjkę o odwiedzinach u kuzynki w Bostonie. Powiedziała, że nie obchodzi jej, gdzie się podziewam, póki trzymam się z dala od niej.

- Kit, nie musisz mi tego wszystkiego mówić - przerwał mu Lee.

- Muszę. Muszę z kimś porozmawiać. Nie opowiadałem o tym nikomu poza moją rodziną. Przez pięć diabelskich lat siedzi to we mnie i mnie dręczy. Jo wyjechała do Bostonu, a ja znowu wypłynąłem w kilkumiesięczny rejs. Gdy wracałem do domu, wciąż jeszcze miałem nadzieję, że może jakimś cudem będzie na mnie czekała. Ale nie. Już nie żyła. Zginęła w wypadku w Bostonie, razem ze swoim kochankiem, Jonathanem Hicksem.

W pokoju zapadło milczenie. A po drugiej stronie drzwi Hallie w milczeniu ocierała łzy z policzków.

- Nigdy się nie zakochuj, Lee. Miłość jest chorobą. Wysysa ci krew z żył i odbiera ciepło sercu. A potem zakuwa umysł w kajdany i już nigdy nie możesz się z nich uwolnić.

Brzęknęła szklanka.

- Masz - powiedział Lee. - Musisz się czegoś napić.

- O, nie! To dlatego muszę jeść ten paszтет. Małżeństwo! Też mi coś. Dostatecznie dużo się nacierpiałem, kiedy miałem żonę, którą kochałem. A do Hallie... do Hallie nie czuję nic.

- Wczoraj wieczorem twierdziłeś co innego - przypomniał mu Lee. - Powiedziałeś, że powinieneś trzymać łapy z dala od Hallie, a nie potrafisz.

- Byłem pijany.

- Ach, rozumiem.

- Nie kocham jej, Lee.

- Niech ci będzie. Ale może z czasem zmienisz zdanie. To jest urocza dziewczyna. Twoje słowa.

Zegar wybił czwartą i Hallie odepchnęła się od drzwi gabinetu. Nie chciała, żeby ktokolwiek zauważył jej rozpacz. Odwróciła się i pobiegła do kuchni. Gdy otworzyła drzwi, usłyszała ostatnie słowa Kita:

- Już czwarta. Chodźmy, Lee, będziemy wreszcie mieli tę ślubną farsę za sobą.

Zegar wybił godzinę.

- Co ją jeszcze zatrzymuje? Jest wpół do piątej. - Kit wcisnął ręce do kieszeni i zaczął przechadzać się nerwowo.

- Uspokój się, człowieku. Pewnie się szykuje. - Lee przerwał, słysząc trzask drzwi.

Kit odwrócił się i dech mu zaparło. Hallie stała w drzwiach do sieni, mając w tle blask kinkietu, który otaczał ją jak aureola. Wyglądało to tak pięknie, że na chwilę zapomniał nawet o swojej złości. Hallie wyprostowała ramiona, przez co jej poza wydała się jeszcze bardziej królewska. Ruszyła ku niemu, szeleszcząc jedwabną suknią.

Maddie wyminęła siostrzeńca w drodze do salonu.

- Podaj Hallie ramię, Kit, i zaprowadź ją na miejsce. Pastor Treadwell czeka już dostatecznie długo.

Hallie stanęła w lepiej oświetlonym miejscu. Kit zacisnął pięści. Była bardzo blada, za bardzo, ale miała w sobie dziwny wdzięk zrezygnowanego człowieka, który przypomniał Kitowi, że nie dla niego jednego to małżeństwo jest upokarzające. Wcale go to jednak nie pocieszyło. Przeciwnie, jeszcze wzmogło w nim złość. Był wściekły na siebie samego i chętnie wyładowałby się na każdym, kto nawinąłby mu się pod rękę.

Hallie przeniosła wzrok z Lee na Kita i wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

- Naturalnie. Zaczniemy już tę ślubną farsę. - Spojrzała z pogardą. - Przepraszam, przejęczyłam się. Miałam na myśli ślubną ceremonię.

Lee jęknął cicho, ale bez słowa zostawił ich w sieni. Kit zrozumiał, że Hallie musiała podsłuchać koniec jego rozmowy z przyjacielem, i jeszcze bardziej rozżłościł się na siebie. Zły był też na Hallie, że wzbudziła w nim wyrzuty sumienia.

- Dobrze. - Chwycił ją za rękę i prawie wciągnął do salonu. Już za progiem uwięził jej palce w zagięciu łokcia. Hallie zacisnęła je mocniej, tak że przyszczypnęła mu skórę na przedramieniu. Spojrzał na nią gniewnie i napiął mięsień, zmuszając ją do rozluźnienia uścisku. Potem nakrył jej dłoń swoją. Pozornie był to gest kochającego człowieka, w istocie jednak raczej odruch samoobrony. Zacięta mina Hallie wskazywała, że należy się liczyć z różnymi możliwościami, a na pewno uważać na ostre paznokcie oblubienicy.

Zaprowadził ją do grupki zebranej przy kominku. Zwolnił kroku dopiero przed obliczem pastora. Dzieci, Agnes i Lee stali obok Maddie, której karcące spojrzenie sprawiło, że Kit odwrócił oczy. Wiedział, że nie zachowuje się właściwie, ale nigdy nie potrafił długo ukrywać uczuć. Spojrzał bykiem na Treadwella.

- Jesteśmy gotowi.

Złe przeczucia Kita sprawdziły się. Z najwyższym trudem wysłuchiwał drugi raz treści małżeńskiej przysięgi. W młodości wierzył, że te słowa coś znaczą. Przypomniał mu się jego pierwszy ślub, miłość i duma, jakie wtedy odczuwał. Ale później małżeństwo odebrało mu i jedno, i drugie. A mimo to znowu krępował się więzami małżeńskimi, choć był już starszy, mądrzejszy i silniejszy, bo jego serce straciło władzę nad rozumem.

Gdy pastor Treadwell spytał go, czy będzie kochał i szanował Hallie, i opiekował się nią, bardzo nieeleganckie parsknięcie oblubienicy przywróciło go do rzeczywistości. Duchowny zmarszczył czoło, a Lee, który stał po prawej ręce Kita, dźgnął przyjaciela łokciem. Kit zorientował się, że powinien odpowiedzieć.

- Tak.

Pastor zwrócił się do Hallie i powtórzył słowa przysięgi małżeńskiej.

- Niech będzie - powiedziała, wykonując niedbały gest wolną ręką.

Kit zamknął drugą jej rękę w mocniejszym uścisku, ale Hallie już się nie chciała odezwać.

- Miała na myśli „tak” - burknął.

Duchowny wzruszył ramionami i poprosił o obrączki. Nie było jednak czasu na kupno obrączek, a poza tym Kita tak zajęło wylewanie z siebie żalów przed przyjacielem, że nawet o tym nie pomyślał. Zdjął więc z palca sygnet dziadka i wsunął go na palec Hallie. Sygnet był za wielki, w dodatku rozżłoszczony Kit włożył go na niewłaściwą rękę. Hallie spojrzała na małżeński symbol takim zboliałym wzrokiem, że Kit aż odwrócił głowę.

Atmosfera w salonie była napięta. Wszyscy, z pastorem włącznie, mieli pełną świadomość

konfliktu między oblubieńcami. Pastor szybko doprowadził ceremonię do końca. Natychmiast potem Hallie wyrwała prawą rękę z uścisku Kita i wtedy luźny sygnet zsunął jej się z palca. Przyjrzała się obojętnie, jak złoty krążek toczy się po podłodze. Gdy znieruchomiał przy stołowej nodze, spojrzała znacząco najpierw na sygnet, potem na Kita, obróciła się na pięcie i z dumnie uniesioną głową wyszła z salonu.

Drzwi sypialni zatrzasnęła za sobą najgłośniejszym, jak umiała. Przez całą drogę na górę dyszała ze złością. Nie zasłużyła sobie na to. Przecież wcale nie zmuszała Kita do tego małżeństwa. To on po pijanemu wlał jej do łóżka.

Trochę poczucia winy naturalnie miała. Przecież ilekroć Kit znajdował się blisko niej, niemal rzucała mu się w objęcia. Ale dość! To się już więcej nie powtórzy! Ze złością strzepnęła trzewiki z nóg i usiadła na łóżku, żeby uporządkować myśli.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do sypialni wpadł Kit. Na wyciągniętej dłoni trzymał sygnet.

- Zapomniałaś czegoś - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Nie chcę tego.

Podszedł do niej, kipiąc ze złości.

- Możesz nie chcieć, ale masz i to, i mnie. - Wsunął jej sygnet na palec i zacisnął dłoń na jej dłoni.

- Ale mi się udało.

- Cieszę się, że nie zamierzasz zmienić mojej opinii o mężatkach.

- To dlatego, że mój tak zwany mąż jest wyjątkowo kochający i czuły. Bądź co bądź, ślubowałaś mi nieprzemijającą miłość, może nie? - Chciała wyrwać dłoń z uścisku, ale bezskutecznie. Kit przyciągnął ją do siebie.

- Chcesz miłości, Hallie?

Hallie wiedziała, że oboje mają tak samo rozwścieczone miny.

- Puść mnie i wyńś się.

- Mam się wynieść, kiedy moja „żonka” chce miłości? Za nic. - Przesunął rękę z jej pleców na kark i przywarł do jej ust.

Hallie mocno zacisnęła wargi i odepchnęła Kita. Na nic się to jednak nie zdało. Pocałował ją jeszcze bardziej łapczywie. Chciała go kopnąć, lecz bosa stopa była bezbronna. Postanowiła więc zadać mu cios kolanem, ale widocznie zdradziła się z tym zamiarem, bo przesunął jej ręką po udzie i zacisnął ją dokładnie na gojącej się oparzelinie. Hallie syknęła z bólu. Kit wykorzystał ten moment na wsunięcie jej języka do ust, jednocześnie drugą ręką unieruchomił szczękę, żeby zabezpieczyć się przed ugryzieniem. Język rozpoczął harce. Ból szarpiący Hallie nagle ucichł. Myśleć nie mogła już od dłuższej chwili, pochłonęło ją bowiem nowe doznanie, bardzo przyjemne. Oszołomiona wędrówką języka Kita po wnętrzu jej ust, bezwolnie podjęła wyzwanie. Również poruszyła językiem. Kit natychmiast złagodniał. Zaczął delikatnie głaskać, a gdziekolwiek dotknął, rozlewało się wokół jego dłoni ciepło, uwalniające Hallie od przykrego napięcia. Wkrótce oderwał wargi od jej ust i zaczął nimi znaczyć szlak na policzku. Odgarnął spadające kosmyki włosów, żeby wargi miały swobodny dostęp do konchy ucha.

- Pragnę cię - szepnął. - Nic na to nie poradzę, że cię pragnę.

Gdy obwiodł językiem jej ucho, cała pokryła się gęsią skórką.

Znowu robię to samo, pomyślała. Ale nie umiała inaczej. Było jej zbyt przyjemnie.

Dłoń Kita zaczęła zataczać kręgi wokół okrytej suknią piersi. Hallie poczuła, że nabrzmiewają jej sutki i przy każdym ruchu ręki Kita ocierają się o tkaninę gorsetu. Przywarła do niego mocniej. Kit położył jej drugą rękę na plecach i zaczął rozpinać guziki sukni. Hallie poczuła, że gorset nagle staje się luźny. Jeszcze chwila i przestał krępować jej piersi. Jedna natychmiast znikła pod dłońmi Kita, drugą zaczął pieścić wargami. Wessał sutkę i Hallie jęknęła, każde drgnienie warg Kita wywoływało bowiem pulsujące doznanie między jej udami.

Ułożył ją na pościeli. Pod plecami poczuła chłód narzuty. Otworzyła oczy i spojrzała na Kita, który stał przed nią, już bez krawata i surduta. Rozpinał właśnie białą, lnianą koszulę, rzucając onyksowe spinki na podłogę. Płótno rozchyliło się. Jej oczom ukazała się śniada klatka piersiowa, pokryta gęstym owłosieniem. Z zainteresowaniem podążyła wzrokiem wzdłuż ciemnej linii owłosienia, która nikła za pasem spodni.

Potem nagle Kit znalazł się na niej. Poczwała ucisk jego poruszających się bioder. Odszukał jej usta i natarł językiem, który podchwycił rytm bioder. Owłosiony tors Kita ocierał się o jej piersi. Zmysłowy odzew ciała tak zajął umysł Hallie, że prawie nie zwróciła uwagi na chwilę, w której ciężka spódnica sukni znalazła się obok niej.

Kit przetoczył się tak, że Hallie znalazła się na górze. Szarpnął za troki halek. Zsunął jedną po drugiej z nóg Hallie i odrzucił na bok. Ich cichy szelest towarzyszył przez chwilę szumowi przyspieszonych oddechów. Kit oderwał usta od ust Hallie i podrażnił językiem wnętrze jej ucha. Jednocześnie wsunął dłoń między ich ciała, dotarł do rozcięcia w długich majtkach i wreszcie jej dotknął.

- Nie - sapnęła wstrząśnięta i kurczowo zacisnęła uda, więząc jego palce.

Wilgotny język Kita cofnął się. Zamiast tego poczuła przy uchu ciepło warg.

- Tak - dobiegł ją szept.

Jeden z palców uwieczonych między udami poruszył się i Hallie wydała okrzyk, trochę protestu, a trochę rozkoszy. Odprężyła się jednak, ogarniał ją coraz większy żar. Kit odsunął dłoń od pulsującego ośrodka. Uniósł Hallie i opuścił z powrotem tak, że swym najwrażliwszym miejscem spoczywała teraz na twardej wypukłości jego spodni. Powoli wypchnął biodra do góry, żeby ucisnąć to wrażliwe miejsce. Znowu zakotyssał biodrami. I znowu. Hallie cicho pojękiwała.

Rozwiązał ostatni troczek i wyciągnął gorset spomiędzy ich ciał. Rzucił go na podłogę. Teraz Hallie znalazła się pod nim. Zdarł z siebie koszulę i już szeptał jej do ucha:

- Daj mi swoje ciało, kochana. Pragnę cię... pragnę...

Wargami zaczął pieścić jej szyję, rozpinając tymczasem spodnie. Gorąca skóra tarła o jeszcze gorętszą. Usta Kita znów zawędrowały do piersi Hallie, wessały jedną sutkę, potem drugą. Dłonie okrągłymi ruchami przesuwają się po biodrach, niżej i niżej, aż wreszcie wsunęły się w majtki i objęły wzdórek łona, a palce odnalazły jądro rozkoszy. Hallie mimowolnie rozchyliła nogi. Kit rozsunął je jeszcze bardziej i uniósł, zginając w kolanach. W rozcięciu majtek Hallie zobaczył wejście do jej ciała. Pozbywszy się reszty odzienia, oparł koniec swej męskości o to właśnie miejsce. Otoczył je kilka razy palcem, powoli wsuwając się coraz głębiej. Po chwili zatrzymał palec i znieruchomiał, ale Hallie wypchnęła biodra, nie chcąc tracić tego, co nagle odkryło jej ciało.

Złączyli się w czułym pocałunku. Palec znów rozpoczął swój taniec, a Kit wsunął się w nią jeszcze głębiej i dotarł do przeszkody. Zagłębił język w ustach Hallie i przyspieszył ruch palca. Umierała z rozkoszy. W tej chwili nie myślała o niczym innym, bo palec Kita doprowadził ją do szczytu. Głośno krzyknęła, a Kit wdarł się do jej wnętrza. Ból utonął w oszałamiającym, pulsującym spełnieniu.

Kit znieruchomiał. Gdy dreszcze przebiegające ciało Hallie ustały, znów zakotyssał biodrami. Hallie znów poczuła go w sobie, tylko teraz ruch był szybszy, bardziej gwałtowny. Zanim jednak zdążyła wrócić na szczyt rozkoszy, Kit jęknął i pchnął wyjątkowo mocno. Krzyknęła.

Kit opadł na nią. Rwany oddech z wolna mu się wyrównywał.

- Dobrze się czujesz?

- Krzywdzisz mnie.

Uniósł się na łokciach.

- Teraz lepiej?

- Nie. Boli mnie... w środku. - Czwała, że zaraz się rozplacze. Wysunął się z niej.

- Już dobrze?

Wybuchnęła szlochem. Łzy zaczęły ją dusić.

- Hallie, proszę cię...

Chciał ją przytulić, ale wyrwała mu się i odwróciła, zapłakana i zawstydzona.

- Hallie, posłuchaj mnie. To może boleć kobietę... ale tylko na początku. Staralem się, żeby ten pierwszy raz, kiedy się kochamy, był dla ciebie jak najmniej przykry...

Kochamy się?

Natychmiast przypomniały jej się podsłuchane słowa. „Nie kocham jej, Lee...” Zaczęła płakać jeszcze bardziej żałośnie. Co ona najlepszego zrobiła?

Kit pogłaskał ją po ramieniu.

- Nie! Nie dotykaj mnie! - jęknęła, chwytając za majtki. Na wpół naga skuliła się jak embrion.

Kit wstał z łóżka, usłyszała szelest ubrań.

- Hallie?

- Idź sobie.

- Do diabła, porozmawiaj ze mną! - Kit chwycił ją za ramiona i zmusił, by uklęka twarzą do niego.

Raptownie nabrała powietrza do płuc. Bolała ją nie do końca zagojona oparzelina, ale było to niczym w porównaniu z szarpiącym bólem, jaki czuła w sercu. Skrzyżowała ramiona, żeby zasłonić piersi, i wykręciła ciało, żeby wyrwać się z jego uścisku.

- Nie dotykaj mnie! Nie waż się mnie dotykać!

- Co się z tobą, do diabła, dzieje?

Była wściekła, urażona, obolała i zawstydzona, bo dała swe ciało mężczyźnie, który jej nie kocha. A co najgorsze, nie zrobiła niczego, żeby temu zapobiec. Patrzyła na ubrania, jej ubrania, rozrzucone na podłodze. I nagle zatrzymała wzrok na białych, zakrwawionych majtkach i pończochach, które wciąż miała na sobie.

- Pozwoliłam na to - szepnęła głośno.

Kit puścił ją i włożył koszulę. Zerknął na Hallie i niecierpliwie przesunął dłonią po włosach.

- Wszystko jest w porządku. Wzięliśmy ślub.

- Nie. Nie rozumiesz. - Hallie nie przestawała kręcić głową, jakby w ten sposób mogła cofnąć to, co się stało.

- Posłuchaj, Hallie. Będziemy to robić jeszcze wiele razy. Mężczyzna i kobieta nie mogą żyć tak blisko siebie - zatoczył ramieniem okrąg - bez żadnej fizycznej... styczności. Rozumiem, że cię boli, że jesteś zła, ale na to żadne z nas nic nie poradzi. Jesteśmy małżeństwem i kropka.

- To wszystko twoja wina!

- Co?!

- Może to ja włożyłam ci pijana do łóżka?! Nie chciałam cię ani wtedy, ani teraz!

Na te słowa aż pobiegała mu twarz. Wyglądał tak, jakby miał zamiar ją uderzyć.

Jednakże tylko wcisnął koszulę w spodnie, po czym pozbił i pozapinał spinki. Dwoma dużymi krokami doszedł do komódki, gdzie nie dalej jak godzinę wcześniej złożył z powrotem swoje osobiste rzeczy. Szarpnął za szufladę i wrzucił całą jej zawartość do walizki.

Splakana Hallie przyglądała mu się w odrętwieniu.

- Co robisz?

Zatrzasnął szufladę, chwycił za walizkę i odwrócił się do niej.

- Spełniam twoje życzenie. Pani Howland, obiecuję, że nie wleżę więcej do twojego łóżka. Będzie mnie pani musiała błagać!

Chwycił za surdut i wyszedł, zostawiając Hallie samą. Właśnie tak, jak sobie życzyła.

Najpierw Kit sądził, że obudził go ból w karku. Był jednak w błędzie. Ktoś głaskał go po piersi. Na wpół śpiący przekręcił się pod kocami. Głaskanie ustało. Westchnął i już był bliski zapadnięcia w sen, gdy znowu poczuł pieczętę. Była niesłychanie delikatna, jedno długie muśnięcie i jedno krótsze. Siłą woli zmusił się do otwarcia oczu. Zobaczył kotkę Liv.

Jęknął i zasłonił ręką oczy.

- Przeklęty kocur - burknął, ale mimo woli zaczął drapać zwierzę za uchem. Kotka ułożyła swe obfite ciało na jego piersi i zaczęła mruczeć.

Kit cofnął rękę i zerknął na nią kątem oka.

- Jaki dzień dzisiaj mamy?

Przechyliła na bok miękki, czarny łebek, żeby podsunąć mu najwłaściwsze miejsce do drapania.

- No, tak. Czwartek - odpowiedział sobie Kit. - Dziesięć dni... a właściwie dziesięć nocy. Przez dziesięć nocy cierpię katusze na czymś takim... - Spojrzał na swe nagie stopy, oparte na rzeźbionej poręczu sofy. - Oto łoże tortur, a tymczasem wszyscy inni ludzie, którzy tu mieszkają, śpią spokojnie w miękkich łóżkach. W moim własnym domu!

Kotka otworzyła oko.

- Pytam cię, czy to jest w porządku?

Podrapał ją za uchem. Kotka pokręciła łebkiem, trącając jego dłoń.

- Myślisz, że nie? No, przynajmniej mam kogoś po swojej stronie. - Poruszył się i nagle drgnął, zaskoczony ostrym bólem w karku. - Przekłete kobiety!

Kotka miauknęła, jakby chciała zgłosić sprzeciw.

- Przepraszam.

Zegar w sieni wybił szóstą. Kit uświadomił sobie, że musi natychmiast wstać, jeśli chce w spokoju ogolić się i umyć. Wkrótce Maddie i Hallie zejdą do kuchni i będą robić wszystko, by go zignorować albo zirytować.

- Wiesz, kocie, te dwie panie razem wzięte zamieniły ze mną ostatnio nie więcej niż dziesięć słów. Do pioruna! Maddie dalej patrzy na mnie, jakby chciała mnie zjeść, a Hallie... - Urwał. Dwa sprzeczne uczucia zderzyły się u niego w sercu jak stare, gliniane kulki.

Miał wyrzuty sumienia, mimo że chciał wzbudzić w sobie złość. Chciał obwinie Hallie za wszystko, co się stało, ale nie potrafił. Mógł winić tylko siebie. Przecież postanowił się drugi raz nie żenić, a jednak się z Hallie ożenił, a potem uczynił ją swoją żoną także w sensie fizycznym. I teraz był kłębkim nerwów. Czuł się jak głupiec, tkwiący między młotem a kowadłem. Wiedział, że w swoim interesie powinien jak najszybciej zdecydować, czego właściwie chce.

Ale nie dzisiaj.

Wstał i złożył rozleniwioną kotkę na stercie pościeli. Nagi, z obolałym karkiem, ruszył do szafki na broń w rogu pokoju. Przejrzał kupę bielizny i spodni, która leżała na olstrze z koltem. Wyciągnął czystą parę spodni w prążki i włożył je. Następnie wziął ręcznik z haczyka na strzelbę, przerzucił go sobie przez ramię i otworzył szufladę na naboje, żeby wziąć przybory do golenia i szczoteczkę do zębów. Trzymając cały ten majdan w dłoni, wyszedł z gabinetu i na bosaka poczłapał do kuchni.

Po kilku minutach miał już dzbanek ciepłej wody. Zakręcił kran od zbiornika i podszedł do zlewu myśląc, jak to przyjemnie mieć każdego rana ciepłą wodę. Dawno już powinien był wyciągnąć piec ze skrzyni. Umył się i podśpiewując stanął przed lustrem; zaczął mydlić sobie twarz. Właśnie przesuwając pędzlem po podbródku, gdy ujrzał w lustrze odbicie Hallie. Była w nocnej koszuli, ale nie dlatego zapało mu dech. Zadziwiły go jej włosy. Nigdy jeszcze nie widział, żeby były rozpuszczone. Jasnoblond, ze srebrzystymi pasemkami, spadały jej na ramiona i dalej, sięgały bioder. Pędzel zatrzymał się w pół ruchu.

Na twarzy Hallie pojawił się wyraz zaskoczenia, szybko jednak rysy jej stężały. Demonstracyjnie nie zwracając na niego uwagi, podeszła z dzbankiem w ręce do zbiornika na ciepłą wodę. Kit odłożył pędzel do kubka i wziął do ręki brzytwę. Chciał zignorować ją tak samo jak ona jego, nie udało mu się jednak. Przez te przekłete włosy nie mógł od niej oderwać oczu. Gdy nachyliła się nad zbiornikiem, żeby odkręcić kran, włosy niczym wodospad opadły jej aż na ciemną, drewnianą podłogę. Pokręcił głową, chcąc odsunąć od siebie zmysłowe wyobrażenie, które przemknęło mu przez głowę. Napiął skórzany pasek, wiszący przy ścianie, i zaczął ostrzyć brzytwę. Ale gdy Hallie przerzuciła przez ramię jeszcze kilka pasem włosów, znowu wbił wzrok w lustro. W całej kuchni niosło się echem rytmiczne, szybkie postukiwanie brzytwy o pasek skóry. Wreszcie, w ostatnim wysiłku odwrócenia niebezpiecznego kierunku myśli, Kit przesunął brzytwą po policzku.

- Co tu się zepsuło? - Hallie wbiła wzrok w kran, a Kit przysunął twarz do lustra, żeby lepiej ją zobaczyć. Golił się całkiem na pamięć. Hallie odstawiła dzbanek na podłogę i wyprostowała się, by podnieść pokrywę zbiornika. - Jest pusty. - Spojrzała gniewnie na Kita.

- Hm? - Kit przesunął ostrzem po drugim policzku.

- Zużyłeś całą ciepłą wodę.

Odchylił głowę, żeby ogolić podbródek. Potem obmył brzytwę w kubeczku z wodą.

- Wygląda na to, że nie powinnaś wylegiwać się przez cały ranek...

Hallie zatrasnęła pokrywę zbiornika. Z dzbankiem w dłoni podeszła do pompy i położyła ręce na jej ramieniu. Naciskając oburącz, wykonała kilka energicznych ruchów. Kit dobrze wiedział, o czym Hallie w tej chwili myśli. Tymczasem ona, ciężko tupiąc, przydźwigała dzbanek do zbiornika.

- ...w łóżku - dodał Kit, przyglądając się w lustrze jej gniewnym ruchom.

Mrucząc coś pod nosem, wywindowała dzbanek do krawędzi zbiornika i wlała wodę do środka. Kit nie zrozumiał jej słów, ale wnosząc z miny Hallie, na dobre mu to wyszło. Po chwili

wróciła do pompy i znów pocisnęła ramię.

Przyłożył brzytwę pod nosem i wykonał ostatecznie pociągnięcie.

- W moim łóżku!

- Maddie dała mi ten pokój po tym, jak osobiście zaprosiłaś mnie do swojego domu!

- Wiem, wiem.

- Więc dlaczego wyciągasz tę sprawę?

- Bo jestem diabelnie zmęczony spaniem na sofie!

Z hukiem odstawiła pełny dzbanek i odwróciła się do niego.

- A kto ci każe spać na sofie? Idź się upić, to znowu wleziesz do łóżka jakiemuś Bogu ducha winnemu człowiekowi.

- Do diabła! - Kit odłożył brzytwę i przytknął ręcznik do skaleczonej górnej wargi. Piekło go jak diabli. Odwróciwszy się do Hallie, odsunął ręcznik od twarzy i wyciągnął rękę w jej stronę. Spostrzegłszy jednak, gdzie patrzy, znieruchomiał. Wpatrywała się z zaciekawieniem w jego obnażony tors. Było to bardzo niewinne, lecz mimo to jej oczy zasnuwała zmysłowa mgiełka. Po chwili spojrzenie Hallie powędrowało niżej i jego ciało natychmiast na to zareagowało.

Zrobiła oczy jak spodki i zasłoniła się dzbankiem niczym tarczą. Niewątpliwie chciała uciec z kuchni. Innym razem może nawet by ją zatrzymał, ale teraz zobaczył w jej oczach lęk, szczery lęk. Złość i złośliwości nie robiły na nim wrażenia, ale myśl, że Hallie mogłaby naprawdę czuć obawę przed nim i jego rozbudzonym ciałem... tak, ta myśl bardzo mu doskwierała. Odwrócił się więc z powrotem do lustra, znudzoną miną maskując urazę.

Hallie istotnie uciekła. Kit popatrzył na zamykające się drzwi, a potem wylał z miski brudną wodę i napełnił ją świeżą wodą z dzbanka. Pochylił się i ochlapał namydloną twarz.

- Do diabła! - Aż się wzdrygnął. Otworzył oczy i wbił wzrok w miskę. Była pełna lodowato zimnej, świeżo napompowanej wody. Hallie zabrała jego dzbanek.

Pochylił się nad zlewem.

- No, no, żono. Ukradłaś moje łóżko i moją wodę. Niech cię koty drapią! - Zwrócił się z powrotem do lustra. - Ciekawe, co mnie jeszcze czeka?

- W Sacramento City aresztowano kaznodzieję, niejakiego Hummera, który próbował udusić żonę pod pozorem wypędzania z niej diabła. Nieszczęsną kobietę uratowali sąsiedzi. Kaznodzieja cudem uniknął linczu... Hm. Wygląda na to, że gdzie indziej wcale nie jest lepiej niż tutaj. - Hallie złożyła gazetę. - Duggie, to wszystkie wiadomości na dziś.

Hallie spojrzała w ten sam punkt, w który tępo wpatrywała się siostra, i westchnęła. Dagny gapiała się na białą ścianę. Hallie odłożyła gazetę na nocny stolik i nachyliła się nad łóżkiem. Odwróciła ku sobie twarz siostry i spojrzała w jej mętne oczy.

- Proszę cię, Dagny, usłysz mnie... Przepraszam cię, tak bardzo cię przepraszam...

- Ciocia Maddie mówi, żebyś znalazła chłopców, kazała im się umyć i przyprowadziła ich na kolację. - Liv wpadła do pokoju z kotem na ramieniu.

- Tak? - Hallie nie spodobał się rozkazujący ton Liv. - A powiedz mi, z łaski swojej, co ty zamierzasz robić w tym czasie.

- Wyszczotkować Panią Skunks. - Liv wyciągnęła z fałd spódnicy srebrną szczotkę i przyłożyła ją do sierści ciężarnej kocicy.

Hallie podeszła do siostry.

- Skąd masz tę szczotkę?

- Znalazłam.

- Gdzie?

- W kuchni, za zlewem.

- Pytałaś o nią ciocię Maddie?

- Tak. Powiedziała, że to nie jej szczotka, więc jeśli nie należy ani do ciebie, ani do Duggie, to mogę sobie wziąć.

Hallie popatrzyła na przedmiot.

- Moja nie jest.

- Wiem.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłam w twoim pokoju.
- Liv, ile razy mam ci mówić, żebyś nie grzebała w moich rzeczach?
- Nie ruszałam twoich rzeczy.
- Przecież powiedziałaś, że byłaś w moim pokoju.

- Bo byłam. - Liv ponownie przeciągnęła szczotką po kocim grzbiecie. Kocica wcisnęła swoje brzuszysko głębiej w miękką narzutę. - Ale szczotka nie była w twoich rzeczach. Leżała na toalecie. Od razu ją było widać. Tak... - Liv podniosła wzrok. Wyraz „było” miała już na końcu języka.

Hallie czekała z gniewną miną, ale Liv nie była głupia. Szybko zamknęła usta i odwróciła się ze szczotką do kocicy. Hallie już chciała wyjść z pokoju, lecz przypomniała sobie o Dagny.

- Kto nakarmi Duggie?

- Właśnie przyniosłam jej kolację. - Maddie pchnęła ramieniem drzwi pokoju. Ręce miała zajęte tacą, z której unosił się dym.

- Przytrzymam drzwi. - Hallie skoczyła na pomoc.

- Dziękuję. Co z nią? - Maddie wskazała głową Dagny.

- Bez zmian.

- Daj jej trochę czasu, Hallie - poradziła Maddie, niosąc tacę do łóżka. Postawiła ją na stoliku obok i usiadła. Zerknęła na Liv. - Widzę, Liv, że robisz dobry użytek ze szczotki.

- Mhm. - Liv dalej szczotkowała kocicę, ale przesłała starszej siostrze wymowne spojrzenie, znaczące: „A nie mówiłam?”.

- Jak skończysz, proszę cię, umyj ręce i przygotuj stół.

Hallie przystanęła oczekując zwyczajowego sprzeciwu. Chciała zobaczyć, w jaki sposób Maddie poradzi sobie z kolejną pomysłową wymówką Liv.

- Dobrze - odparła mała.

Hallie pokręciła głową i wyszła z pokoju. Jej nigdy nie udawało się skłonić Liv do zrobienia czegoś bez dyskusji. Wobec Maddie siostrzyczka nie była jednak taka bojowa. Najmłodszej części rodziny Fredriksenów przeprowadzka do domu Kita zdecydowanie wyszła na dobre. Hallie jednakże czuła się fatalnie. Bardzo starannie to ukrywała, ale nocami płakała w poduszkę. A robiła to na tym samym łóżu, na którym popełniła największą omyłkę w życiu. Tak bardzo się starała, w swojej głupocie wierząc, że Kit ją pokocha. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że chce dokonać niemożliwości. Serce Kita było zamknięte w starym grobie, zimne i martwe.

Stojąc wtedy pod drzwiami gabinetu, straciła wszelką nadzieję. To bolało. Uciekła więc do kuchni, aż wreszcie jej cierpienie przerodziło się w gniew, tak wielki, że nie umiała go ukryć nawet dla dobra swojego ślubu. Boże, ten ślub był okropny. Hallie zacisnęła dłonie na poręczy schodów. Musiała się na coś oprzeć, żeby móc myśleć o tej ceremonii i o tym, co zaszło później. Zaraz jednak usiadła na stopniu, bo kolana nagle jej zmiękły, tak samo jak ona zmiękła owego wieczoru. Zawsze była silna, sama decydowała o tym, co robi, ale gdy Kit ją obejmował albo całował, siła z niej ulatywała. Nawet gniew topniał w jego objęciach.

Po wykpieniu ślubnej farsy i pożegnaniu się z młodzieńczymi marzeniami o miłości silna kobieta nie załamałaby się, robiłaby swoje. Ona jednak poddała się tylko dlatego, że tęskniła do jego dotyku. Dopiero gdy otrząsnęła się z szoku, gdy uświadomiła sobie, co zrobiła, odnalazła w sobie siłę, by oddalić się od Kita... i od jego dotyku.

Początkowo przychodziło jej to z łatwością. Wyprana z uczuć, w rolę zimnej kobiety wcieliła się całkiem naturalnie. Ale z upływem dni coraz trudniej było jej ignorować Kita, a tego ranka okazało się to prawie niemożliwe. Wspomnienie jego nagiego torsu rozbudziło jej wyobraźnię, wbrew woli i zdrowemu rozsądkowi. Nagle okryła się gęsią skórką, ciało nad nią zapanowało. Gdyby Kit wtedy jej dotknął, byłaby zgubiona.

- Miałaś pomagać Maddie - wypomniała siostrze Liv, stając nad nią z rękami wspartymi na biodrach. Wydeła wargi.

Hallie raptownie wróciła do rzeczywistości. Nie była w nastroju do tolerowania bezczelności siostry.

- Wiesz co, Liv? - Hallie wstała i ruszyła w głąb sieni.

- Co?

Hallie pchnęła drzwi do kuchni.

- Najlepiej zamknij buzię.

Kit złapał się za kark trzeci raz w ciągu paru minut.

- Boli cię? - spytał Lee.

- Kark mi zeszywniał. - Kit poruszył głową, skrzywił się boleśnie i mruknął: - Przydałoby mi się ludzkie łóżko.

Lee powściągnął wierzchowca, żeby nie wyprzedzać wlokącego się Kita.

- Jak długo jeszcze będziesz to robił?

- Co?

- Obwiniął Hallie o swoje błędy.

Kit spojrzał krzywo na przyjaciela.

- Odkąd to jesteś jej obrońcą? Myślałam, że interesują cię tylko jej... płatki.

- Oho! - Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Oto sławny kontratak Howlanda. Dobry w tym jesteś, wiesz?

- W czym?

- Atakujesz rozmówcę, zamiast odpowiedzieć na pytania.

- Boże, nie znoszę tych twoich ironicznych...

- O! Znowu kontratak! - przerwał mu Lee.

- Zrządzisz jak kobieta.

- Gdybym był kobietą, nie byłibyśmy przyjaciółmi. Znalazłbyś jakiś sposób, żeby się na mnie odegrać za Jo.

Kit obrócił się w siodle.

- Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Ma być prosto z mostu? - Kit sztywno skinął głową. - Moim zdaniem wyżywasz się na Hallie za to, że twoja pierwsza żona okazała się niewierną dziwką. Jest prosto z mostu?

Oj, było. Tłumaczenie Lee wydało się Kitowi aż nadto słuszne, choć wcale mu się nie podobało. Przypomniało mu bowiem, na jakiego osła wyszedł.

- Ciekawe, co mam twoim zdaniem zrobić? Zapomnieć o przeszłości i jak za dotknięciem różdżki zamienić się w kochającego męża?

- Mógłbyś ją przeprosić i bez potrzeby nie pogarszać trudnej sytuacji. Do diabła, Kit, ile małżeństw opiera się na miłości albo przynajmniej na szacunku?

- Nie tak wiele - odparł Kit.

- Masz rację. Czyli sam sobie komplikujesz życie. Na twoim miejscu pogodziłbym się z sytuacją. Przyjrzyj się dobrze temu, co masz...

- Na pewno nie mam łóżka - wtrącił Kit.

- Masz i łóżko, i ładną, młodą żonę, z którą możesz je dzielić. Niejeden mężczyzna w tym mieście wiele by dał za to, co ty za wszelką cenę chcesz zmarnować.

Z każdym słowem Lee Kit miał silniejsze poczucie winy. Siedział w siodle sztywno wyprostowany i patrzył przed siebie. Skręcili za róg. Lee zatrzymał konia.

- Poczekaj chwilę. Chcę zobaczyć, kiedy tu otwierają.

Kit nie zwrócił w ogóle uwagi na ten budynek, mimo że zajmował połowę drogi do następnej przecznicy. Był zbudowany z czerwonej cegły i miał zaledwie kilka wąskich okien, opatrzonych ozdobnymi, kutymi okiennicami. Robotnicy, stojący na rusztowaniu, próbowali powiesić olbrzymi transparent zapowiadający otwarcie nowego teatru Jenny Lind.

Lee zsiadł z konia i spojrzawszy na Kita, postanowił wystrzelić z grubej rury.

- Zaraz wrócę, a ty pomyśl o tym, jak czułby się teraz Jan. Podobno masz wobec niego dług wdzięczności, tymczasem odpłacasz mu znęcaniem się nad jego córką.

- Ale chrzaniś! - mruknął Kit, spoglądając na plecy Lee. Słowa przyjaciela nadal jednak brzmiały mu w uszach i wkrótce musiał przyznać, że było w nich dużo prawdy. Traktował Hallie bardzo źle, chociaż wcale na to nie zasługiwała. Przecież Hallie to nie Jo.

Skrzyżował ramiona i trochę się odprężył. Mucha bzyknęła nad głową konia i zaraz potem usiadła. Kit patrzył z roztargnieniem, jak gniadosz strzyże uchem. Nie miał powodów do zadowolenia z siebie. Z pewnością nie spłacał Janowi długu. Owszem, obowiązki opiekuna wypełniał. Dał dzieciom Fredriksena dom i utrzymanie, ale wcale nie dawał wiele z siebie, w

każdym razie od czasu, gdy wprowadzili się do jego domu. Odpowiedzialność za dzieciaki złożył na barki Hallie i Maddie.

Machnięciem ręki spłoszył muchę. Hallie była córką Jana, ale Kit wiedział, że nie tylko dlatego ma wobec niej zobowiązania. Przecież wprowadziła się do jego domu, tak jak sobie zażyczył, opiekowała się młodszym rodzeństwem, dużo pomagała Maddie. Wszystkie problemy powstały z jego winy. Nie radził sobie z pociągami, jaki do niej czuł. A ponieważ wszechmogący Kit Howland, pan samego siebie, był dumny ze swej odporności na kobiece wdzięki, więc nie mógł znieść myśli, że im ulega. No i zrzucił winę na Hallie.

Głupiec z niego. W głębi ducha wiedział, że nie będzie umiał przestać myśleć o Hallie, zwłaszcza po ich wspólnej nocy. I według prawa, i w jego rozpustnej głowie byli związani na zawsze. Przyznał zresztą przed sobą, że wcale nie wydaje mu się to takie złe. Natychmiast jednak musiał znaleźć sobie wytłumaczenie. Nie kocha Hallie, więc jest w tym związku bezpieczny. Chętnie traktowałby to małżeństwo jak partnerstwo w interesach. Może wtedy zostaliby przyjaciółmi. Tak, to był dobry pomysł, bo niewątpliwie czuł do Hallie sympatię. Na wargach zaigrał mu uśmieшек. Wykrętny sposób myślenia Hallie bardzo go intrygował, a zarazem bawił.

Wrócił Lee, uśmiechnięty, jakby znalazł żyłę złota.

- Otwierają jutro wieczorem. Zgadnij, kto wykupił ostatnią lożę. - Zamachał biletami pod nosem przyjaciela.

Kit zerknął na bilety.

- Ile miejsc jest w loży?

- Cztery.

Lee wyraźnie rozkoszował się tą sytuacją. Kit widział przewrotny błysk w jego oczach.

- Rozumiem, że nie mam co czekać na twoje propozycje.

- Słusznie.

- Niech ci będzie. Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy poszli z tobą?

- My?

- Hallie i ja.

- Och, zapraszam. - Lee dosiadł konia. - Cieszę się, że wraca ci zdrowy rozsądek.

- Muszę się porządnie wyspać w wygodnym łóżku - powiedział Kit, pocierając obolały kark.

Nawet teraz trudno mu było przyznać, że źle postępował.

- Mhm - mruknął kpiąco Lee.

Kit spał konia i uleciawszy myślą gdzieś daleko, rozpoczął monolog:

- Przeprowadzka do gabinetu to był kiepski pomysł. Sam zapędziłem się do rogu. Muszę wrócić do łask u Hallie. I u Maddie. Tylko żeby przy tym uratować twarz.

- Bilety do teatru powinny ci pomóc.

- Maddie będzie zadowolona, że zapraszam żonę do teatru - przyznał Kit. - Ale nie jestem pewien, jak zareaguje Hallie. Ona się mnie boi - wyznał cicho. Przypomniawszy sobie ich poranne spotkanie i lęk, bijący z jej oczu.

- Na pewno coś wymyślimy - powiedział Lee ze śmiechem. - Jakoś uratujemy ten twój paskudny pysk.

Hallie zerknęła na drugą stronę stołu. Bliźniaki szeptały coś do siebie, zasłaniając usta dłońmi.

- O czym tak rozmawiacie? - spytała.

Chłopcy spojrzeli na nią szeroko rozwartymi oczami. Potem spojrzeli po sobie.

- O niczym takim - odparli chórem.

Hallie wymieniła znaczące spojrzenia z Maddie i dalej nakładała chłopcom jedzenie. Posmarowała im suchary masłem, więc bliźniakom zapłonęły oczy. Uwielbiali pieczywo wszelkiego rodzaju, pod warunkiem, że było aż żółte od masła.

Podawała im talerze.

- Proszę teraz jeść i koniec z szeptaniem.

Posiłek przebiegał w milczeniu, dopóki Gunnar nie skończył trzeciego suchara.

- Hallie, skąd człowiek wie, że się zrobił starszy?

Zaskoczyło ją, jak wiele faktów przyjmuje się całkiem bez zastanowienia jako coś naturalnego. Uśmiechnęła się do chłopca.

- W listopadzie będziecie mieli urodziny i wtedy staniecie się o rok starsi.

Gunnar zamyślił się głęboko, a potem spytał:

- Czy człowiek robi się starszy tylko latami?

- Jak to?

- Czy starzeję się tylko w urodziny?

Liv zachichotała złośliwie, ściągając na siebie karcące spojrzenie Hallie. Maddie pokręciła głową. Mała znowu zaczęła jeść. Hallie wyjaśniła Gunnarowi:

- Nie, nie tylko w urodziny. Robisz się starszy z każdą minutą, z każdą godziną, z każdym dniem. Teraz na przykład jesteś starszy niż dzisiaj rano, bo mniej czasu pozostało ci do następnych urodzin.

Gunnar próbował jakoś to zrozumieć.

- A ja też? - włączył się Knut, bardzo podekscytowany.

- Naturalnie - zapewniła go Hallie. Knut popatrzył na Gunnara.

- Słyszałeś? Już jesteśmy starsi!

Gunnar przemyślał sprawę i zwrócił się do Maddie:

- Czy naprawdę jesteśmy starsi, ciociu?

Maddie uśmiechnęła się.

- Naprawdę.

- A pamiętasz? Powiedziałaś, że jak będziemy starsi, to będziemy mogli mieć jakieś zwierzę - wystrzelił Gunnar.

Maddie i Hallie wpadły we własne sidła.

- Miałam na myśli „dużo starsi” - wyjaśniła Maddie. - Jak będziecie mieli sześć lat albo i siedem.

- Przedtem powiedziałaś co innego - jęknął Knut i rozsypał fasolę. - Chcemy mieć jakieś zwierzę i opiekować się nim tak jak Liv. Sama powiedziałaś, że jesteśmy starsi.

Maddie wymieniła spojrzenia z Hallie, a tymczasem Gunnar dodał:

- Obiecałaś. - Potrząsnął jasnowłosą głową. - Naprawdę obiecałaś.

- Poczekaj, aż sama zobaczysz! - Knut zeskoczył z krzesła i pobiegł do kuchennych drzwi. Otworzył je na oścież i zanim Hallie albo Maddie zdążyły zareagować, wciągnął do kuchni worek. Odwiązał sznurek, wyjął jakieś małe stworzenie i ruszył z nim w stronę kuchennego stołu.

- Popatrz! - powiedział, nie puszczając zwierzaka.

- Boże święty! - wykrzyknęła Maddie. - To jest skunks!

Krzyk Maddie przestraszył Knuta. Chłopiec puścił zwierzaka i schował się pod stołem.

Maddie chwyciła za szczotkę i krzyknęła.

- Złapcie go, zanim nasmrodzi.

- Jak? - pisnęła Hallie z wysokości krzesła, na które wskoczyła, podobnie jak Liv, która na wszelki wypadek jeszcze zatkała nos.

- Nie wiem, ale złapcie! - Maddie zamachnęła się szczotką.

Chłopcy wyjrżeli spod stołu. Knut zaczął nawoływać:

- Cip, cip, skuniu... cip, cip, cip...

Maddie wycelowała szczotką w stół i zaczęła potrząsać. Gunnar podbiegł i chwycił za włosie szczotki.

- Nie rób mu krzywdy, ciociu!

- Nie zrobimy mu krzywdy, Gunnarze, ale musimy go złapać! - Maddie zwróciła się do Hallie.

- Obejdz stół od drugiej strony, a ja napędzę go szczotką... Puszczaj, Gunnar!

Hallie za nic w świecie nie dotknęłaby tego czegoś. I tak prześladował ją ostatnio pech.

- Nie dam rady go złapać! - zawołała.

- Do licha! Gdzie jest Duncan?! - krzyknęła Maddie, usiłując wyrwać szczotkę z rąk Gunnara. - Duncan! Duncan!

Drzwi kuchni otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadli jednocześnie Kit, Duncan oraz Lee.

- Co tu się dzieje? - zagrzmiął Kit, wytrzeszczając oczy na ciotkę, która przeraźliwie krzyczała, siłując się z jednym z bliźniaków. Obrócił się. Hallie i Liv tuliły się do siebie, stojąc każda na swoim krześle.

Dotarł do niego krzyk Liv:

- Skunks pod stołem!

Kit zajął pod stół.

- Nie straszcie go! - zakomenderował.

W tej samej chwili skunks wyprysnął spod stołu prosto na Duncana i Lee. Duncan się odsunął i stwór śmignął między nogami Lee do sieni.

- Nie wpuście go na górę! - krzyknęła rozpaczliwie Maddie, która wreszcie wydarła szczotkę Gunnarowi i teraz wymachiwała nią w powietrzu jak chorągwią.

Lee i Duncan rzucili się w pościg za małym zbiegiem. W chwilę później rozległ się trzask drzwi, tak głośny, że zadrzały świece w żyrandolu. Kit otworzył drzwi kuchni, a kobiety i dzieci skupili się za nim w grono i wsadzili nosy w szparę.

Lee w swobodnej pozycji opierał się o ścian, Duncan stał w milczeniu obok niego.

- Zamknąłem go w gabinecie - oznajmił Lee z szerokim uśmiechem na twarzy.

Hallie spodziewała się wybuchu złości Kita, ale nic takiego nie nastąpiło. Kit spoglądał na przyjaciela przez dłuższą chwilę. Wreszcie Lee powiedział coś bardzo dziwnego:

- No, to uratowałem twój paskudny pysk.

Potem Hallie słyszała już tylko ryk śmiechu Kita.

Kit pchnął drzwi sypialni. Hallie siedziała poblada na tapicerowanym krześle. Spojrzała na przedmioty niesione przez Kita.

- Co robisz?

- Wprowadzam się z powrotem - odparł Kit, nie zwracając uwagi na jej głośny jęk.

- Dlaczego?

Ułożył poskładane koszule na komodzie.

- Nie mogę spać w gabinecie. Minie wiele dni, zanim tam wywietrzeje. - Potworny smród wciąż jeszcze bił go w nozdrza. Zerknął na Hallie i zauważył strach, malujący się na jej pobladłej twarzy. Pomyślał, że jeśli znajdzie jej zajęcie, to czujność Hallie osłabnie.

Podniósł koszulę do twarzy i powąchał.

- Hallie, sprawdź, proszę, czy to też śmierdzi skunksem. Ja już nie potrafię powiedzieć.

Przez chwilę mu się przyglądała, potem skinęła głową. Kit podał jej ubrania, a ona starannie obwąchała jedno po drugim.

- Wszystkie są w porządku - powiedziała, wciąż patrząc na niego z pewnym zaniepokojeniem.

Pochylił się i wziął do ręki swoje wełniane skarpety.

- Nie sprawdzałaś tego - powiedział, marszcząc czoło, żeby ukryć złośliwy uśmiech.

Hallie zerwała się z krzesła.

- Nie będę wachać twoich skarpet! - Skrzyżowała ramiona na piersi i spiorunowała go wzrokiem.

Ta Hallie podobała mu się dużo bardziej niż spłoszony królik sprzed kilku sekund. Przygryzł wargę, żeby nie okazać zadowolenia. Przekomarzanie się z Hallie sprawiało mu dużą przyjemność.

- Zaniedbujesz obowiązki żony.

- Nie przysięgałam wachać twoich skarpet! Nawiasem mówiąc ten ślub był tylko farszą. To twoje własne słowa, pamiętasz? - Usiadła na łóżku.

Kit odwrócił się do niej.

- Przykro mi, że to usłyszałaś, Hallie.

- Nie wątpię. Przykro ci, że usłyszałam, a nie że to powiedziałaś. - Dumnie uniosła głowę.

- Nie to miałem na myśli, do pioruna! - Kit nerwowo przecesał dłonią włosy i wziął głęboki oddech. - Przykro mi, że to powiedziałem i że sprawiłem ci tym ból. - Podeszedł do łóżka i chciał wyciągnąć ku niej rękę.

- Nie zbliżaj się do mnie, Kit. - Hallie odsunęła się w drugi koniec łóżka. - Nie dotykaj mnie.

Przystanął.

- Hallie, proszę cię. Nie będę cię dotykał. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

Przepełzła na drugą stronę łóżka, wstała i przeniosła się na krzesło. Spojrzała mu w oczy i machnęła ręką.

- To rozmawiaj.
- Chciałbym, żebyśmy zaczęli wszystko od początku i zapomnieli o tym, co się stało.
- O, niejedno chciałabym zapomnieć - mruknęła.

Kit westchnął, zastanawiając się, czy starczy mu cierpliwości. Wreszcie usiadł na krawędzi łóżka.

- Dobrze, Hallie. Powiedz mi, co mogę zrobić. Nie chciałem cię skrzywdzić i nadal nie chcę. I nie sędzę, żebyś mogła teraz powiedzieć coś, czego jeszcze nie słyszałem albo od Lee, albo od głosu sumienia.

Przyglądała mu się w milczeniu. Czekwała.

- Wpakowaliśmy się w...

- Iśmy? - przerwała mu.

- No, dobrze: to ja popełniłem wszystkie błędy. Przyznam się do winy, ale czy nie mogłabyś iść na ustępstwa? Chciałbym jakoś naprawić to małżeństwo. Może uda nam się osiągnąć zdrowy kompromis.

Hallie odwróciła głowę, ale sprawiała takie wrażenie, jakby rozważała jego propozycję.

- Szkoda już się stała, Hallie.

Gdy odwróciła się do niego z powrotem, zobaczył w jej oczach cierpienie. Od dawna wiedział, że ją krzywdzi, ale przez to wcale nie było mu łatwiej patrzeć jej w oczy. Przygarbił się nieco i spróbował jeszcze raz:

- Bardzo cię przepraszam. - Te słowa zabrzmiały pusto i bezsensownie nawet dla niego.

Hallie miała łzy w oczach. Szybko odwróciła głowę, ale Kit dostrzegł, jak przygryza wargę, żeby się nie rozplakać. Starła się zapanować nad sobą. Zrobiła tym na Kicie duże wrażenie. Coś w nim drgnęło.

- Dyktuj warunki, Hallie. Ja na nie przystanę.

Wstała, wzięła ze stołu chustkę do nosa i odruchowo zaczęła ją wykręcać.

- Gdzie będziesz spał? - spytała.

- Tutaj.

- W łóżku?

- Hallie, zmęczyłem się spaniem na sofie.

Wyglądała tak, jakby się zastanawiała. Przez bardzo długie sekundy patrzyła w różne miejsca, tylko nie na niego. Wreszcie powiedziała:

- W porządku, Kit. Spróbujemy na moich warunkach, zgoda?

- Zgoda.

- Nie będziesz już musiał spać na sofie. - Uśmiechnęła się, pierwszy raz od wielu tygodni.

Odwzajemnił jej uśmiech. Podziałało!

Podeszła do bieliźniarki i po chwili obróciła się z prześcieradłem w dłoniach. Rzuciła je Kitowi. Trafiła prosto w pierś.

- Możesz spać na krześle.

Hallie przykryła poduszki narzutą. Podeszła do krzesła i złożyła koc Kita. Obok na stoliku leżały jego fajka i kapciuch, a spod kapciucha wystawały jakieś kolorowe papierki. Próbowała przeczytać, co jest na nich napisane, ale litery były za drobne. Zerknęła na Kita. Przekopywał szuflady w komodzie, przeklinając pod nosem.

Zasłoniła się złożonym kocem i wysunęła jeden z papierków spod kapciucha. Znow spróbowała przeczytać.

- To są bilety do teatru na dzisiejszy wieczór.

Aż podskoczyła na dźwięk jego głosu. Okazało się, że Kit znakomicie ją widział przez cały czas, tymczasem bowiem opuścił się na czworaki i zaczął szperać pod komodą.

- Idziemy z Lee.

- Kto idzie?

- My. Ty i ja, mąż z żoną. - Prawie wsadził głowę do szuflady, nie ustając w poszukiwaniach.

Teatr! Hallie nigdy nie była w teatrze. Spojrzała na Kita, oszołomiona i podniecona zarazem.

- Gdzie to jest, do pioruna! - Kit wyprostował się i natychmiast z jękiem złapał się za krzyż.

- Nic ci nie jest? Czego szukasz?

Chwycił za blat komody i powoli, sztywno wstał.

- Nie mogę znaleźć mojej szczotki do włosów. - Znów zaczął otwierać i zamykać szuflady.

Jego szczotka? Hallie przemknął przez głowę obraz Liv szczotkującej kotkę. Podczas gdy Kit dalej miotał się po pokoju, wyszła do sieni i znalazła zgubę. Wróciwszy do pokoju podała ją burczącemu Kitowi.

- Czy to ta?

Odwrócił się z groźną miną i natychmiast wyrwał jej przedmiot z ręki. Zanim zdążyła go ostrzec, przeciągnął szczotką po swych gęstych, kręconych włosach.

- Gdzie była?

Hallie podeszła bliżej i machinalnie strzepnęła mu z ramion koszuli wzorek z kociej sierści. Przerwał szczotkowanie.

- Co robisz?

Uśmiechnęła się.

- Zrzucam kocią sierść z twojej czystej koszuli.

Dokładnie przyjrzał się szczotce.

- Liv?

Hallie skinęła głową, starając się nie uśmiechnąć. Wyjęła mu szczotkę z dłoni i odeszła kilka kroków.

- Wyczyszczę ci ją. Nie chcę być oskarżona o zaniedbywanie obowiązków żony. - Ze śmiechem wyszła z pokoju.

- Zaraz wrócę. - Kit zeskoczył z powozu i szybko podszedł do drzwi wąskiego, ceglanego domu.

Hallie odchyliła się, żeby nie przeszkadzało jej światło latarni, i patrzyła na Kita stojącego u wejścia. W jedwabnym cylindrze wydawał się bardzo wysoki. Czerń jego stroju zakłócał jedynie śnieżnobiały kołnierzyk wykrochmalonej lnianej koszuli, który odbijał światło padające z okien. Twarz tonęła w cieniu, ale mimo to Hallie umiała sobie wyobrazić każdy jej rys, wyrazisty, męski. Niespokojnie drgnęła. Przyłapawszy się na takich rozmyślaniach, poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana i zakłopotana.

Zerknęła na nieskazitelną biel swych rękawiczek. Jej ręce wydawały się teraz delikatniejsze i bardziej różowe, przynajmniej tak powiedziała Maddie, gdy pomagała jej zapiąć białą suknię z koronki. Hallie odchyliła różowy aksamit narzutki i przesunęła palcami po jedwabnej koronce, która zaskrzyła się w słabo oświetlonym wnętrzu powozu. To nie był sen. Naprawdę siedziała w powozie, ubrana jak księżniczka. Jechała pierwszy raz do teatru i była z Kitem, swoim mężem.

Poczuła ssanie w dołku. Nie była pewna, czy to dobry znak, czy zły. Rozejm z Kitem był świeżej daty, jeszcze bardzo chwiejny. Nie miała pojęcia, jakie oczekiwania ma wobec niej mąż. Nie wiedziała również, czego oczekuje sama po sobie. Czy będzie dość sprytna, żeby wykorzystać sytuację, czy też zaprzepaści szansę i pozwoli przejąć inicjatywę Kitowi, w którym jest beznadziejnie zakochana?

Drzwi powozu otworzyły się i wraz z podmuchem wiatru zaleciał doń egzotyczny, korzenny aromat. W drzwiach ukazała się nieznajoma kobieta i zajęła miejsce naprzeciwko Hallie. Jej granatowa spódnica i dobrana kolorystycznie narzutka zajmowały prawie całe siedzenie powozu.

Rudobrody Lee wsunął głowę do środka i uśmiechnął się na powitanie.

- Hallie, to jest pani Sabinę Dolan - powiedział. - A to jest pani Howland.

Hallie zakręciło się w głowie. Do tej pory tylko raz nazwano ją „panią Howland”. Zrobił to Kit w wieczór po ich ślubie. Dziwnie jej było słyszeć coś takiego. Poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie sąsiadki.

Podniosła głowę i ujrzała nieznajomą w całej okazałości. Rysy miała wręcz idealne, skórę bielutką, oczy w odcieniu sukni. Ale włosy podziały na Hallie jak ostrzegawczy dzwonek. Były czerwone. Nie płomiennie rude, jak u Maddie, lecz właśnie czerwone, w głębokim, ciemnym odcieniu mahoni. Podobne włosy miała norweska kuzynka Hallie, Anja, która lubiła ją szczypać. Właściwie głupio było przyrównywać tę kobietę do niesympatycznej i złośliwej kuzynki tylko dlatego, że mają identyczny odcień włosów. Zaraz jednak Hallie zauważyła jej chłodny uśmiech i zmieniła zdanie.

Nagle Kit usiadł obok niej i odjechali. Powóz posuwał się naprzód, kołysząc na wąskich,

stromych uliczkach San Francisco. Sabinę zdominowała konwersacja tak samo, jak przedtem zawiądywała całym siedzeniem i mężczyznami. Hallie czuła się przy niej jak kopcuszek, siedziała więc w milczeniu, przysłuchując się flirtowi. Bardzo się starała, żeby nie uznać tego wieczoru za zmarnowany, zanim jeszcze się zaczął. W pewnej chwili Kit ujął dłoń żony i splótł z nią palce. Potem puścił do niej oko. Hallie natychmiast przestała zważać na Sabinę i jej szczebiot.

Im bliżej było teatru, tym większy tłok panował na ulicach. Powóz przesuwiał się teraz dosłownie centymetr za centymetrem. Przed budynkiem teatru Kit otworzył drzwi. Zeskoczyli razem z Lee na ulicę i pomogli wysiąść paniom. W tłumie przy drzwiach ludzie rozmawiali i śmiali się. Trzymając Hallie przy sobie, Kit zamienił kilka zdań z Duncanem, a potem zaprowadził ją do miejsca, w którym czekali Lee z Sabinę. W teatralnym foyer powietrze było gęste od dymu, woni potu i mocnego zapachu perfum. Hallie poczuła, że łzawią jej oczy.

Gdy przechodzili przez tłok, Kit mocno trzymał Hallie. Wreszcie zrobiło się trochę luźniej i wprowadził ją do części holu wydzielonej złotą liną. Tu już nie było niedomytych, spoconych kopaczy złota. Hallie widziała tylko schludnie ubranych członków tworzącej się elity finansowej miasta. Kit pomógł Hallie zdjąć narzutkę i podał ją razem ze swym kapeluszem i rękawiczkami czekającemu na to służącemu.

Potem służący podszedł do Lee i jego towarzyszki. Gdy Sabinę zdjęła swą obszerną narzutkę, Hallie aż syknęła z wrażenia. Suknia kobiety nie miała stanika, jedynie marszczone, koronkowe wykończenie, które ledwie zasłaniało jej sutki, a między piersiami tworzyło głęboki dekolci, kończący się niewiele powyżej mocno ściśniętej talii. Sabinę musiała bardzo się postarać, żeby osiągnąć taki efekt, bo smukłością talii prześcignęła chyba nawet Liv. Hallie wytrzeszczyła na nią oczy. Przez cały czas usiłowała dociec, jaki rodzaj gorsetu kobieta włożyła pod tak skąpą suknię.

- Nie wypatruj oczu, kochanie - szepnął do niej Kit. - Ona na to właśnie czeka. - Nie umiał powstrzymać wesołości.

Hallie oderwała wzrok od Sabinę i spojrzała na Kita.

- Jak myślisz, co ona ma pod spodem? - spytała również szeptem. Kit głośno się roześmiał, a potem nachylił się do jej ucha.

- Ciało, mnóstwo ciała.

Minął ich inny służący, niosący tacę. Kit wziął z niej dwa kieliszki i jeden podał Hallie. Spojrzała na jasny płyn z bąbelkami, jakby był to trujący wywar czarownicy.

- Szampan - wyjaśnił Kit i upił trochę, a potem zerknął na Hallie znad krawędzi kieliszka.

Wolno podniosła kieliszek do ust. Pękające bąbelki opryskały jej nos. Szampan pachniał... dziwnie, był wytrawny, a jednocześnie kwaśny. Spróbowała i bardzo się skrzywiła.

- Smakuje jak skwaśniały jabłecznik, pół na pół z wodą.

Kit parsknął radośnie, ale wziął od niej kieliszek i wraz ze swoim odstawił na parapet. Znowu ujął jej ramię.

- Moja żona ma niewybredny gust. Czego więcej może chcieć mężczyzna.

Niewybredny?

- Poczekaj, Kit. Zmieniłam zdanie. - Wzięła kieliszek z parapetu i jednym haustem wypijała szampana. - Jeszcze, proszę.

- Zdawało mi się, że ci nie smakuje. - Przyjrzał jej się bardzo uważnie.

- Polubiłam - odparła. Kit rozejrzał się.

- Nie widzę nigdzie w pobliżu służącego. Zresztą wystarczy ci na pierwszy raz.

Służący nadszedł od strony Hallie.

- Och, właśnie o panu myślałam - powiedziała, słodko się uśmiechając do zdumionego człowieka. Wzięła od niego z tacy dwa kieliszki i opróżniła je jeden za drugim. Ledwo zdążyła odstawić je z powrotem, gdy Kit pociągnął ją w głąb korytarza.

Czuła cudowną lekkość. Rozglądała się dookoła, podziwiała wielopoziomowe żyrandole i taniec płomieni świec. Wzdłuż schodów paliły się kinkiety z rżniętego szkła. Na tle tapet udających aksamit wisały złoczone lustra. Próbowwała zobaczyć swoje odbicie, ale nie miała na to czasu, musiała bowiem dotrzymać kroku Kitowi.

- Dokąd idziemy? - spytała, tłumiąc beknięcie, którym mogłaby współzawodniczyć z Liv.

- Do łóża - odparł Kit tonem, który oznaczał, że sprzeciw nie będzie tolerowany.

- Och... To miło.

Kit wciągnął ją za ciężką kotarę w przejściu i przystanął, bez wątpienia po to, by przyzwyczać oczy do półmroku sali. Lee i Sabinę siedzieli już na krzesłach z tyłu. Kit zaprowadził Hallie do jednego z krzesel na przedzie i posadził energicznym pchnięciem. Takie maniere powinny ją zirytować, ale akurat w tej chwili jej nie przeszkadzały. Była wyjątkowo życzliwie nastawiona do całego świata. Obok szczebiotała Sabinę. No nie, jednak nie do całego świata, pomyślała Hallie.

Zamrugala i rozejrzała się po przepastnej sali. Scena była zasłonięta tą samą ciężką tkaniną, która wisiała u wejścia do loży. Od wysokiego stropu dzieliły ich jeszcze dwa piętra, natomiast parter był wypełniony ludźmi, którzy stali lub siedzieli wszędzie, gdzie tylko mogli znaleźć skrawek wolnego miejsca. Nagle Hallie poczuła znajomy zawrót głowy. Zachwiała się.

Kit odciągnął ją do tyłu.

- Dobrze się czujesz?

Wzruszyła ramionami i skrzywiła się w lekkim grymasie.

- O Boże! Zapomniałem, że tu jest wysoko. - Kit przestawił jej krzesło. Znalazło się teraz tuż obok jego krzesła, mógł więc przygarnąć Hallie do siebie i położyć sobie jej głowę na ramieniu.

- Czy tak lepiej? - spytał.

Było wręcz cudownie. Przytaknęła i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Kurtyna poszła w górę i wkrótce Hallie siedziała pochłonięta grą aktorów. Czuła miłe ciepło otaczającego ją ramienia Kita. Odprężona, oparła głowę o zagłębienie między jego szyją a obojczykiem. Zapach tytoniu jak zwykle podzielał na nią jak narkotyk. W pewnej chwili Kit zaczął delikatnie pieścić jej nagie ramię. Hallie westchnęła, a potem nagle czknęła.

Szybko zasłoniła usta, usiłując zagłuszyć następny odgłos, ale bez powodzenia. Zabrzmiało głośniejsz niż poprzedni. Czknięcia zdawały się uchodzić z niej jak bąbelki z szampana. Ludzie zaczęli posykiwać w ich stronę. Kit natychmiast zajął usta żony namiętym pocałunkiem. Czkawka ustała, a Hallie straciła poczucie rzeczywistości i rozkoszowała się jego smakiem. Języki igrały swobodnie to w jednych, to w drugich ustach.

Dopiero głośnie brawa i wiwaty przerwały im pocałunek. Hallie popatrzyła na Kita oczami zamglonymi namiętnością. Było jej gorąco, a spojrzenie Kita jeszcze rozpałiło w niej żar. Zerknęła w dół, zdając sobie sprawę, że na piersi czuje jego dłoń. Patrzyła, jak Kit powoli wsuwa palce za kołnierzyk, drażniąc wrażliwą skórę przy szyi. Sutki jej nabrzmiały. Pierwsze muśnięcie opuszek palców przyprawiło ją o dreszcz, ale teraz, w tym rozgardiaszu, czar przysł. Z namiętności zostało zażenowanie.

W chwilę później Kit wstał i przeciągnął się, żeby rozprostować swe długie nogi.

- Przynieść ci coś do picia? Lemoniady, nie szampana.

Hallie pokręciła głową.

- Nie zbliżaj się do poręczy balkonu, dobrze? Za kilka minut wrócę. Poradzisz sobie? - Kit skinął głową w stronę Sabinę.

- Poradzę. - Zaczynał jej dokucać ból głowy. Krzesło miała odsunięte daleko od poręczy, a Sabinę wcale jej nie interesowała.

Po kilku minutach spokoju, które poświęciła bezskutecznym próbom zrozumienia swej rozkwitającej zmysłowości, poczuła lekkie stuknięcie w ramię. To Sabinę zwróciła na siebie uwagę, używając do tego celu wachlarza z kości słoniowej. Hallie na chwilę zapomniała o swym uprzedzeniu i postanowiła dać kobiecie szansę. Obróciła się do niej z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Kiedy się spodziewasz? - spytała Sabinę, wbijając wzrok w talię Hallie.

Uśmiech jej zgasł.

- Słucham?

- Pytam o dziecko, kochaniutka. Kiedy spodziewasz się dziecka?

- Nie spodziewam się dziecka - burknęła Hallie.

- Naprawdę? To dziwne. Wzięliście ślub w takim pośpiechu. Sądziłam... Na pewno wiesz, kochaniutka, że Kit Howland zawsze miał opinię nieosiągalnego. Nigdy nie związał się na dłużej z jedną kobietą. Mnie się nawet zdawało, że on... - Sabinę wyczuła chyba narastającą wściekłość Hallie, bo nagle zamknęła usta. Z trzaskiem rozłożyła wachlarz i rozsądnie zmieniła temat. -

Strasznie tu duszno. - Zaczęła się wachlować, przenikliwym wzrokiem omiatając grupki ludzi na dole.

Patrzy, czy ma dużą konkurencję, pomyślała Hallie obserwując, jak czerwonowłosa wiedźma przybiera wystudiowaną pozę, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Irytowało Hallie, że musi siedzieć obok, gdy Sabinę puszy się próbując zwrócić uwagę ordynarnych mężczyzn, zgromadzonych na parterze. Gwizdy i okrzyki skłoniły jednak i ją do spojrzenia w dół. I nagle przeszło jej zakłopotanie, złość, ból głowy. Ogarnęła ją najczystsza panika. Jedna twarz w tym tłumie patrzyła prosto na nią. Należała do Abnera Browna.

Dokładnie zapamiętała miejsce, w którym zobaczyła tego człowieka, po czym wybiegła z łoży w poszukiwaniu Kita. Przedarła się przez zatłoczone schody i przystanęła, rozglądając się dookoła. Żeby przedostać się przez zwartą ciżbę, musiała się przepychać pod samą ścianą. Dotarła do miejsca, gdzie korytarz się rozwidlał, i zaczęła po omacku sprawdzać, co jest za rogiem, gdy ktoś szarpnął ją za rękę i wciągnął do mrocznej niszy.

- Co ty tu robisz sama, do pioruna?!

Głos rozłoszczonego Kita sprawił jej wielką ulgę.

- Abner Brown jest w teatrze. Widziałam go!

Kit chwycił ją za ramiona.

- Gdzie? Kiedy?

- Mniej więcej pięć minut temu, na galerii naprzeciwko, przy filarze, pod pierwszą łożą.

- Pojedziesz do domu z Duncanem.

- Ale...

- Nie kłóć się ze mną! - ryknął Kit i wyciągnął ją przed teatr, nie dbając o narzutkę.

Zaczęła szczerkać zębami, było bowiem zimno, a w powietrzu unosiła się wilgoć.

- Nnnie mmomogę się kłóć! - bobobo zamammarzam nana śmierć - jęknęła, mocno przyciskając ramiona do piersi.

Kit zdjął surdut i okrył ją. Prawie wrzucił ją do powozu, który podjechał w tej samej chwili, wydał Duncanowi kilka nieskładnych poleceń i znikł w drzwiach teatru. Hallie wcisnęła się w oparcie siedzenia najmocniej, jak umiała, i zastanawiała się, czemu Duncan nie odjeżdża. Po chwili drzwi się otworzyły i Duncan pomógł wsiąść Sabinę. Hallie omal nie jęknęła. Zapomniała o tej kobiecie. Gdy powóz ruszył, Sabinę zaczęła wyrzekać na Lee i zmarnowany wieczór. Hallie drżała w milczeniu, myśląc, że Lee ma szczęście, bo Sabinę pewnie by go szczypała.

Abner przepychał się przez tłum, odsuwając ze swej drogi wszystko i każdego. Na moment przystanął i rozejrzał się dookoła.

Zobaczyła go, więc musiał uciekać. Zaczął dalek torować sobie drogę. Wyobraźnia podsunęła mu wizję spuchniętej twarzy Dagny, a potem przerażonej miny jej starszej siostry. Zbliżał się już do tylnego wyjścia, gdy opuściło go szczęście. Zauważył go przyjaciel Howlanda, kapitan Prescott. Stał w tłumie, wskazywał ku niemu ręką i coś krzyczał. Abner odwrócił głowę ku innemu wyjściu. Z tamtej strony przedzierał się do niego Howland. Twarz miał wykrzywioną gniewem.

Abner schylił się prawie do samej podłogi, żeby prześladowcy nie widzieli, dokąd ucieka, i zaczął przesuwając się w kierunku sceny. Gdy był już blisko celu, wstał, żeby ocenić sytuację. W pobliżu powstało zamieszanie, dostrzegł go bowiem również szeryf Hayes. Abner potoczył wzrokiem dookoła i popędził za kulisy. Znieruchomiał dopiero, gdy był już dobrze ukryty za masywną skrzynią.

W uszach mu pulsowało, serce wyrywało się z piersi, oddech miał płytki, rwany. Słyszał, jak go gonią, szukają, wydają krótkie komendy. Potem rozpoczął się drugi akt sztuki, Abner wciąż jednak czuł za sobą pościg. Wzdłuż jednej ze ścian stały kufry, a wokół nich leżały porozrzucone kostiumy. Abner ostrożnie wyjrzał ze swej kryjówki, a potem dopadł najbliższego otwartego kufra. Wyrzucił z niego na podłogę resztę brudnych kostiumów i wskoczył do środka. Zamknął wieko.

W ciasnym, ciemnym wnętrzu czuł się jak ścigane zwierzę. Ciężko dyszał. Oto on, Abner Brown, który powinien oglądać sztukę z łoży, przeznaczonej tylko dla niego, siedzi w kufrze. Zatrząś się, pełen pogardy dla siebie.

Nic mu nie zostało. Nie miał niczego. Rodzinne dziedzictwo dawno zlicytowano, jego nazwisko przestało cokolwiek znaczyć. Dom i zakład pogrzebowy legły w gruzach, a on był uciekinierem, zmuszonym korzystać z ukrycia w palarni opium na statku, gdzie za złoto mógł cieszyć się słodkim zapomnieniem, którego pożył jego ciało.

Zamknął piekące oczy i w rzadkiej chwili jasności umysłu przeżył jeszcze raz swe dawne marzenie. To samo, które próbował urzeczywistnić tego wieczoru. Marzenie o premierach, gwarze, szacunku, pozycji w społeczeństwie. Marzenie o powodzeniu w życiu, które tak chciał osiągnąć.

Kit zamknął drzwi i zaciągnął rygiel. Na stoliku przy schodach mdłym światłem wciąż paliła się lampa. Zdjął surdut i powiesił go na wieszaku przy wejściu, a obok narzutkę Hallie. Podkręcił knot lampy. Minęła już czwarta rano, był wykończony. Przeszukali teatr i otaczający teren, ale Abner w jakiś sposób zdołał im się wymknąć. Myśl, że ten szaleniec czyha gdzieś w pobliżu, dręczyła Kita nieustannie.

Z lampą w dłoni ruszył po schodach na górę. Wszedł do ciemnej sypialni i postawił lampę na najbliższym stoliku. Na krześle leżał koc, którym Kit owijał się w czasie snu.

Usłyszał rytmiczny oddech Hallie. Spała smacznie po jednej stronie łóżka, skulona pod górą koców. Ponad połowa łóżka była wolna. Kit zerknął na krzesło. Dziś nie, pomyślał. Usiadł i zaczął ściągać buty, zastanawiając się, czy Hallie będzie bardzo zła, gdy odkryje jego obecność w łóżku.

Poodpinał spinki i wyciągnął rękę, żeby odłożyć je na stolik. Nie trafił. Rozsypały się z grzechotem na podłodze. Kitowi przypomniał się poprzedni raz, gdy zdarzyło mu się to samo. Tamtej nocy kochał się z Hallie. Dowiedział się, że namiętność wciąż w nim żyje, przyznał przed sobą, że pragnie Hallie, pożąda jej, chce znaleźć się głęboko w niej. I tak się stało. Ale tej samej nocy ją skrzywdził. Zranił jej uczucia i zadał jej ból.

Teraz w małżeństwie układało im się lepiej, choć Hallie wciąż się go bała. Nie był z tego dumny. Musiał wyleczyć ją z tej urazy i z lęku przed zmysłowymi doznaniem. Tymczasem bowiem lęk towarzyszył jej zawsze, gdy tylko rozpałała ich namiętność. Czuł to nawet tego wieczoru, gdy pocałunkiem pomógł jej uciszyć czkawkę.

Na wspomnienie ataku czkawki Hallie szeroko się uśmiechnął. Nigdy nie wiedział, czego można się po niej spodziewać. Ile razy myślał, że ją rozgryzł, zawsze robiła coś, co zupełnie nie pasowało do jego teorii.

W drodze do teatru siedziała milcząca, jakby załęczniona, ale potem, kiedy dla żartu zrobił uwagę o szampanie, nagle brawurowo zademonstrowała swoją wolę, choć miał dziwne wrażenie, że zrobiła to wyłącznie z przekory. Rzecz jasna, dobrze wiedział, że alkohol może popchnąć do różnych głupich czynów, czy to pobudzając fałszywą odwagę, czy też, tak jak w jego przypadku, wskazując drogę do niewłaściwego łóżka. Cóż, właśnie zamierzał się położyć do niewłaściwego łóżka, chociaż tego wieczoru prawie nie pił alkoholu.

Rozpiął i ściągnął spodnie, dorzucając je do sterty, którą tworzyły już koszula i cienkie skarpetki. Zaczął zsuwać także flanelową bieliznę, ale się powstrzymał. Może jeśli nie położy się do łóżka goły jak święty turecki, Hallie będzie na niego mniej zła. Warto było spróbować.

Obszedł łóżko i odchylił koce. Ostrożnie wsunął się w miękką, ciepłą pościel. Poczł się jak w niebie. Mięśnie szyi i pleców natychmiast mu się rozluźniły. Zdawało mu się, że oddychają z ulgą, odnalazłszy zapomniany już komfort najprawdziwszego łóżka. W chwilę potem Kit smacznie spał.

Abner otworzył oczy. Skulony w kufrze na kostiumy po prostu zasnął i nie miał pojęcia, jak długo był pogrążony we śnie. Mięśnie nóg nie chciały go unieść, też były zaspane. Zaczął nasłuchiwać. Wokoło panowała cisza.

Bardzo ostrożnie odchylił wieko kufra i wyjrzał przez szparę. Poszerzał ją centymetr za centymetrem, modląc się, by nikt go nie złapał. W pomieszczeniu panowały prawie takie same ciemności jak w kufrze. Na scenie światło było wygaszone, a za kulisami nie było okien, które dałyby mu wyobrażenie o porze dnia lub nocy.

Teatr wydawał się opustoszały. Abner wypełził z kufra z nadzieją, że zdrętwiałe nogi jakoś go

utrzymają. Po kilkunastu sekundach czucie w nogach na szczęście mu wróciło. Upewniwszy się, że jest sam, podszedł do zasłoniętego kotarą przejścia i zerknął na ciemną widownię. Również tam było pusto. Wąski, zakręcony korytarzyk prowadził do małych drzwi. Abner ostrożnie odsunął rygiel i wyglądając przez szparę stwierdził, że drzwi prowadzą na zewnątrz. Opuścił więc teatr i znalazł się na ulicy, gdzie blady odbłask na wschodzie zapowiadał świt.

W dwadzieścia minut później znów przeszył go ból. Abner oparł się o słup na molo i chwycił za brzuch, miał bowiem takie wrażenie, jakby ktoś wbił mu nóż głęboko w jelita. Gdy po chwili nieco mu ulżyło, chwiejnym krokiem powłókł się przed siebie. Wkrótce jednak ostry ból powrócił.

Przykurczony, stąpał naprzód po rozkołysanym molo, opartym na starych beczkach. Musiał dotrzeć do palarni opium na statku. Fale rozrywającego bólu przychodziły jedna za drugą. Abner kurczowo trzymał się liny, żeby nie spaść do morza. Minął statki zaopatrzeniowe i szedł dalej ku końcowi molo, gdzie w wilgotnej ładowni czekały na niego żarzące się, czarne kulki, przynoszące ulgę.

Zaczęło mu cieknąć z nosa. Wytarł go brudnym rękawem wełnianego surduta. Chwyciwszy za sznurową drabinkę, wspiął się na pokład, gdzie dopadło go kichanie. Głód narkotyku dawał o sobie znać coraz bardziej dotkliwie. Kichając niemal bez ustanku, Abner dogramolił się do ładowni i tam skierował ku mosiężnemu kociołkowi, strzeżonemu przez starą kobietę o pustym spojrzeniu. Spojrzał na nią zażawionymi oczami i porwał długą igłę z narkotykiem... jego narkotykiem.

Ból znowu wrócił, omal nie rozerwał mu odbytu i wędrował coraz wyżej, aż swym pulsowaniem dotarł do głowy. Abner chciwie zaciągnął się dymem, raz, drugi. Łapczywymi wdechami chłonał oszałamiający opar, który rządził teraz jego nastrojami i mącił mu rozum. Wciąż zaciągając się dymem, podszedł do koi i położył się, wetknąwszy igłę w otwór wydrążony w drewnianej ramie. Potem wytrzeszczył nie widzące oczy, a umysł podsuwał mu fantazyjne wizje, które przekraczały wszystko, co mógłby zobaczyć swymi szklistymi oczami.

Machinalnie odwrócił głowę w stronę czarnej kulki i zacerpnął tchu. Otwór w ramie koi był wydrążony tak, by źródło dymu znajdowało się w wygodnym miejscu, blisko zapleśniałej poduszki. Abner śnił o bogactwie, przyjęciach i balach. Śnił o powodzeniu, uznaniu ludzi, szacunku. Śnił też o majątku swojej matki, o matce i o koniach, które uwielbiała, o polowaniach.

I wtedy przypomniał sobie ciemny kufer.

Zazgrzytał zębami z wściekłości i zacisnął dłonie w pięści. To na niego polowano, on był zwierzyną. Abner Moffatt Brown, zmuszony ukrywać się jak zaszczuty lis. Wizja przeobraziła się w koszmar. Myśliwi w czerwonych kurtkach otaczali go, krzycząc:

- Syn swego ojca! Wykapany syn! - Krzyki przeszły w miarowe zawodzenie: - Mięczak... tchórz... fajłapa... - Myśliwi trzymali w dłoniach pistolety, zwrócone kolbami w jego stronę. Abner kulił się pośrodku, a oni wpychali mu broń do rąk, chcąc, żeby zrobił z niej taki sam użytek, jak jego ojciec.

Abner otworzył usta i wessał jeszcze trochę dymu, i wtedy obraz nagle się zmienił. Mały, przerażony lis wyszczerzył kły, pysk zaczął mu rosnać. Lis stał się lwem i wydawszy ryk gniewu, rzucił się na myśliwych, którzy teraz mieli już twarze. Byli tam Hayes i Prescott, a w paszczy lwa chrzęściły kości człowieka, który zagonił lisa w pułapkę: Kita Howlanda.

Abner wybuchnął śmiechem, bo lis zamienił się w lwa i dokonał zemsty.

Kit przebudził się raptownie. Zdziwił się, że nie bolą go mięśnie. Leżał w łóżku, miękkim, ciepłym, wygodnym łóżku. Nagle przypomniał sobie o Hallie. Ponieważ jednak leżał po drugiej stronie, twarzą do krawędzi łóżka, nie mógł sprawdzić, czy już nie śpi. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ścianę i myślał, jak by przewrócić się na drugi bok, żeby jej nie zbudzić. Mogłaby go bowiem wtedy zdzielić albo wykopać na podłogę, tak jak poprzednio. Zamknął oczy, cicho jęknął i jednak przetoczył się na drugi bok, zasłaniając twarz, by móc bezkarnie zerknąć spod ramienia. Łóżko było puste.

Westchnął z ulgą i rozejrzał się po pokoju. Hallie nie było. Pozwolił sobie na luksus ziewnięcia i leżał dalej, rozkoszując się miękkością łóżka. Odkąd zaczął stosować w domu zasady etyczne stosowane w pracy, życie układało mu się coraz lepiej. Miał dobry pomysł, żeby

traktować to małżeństwo jak partnerstwo w interesach. Już osiągnął zadziwiający postęp: z gabinetu wrócił do sypialni, żona zaczęła z nim rozmawiać, nawet żartować, a poprzedniego wieczoru razem poszli do teatru. No, i ostatecznie osiągnięcie: awans z krzesła na łóżko.

Teraz musiał złagodzić jej lęk. Gdyby udało mu się ją zaskoczyć, wciągnąć w uwodzicielską grę, może pokazałby jej, że fizyczna strona miłości nie musi być bolesna. Nauczyłby ją, jak osiągać rozkosz, nawet gdyby przymus panowania nad sobą miał go zabić.

Odrzucił koce i wstał. Widząc jasne światło za oknem, zorientował się, że już jest późno. Umył się i ogolił w letniej wodzie, zostawionej w dzbanku, a potem się ubrał. Zszedł po schodach zadowolony z życia tak bardzo, jak już dawno nie był.

Niezwykle apetyczny zapach pieczonego chleba i smażonej szynki dobył z jego brzucha odgłos godny Lee. Wszedł do kuchni. Honorowe miejsce na stole zajmował piękny, wyrośnięty chleb, który właśnie stygł. Kit nalał sobie kawy z dzbanka, po czym przez dłuższą chwilę wyławiał z kubka resztki skorupki jajka, widocznie bowiem kawa pochodziła z samego dna. Potem wyjąwszy z wody osełkę masła, podszedł w roztargnieniu do stołu, po drodze popijając kawę. Była bardzo mocna, w zębach zgrzytały mu drobiny grubo zmielonych ziaren, ale tego rana w ogóle mu to nie przeszkadzało.

Usiadł, oderwał kawałek świeżego chleba i otarł go o osełkę, a potem złożył na pół, żeby wygodniej było wsadzić go do ust. Rozłożył gazetę i przeżuując, zaczął czytać.

- Złapaliście go? - Na progu stanęła Maddie. Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, jak temu sukinsynowi udało się uciec. Myśleliśmy z Lee, że go mamy.

- Och, chciałabym zostać przez pięć minut sam na sam w pokoju z tym bydlakiem...

Do kuchni wpadli chłopcy, zawzięcie się kłócąc.

- To była twoja wina! - powiedział jeden.

- Wcale nie! To ty go wypuściłeś z torby. I wtedy uciekł - odparł drugi.

- Przestańcie się kłócić! - rozkazała Maddie. - Szkoda się stała, trudno, i obiecaliście: żadnych nowych zwierząt w domu.

- Ale on wyglądał tak samo jak kot Liv - powiedział jeden z chłopców.

- Dość! Siadajcie, dam wam coś do jedzenia... Christopher, co ty robisz z moim chlebem?!

- Jem - odparł Kit, odłamując następny kawałek i ocierając go o osełkę masła. - Czyżby nie po to tu leżał?

Maddie spojrzała na niego z naganą.

- Nie wymądrzaj się przy mnie. Jeszcze nos ci wycierałam, kiedy byłeś taki, jak ci dwaj! - Obróciła się na pięcie i zaczęła rozbijać się po kuchni.

Malcy przysunęli się do Kita z zachwyconymi buziami. Ten z lewej strony odezwał się pierwszy:

- Byłeś kiedyś mały? - Bardzo szeroko otworzył oczy. Kit odłożył gazetę.

- Mhm. Mniej więcej taki jak ty teraz.

- Naprawdę? - spytał drugi.

Kit uśmiechnął się do niego, a potem przewędrował spojrzeniem od jednego do drugiego i z powrotem. Za nic nie mógł tych chłopaków odróżnić.

- Który z was jest który?

Chłopiec z lewej zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. To musi być Gunnar, ten myśliciel, uznał Kit.

- Jesteś na nas zły za tego skunksa? - spytał, próbując wyczytać mu coś z twarzy.

Kit ukrył uśmiech. Chłopcy nie mieli pojęcia, jak wiele im zawdzięczał.

Bliźniak z prawej zapiszczał:

- To był jego pomysł. Ja tylko otworzyłem torbę. - Knut, ten papla.

- Nie, tym razem nie jestem zły - odrzekł Kit, starając się, by jego głos brzmiał surowo. - Ale nie róbcie drugi raz czegoś podobnego, zgoda?

Gunnar wyraźnie się odprężył.

- Zgoda - powiedział i wyszczerzył ząbki. - Jestem Gunnar.

- A ja Knut! - powiedział drugi.

Kit oderwał jeszcze trochę chleba i podał go chłopcom. Usiedli przy nim i otarli swoje kawałki o osełkę masła tak samo jak on.

O stół brzęknął nóż do masła, obok znalazły się trzy talerzyki i serwetki.

- Posługuj się nożem, Kit. Dajesz chłopcom zły przykład - skarciła go Maddie i znów odwróciła się do zlewu.

- Lubię cię - wyznał Gunnar, budząc uśmiech na twarzy Kita.

- Ja też cię lubię - odrzekł Kit. - Obu was lubię.

Knut uśmiechnął się buzią pełną chleba. Przełknął i naturalnie dodał swoje dwa centy:

- Chociaż jesteś stary.

Kit zakrztusił się kawą.

- Czy jak będziemy tacy starzy jak ty, to też będziemy wysocy? - spytał Gunnar.

- Pewnie tak - odpowiedział Kit i dodał pod nosem: - Jeśli będziecie tak długo żyli.

Od strony Maddie dobiegło go groźne parsknięcie.

- Przepraszam, że skunks zasmrodził ci pokój. - Gunnar, naśladując Knuta, oderwał sobie kawałek chleba.

- Ale już nie śmierdzi - dodał Knut. - Ciocia Maddie tak powiedziała. Prawda, ciociu?

- Wywietrzyłam - odparła Maddie, wycierając ręce w fartuch i sprawdzając, jak piecze się następny bochen.

- No, to już nie musisz spać z Hallie - wywnioskował Gunnar. Maddie nagle przerwała krzątanie. Kit nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu uciekł się do pomocy logiki:

- Małżeństwa śpią razem, a ja się ożeniłem z waszą siostrą.

Chłopcy przez chwilę rozmyślali. Potem Gunnar powiedział:

- Ale na początku nie spałeś z Hallie. Spałeś tutaj, na dole. Pamiętasz?

Maddie oparła się o piec i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ciekawe, co teraz powiesz.

Kit zmiażdżył ją wzrokiem i znów odwrócił się do chłopców:

- No, wiecie...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do kuchni wbiegła Liv.

- Małe, małe! Moja kotka ma małe! Chodźcie zobaczyć!

Chłopcy natychmiast wypadli na korytarz. Kitowi ulżyło.

Maddie podeszła do niego.

- Masz szczęście, chociaż wcale sobie na to nie zasłużyłeś. Dużo bym dała, żeby usłyszeć, jak tłumaczysz się chłopcom ze swojego głupiego uporu.

- Staram się zrehabilitować. Maddie, daj mi trochę czasu.

Ciotka ruszyła do drzwi, ale przy drzwiach jeszcze przystanęła.

- Co do twojego małżeństwa, muszę powiedzieć, że niebiosa ci sprzyjały, chociaż nie bardzo rozumiem dlaczego. Po tym, jak traktujesz Hallie, widzę, że ci się taka łaska nie należy. Dla mnie jesteś żywym przykładem tego, że Bóg chroni głupie stworzenia.

Z tymi słowami wyszła z kuchni.

Duncan pomógł Hallie wysiąść z powozu. Stała przed domem, czekając na Dagny. Olbrzym wydostał jej siostrę z pojazdu i odstawił na ziemię tak ostrożnie, jakby była z porcelany. Hallie zaraz wzięła Dagny za ramię i pomogła jej wejść na schody. Duncan otworzył drzwi i wszedł za nimi do środka.

Hallie zdjęła siostrze narzutkę i rękawiczki, Dagny tymczasem stała nieruchomo i tępo wpatrywała się w ścianę. W jej oczach nie było nawet isierki życia. Od czasu porwania nie odzywała się, nie dawała znaku, że kogoś słyszy albo poznaje. Hallie miała nadzieję, że lekarz będzie miał jakieś nowe pomysły, może postawi diagnozę albo znajdzie sposób leczenia. Ale nie. Wizyta przebiegła tak samo jak poprzednie, nie dała jej ani trochę nadziei. Lekarz powiedział, że Dagny może nagle wyjść z tego stanu albo nie wyjść z niego nigdy. Kazał czekać, a w tym Hallie nie była dobra. Lubiła coś robić, a nie czekać.

- Zaprowadzi ją pani na górę? - spytał Duncan. Wydawał się zaniepokojony, jakby odpowiedź miała dla niego wielkie znaczenie.

Hallie rozebrała się z wierzchniego okrycia, a potem powiedziała:

- Pomyślałam, że może zrobiłoby jej dobrze, gdyby posiedziała trochę w salonie. - Zerknęła na Duncana, który nie potrafił ukryć własnych myśli. - Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę i

dotrzymać jej towarzystwa? - Duncanowi zaświeciły się oczy. - Lekarz powiedział, że powinniśmy z nią rozmawiać albo jej czytać. To może jej ułatwić wyjście z tego stanu - powiedziała.

- Chciałbym pomóc, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

Na wargach Hallie zaigrał uśmiech.

- Myślę, że Dagny bardzo by się z tego ucieszyła.

Duncan uśmiechnął się nieśmiało.

- Tak. Dziękuję, pani Howland.

Hallie poczuła przykre ukłucie w żołądku. Odwróciła się do Duncana, który właśnie wziął jej siostrę za ramię i prowadził do salonu.

- Mów do mnie po imieniu, proszę.

Olbrzym skinął głową i odprowadził Dagny, cicho do niej przemawiając.

Hallie poszła dalej korytarzem. Drzwi do gabinetu Kita były otwarte, ze środka dobiegały głosy Liv i bliźniaków - kłócili się. Zajrzała do pokoju. Liv, chłopcy i Maddie pochylali się nad czymś, co leżało na wielkim biurku Kita.

- Co tu się dzieje? - spytała Hallie.

Maddie uśmiechnęła się do niej i skinęła zapraszająco. Knut poderwał głowę.

- Kotki, Hallie! Kotka ma kotki!

- Moja kotka - poprawiła go z naciskiem Liv.

Hallie podeszła do biurka. W dolnej szufladzie siedziała Pani Skunks z pięcioma dopiero co urodzonymi kociętami.

- Liv, są prześliczne! - Hallie patrzyła, jak małe, ślepe kłębki przytulają się do brzucha matki.

- Wyglądają jak zmoknięte szczury - oświadczył Gunnar.

- Ty też tak wyglądałeś - odpaliła Liv. - Pamiętam.

Gunnar pokazał jej język, ale Knut zrobił przerażoną minę.

- I ja też?

- Dość tego - ostrzegła dzieci Maddie.

- Zatrzymamy je? - spytał Knut.

- Zdecyduje Liv. To ona opiekuje się Panią Skunks - odparła Maddie, odciągając Hallie na bok.

- Co powiedział lekarz?

- To samo co przedtem. Że nie powinniśmy zamykać jej w czterech ścianach pokoju. Zaproponował, żeby była jak najwięcej z rodziną. Powiedział też, żeby jej czytać i dużo do niej mówić. Jego zdaniem powinna w końcu wrócić do siebie, ale musimy być cierpliwi.

- Gdzie ona jest teraz? - spytała Maddie, zerkając do sieni.

- Z Duncanem w salonie.

Maddie skinęła głową i delikatnie położyła dłoń na ramieniu Hallie.

- Abner uciekł. Kit powiedział mi to rano.

- A niech to! - wymamrotała Hallie.

- Złapią go - stwierdziła Maddie z przekonaniem.

Hallie skinęła głową i spojrzała kątem oka na dzieciaki, które szeptały coś między sobą, skupione nad szufladą. Wyglądały jak grupka spiskowców.

- Hej, dzieci, chodźcie tutaj. Dajcie młodej mamie trochę odpocząć - zawołała do nich Maddie.

Hallie zastanawiała się, czy Kit jest jeszcze w domu, ale nie była pewna, czy chce spytać o to Maddie. Wyglądało bowiem na to, że przy każdej wzmiance na temat Kita Maddie zaczyna recytować listę jego wad. Hallie nie miała ochoty tego słuchać, sama bowiem świetnie ją znała. Przepowiadała ją sobie po cichu zawsze, gdy nie mogła oddalić od siebie myśli o mężu. A zdarzało jej się to coraz częściej. Zastanawiała się już nawet, czy nie ma obsesji na jego punkcie.

Właśnie w tej chwili jej obsesja wetknęła głowę do pokoju.

- Gdzie jest młoda mama?

- W twoim biurku, w dolnej szufladzie - odrzekła Maddie, wychodząc z pokoju.

Kit jęknął i podszedł zobaczyć rozmiar szkód. Ukucnął przy Liv.

- Tu są moje umowy - powiedział. Liv delikatnie poklepała go po ramieniu.

- Pani Skunks ma z nich świetne posłanie, prawda? - Promieniała z dumy, a takiej czułości Hallie nie widziała u Liv od dnia śmierci matki.

Kit położył rękę na jej dłoni i pokręcił głową nad lokatorami szuflady. Knut podskoczył.

- Liv mówi, że chce zatrzymać wszystkie kotki, a my pomożemy jej się nimi opiekować. Kit, wiesz co?

- Nie wiem. A co? - spytał Kit wpatrzony w rozpaloną entuzjazmem buzię Knuta.

- Liv da jednego kotka Hallie na urodziny.

- Knut! - wykrzyknęła Liv. - To miała być niespodzianka. Wszystko zepsułeś!

Chłopiec zwiesił głowę.

- Przepraszam.

Kit przeszył Hallie gorącym spojrzeniem.

W pokoju zrobiło się nagle bardzo ciepło. Hallie poczuła pot na skórze, zupełnie jakby pod wpływem spojrzenia Kita jej ciało zaczęło topnieć.

- Kiedy? - spytał, nie odrywając wzroku od twarzy Hallie. Hallie nie odpowiedziała, ale Liv ją wyręczyła:

- Dwudziestego siódmego.

- I wtedy będzie starsza. Prawie taka stara jak ty - powiedział Knut.

Kit zachichotał.

- Dziewiętnaście lat. No, no, ale podeszły wiek.

Hallie trudno było patrzeć na Kita, kiedy był taki jak teraz. Zaraz przypominało jej się, jak grał z chłopcami w kulki, a wtedy coś w jej sercu miękło. Gdy był dla niej miły, z najwyższym trudem powstrzymywała się, żeby nie rzucić mu się w ramiona i nie powiedzieć, jak bardzo go kocha. A kiedy przestawał ukrywać przed nią swe słabości, jak wtedy, gdy prosił ją, żeby mu pomogła naprawić ich małżeństwo, czuła, że miłość za moment ją spopieli.

Musiała bardzo uważać, żeby się z tym nie zdradzić w chwili nieuwagi. Bąknęła więc coś na swoje usprawiedliwienie i chciała wyjść, ale Kit wyprostował się i stanął jej na drodze do drzwi. Czuła jego spojrzenie na czubku głowy, jakby chciał ją zmusić, żeby spojrzała do góry. Z najwyższym trudem powstrzymała ten odruch.

- Chciałem ci podziękować - powiedział. Zupełnie się tego nie spodziewała.

- Za co?

- Za to, że pozwoliłaś mi spać w łóżku.

Odwróciła się zakłopotana i bardzo zmieszana.

- No, wiesz... To jest duże łóżko. - Zdawało się jej, że słyszy echo tych słów w ciszy, jaka nagle zapadła. Koniecznie musiała powiedzieć coś jeszcze. - Zresztą byłeś... ubrany - wypaliła w końcu. Dała nura pod jego ramieniem i uciekła do kuchni.

Tam natychmiast zajęła się sprzątaniami stołu. Po chwili wszedł Kit, pogwizdując. Zignorowała go, powtarzając sobie, że w tej chwili nie ma dla niej nic ważniejszego niż porządku. Chciała schować gazetę, ale Kit wziął ją od niej.

- Gazeta jest mi potrzebna - powiedział, bardzo zadowolony z siebie. - Wychodzę. Mam sprawę w mieście, więc zobaczymy się później, miłe panie.

Mówiąc to, patrzył na nią, ale Maddie, która stała przy kuchni zajęta pieczeniem, wymruczała jakieś „uhu”, co było jej zwyczajowym pożegnaniem. Hallie wzięła osetkę masła i znieruchomiała. Kątem oka zauważyła, że Kit zawahał się przy drzwiach.

- Hallie?

Spojrzała na jego roześmianą twarz.

- Zajrzałaś.

O czym on mówi?

Pochylił się w jej stronę i szepnął:

- Pod koce.

Drzwi się za nim zamknęły. Ich trzask zagłuszył stuk osetki masła, która upadła na podłogę.

- Ojej, znowu! - Hallie schyliła się, żeby pozbierać skorupy czajniczka od herbaty. Była to jej czwarta stłuczka tego dnia. Zebrała porcelanowe resztki do fartucha, chcąc je wyrzucić, zanim Maddie spostrzeże, że znowu coś się stało. Niestety, Maddie stała w głębi kuchni, przy drzwiach

na podwórzu. Opierała o biodro kosz z praniem i przyglądała się kataklizmowi. - Och, Maddie, bardzo przepraszam. - Hallie wrzuciła skorupy do beczułki ze śmieciami, potem wzięła szmatę z drewnianego wieszaka i starła herbatę z podłogi. - Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Jestem...

- ...kłębkami nerwów - dokończyła za nią Maddie. Odstawiła kosz na stół i pomogła Hallie wstać. Wzięła od niej mokrą szmatę, cisnęła ją w okolicę pompy, a potem zaprowadziła Hallie do stołu. - Siadaj! - rozkazała.

Hallie opadła na krzesło i skrzyżowała ramiona. Miała poczucie, że jest całkiem bezużyteczna. Maddie usiadła naprzeciwko.

- No, co cię dręczy?

- Wszystko. - Hallie spojrzała na ciemne drewno blatu i bezmyślnie zaczęła przesuwać palcami wzdłuż słoików.

- Hallie, proszę cię, porozmawiaj ze mną. - Maddie uściśnęła jej dłoń. - Myślałam, że układa ci się lepiej. Ostatnio widziałam, jak się uśmiechasz, a wczoraj byłeś niesamowicie podniecony teatrem. Co ten mój idiota siostrzeniec znowu nabroił?

- Spał ze mną. - Hallie znów wbiła wzrok w blat, nie zauważyła więc znaczącego uśmiechu, który Maddie zręcznie zamaskowała kaszlnięciem.

- Hallie, przecież zdaję sobie sprawę z tego, że... że jesteście w intymnych stosunkach. To jest normalne w małżeństwie. Sama wiesz.

- Och, ale my wcale nie jesteśmy w intymnych stosunkach - oświadczyła Hallie, a gdy zobaczyła zdumioną twarz Maddie, dodała: - W każdym razie nie byliśmy od pierwszej nocy. Pamięta pani, jak Kit przeprowadził się do gabinetu?

- Pamiętam, ale już sprowadził się do ciebie z powrotem i oboje sprawialiście takie wrażenie, jakbyście zaczęli znajdować wspólny język, więc uznałam, że wszystko sobie poukładaliście. A dzisiaj zachowujecie się dokładnie tak samo jak zaraz po ślubie.

- Kiedy Kit wrócił do sypialni, kazałam mu spać na krześle - wyznała cicho Hallie.

- Nawet na to sobie nie zasłużył - stwierdziła stanowczo Maddie.

- Ale dzisiaj rano zbudziłam się i zobaczyłam, że leży w łóżku. A potem naprawdę był dla mnie miły. Coraz trudniej jest mi go ignorować.

- Dlaczego chcesz go ignorować?

- Bo inaczej skończymy... - Hallie odwróciła oczy.

- Hallie, jesteś mężatką. Nie ma nic złego w tym, że skończycie, jak to nazwałaś.

- Ale ja go kocham - jęknęła Hallie. - A on mnie nie kocha i nigdy nie pokocha. Kochał swoją pierwszą żonę, a ona go rzuciła i umarła, i teraz on mnie nie pokocha, i to jest okropneeee! - Hallie otarła głupie łzy, które same polały jej się z oczu.

- Boże, czy to wszystko powiedział ci ten tępymuł?

- Słyszałam go, jak rozmawiał w gabinecie z Lee tuż przed ślubem.

- Ach, ta ślubna katastrofa. Teraz rozumiem - mruknęła Maddie.

- Och, Maddie. Jestem taka nieszczęśliwa.

- Widzę. - Maddie przetarła oczy, jakby się wahała. Wzięła głęboki oddech. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli opowiem ci całą tę historię tak, jak ja ją znam.

Hallie pociągnęła nosem.

- Czy to jest inna historia?

- Nie - odparła Maddie. - Ale jeśli powiem ci, co widziałam i jaki był wtedy Kit, to może łatwiej ci będzie zrozumieć, dlaczego teraz jest taki, jaki jest.

Zacząła od dzieciństwa. Opowiedziała jej o rywalizacji między trzema braćmi. Kit, który był najmłodszy, musiał bardzo się starać, żeby dotrzymać im kroku.

- Och, to są bardzo mili chłopcy, ale do Kita zawsze miałam najwięcej serca. Może dlatego, że dobrze widziałam, jak bardzo musi walczyć, żeby nie być gorszy od braci. Pewnie z tego właśnie powodu postanowił zamustrować na statek wielorybiczny, mając zaledwie szesnaście lat. Dwaj starsi już znaleźli dla siebie miejsce w życiu. Ben, najstarszy, zarządzał flotyllą wielorybiczną rodziny Howlandów, a Tom po śmierci dziadka przejął prowadzenie stoczni. Natomiast Kit zaczął pływać. Kochał morze i chciał zgłębić wszystkie tajniki łowów na wieloryby. Ile razy zbliżał się do nabrzeża, twarz mu jaśniała. Ojciec to widział, więc gdy Kit miał wyruszyć w

pierwszy rejs, jedyną osobą, która starała się go powstrzymać, była moja siostra. Wreszcie jednak zdołał ją przekonać do swojego pomysłu i okazało się, że dobrze zrobił. Od tej pory co pewien czas wracał z rejsu do domu, ale wkrótce zaczynał go zżerać niepokój i wtedy wyruszał znowu. To było dla niego bardzo ważne. Aż tak bardzo, że kapitańskie papiery zdobył wkrótce po dwudziestych pierwszych urodzinach.

Hallie bardzo się zdziwiła, gdyż rzadko się zdarzało, by ktoś został kapitanem statku wielorybniczego w tak młodym wieku. Zwykle załoga potrzebowała człowieka starszego, mocniejszego i bardziej doświadczonego. W zasadzie, tylko taki człowiek mógł liczyć na zaufanie i szacunek.

Maddie uśmiechnęła się.

- Żałuj, że nie widziałaś go, gdy wrócił do domu z papierami. Był dumny jak paw i bardzo pewny siebie. Nawet ja nie byłabym bardziej zachwycona, gdyby był moim synem. A ojciec... O, ojciec o mało nie pękł z dumy.

Hallie zobaczyła, jak oczy Maddie zasnuwa smutek.

- Wkrótce po tym, jak Kit zdobył kapitańskie papiery, zmieniły się jego stosunki z Josephine Taber. Dziecięca przyjaźń stała się czymś znacznie więcej. Taberowie i Howlandowie byli prawie rodziną, Jo i jej bracia dorastali u boku Toma, Bena i Kita. Jo i Kit zawsze włóczyli się za starszymi. Myślę, że właśnie dlatego się do siebie zbliżyli. Starsi nigdy nie chcieli brać ich z sobą. Jo wymyśliła więc kilka oryginalnych sposobów odgrywania się na nich, przez co zarobili z Kitem niejednego guza. Gdy tylko była jakaś awantura, Jo zawsze znajdowała się w pobliżu. Była całkiem szalona. Ojciec śmiał się z jej wybryków. Twierdził, że Jo natychmiast robi to, co jej wpadnie do głowy. Mnie się zawsze zdawała zanadto beztroska, a jej rodzicom chyba też, bo bardzo im ulżyło, gdy wzięła ślub z Kitem.

Hallie trudno było słuchać o przeszłości swojego męża, szczególnie o tym, co miało związek z Jo. Jednakże, chociaż było to bolesne, słuchając czuła, jak wypełnia się pustka w jej wnętrzu.

- Przez dwa pierwsze lata byli nierozłączni i bardzo w sobie zakochani.

Tak, to bolało bardzo. Mimo to Hallie była wdzięczna Maddie za szczerość.

- Nikt z nas nie zauważył, kiedy coś zaczęło się między nimi psuć. - Było widać i słysząc, że wciąż jeszcze ją to dziwi. - Jo zawsze pływała z Kitem, ale któregoś razu tuż przed wyjściem statku w morze złapała ciężką influencę. Lekarz nie pozwolił jej popłynąć w rejs. Bardzo się złościła, jednak ponieważ lekarz, Kit, a także rodzice stworzyli wspólny front, nie miała szans postawić na swoim. Kita nie było szesnaście miesięcy. Początkowo myślałam, że Jo uschnie z tęsknoty. Była miłkliwa, wyciszona, zupełnie jak nie ona. Wszyscy przypisywaliśmy to skutkom rozstania. A potem Kit wrócił do domu i rozpętało się piekło. - Maddie przerwała i pokręciła głową. - Tydzień później była między nimi wojna jak między najgorszymi wrogami. Jo zachowywała się okropnie. Czepiała się go, upokarzała go przed innymi, znikwała na całe dni bez słowa wyjaśnienia. Zupełnie jakby chciała ukarać go za to, że tak długo był z dala od domu. W każdym razie do takiego wniosku doszliśmy, obserwując to z boku. Kit próbował wszystkiego, nawet z tym przesadzał, ale w końcu Jo go zmoęła.

Hallie poczuła bolesny skurcz w żołądku. To było bardzo smutne opowiadanie. Kit musiał wtedy strasznie cierpieć.

- Gdy Jo znowu zniknęła bez zapowiedzi, Kit wsiadł na statek i odpłynął. Skrócił rejs i w trzy miesiące później wrócił do domu, ale było już za późno. Jo nie żyła. Zginęła w wypadku powozu w Bostonie. Dowiedziawszy się o kochanku, Kit zebrał razem obie rodziny i wszystko im powiedział, ale ojciec Jo tego nie zniósł i nazwał go kłamcą. Powiedział, że jego córka tak by nie postąpiła i że to Kit musiał ją wypędzić. Boże, co to była za scena! Ben i Tom musieli ich rozdzielić, żeby się nie pozabijali. Jej ojcu było potem bardzo przykro, ale tymczasem Kit wypłynął w następny rejs i od tej pory bardzo się zmienił. Wyglądało to tak, jakby miłość, która w nim była, nagle umarła. Została tylko uraza i złość. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć. Otoczył się tak grubym murem, że nie zburzyłoby się go wystrzałem z największego działa.

Hallie zacisnęła pięści. Głęboko współczuła Kitowi. Sama straciła rodziców, więc wiedziała, jak boli strata kochanych ludzi. Ale strata człowieka, który za miłość odplacił nienawiścią, musiała być o wiele gorsza. Kit na pewno jeszcze nie pozbył się poczucia klęski, nie pozwoliłaby mu na to duma.

- No, i teraz trzeba przebić ten mur - powiedziała Maddie. - Sądzę, że ktoś, kto go kocha, może tego dokonać. - W jej głosie zabrzmiało silne przekonanie, ale Hallie miała wątpliwości.

- Nie wiem, jak to zrobić, Maddie.

- Wcale nie mówię, że to będzie łatwe. Musisz mu mnóstwo z siebie dać i nie oczekiwać wiele w zamian, przynajmniej na początku. - Maddie znów ujęła ją za rękę. - Ale masz w ręku kilka atutów. Przede wszystkim dużo dla niego znaczysz.

Hallie jęknęła z niedowierzaniem.

- Daj spokój! - zdenerwowała się Maddie. - Przecież widzę. Ziarno jest, a czy coś z niego wyrośnie, to zależy od ciebie. Wzięliście ślub. Wymusiłam to na was i prawie tego żałuję, ale wciąż uważam, że tak jest dla was najlepiej. Co Kit mówi o małżeństwie? Na pewno rozmawialiście na ten temat.

- Przeprosił mnie za krzywdę, którą mi wyrządził. Powiedział, że chce zapomnieć o tym, co było, i znaleźć dla nas jakiś kompromis. - Hallie zrobiła bardzo potulną minę. - Obiecał przyjąć moje warunki. Właśnie wtedy kazałam mu spać na krześle.

Tym razem Maddie nie starała się powstrzymać śmiechu.

- Och, Hallie, naprawdę świetnie się dla niego nadajesz. Bardzo żałuję, że nie widziałam wtedy jego miny.

Hallie również się uśmiechnęła, przypomniała sobie bowiem osłupiałą twarz Kita.

- No, był trochę... zaskoczony.

- Wyobrażam sobie. - Maddie roześmiała się jeszcze głośniej. Jej śmiech okazał się zaraźliwy.

- Strasznie głupio wyglądał, jak mu te długie nożyiska zwisały z krzesła. - Hallie uśmiechnęła się szeroko i sama parsknęła śmiechem.

Maddie w końcu zapanowała nad rozbawieniem.

- Jeśli go kochasz, Hallie, to pomożesz mu zapomnieć o przeszłości. Daj mu całą tę miłość, którą masz w sobie. - Uścisnęła jej dłoń. - Proszę cię.

Nawet bez tej prośby Hallie zamierzała spróbować jeszcze raz. Nie wiedziała jednak, czy Kit kiedykolwiek ją pokocha. Nie miała wiele nadziei, ale musiała to sprawdzić. Inaczej wątpliwości dręczyłyby ją do grobowej deski.

- Spróbuję - obiecała. - Co mam do stracenia?

Wstała i wyszła z kuchni mówiąc, że musi zajrzeć do dzieci. W korytarzu odpowiedziała w myśli na swoje ostatnie pytanie. Mogła stracić szacunek dla samej siebie, szczęście, godność i uczucie, które miała w sercu. O tak wysoką stawkę warto było zagrać. Bo gdyby Kit jednak ją pokochał, to ryzyko by się opłacało.

Kit wrócił późno, o wiele później, niż zapowiedział przez posłańca. Ale było to nieuniknione, a cóż znaczy jedna stracona kolacja wobec znakomitego interesu, który udało mu się zrobić? Dokumenty były podpisane i dzięki temu wielki ciężar spadł mu z serca. Gdyby tylko jeszcze Hallie się nie dowiedziała...

W domu poszedł prosto do gabinetu, żeby schować umowę w biurku. Zapalił lampę i machinalnie sięgnął do najniższej szuflady, ale była otwarta i wciąż pełna kotów. Włożył więc dokumenty do innej szuflady.

Odnalazł fajkę, a wraz z nią niewielki kapciuch. Wiedział, że tytoniowy dym go odpręży, a poza tym może pomóc w zabiciu woni skunksa, która wciąż jeszcze była wyczuwalna. Pykając fajkę, Kit rozmyślał o radykalnych zmianach, jakie przez ostatnie sześć tygodni zaszły w jego życiu. Mimo resztek nieprzyjemnego zapachu w gabinecie panował idealny porządek, tak samo jak w pozostałej części domu. Owszem, początkowo Kit narzekał na Maddie, ale musiał przyznać, że jego życie zmieniło się na lepsze.

Kociaki zaczęły się wiercić. Kit przypomniał sobie miny dzieciaków, nachylonych nad małymi. Chłopcy przyglądali im się z takim zachwytem, że aż na chwilę zamilkli. Właśnie wtedy Kit wreszcie zauważył różnicę między nimi. Znalazł ją w oczach, w ich spojrzeniach. I wiedział, że już nigdy nie pomyli tych dwóch. Była też Liv, której dumna mina jeszcze teraz budziła u niego uśmiech. Założyłby się, że dziewięcioletnia Hallie wyglądała kropka w kropkę tak samo. Gdy dziewczynka poklepała go po ramieniu i grzecznie mu podziękowała, myśli o zniszczonych umowach ulotniły mu się z głowy równie szybko, jak zniknęło jedzenie z talerza Lee.

Dzieci zmieniły jego życie, dały mu cel. Teraz naprawdę czuł się u siebie jak w prawdziwym domu. Zawsze wydawało mu się, że z dziećmi jest miło, ale nigdy nie zdawał sobie sprawy, jakich wspaniałych przeżyć mogą dostarczyć, póki nie zobaczył zachwyty w dziecięcych oczach. Gliniane kulki, koty, nawet skunksy stały się niezwykłościami, które ubarwiają życie. Poza tym nic nie wydawało mu się już nagląco pilne, i to też było bardzo przyjemne.

Jedno w tym nowym życiu było jednak bardzo skomplikowane: małżeństwo z Hallie. Oto Kit Howland, który przysiągł nigdy więcej się nie żenić, ożenił się pod presją, w dodatku z panną trzynaście lat młodszą. Naturalnie wcale nie chciał, ale ponieważ popełnił mnóstwo niewybaczalnych głupstw, małżeństwo wydawało mu się sprawiedliwą karą. Z drugiej strony wiedział, że będzie to kara tylko wtedy, jeśli przez resztę tego małżeństwa nadal będzie spał na sofie lub na diabło niewygodnym krześle.

Zanim spotkał Hallie, zdążył już zapomnieć, jak to jest, gdy dniem i nocą pragnie się wciąż jednej i tej samej kobiety. Ale z pragnieniem, które obudziła w nim Hallie, nie mógł sobie poradzić, mimo iż walczył z nim ze wszystkich sił.

Niestety, zbliżenie przyszło w najgorszej możliwej chwili. Hallie była urażona, wściekła, a do tego jeszcze sprawił jej ból. Teraz płacił za swoje nieokrziesanie. Zastanawiał się, ile czasu minie, nim będzie mógł objąć żonę, nie budząc w niej lęku. I ile czasu minie, nim będzie mógł jej pokazać, jak delikatnie i czule może się kochać mężczyzna z kobietą.

Chciał się zaciągnąć dymem, ale fajka mu zgasła. Opróżnił więc ją i odłożył, po czym wstał. Powiedziawszy, zupełnie bez sensu, „dobranoc” tym przeklętym kotom, zgasił lampę i opuścił pokój. Z kuchni dobiegł go brzęk. Zauważył pod drzwiami świetlistą smugę. Ktoś jeszcze nie spał.

Wszedł do środka i ujrzał Hallie w nocnej koszuli. Co gorsza, miała także rozpuszczone włosy.

- Dobry wieczór - powiedziała tak cicho, że nie był pewien, czy sobie tego tylko nie wyobraził.

- Późno już.

- Pomyślałam, że będziesz głodny, więc jest dla ciebie na blasze coś ciepłego do zjedzenia. - Podeszła do kuchni i chwyciła za wiszący obok fartuch. Obwiązała się nim, przy tym jednak włosy zaplątały jej się w tasiemkę.

- Ojej, pomożesz mi? Znowu mam kłopot z tymi strasznymi włosami.

Strasznymi? Kit dotknął ich gęstej zasłony. Miętko musnęły mu opuszki palców. Uwolnił zaplątany kosmyk i z powrotem zawiązał tasiemki fartucha.

- Przepraszam - powiedziała Hallie odwracając do niego głowę. - Powinnam obciąć włosy, ale...

- Nie! - krzyknął tak głośno, że aż podskoczyła. Spojrzała na niego jak na szaleńca.

- Już wszystko w porządku - zapewnił. Ależ z niego głupiec. Wystarczyło jedno muśnięcie włosów Hallie, żeby zrobiło mu się gorąco.

- Jesteś głodny?

- Wygłodzony. - W akcie samoobrony Kit obrócił się i wziął z półki kubek. I nagle zamarł. Uświadomił sobie, że wybrał złą taktykę, będzie musiał bowiem wrócić do blachy po kawę.

- Usiądź i jedz, żeby nie wystygło. Zaraz przyniosę ci kawy, podam chleb i masło. - Nałożyła mu duszonego mięsa i postawiwszy talerz na stole, wzięła od niego pusty kubek.

Kit siedział z wrokiem wbitym w talerz. Nie miał sztućców. Hallie przyniosła kawę i spojrzała na nietknięte jedzenie.

- Och, jaka jestem niemądra. Zapomniałam o widelcu! - Obróciła się gwałtownie, zamiatając włosami.

Wypił duży łyk kawy, parzącej usta i przętyk.

- Proszę - powiedziała, podając mu widelec i serwetkę. Wreszcie mógł zacząć jeść. Wkładał do ust pierwszą porcję mięsa, gdy Hallie przeszła na drugi koniec kuchni, kołysząc biodrami w tym samym rytmie, w jakim falowały jej włosy.

Do diabła, ależ tu gorąco, pomyślał.

Miała na sobie różową koszulę nocną ściągniętą paskiem. Jak na tak wysoką kobietę wydawała mu się niezwykle wiotka w talii. Budziła w nim pożądanie.

Wsunął do poparzonych ust widelec z mięsem, które nie miało żadnego smaku, i zaczął przeżuwać. Tego wieczoru był w złym nastroju.

- Proszę - powiedziała Hallie, stawiając na stole talerz z chlebem i masło.

Przełknął następny kęs mięsa.

Hallie usiadła, oparła podbródek na rękach i uśmiechnęła się do niego.

Przestał jeść i wbił w nią wzrok. Co ona robi, u diabła? Przygląda się, jak je?

Hallie wzięła kromkę chleba, posmarowała ją masłem i podała mu.

- Proszę. Świeżutki chleb, z rana. Maddie dopiero co upiekła.

Smaruje mi chleb masłem?

Kit zdobył się na uśmiech; omal nie otworzył ust ze zdumienia. Nie wziął chleba, więc Hallie położyła mu kromkę na krawędzi talerza.

- No i co? Smaczne mięso? - spytała, wciąż czarując go wzrokiem.

- Smaczne. - Wziął kawałek chleba i zmiażdżył go w ustach. Zerknęła na jego kubek, do połowy opróżniony.

- Doleję ci kawy.

Chciał ją powstrzymać, ale już była przy blasze i trzymała w dłoni dzbanek. Dlaczego nie wyszła z kuchni? Widział, jaka jest zdenerwowana. Mógłby ją objąć i pocałować. Tym wypłoszyłby ją na pewno. Wiedział jednak, że przy pierwszym dotknięciu straciłby panowanie nad sobą, a wtedy nigdy więcej nie pozwoliłaby mu do siebie podejść. Napelniła kubek i odstawiła dzbanek.

- Chyba pójdę już na górę.

Dzięki Bogu.

- Czy jeszcze czegoś potrzebujesz? - spytała. Kit w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Nie, dziękuję. - Głos mu się załamał.

- Wobec tego spotkamy się na górze, tak?

Nie spojrzął na nią, tylko skinął głową, a gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi, wypuścił powietrze z płuc i opadł na krzesło. Ze złością cisnął widelec na stół, wiedział bowiem, że nie przełknie ani kęsa więcej. Jego głód nie miał nic wspólnego z ochotą na jedzenie.

Na piętrze zamknęły się drzwi. Hallie weszła do sypialni. Wpatrując się w sufit, zaczął nasłuchiwać dźwięków dolatujących z góry. Zdjęła pantofelki. Świadczyły o tym dwa niezbyt głośne stuknięcia o drewnianą podłogę. Przeszła na drugą stronę pokoju. Stała teraz przy łóżku. Rozległo się ciche skrzypnięcie i Kit wyobraził sobie Hallie, jak siedzi na krawędzi łóżka, okryta jedynie zasłoną włosów. Zamknął oczy i jęknął.

Uspokoił się myślą, że wkrótce żona zaśnie, a wtedy i o będzie mógł iść na górę, nie przejmując się rozsadzającym go pragnieniem. Gdyby mu uległ, prawdopodobnie śmiertelnie wystraszyłby Hallie i już nigdy więcej nie pozwoliłaby mu do siebie podejść. Nie, musiał być cierpliwy i wyczekać odpowiedni chwili.

Na górze zapadła cisza. Kit głęboko oddychał, próbując odprężyć napięte mięśnie. Już niedługo, pomyślał. Wziął swój talerz. Mięso wystygło, a sos zaczynał się ścinać. Położył chleb na mięsie, żeby nie musieć patrzeć na jedzenie.

Już niedługo.

Wypił trochę kawy i wtedy znów usłyszał Hallie. Raptownie podniósł głowę, na górze bowiem rozległy się kroki. Jęknął i czekał, co będzie dalej. Kroki nie ustawały. Co ona robi, u diabła? Czyżby nie mogła zasnąć? To było całkiem możliwe, chociaż sądząc po rytmie kroków, wydawała się raczej zniecierpliwiona.

Wstał i ruszył z talerzem w stronę baryłki na śmieci. Kroki rozbrzmiewały nadal. Nie, pomyślał. To niemożliwe, żeby na mnie czekała. A może jednak?

Akurat! Kit zmienił zamiar i szeroko otworzył drzwi na dwór. Cisnął talerz na podwórze za domem. Głupio zrobił, bo pomogło mu to na nie więcej niż dwie sekundy.

Trzasnął drzwiami tak, że aż ściana zadrżała, wrócił na środek kuchni i stanął, wpatrzony w sufit.

Hallie wpadła na bosaka do kuchni. Widząc go, przystanęła. Chwyciła za poję szlafroka i powiedziała:

- Myślałam, że wyszedłeś.

Kit spojrział na nią, potem na drzwi, potem znowu na nią. Oddech miała przyśpieszony, prawdopodobnie zdyszała się, biegnąc po schodach. Co by ją obchodziło, gdyby wyszedł? Dlaczego nagle była taka... układna?

Doszedł do wniosku, że Hallie czegoś od niego chce. To dlatego smaruje mu chleb, podaje kawę, czeka na niego...

Skrzyżował ramiona.

- Czego ty chcesz, Hallie?

Przestąpiła z nogi na nogę.

- Chcę?

- Tak, chcesz. Taka nagła krzątanka przy mężu musi mieć jakąś przyczynę, nie sądzisz?

Znów przestąpiła z nogi na nogę i skinęła głową.

- Czego chcesz?

Przygryzła wargę. Zniecierpliwiła go.

- Spadłaś ostatnio z jakiegoś drzewa?

Zaskoczył ją. Szybko jednak przestała się dąsać. Zmrużyła oczy i przybrała nader wojowniczą postawę.

- Znowu wlałeś ostatnio do cudzego łóżka?

Byli kwita.

- Wcale nie do cudzego - syknął Kit przez zaciśnięte zęby. - To było moje własne łóżko.

Hallie wsparła ręce na biodrach.

- Ach, tak. Twoje drogocenne łóżko. Jak mogłabym o tym zapomnieć? Zwłaszcza że byłam na tyle głupia, żeby całą tą krzątanką wabić cię do niego z powrotem.

- Co takiego?!

- Jesteś najbardziej upartym, tępotnym, gruboskórnym mężczyzną, jakiego widziałam. Nie mam pojęcia, dlaczego staram się, żeby to małżeństwo jakoś się układało. - Każde słowo podkreślała energicznym gestem. - Nie wiem, dlaczego myślałam, że ty...

Kit przeszedł przez kuchnię i zanim zdążyła dokończyć, chwycił ją za nadgarstek.

- Co myślałaś?

- Nic. Puść mnie.

- Czego ty chcesz, Hallie?

- Już niczego! - Próbowała wyrwać rękę z uścisku.

Kit jednak nie zamierzał jej puścić. Najpierw musiał usłyszeć, co miała na myśli, mówiąc o wabieniu męża. Znów szarpnęła ręką, więc objął ją mocno, żeby nie uciekła. Oplatały go długie, jasne włosy. Hallie wiła się jak robak na haczyku. Wywalczywszy sobie trochę swobody, spojrzała na niego wściekle. Jej włosy muskały go. Był zgubiony.

Gdy puścił jej nadgarstki i posmakował ust, zastygła w bezruchu. Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Czuł miękkość jej piersi i wilgoć rozchylonych warg, które zapraszały go do środka.

Złączyli się w pocałunku. Kit upajał się jej smakiem i zapachem. Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Kit czuł ocierające się o niego ciało Hallie. Oderwał usta od jej warg i przewędrował językiem do ucha.

- Pragniesz mnie... prawda? Czuję to. - Obwiódł językiem wnętrze ucha i szepnął: - Powiedz mi, kochanie, że mnie pragniesz. Powiedz, że się mnie nie boisz.

Hallie jęknęła i mocniej przytuliła ucho do jego warg.

- Powiedz mi to słowami. Muszę usłyszeć te słowa - wyszeptał.

- Pragnę cię... ale nie wiem, jak ci to pokazać. Chcę...

- Pokaż mi teraz - szepnął tuż przy jej wilgotnych wargach i pocałował ją tak namiętnie, że oboje zapomnieli o całym świecie. Dłonie Hallie zaczęły go delikatnie głaskać po plecach. Ich języki to spotykały się, to odpychały. Kit miał wrażenie, że znalazł się w niebie.

Ale nie. Wciąż stał w kuchni. Przerwał pocałunek i odchylił głowę. Spuszczane powieki Hallie nagle się uniosły. Kit musnął ją dłonią po twarzy.

- Czy jesteś tego pewna? - spytał.

Odpowiedź wyczytał w spragnionych oczach, ale jakby tego było mało, Hallie znów go pocałowała i mocno się w niego wtuliła.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Schody przebyli prawie biegiem. W sypialni Kit natychmiast przyciągnął ją do siebie, zatrzasnął drzwi plecami. Poderwał ją z ziemi i wsunął jej dłonie pod pośladki, zaniósł ją do łóżka tak, by przez cały czas czuła jego twardość. Nie mógł się doczekać chwili, gdy dotrze do celu, więc po drodze zaczął drażnić wargami osłoniętą jeszcze pierś Hallie.

Jęknęła i wsunęła mu palce we włosy. Instynktownie Ignęła do niego. Wargi Kita znaczyły szlak na jej szyi i coraz bardziej zbliżały się do ust. Jednocześnie ściągał z niej szlafrok.

Odchylił się, żeby obejrzeć obnażone piersi. Hallie zauważyła, gdzie pada jego wzrok, i chciała się zastłonić.

- Nie - powiedział. - Proszę, jesteś taka piękna. Chcę cię obejrzeć... całą. - Postawił ją na podłodze i rozwiązał pasek szlafroka. Okrycie zsunęło się na podłogę i Kit pierwszy raz zobaczył nagie ciało swojej żony. Piersi miała tak pełne, że musiał obejmować je obiema dłońmi. Wiedział, że już nigdy w życiu nie będzie o niej myślał jak o dzieciaku. Miała ciało dojrzałej kobiety. Z podniecenia niemal gęstniała mu krew.

Przesunął wzrokiem po jej ciele. Przyjrzał się wąskiej talii, szerokim biodrom, spojrzał niżej, na nogi. I nagle dostrzegł bliznę. Sinoczerwone znamię zaczynało się na wewnętrznej stronie uda, w połowie wysokości i bieгло aż do łydki.

Spojrzał jej w oczy.

- Co to?

Z oczu Hallie strumieniem popłynęły łzy. Drżąc ze wstydu, odwróciła się do niego bokiem, żeby nie widział blizny.

- Przepraszam - szepnęła i schyliła się po szlafrok.

- Nie! - Kit wyrwał jej odzienie z ręki i mocno ją przytulił. Hallie wybuchnęła szlochem.

- To... to pożar... poparzyłam się. - Zaciśnęła dłonie na jego koszuli. - Ta blizna jest paskudna... Bardzo cię przepraszam - szeptała, zachłystując się łzami.

Kit otarł kciukami jej łzy.

- Nie, Hallie. Wcale nie jest paskudna. Po prostu się tego nie spodziewałem. Myślałem, że w czasie pożaru nic ci się nie stało. Czemu mi nie powiedziałaś, że jesteś ranna?

- A po co? Lekarz powiedział, że nikt inny oprócz mojego męża nie zobaczy tej blizny. - Próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

Wprawdzie był jej mężem, przeczuwał jednak, że logiczna argumentacja w tej chwili na nic się nie przyda. Musiał znaleźć odpowiednie słowa pocieszenia.

- Przecież ta blizna nic a nic nie szkodzi, kochanie. Chciałbym cię, nawet gdybyś miała sto blizn. - Odwrócił jej uwagę długim, namiętym pocałunkiem. Przez cały czas delikatnie ją głaskał, żeby się odprężyła. Potem uchwycił wargami sutkę i przesunął po niej językiem raz, drugi, trzeci, aż znowu stwardniała. Opadł na łóżko i pociągnął Hallie za sobą, jednocześnie rozwiązując krawat.

- Pomóż mi, kochanie - poprosił, próbując zdjąć koszulę w przerwach między pocałunkami. Zajął niepewne ręce Hallie walką ze spinkami, po czym ujął jej twarz w dłonie i znów pocałował, wdzierając się językiem głęboko do ust. Tymczasem koszula była już rozpięta i ich ciała się zetknęły. Kit przetoczył się z Hallie na bok, żeby łatwiej im było pozbyć się tego, co jeszcze ich dzieliło. Gdy poczuł na torsie ciepło jej coraz twardszych piersi, pomyślał, że oszaleje z pożądania.

Jeszcze na chwilę usiadł na krawędzi łóżka, zdjął buty i spodnie i wreszcie położył się przy niej. Zwarli się w pocałunku, spleceni nogami. Dłońmi wędrował coraz niżej, aż dotarł do płowego trójkąta w dole brzucha. Hallie jęknęła i drobnymi ruchami języka zaczęła pieścić mu wnętrze ucha. A on zbliżał się już palcami do jej najwrażliwszego miejsca, delikatnie przyszczypując skórę. Zaraz też dotarł tam i Hallie wydała przejmujący okrzyk, tak zmysłowy, że Kit kilka razy powtórzył pieszczotę, chciał bowiem słyszeć ten okrzyk znowu i znowu.

Hallie zapraszająco wypchnęła biodra do góry, więc wsunął się w nią palcem. Poruszyła się, otaczając go ciepłem i wilgocią. Pragnienie zrosiło jej policzki łzami, a Kit całował ją i odkrywał najintymniejsze zakątki jej ciała. Wreszcie cofnął dłoń i rozchylił Hallie uda. Zawisł nad nią, oparty na łokciach.

- Otwórz oczy, kochanie - poprosił. - Nie chcę cię znowu skrzywdzić. Gdyby cię bolało, twoje

oczy mi to powiedzą.

Uniosła powieki i ich spojrzenia się spotkały. Kit wsuwał się w nią powoli, bez pośpiechu, uważnie przyglądając się, czy nie zobaczy na jej twarzy niepokojących znaków. Zatrzymał się na chwilę, wziął dwa głębokie oddechy i zagłębił się w niej jeszcze bardziej. Gdy był już cały w środku, ujął jej dłonie, splótł z nią palce i pochyliwszy się, delikatnie ją pocałował.

Hallie spuściła powieki i Kit cofnął głowę. Powieki z powrotem się uniosły.

- Patrz na mnie, kochanie. Patrz na mnie.

Ani na chwilę nie spuszczał oka z jej twarzy, wprawił biodra w powolny ruch. Stopniowo rytm stawał się coraz szybszy. Hallie krzyknęła i przywarła do niego z całej siły, dając mu znać, jak bardzo pragnie spełnienia. Jednym mocnym pchnięciem wyniósł ją na sam szczyt rozkoszy, a pulsujący żar wnet ogarnął i jego.

Opadł na nią, ale wciąż uważnie jej się przyglądał. Odgarnął jej kosmyk włosów z wilgotnego od potu czoła.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? - spytał, muskając wargami jej czoło wzdłuż linii włosów.

- Nie - odszepnęła chrapliwie.

Podbródek i policzki Hallie, otarte świeżym, drapiącym zarostem Kita, zrobiły się czerwone. Kit pogłaskał ją czule po twarzy, a ona przesłała mu zmysłowy uśmiech kobiety nasyconej miłością.

Zachwycony, wyczytał w jej twarzy słowo „kocham” i poczuł, że wzbiera w nim niezwykle uczucie, jakby krzyczała mu dusza. Mocno zacisnął powieki, próbował obronić się przed okowami zatraskującymi się na sercu. Ale zaraz pochylił głowę i pocałował rowek między piersiami żony, położył jej głowę na piersiach i rozkoszował się nieśmiałymi ruchami ręki Hallie, głaszcząc go po włosach. Próbował pogodzić się z przykrym uczuciem, że przestał być jedynym panem swojego życia.

Palce Hallie gładziły go po policzkach, po nosie, po chropawym podbródku, aż w końcu obwiodły zarys ust. Tyle niewinności było w tej pieszczocie, że znów obudziło się w nim pożądanie.

Rozchylił wargi i czubkiem języka zaczął muskać jej palce. Musiał ją zaskoczyć, bo uniosła głowę, żeby go lepiej widzieć. Również on unosił głowę i złączył się z Hallie w pocałunku. Dotknął jej żeber, piersi. I już był głęboko w niej, i popychał ich ciała ku ekstazie. Dalej i dalej.

Hallie sfrunęła ze schodów, uśmiechnięta od ucha do ucha. Ostatnio zdarzało jej się to często. Przystanęła koło wieszaka w sieni i przyszczypała kilka razy policzki dla nabrania rumieńców, ale nie było to konieczne. Twarz, którą ujrzała w lustrze, promieniała radością, płynącą z serca.

Trzy tygodnie, pomyślała. Minęły trzy tygodnie od znamienego wieczoru, gdy poczekała na Kita w kuchni. Od tej pory każdy następny wieczór był wspanialszy niż poprzedni.

Zajrzała do gabinetu, ale pokój był pusty, jeśli nie liczyć kotów, które zadomowiły się tam na dobre. Na życzenie Kita Liv przeprowadziła je do składziku przy kuchni, ale nic z tego nie wyszło.

Omam nie parsknęła śmiechem na wspomnienie Pani Skunks, paradującej przez kuchnię z kociakami w pyszczku. Kotka sumiennie przeniosła wszystkie swoje dzieci z powrotem do gabinetu. Po tej demonstracji Kit ustąpił i zgodził się dzielić pokój z czworonożnymi lokatorami.

Weszła do kuchni, ale i tam Kita nie było. Maddie siedziała przy stole, zaplatając włosy Dagny i mówiąc do niej bez ustanku, tak jak zalecał lekarz. Stan zdrowia siostry wciąż się nie zmieniał. Liv była w szkole, natomiast chłopcy siedzieli zwrócieni twarzą do ściany, każdy w swoim kącie. Odbywali najnowszą karę wymyśloną przez Maddie. Hallie popatrzyła na obu rozbójników.

- Co znowu zmalowali?

- Knut, pokaż się Hallie - poleciła Maddie.

Malec wykonał obrót i spojrzał na starszą siostrę jak niewiniątka, o ile zdarzają się niewiniątka bez brwi.

- Jak to się stało? - spytała Hallie, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu.

- Brzytwą Kita. Przyglądali mu się podczas golenia i pytali, po co to robi...

- Kit powiedział, że wielu mężczyzn goli twarze - przerwał jej Knut. - Ale my nie mamy

włosów na twarzy, więc Gunnar ogolił mi brwi!

- Ty mi też ogoliłeś! - Gunnar obrócił się w swoim kącie. Jemu brakowało tylko jednej brwi.

- Chłopcy, proszę obrócić się z powrotem do ściany - nakazała Maddie. - Czas jeszcze nie minął. - Bliźniacy posłusznie wykonali polecenie.

Hallie zdążyła sobie nalać filiżankę kawy, gdy drzwi się otwarły i do środka wszedł Duncan. Podszedł prosto do niej.

- Kapitan Prescott przysłał człowieka z wiadomością, żebyś jak najszybciej do niego przyszła. To chyba coś pilnego. Podstawię powóz i będę na ciebie czekał.

Hallie spojrzała na Maddie.

- Czy to ma związek z Kitem? Jak pani sądzi?

- Nie przypuszczam. Kit wyszedł z domu najwyżej dziesięć minut temu. Powiedział, że ma spotkanie w banku.

Hallie pobiegła na górę po czepek i narzutkę. Wychodząc, jeszcze zajrzała do kuchni.

- Przyślę wiadomość, gdyby to było coś naprawdę pilnego - obiecała i wyszła razem z Duncanem.

W pół godziny później oboje stanęli na pokładzie „Wanderera”. Hallie zaprowadzono natychmiast do kapitańskiej kajuty. Weszła do ciasnego pomieszczenia i spojrzała na Lee Prescottta.

- Mam tu twoją zgubę - powiedział Lee, wskazując głową w kąt kajuty.

Hallie obróciła się. Na koi siedziała Liv w chłopięcym przebraniu.

- Co...?

- Próbowала się przemycić na pokład klipra, który dziś rano odpłynął do Chin - poinformował ją Lee.

- Co takiego?! - Hallie podbiegła do Liv i chwyciła ją za ramiona. - Mogłaś się zabić, Liv. Co ty wyrabiasz? Żeby wkradać się na statek?!

- Chciałam uciec - oświadczyła Liv z zaciętą miną. - A jakbym się zabiła, to trudno!

- Ale dlaczego, na miłość boską?

Liv milczała.

Hallie spojrzała na Lee, on jednak wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, to wyjdę - zaproponował.

- Nie, dziękuję. - Chwyciła Liv za rękę i pociągnęła ją do drzwi. - Zajmę się tym w domu. Bardzo dziękuję za uratowanie tego osiołka.

Lee skinął im ręką na pożegnanie, ale Hallie ani na chwilę nie przestała ciągnąć Liv. Przez całą drogę prawila jej kazanie, a szła tak szybko, że nawet Duncan nie bardzo mógł nadążyć. Molo się skończyło, zbliżali się już do powozu, gdy nagle Hallie stanęła jak wryta. Zauważyła coś bardzo dziwnego.

Przy sąsiednim molo brakowało „Sea Haven”.

Spojrzała na Liv.

- Czy to nie tam był zacumowany statek taty?

- Tak - odrzekła mała i znów zacisnęła usta.

Hallie podeszła do Duncana, nieustępliwie ciągnąc za sobą Liv.

- Duncan, czy wiesz coś o statku mojego taty?

- Nie.

- Był tam - powiedziała, wskazując puste miejsce. - Czy mógłbyś wsadzić Liv do powozu? Tylko uważaj, bo coś jej strzeliło do głowy i chce uciec. Ja za kilka minut wrócę. Chcę tylko zapytać ludzi o „Sea Haven”.

Duncan zajął się Liv, a Hallie poszła wypytać robotników portowych. Po kilku minutach dotarła do magazyniera, który podobno wiedział o porcie wszystko. Na pytanie Hallie odpowiedział natychmiast:

- Ach, „Sea Haven”, chodzi o statek Howlanda, prawda?

- Nie Howlanda, tylko Fredriksena - poprawiła go. Uchylił kapelusza i podrapał się w czoło.

- Dziwne. Hm... Człowiek nazwiskiem Howland, i drugi, już nie pamiętam jak mu tam, kazali odholować ten statek.

- Odholować? - szepnęła Hallie, mając nadzieję, że złe przecucie ją myli. Ale w duszy czuła niepokój, że Kit ją oszukał i sprzedał statek na zatopienie.

Zrozpaczona odbiegła od zaskoczonego magazyniera i przystanęła dopiero koło powozu. Szlochając, kazała Duncanowi jechać prosto do domu.

Liv spojrzała na łzy siostry i natychmiast odwróciła twarz, jakby nie mogła znieść tego wybuchu uczuć. Siedziały w milczeniu. Hallie powtarzała sobie w myśli, że to niemożliwe, że mąż, którego kocha, nie mógłby jej zrobić nic podobnego. Ale co innego mogło się stać? Ten drań uspił jej czujność pozorami miłości, a w stosownej chwili sprzedał statek, jej statek.

Powóz przystanął przed domem. W okamgnieniu drzwi się otworzyły i stanął w nich Kit.

- Już słyszałem, co się stało. - Patrzył gniewnie prosto na Liv, która jeszcze głębiej wcisnęła się w kąt. - Chodź ze mną! - zakomenderował i wyjął ją z powozu. Wniósł małą na schody, zanim Hallie zdążyła wysiąść.

- Nie dotykaj jej! - krzyknęła za nim przeraźliwie, ale frontowe drzwi już zamknęły się z trzaskiem. - Chodź ze mną! - zawołała na Duncana i wbiegła do domu.

W korytarzu usłyszała Kita, krzyczącego na Liv w gabinecie. Próbowwała dostać się do środka, ale drzwi były zamknięte.

- Otwórz! - wołała, waląc pięściami w grubą drewnianą płytę.

- Ja się tym zajmę, Hallie! Odejdź! - odparł Kit.

- Nie! - odkrzyknęła, ale ze środka nie dobiegły w odpowiedzi żadne dźwięki. Załomotała w drzwi jeszcze mocniej, bez skutku. Odwróciła się do Duncana. Obok stali też Maddie i zaciekawieni bliźniacy.

- Duncan, proszę, wyłam zamek.

- Słucham?

- Chodźcie, chłopcy. To nie nasza sprawa - powiedziała Maddie i zabrała maluchy z powrotem do kuchni.

- Wyłam zamek - powtórzyła Hallie.

- Nie sądzę, żeby Kitowi się to spodobało...

- Nic mnie to nie obchodzi - przerwała mu. - Albo ty to zrobisz, albo będę musiała spróbować sama.

Chwyciła ołowiany ciężar, służący do blokowania drzwi, i zamierzyła się nim, celując nieco powyżej klamki.

- Poczekaj! - zawołał Duncan. - Ja to zrobię. - Cofnął się i kopnął w metalową płytę tuż nad zamkiem. Drzwi otworzyły się z głośnym hukiem.

W jednej chwili Hallie znalazła się w środku. Kit siedział za biurkiem i trzymał Liv, która coś opowiadała, żałośnie szlochając. Pierwsze zdanie, które Hallie usłyszała, wprawilo ją w osłupienie.

- ...umarła, bo ją zabiłam! - zapłakała Liv.

Hallie postanowiła chwilowo zapomnieć o swej złości na kłamliwego męża. Mogła wygarnąć Kitowi potem. Na razie ważna była Liv, która histerycznie szlochała, co jej się nigdy przedtem nie zdarzyło. Hallie uklękła przy siostrze. Ostrożnie dotknęła wstrząsanego szlochem ramienia.

- No, słodczku, powiedz mi, o co chodzi. - Wyłuskała ją z ramion tego zdrajcy. - Co się stało? Powiedz mi, proszę.

Liv przyłgnęła do Hallie.

- Zabiłam ją, Hallie. To ja zabiłam mamę... - Nie przestawała szlochać, wtulając twarz w ramię siostry.

Hallie zaczęła ją delikatnie kołysać, na co Liv pozwoliła jej ostatnio, gdy miała trzy lata.

- Nie, słodczku. Mama umarła, bo była chora.

- Nie nazywaj mnie „słodczkiem”! Nie nazywaj mnie tak. Słodczki nie zabijają swoich mam! - łkała.

- To nieprawda, Liv!

- Nie musisz mnie okłamywać. Wiem, że mama zaraziła się ode mnie. Pamiętam, jaka byłam chora. A potem mama też zachorowała i była coraz bardziej chora, i umarła. Nikt z was nigdy mi tego nie powiedział, ale ja i tak wiedziałam. Gdybym nie zachorowała, mama by nie umarła. To

moja wina, Hallie. A ja do niej tak tęsknię, tak tęsknię... - Porwała ją następna fala szlochu.

Zaskrzypiało krzesło. Kit, który dotąd przyglądał się tej scenie, wstał i wolnym krokiem wyszedł. Hallie patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi, czując dla niego głęboką wdzięczność, że zostawił je same. Nadal kołysała dławioną łzami siostrę.

- Popatrz na mnie, Liv - powiedziała w końcu, siłą podnosząc jej głowę. - Mama umarła na zapalenie otrzewnej. Wiesz, co to jest?

Liv pokręciła głową.

- Wcale jej nie zaraziłaś. Ty po prostu się przeziębiałaś. A mama zachorowała na gruźlicę. I choroba postępowała tak szybko, że objawy trwały zaledwie kilka dni. Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić, rozwinęło się z tego zapalenie otrzewnej i w niecały dzień później mama umarła. To nie są zaraźliwe choroby, Liv. Nie można ich wziąć od kogoś innego. Ta choroba dojrzewała w mamie, w środku, na długo, zanim ty zachorowałaś.

- Naprawdę? - wyszeptala Liv.

Hallie skinęła głową i mocno ją przytuliła.

- A teraz powiedz mi, jak wpadłaś na ten głupi pomysł, że zabiłaś mamę, i dlaczego o tym ze mną nie porozmawiałaś? Przecież zawsze przychodziłaś do mnie z różnymi kłopotami.

- Ostatnio byłaś taka zajęta. Myślałam, że nie będziesz miała czasu tak jak dawniej - wyznała Liv.

Hallie poczuła się okropnie. Po śmierci matki zapanował w ich życiu chaos. I nagle zabrakło również taty. Trzeba było opiekować się bliźniakami i dla Liv po prostu zabrakło czasu. Dlatego siostrzyczka zamknęła się w sobie. To wyjaśniało również wcześniejsze kłopoty, jakie sprawiała. Po prostu próbowała zwrócić na siebie uwagę.

Tuląc małą do siebie, Hallie starała się wynagrodzić jej wszystkie chwile bólu.

- Kocham cię, Liv, i bardzo, bardzo cię przepraszam. Obiecuję, że zawsze będę miała dla ciebie czas, jeśli będziesz mnie potrzebować. Proszę, nie myśl już, że nie znajdę dla ciebie ani chwili.

- Ja też cię kocham, Hallie. Bardzo, bardzo.

Hallie otarła siostrze łzy z policzków i wzięła ją na kolana.

- Nie będziesz już wsiadać na statki ani uciekać z domu w inny sposób, prawda?

Liv pokręciła głową.

- Potrzebuję cię, stodyczku. Nie zapominaj o tym. - Hallie pogłaskała siostrę po plecach. - Lepiej ci?

- Mhm. - Na zapłakanej twarzy Liv pojawił się nieśmiały uśmiech.

Hallie wstała, odstawiła małą na ziemię i wzięła za rękę.

- Chodź, trochę się umyjesz.

Gdy znalazły się w korytarzu, Hallie zauważyła Kita, pochłoniętego rozmową z Duncanem. Ucisnęła dłoń Liv, żeby dodać małej otuchy, i stanęła przed mężem.

- Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności, jak tylko skończymy z Liv.

- Dobrze. Muszę przejrzeć kilka umów, więc będę w gabinecie. - Kit skinął głową w tamtą stronę i spojrzał na Hallie bardzo spragnionym spojrzeniem. Właśnie takie spojrzenie ją omamiło. To dlatego uwierzyła, że ich stosunki opierają się na uczciwości i zaufaniu, nawet jeśli nie ma w nich miłości.

Odeszła z Liv, przez cały czas planując, co powie temu wstrętnemu draniowi, którego wzięła za męża.

W godzinę później wróciła na parter i zerknęła na wyłamany zamek. Przez szparę w drzwiach widziała Kita pochylonego nad biurkiem. Pracował, pykając fajkę. Wzięła głęboki oddech i wkroczyła do pokoju.

Podniósł głowę, wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się. Zazwyczaj ten piękny uśmiech całkiem ją rozbrajał. Ale nie tego dnia. Twardo postanowiła bowiem zapomnieć o głosie serca i pamiętać tylko o ohydnej zdradzie męża.

- Gdzie jest mój statek?

Zaskoczyła go, szybko jednak ponownie zrobił obojętną minę. Pochylił się nad papierami i wymamrotał, nie wyjmując fajki z ust:

- Jaki statek?

Hallie podeszła do biurka.

- Nie udawaj niewiniątka! Dobrze wiesz, że chodzi mi o „Sea Haven”!

- Jak to, Hallie? Czyżbyś zgubiła swój statek? - Kit rozsiadł się wygodniej na krześle i beczelnie pyknął dymem z fajki.

- Sprzedałeś go na zatopienie, tak?

Zmrużył oczy.

- Naprawdę sądzisz, że zrobiłbym coś takiego?

- Czy nie to zamierzałeś zrobić przedtem? Dlaczego miałabym sądzić, że teraz jest inaczej?

- Dlaczego... - Kit nagle spłoszył. - Jeśli nie potrafisz sobie sama odpowiedzieć, to nie będę ci tego tłumaczył. Myślałem, że przynajmniej darzymy się zaufaniem. - Znów wydmuchnął w powietrze kilka obłoczków dymu. Potem zacisnął dłonie na poręczy krzesła.

- Ja też tak myślałam! Dopóki nie usłyszałam, że mój statek odholowano. Podarowałeś mi ten statek. Jest mój! - krzyknęła i w poczuciu bezradności wyrzuciła pięścią w blat.

Kit przesunął fajkę w drugi kącik ust.

- Hallie, zachowujesz się jak dzieciak.

- Nie waż się zmieniać tematu, ty... ty kłamliwy sukinsynu!

Nie wypuszczając fajki z ust, Kit zerwał się z biurka. Spojrzał na nią z góry. Wyraźnie chciał ją zastraszyć. No, już ona mu pokaże!

- Jak mogłeś być taki podły?! - Pochyliła się nad biurkiem. Ich twarze dzieliły teraz zaledwie centymetry. - Masz się do mnie nie zbliżać, rozumiesz? Trzymać się jak najdalej.

- Dobrze - odparł, wciąż ssąc cybuch fajki. Chwyciła za fajkę i cisnęła ją do kominka.

- I dość mam zgadywania, co mówisz z tą przeklętą fajką w gębie! - Odwróciła się i zostawiając go z wyrazem osłupienia na twarzy, pobiegła na górę, do sypialni. Tam zatrzasnęła za sobą drzwi. Potem zasunęła rygiel myśląc, że taki sam rygiel założy sobie w sercu. Raz na zawsze wyrzuci Kita i z sypialni, i z serca.

Hallie zamknęła książkę i odłożyła ją na nocny stolik. Przykręciwszy knot lampy, wsunęła się głębiej pod koc. Gdy zamknęła oczy, powiedziała sobie, że musi zasnąć. Nie udało jej się. Wkrótce podniosła głowę i spojrzała na poduszkę. Wyczuła zapach Kita. Zmarszczyła czoło i cisnęła tę poduszkę w drugi koniec pokoju, a sobie podłożyła pod głowę drugą.

Już trzy koszmarne noce spała zupełnie sama. Od dwóch dni nie widziała Kita, tak samo zresztą jak i inni domownicy. Zastanawiała się nawet, czy nic mu się nie stało.

Nie rób tego, skarciła się w myśli. Nie myśl o nim, nie martw się o niego i nie waż się go kochać!

Rozejrzała się po pokoju. Po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności wystarczająco, by mogła rozróżnić zarys drzwi. Zerknęła na klamkę. Pierwszej nocy, gdy zamknęła się w sypialni, Kit próbował z nią rozmawiać, ale nie odpowiadała. Bała się dać mu szansę. Tego wieczoru klamka już się nie ruszała. Tego wieczoru Kit nie zapukał i nie prosił, żeby go wpuściła. No, i miała to, czego chciała. Czuła się okropnie.

Panowała absolutna cisza, tylko na dworze wiał wiatr. Po każdym podmuchu gałęzie drzew ocierały się o ściany domu. Ten odgłos wydał się Hallie złowróżbny. Zasłoniła sobie uszy poduszką i wcisnęła się jak najgłębiej w pościel. Wreszcie zaczął do niej przychodzić sen, choć raz po raz się budziła.

W pewnej chwili coś bardzo głośno stuknęło o ścianę, aż zatrzęsała się szyba w oknie. Hallie usiadła na łóżku i zaspanymi oczami próbowała zobaczyć coś w ciemności. Ze zdziwieniem spojrzała na otwarte okno i właśnie w tej chwili czyjaś ręka zasłoniła jej usta, uniemożliwiając krzyk. Hallie broniła się, ale napastnik przygniół ją do łóżka, wcisnął jej szmatę do ust, zasłonił oczy opaską i związał ręce na plecach. Potem okręcił ją kocem i przerzucił sobie przez ramię.

Poczuła zimny strumień powietrza. Porywacz wynosił ją przez okno. Zeskoczył na ziemię. Zadrżała, trochę ze strachu, a trochę dlatego, że na dworze panował przejmujący chłód. Wrzucono ją do powozu, który natychmiast odjechał. Ruszając, szarpnął tak, że spadła z ławki na podłogę. Szarpała się i wita, usiłując zrzucić z siebie koc, ale mając związane ręce nie umiała tego zrobić.

Powóz wkrótce przystanął. Zaskrzypiały drzwi. Hallie mimo szmaty w ustach krzyknęła z

nadzieją, że zduszone dźwięki jednak kogoś zaalarmują. Niestety. Porywacz wchodził z nią gdzieś po sznurowej drabinie. Gdy próbowała się oswobodzić, niezmiennie uderzała głową o coś twardego, chyba o drewno. Wyczuwszy zapach morza, zorientowała się, że porywacz wciąga ją na pokład statku. Słyszała jego dyszenie, więc zaczęła się szarpać jeszcze bardziej. Miała nadzieję, że okaże się dla niego za ciężka. On tymczasem włókł ją po czymś, co sprawiało wrażenie desek pokładu. Rozległ się trzask pokrywy luku. Mężczyzna zniósł ją po schodkach, potem otworzyły się drzwi i w końcu postawiono ją na nogach.

Zaczęła kopać na oślep, ale nie udało jej się trafić porywacza. Wyplątano ją z koca i zdjęto jej opaskę z oczu. Zamrugła, bo nagle zrobiło się dookoła niej jasno.

Była w kajucie ojca. Na koi siedział Kit i beztrudnie popijał wino.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Hallie. - Uniósł kieliszek i wypił łyk.

- Mam ją rozwiązać? - spytał znajomy głos.

Obróciła się gwałtownie i zobaczyła, że jej porywaczem był po prostu Lee Prescott.

- Możesz uwolnić jej ręce, ale nad kneblem powinniśmy się zastanowić - oznajmił Kit i uśmiechnął się bezczelnie.

- Twoja żona - powiedział Lee, mocując się z więzami na nadgarstkach. - Szkoda tylko, że nie jest lżejsza.

Hallie z całej siły uderzyła piętą w czubek wysokiego buta.

- Au! - Lee wreszcie przeciął więzy. - Tego już za wiele. Skopano mnie i zbito tylko dlatego, że nie potrafisz się dogadać z własną żoną. Mam dość. Idę sobie. Miałeś głupi pomysł, to teraz sam się z niego tłumacz! - Schował nóż do pochwy i zatrzasnął drzwi kajuty, zostawiając Kita sam na sam z Hallie.

- Napijesz się wina? - Kit wyciągnął ku niej rękę z butelką i kieliszkiem.

Wyszarpnęła sobie z ust knebel.

- Zaraz...

- Powiedz mi, kochanie - przerwał jej - czy to miejsce czegoś ci nie przypomina.

Podszedł do niej z kieliszkiem wina w dłoni.

- Proszę. - Podał jej trunek. - Ale nie odpowiedziałaś mi na pytanie. Czy to przypadkiem nie jest kajuta twojego ojca?

Przełknęła trochę wina. Z tonu głosu Kita wносиła, że powinna się napić.

- Co? Nie masz nic do powiedzenia? Zwróć uwagę, że wszystko jest na swoim miejscu i wcale nie porąbane. Zgadza się?

Skinęła głową; dopiła resztę wina.

- O, widzę, że już masz pusty kieliszek. To dobrze. Chodź. - Chwycił ją za rękę i wyciągnął na pokład.

- Popatrz! - nakazał. Tak też zrobiła.

Statek był nietknięty i utrzymany w nieskazitelnym porządku. Jedyne różnice polegały na tym, że wąska, wysoka nadbudówka była teraz w części dziobowej, między grotem i fokiem. Miała dwa piętra wysokości, płaski dach i wąskie okna. Na bomach wisiały latarnie, zalewające światłem cały pokład. Hallie odwróciła się i zobaczyła dookoła miasto. „Sea Haven” nie był już nigdzie zacumowany. Stał na ziemi, pośrodku San Francisco.

Wytrzeszczyła oczy na Kita, który wskazał szyld oparty o rząd baryłek: „The Haven Hotel”.

Zrobiło jej się gorąco. Czowała na sobie jego wzrok.

- Oto najnowszy hotel w San Francisco - powiedział. - Wynajęto go, nawiasem mówiąc w twoim imieniu, pewnemu dżentelmenowi, który kazał go tu przyholować i nieco przebudować. Oficjalne otwarcie odbędzie się za kilka dni, a na dzisiaj zaplanowałem tutaj obchody twoich urodzin. - Spojrzał jej w oczy i spytał cicho. - Czy nadal uważasz mnie za kłamliwego sukinsyna?

- Boże, Kit! Tak mi przykro! - Hallie rzuciła mu się w objęcia i rozplakała się. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Trzymał ją w ramionach. Milczał.

- Nie jesteś kłamliwym sukinsynem - powiedziała.

- Dobrze wiedzieć. - Głos miał bardzo rozbawiony. Odchylił głowę Hallie i spojrzał jej w oczy. - Nigdy cię nie okłamałem. Słowo ci daję. Mogę popełniać błędy, mogę cię rozzłościć, ale

nigdy cię nie okłamię.

Hallie wspięła się na palce i delikatnie go pocałowała.

- Dziękuję - szepnęła tuż przy jego wilgotnych wargach. - Dziękuję...

- Sto lat, kochanie - odszepnął. Przyciągnął ją do siebie i odwzajemnił pocałunek. Zsunął dłoń na jej plecy i pogładził je. Potem przytulił ją namiętnie i Hallie wreszcie poczuła się tak, jakby w tej ulotnej chwili udało jej się zagościć w sercu Kita.

Nagle z dołu usłyszeli głośną kocią muzykę. Odskoczyli od siebie i spojrzeli w tamtą stronę. Na ulicy stała gromada kopaczy złota, którzy gwizdami i pokrzykiwaniem pozdrawiali zakochanych.

Kit odsunął Hallie od relingu.

- Chodźmy pod pokład.

Wrócili do kajuty. Hallie skorzystała z okazji i przyjrzała się jej wnętrzu. Było odnowione. Dużą koję przykrywała gruba pierzyna w ciemnozielonej poszwie. Przy ścianie leżały na niej tęcze poduszki, podłogę zaś zdobił dywanik w tych samych kolorach. Wysoki parawan zasłaniał miejsce, gdzie kiedyś stało biurko ojca.

Kit podszedł do parawanu i złożył go. Jej oczom ukazał się stół, zastawiony dla dwojga, i dwa krzesła z wysokimi oparciami.

- A cóż to takiego? - spytała.

- Twoja urodzinowa kolacja, a w każdym razie jej zapowiedź. - Kit wyciągnął rękę i zadzwonił mosiężnym dzwonem okrętowym. Głośny, metaliczny dźwięk zaskoczył ich oboje. - No, to chyba trzeba będzie zmienić - powiedział.

Po kilku minutach rozległo się pukanie i weszli dwaj mężczyźni z dymiącymi tacami pełnymi jedzenia. Zaraz wyszli, ale smakowity zapach wołowiny pozostał. Hallie poczuła, że leci jej ślinka. Przez kilka ostatnich dni jadła bardzo niewiele, przede wszystkim dlatego, że była wściekła na męża. Kit otworzył następną butelkę szampana, napełnił ich kieliszki, postawił na stole i wskazał Hallie miejsce.

W godzinę później zdążyła rozprawić się z tym, co było na jej talerzu i na talerzu Kita. Właśnie kończyła opróżniać jeden z półmisków, gdy uświadomiła sobie, że Kit patrzy na nią i uśmiecha się.

- Głodna?

- Mhm - odmruknęła z pełnymi ustami. Przełknęła jedzenie. - Umierałam z głodu.

Roześmiał się.

- Zauważyłem.

- Od dwóch dni prawie nic nie jadłam - przyznała się. Uśmiech mu stopniał, w oczach nagle zabłyśł żar.

- Ja też jestem wygłodzony...

Dobrze wiedziała, co ma na myśli.

Jego palce wolno przesuwają się po jej ramieniu.

- Spędziłem dwie długie, samotne, zimne noce, kochanie. - Gardłowy głos Kita rozniecił jej zmysły. - Chodź. - Wziął ją za rękę i posadził sobie na kolanach. - Nasyć mnie.

Ich usta się zetknęły, języki rozpoczęły pojedynek. Tymczasem Kit poradził sobie z tasiemkami sukni i gorsetu i obnażył Hallie do pasa. Gdy objął dłońmi pełne piersi, wysunął język z jej ust i powędrował po krzywiznie szyi, po obojczyku, by wspiąwszy się po ciepłym zboczku, obwieść stwardniały szczyt. Potem przeniósł się z pieszczotą na drugie wzgórze.

Hallie wyciągnęła mu spinki z dziurek koszuli i wsunęła palce w gęste owłosienie pokrywające tors. Drażniła sutki, a tymczasem Kit wessał jej pierś głęboko do ust. Zalało ją takie gorąco, że krzyknęła.

Zaczęła rozpinąć mu spodnie. Zaraz zorientowała się, że Kit nie ma bielizny, bo po pokonaniu drugiego guzika poczuła, jak skręcone owłosienie łaskocze ją w palce. Nieco uniosła ciało, mocując się z trzecim.

- Wstań, kochanie, proszę - szepnął Kit.

Stanęła na drżących nogach i Kit posadził ją na sobie okrakiem, poddałszy jej spódnice. Ich ciała dzieliły już tylko kłęby spódnic, zgniecione między brzuchami. Kit położył Hallie ręce na udach i przyciągnął ją do swego najtwardszego miejsca. Wypchnął biodra i zaczął ją kołysać.

Przez rozcięcie majtek Hallie czuła chłód guzików od spodni.

- Proszę cię - szepnęła, usiłując ich dosięgnąć.

Odsunął jej dłoń i uwolnił się ze spodni. Potem uniósł ją i delikatnie naprowadził na siebie. Krzyknęła głośno i Kit znieruchomiał.

Po chwili ujął w dłonie jej twarz i trzymając ją o centymetry od swojej, spytał szeptem:

- Krzywdzę cię?

- Nie - odszepnęła. - O, Boże, nie...

Porwał jej z warg następne słowa. Stopiwszy się z nią w pocałunku, wyciągnął jej szpilki z warkocza i otoczył ich ciała płaszczem jasnych włosów. Delikatne muśnięcia sprawiały mu niewysłowioną rozkosz. Wciąż jeszcze siedział nieruchomo, ale był w niej tak głęboko, że Hallie czuła w sobie jego puls. Poruszył się raptownie i wtedy osiągnęła spełnienie.

Przytuliła mu się do ramienia, on jednak odsunął ją od siebie, poderwał do góry i opuścił, i znów poderwał... Hallie poddała się falującemu rytmowi i nagle znów targnął nią gigantyczny skurcz rozkoszy. Zaczęła głośno krzyczeć.

Pot z czoła Kita kapał jej na piersi. Sprężyste owłosienie drażniło sutki. Okrywał teraz pocałunkami jej uszy, szeptem opowiadając jej, jak czuje się, gdy jest w niej, i co z nim robią jej okrzyki. Potem znów zaczął się w niej poruszać, unosząc ją wyżej i wyżej. Razem poszybowali ku szczytom.

Znacznie później Hallie usłyszała, jak Kit coś mamrocze przy jej nagich piersiach:

- Hm?

- Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś mógł spojrzeć na krzesło tak samo jak dotąd.

Wybuchnęła śmiechem. Myślała dokładnie o tym samym.

- Przeszliśmy przez tę zaśnieżoną przełęcz i już wiedziałem, że zbliżam się do domu. Czuło się to w powietrzu, chociaż minął jeszcze tydzień, nim dotarliśmy do Sacramento City, a potem musieliśmy czekać na parowiec. Aż wreszcie dopłynąłem tutaj.

Hallie podśluchiwała Duncana od dłuższej chwili. Bała się trochę, bo najadłaby się strasznego wstydu, gdyby ktoś zauważył, że zachowuje się jak stara, wścibska baba. Ale Duncan opowiadał Dagny o swej podróży na Zachód z niezwykłą czułością w głosie.

Cicho zamknęła drzwi i zgodnie z planem poszła sprzątać strych. Czekają ją tam mnóstwo pracy. Kit był zajęty sprzedażą ładunków, bo w ciągu ostatniego tygodnia weszły do portu cztery statki wielorybiczne. Od rana nie wytknął nosa z gabinetu.

Hallie wspięła się na schody i otworzyła wąskie drzwi. Miała przed sobą jeszcze mroczne schodki, wzięła więc lampę. Gdy stanęła na jednym z górnych stopni, zobaczyła firany pajęczyn, zwieszające się z krokwi.

Lampa, którą trzymała, była tu jedynym źródłem światła. Hallie postawiła ją na podłodze. Gdy spojrzała w dół, zakręciło jej się w głowie. Należało jak najszybciej stanąć w pewnym miejscu. Jeszcze kilka kroków i miała pod stopami podłogę.

Pomieszczenie było wypełnione rzeczami tylko do połowy. Sprawilo jej to pewną ulgę. Nie miała ochoty spędzić najbliższego tygodnia na sprzątaniu cudzych gratów. Słyszała, jak Kit mówi Maddie, że na strychu znajdują się rzeczy poprzednich właścicieli domu.

- Im szybciej zaczniesz, tym szybciej skończysz - mruknęła pod nosem i wyprostowała się. Natychmiast wyrznęła głową o belkę. Masując uderzone miejsce, zaczęła przyglądać się pakom. W najbliższym kącie było ich pięć czy sześć, wzięła więc lampę i usadowiła się w ich pobliżu na podłodze.

Otwierała skrzynię po skrzyni, przekopując masy zatęchłych ubrań i pojedynczych sztuk porcelany. Należało to wszystko wyrzucić. Pomyślała, że mogłaby zakończyć ten przegląd i polecić Duncanowi wszystko wynieść.

Oczami wyobraźni znów zobaczyła Duncana z Dagny. Olbrzym spędzał z jej siostrą każdą wolną chwilę. Rozmawiał z nią i brał ją na przechadzki, zupełnie jakby była już zdrowa. Niestety. Wciąż trwała w odrętwieniu. W jej zamglonych oczach nie było nawet iskry zrozumienia, nie odzywała się też ani słowem. Tylko patrzyła przed siebie. To jednak bynajmniej nie zniechęcało Duncana. Wszyscy dookoła widzieli, że zupełnie stracił głowę dla Dagny. Opowiadał jej o tym, co przeżył, i o swoich planach na przyszłość. Zakochał się w niej, i było to

widać w jego oczach, w słowach, w tym, co robił.

Och, gdyby Kit też mnie tak kochał, pomyślała Hallie.

Wspólne życie układało im się bardzo dobrze, dużo lepiej niż w jej najśmielszych marzeniach, ale dotąd Kit ani słowem nie wspomniał przy niej o miłości. Był czuły i jakże namiętny, lecz nigdy nie opowiedział jej nic o swojej rodzinie, o swych marzeniach, o Jo.

Kochała go z całego serca. Gdy czasem zastanawiała się, czym byłoby jej życie bez niego, natychmiast przychodziła jej na myśl przerażająca pustka. Marzyła o ich wspólnej przyszłości i nie mogła odżalować przeszłości. Niestety, wydawało jej się, że z Kitem jest inaczej. Jak mógł poczuć się wolny i pokochać ją, skoro na przeszkodzie stawały mu tragiczne wspomnienia? Wiedziała, że dopóki nie otworzy się przed nią i nie pogodzi z losem, nie ma dla nich przyszłości.

Z westchnieniem odsunęła ostatnią skrzynię. Głębiej zauważyła jeszcze niewielki kuferek. Zbliżyła lampę. Niewątpliwie należał do marynarza. Gdy starła warstwę kurzu z wieka, ukazała się jej oczom mosiężna tabliczka z inicjałami C.H. Zamek nie chciał puścić. Hallie machinalnie wyciągnęła szpilkę z włosów i zaczęła manipulować. Po chwili rozległ się trzask.

Uniosła wieko. Na wierzchu leżała gruba paka listów, związana błękitną tasiemką. Zerknęła na nie. To były miłosne listy Jo do Kita. Hallie przeczytała kilka, zdziwiona, że nie czuje niepokoju ani nawet zazdrości. Wyznania w listach wydawały jej się dziwaczne, nierzeczywiste. Ta miłość była już martwa i zimna jak popioły po zimowym pożarze. Miłość Kita do pierwszej żony nie miała nic wspólnego z dniem dzisiejszym. Żywa była tylko rana w jego sercu.

Odłożyła listy na bok i zaczęła przekładać rzeczy, które Kit zachował z pierwszego małżeństwa. Była tam metryka ślubu. Można było w niej przeczytać, że Kit z Jo pobrali się późnym latem, podczas gdy jego ślub z Hallie odbył się późną wiosną. Nie miało to naturalnie większego znaczenia, tyle że Hallie poznała teraz dokładną datę pierwszego ślubu. W kopercie były dwa podarte bilety na statek do Francji. Hallie zgmiotła tę kopertę w dłoń. Pamiętała, z jakim bólem Kit wspominał o Paryżu. To była jego ostatnia próba ratowania rozpadającego się małżeństwa. Odrzuciła kopertę na bok. To były strzępki nadziei zranionego człowieka, którego darzyła miłością.

Inne przedmioty nic jej nie mówiły, dla Kita musiały mieć jednak szczególne znaczenie: stary program teatralny, trochę biżuterii, saszetka zdobiona koralikami. Hallie już chciała włożyć wszystko z powrotem do kuferka, gdy trzymając saszetkę, wyczuła, że coś jest w środku. Otworzyła ją, lecz nic nie znalazła.

To coś musiało być pod podszewką. Wsunęła dwa palce w rozdarcie i wtedy wyciągnęła mały, oprawny w skórę notesik. Pochyliwszy się do światła, otworzyła go. Strony, oznaczone datami, były zapisane pismem Jo. Hallie zaczęła czytać i uświadomiła sobie, że oto ma przed sobą dziennik z wielorybicznej wyprawy.

12 listopada 1846 roku

Wysliśmy z portu na Hebrydach. Znowu jestem w kłopotcie. Kit siedzi naburmuszony na pokładzie. Jest na mnie bardzo zły, bo znowu sama zesztam na ląd. Osobiście uważam, że przesadza z opiekuńczością. Na miłość boską, co złego może mi się stać w kościele?

Kit mówi, że na tej wyspie jest pełno marynarzy, których wysadzono tam z ich statków za najrozmaitsze występki, od morderstwa po chorobę morską. Podobno jest to niebezpieczne miejsce. Co do mnie, nie widziałam żadnych niebezpieczeństw, tylko prześliczny, stary portugalski kościół z witrażami sprowadzonymi z Lizbony. Jakie były piękne!

Hallie czytała stronę za stroną, poznając historię pierwszego małżeństwa Kita, widzianą oczami Jo. To dziwne, ale czuła oddanie tej kobiety dla Kita, mimo że raz po raz pojawiały się tam opisy nieporozumień między małżonkami. Większość z nich była skutkiem rozmaitych przypadków Jo, od których włos jeżył się na głowie. Hallie czuła, że czytając sama się denerwuje, mogła więc sobie wyobrazić, jak awanturnicza żyłka żony przerażała Kita. Nawet jej niektóre wyczyny Jo wydawały się bardzo ryzykowne. Przeraził ją zwłaszcza jeden:

15 grudnia 1846 roku

Dwa dni temu odpłynęliśmy z Wysp Zielonego Przylądka. Wczoraj dognana nas straszliwa burza. Co za niesamowite przeżycie! Wicher był taki straszny, że zmiotł mnie z pokładu. Kit powiedział, że uratowała mnie tylko lina, którą wcześniej kazał mi się obwiązać. Chyba miał rację.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był taki blady i przerażony jak wtedy, gdy wyciągał mnie z wody. Strasznie mocno mnie trzymał, a kiedy poszliśmy pod pokład, powiedział mi, że nigdy nie zrozumie, co czuł myśląc, że już po mnie. Kocha mnie. Naprawdę mnie kocha i to jedno napawa mnie lekkiem. Boję się odpowiedzialności za jego miłość, a teraz chyba i za jego życie. Powiedział mi, że beze mnie nie mógłby żyć, że nie jest dość silny, by trwać, gdyby mnie zabrakło.

Potem rozmyślałam o tym, co zrobiłam. Muszę wybrać między miłością Kita a podniecającymi przeżyciami, które uwielbiam. Kocham go, więc wybór jest łatwy. Muszę się dla niego zmienić. Koniec z bez troską. Podniecające chwile będę przeżywać tylko w jego ramionach.

Dla Hallie nie były to wcale rozważania niewiernej żony. Jo kochała Kita. Sama to zresztą napisała. Nie wątpiła też w jej miłość. Cóż wobec tego zaszło między nimi? Hallie bardzo chciała odkryć przyczynę nagłej odmiany Jo, czytała więc dalej.

Przez resztę rejsu nic szczególnego się nie działo. Jo cieszyła się, że Kit jest szczęśliwy. Udało jej się nie narazić na kolejne niebezpieczeństwo i małżeństwo niewątpliwie na tym skorzystało.

Wrócili do domu. Z opisów Jo Hallie dowiedziała się co nieco o rodzinie Kita. Potem Jo zachorowała. Wprawdzie błagała, by ją wziąć w następny rejs, ale wszyscy się sprzeciwili. Było tak, jak mówiła Maddie, tyle że teraz Hallie widziała to innymi oczami. Przez cały czas nieobecności Kita Jo do niego tęskniła.

I wreszcie znalazła to, czego szukała.

11 kwietnia 1847 roku

Właśnie wróciłam z Bostonu. Boże, jak mi ciężko na duszy. Nie wiem, co robić. Kit gdzieś pływa, a ja jestem całkiem sama... i nie ma dla mnie ratunku.

Najpierw się roześmiałam. Myślałam, że lekarz żartuje. Potem dostałam spazmów w gabinecie. Biedny doktor Hicks, tak bardzo się starał powiedzieć mi o tym jak najdelikatniej. Przytulił mnie, a ja wyplakiwałam mu się w kamizelkę. Myślał, że płaczę, bo się boję, i pewnie trochę tak było. Ale bardziej płakałam dlatego, że pomyślałam o Kicie, moim kochanym Kicie, moim życiu.

Co się z nim stanie, kiedy mnie zabraknie? Miłość do mnie jest jego wielką słabością. Ileż razy mi to powtarzał! Tak bardzo będzie cierpieć. Zastanawiam się, czy nie zrobi czegoś głupiego. Przecież sam powiedział, że beze mnie nie mógłby żyć...

Tu zapisek się kończył. Hallie, przejęta głębokim współczuciem dla Jo, przeczytała natępną stronę.

12 kwietnia 1847 roku

Przez całą noc nie spałam, rozmyślałam. Co zrobić z Kitem? Kocham go i chcę, żeby był ze mną, ale to jest egoizm. Zastanawiam się, czy naprawdę istnieje Niebo. W nocy myślałam o tym, że moglibyśmy umrzeć razem. Kit i ja. Czy wtedy wędrowalibyśmy razem przez Wieczność? Znikąd odpowiedzi.

Czyżbym znowu chciała zrobić coś głupiego i romantycznego? Przez całe życie mi to zarzucano, ale tym razem nie mogę ryzykować. Moje życie dobiegło końca, ale Kita nie. Muszę być pewna, że Kit jest bezpieczny, nawet przed sobą samym. Tak. Dam mu jego życie, łamiąc serce. Jeśli uda mi się zamienić jego miłość w nienawiść, będzie mógł żyć beze mnie. Jego miłość to jedyne, nad czym w życiu panuję, a kocham go wystarczająco, by tę miłość zabić.

Hallie odłożyła dziennik. Głośno westchnęła i rozplakała się. Płakała ze współczucia dla Kita i dla Jo. Płakała ze współczucia dla siebie.

Co za bezsensowne poświęcenie! Jaka potworna omyłka! Kit, którego znała Hallie, wcale nie był słaby. Po co było ranić go tak, jak zrobiła to Jo, zniszczyć więź, która ich łączyła? Co za

głupota! Jo traktowała to jak dar. Dawała mu jego życie. To śmieszne. W rzeczywistości tylko złamała mu serce. W imię miłości odebrała Kitowi zdolność do kochania.

Hallie otarła łzy i ściskając w dłoni notes, wstała. Przesunęła lampę, żeby dobrze widzieć schody, i szybko zeszła na dół. Bez pukania wtargnęła do gabinetu męża.

Zaskoczony podniósł głowę. Wyciągnęła do niego rękę z dziennikiem.

- Powinieneś to zobaczyć.

Otworzył notes i zbladł.

- Gdzie to znalazłaś?

- W twoim kuferku, na strychu. Przeczytaj.

Głośno zatrzasnęła notes.

- To nie ma nic wspólnego z nami. Nic mnie nie obchodzi, co tam jest!

Hallie pochyliła się nad biurkiem, wyrwała mu z ręki dziennik i odnalazła strony z opisem planów Jo.

- Przeczytaj to, Kit. Musisz przeczytać!

Z zapartym tchem patrzyła, jak wodzi wzrokiem po stronicach. Twarz mu się nagle zmieniła. Gniew znikł, a jego miejsce zajął grymas bólu. Kit zasłonił twarz dłonią, próbując ukryć łzy, które zalśniły mu w oczach.

- Jo... - szepnął.

Hallie usłyszała w tym imieniu tęsknotę i serceomal jej nie pękło. Ramiona Kita zadrżały. Ukrył twarz w dłoniach.

- Muszę pobyć sam... Proszę cię... zostaw mnie samego...

Hallie zdrętwiała. Poczula się odrzucona. Zrozumiała, że Kit nadal kocha swoją pierwszą żonę. Wyszła z pokoju, przebiegła przez pustą kuchnię i wypadła na dwór w poszukiwaniu jedynej osoby, przed którą mogła otworzyć swą duszę.

Kit zgarbił się na krześle i wbił wzrok w sufit.

Boże, co za zamęt!

Znów zerknął do notesu. Och, Jo, pomyślał. Jak bardzo się pomyliłaś. Zapis w dzienniku przypomniał mu wieczór, kiedy powiedział jej, że bez niej nie mógłby żyć.

Powiedział to, bo chciał, żeby rozumiała, jak szalone są jej wysoki. Kochał ją, naturalnie, kochał jak wariat, ale gdy Jo raz po raz pozwalała się uwieść duchowi przygody i narażała w ten sposób ich wspólną przyszłość, zaczął szukać sposobu, żeby wreszcie rozumiała jego lęk. Chciał, żeby posmakowała cierpienia, które przeżywał za każdym razem, gdy kochana przez niego kobieta ocierała się o śmierć. Pomyślał, że może składając w jej ręce swoje życie, skłoni ją do ustatkowania się.

Początkowo zdawało mu się, że sposób jest skuteczny. Jo rzeczywiście przycichła. Ale widocznie idealistycznej natury nie potrafiła się wyzbyć, gdy bowiem los poddał próbie ich miłość, zmarnowała te ostatnie kilka miesięcy, zabiła w nim wiarę w miłość, w kobiety i w małżeństwo. A wszystko przez jakieś pokrętne rozumowanie, w imię szlachetnego zamiaru dodania mu sił.

Dam mu jego życie, tak napisała. Ale cierpienie, jakie mu sprawiła, zabiło w nim życie. Odżył dopiero dzięki Hallie.

Boże, jak bardzo kocha Hallie.

Jo także kochał, ale ta miłość odeszła, zbladła w blasku nowej miłości. Tyle że dopiero teraz, gdy poznał prawdę o tym tragicznym nieporozumieniu, pojął, jak głęboką miłością darzy drugą żonę.

Przesunął dłonią po czole. W skroniach pulsował mu silny ból. Był dla Hallie taki niesprawiedliwy, a ona wciąż go kochała. Wiedział to, odgadywał z każdego jej spojrzenia i każdego dotknięcia. Promieniowało to od niej jak ciepło od kominka. A on, głupi, nie chciał cieszyć się tym ciepłem, bo raz liźnięty ogniem, bał się sparzyć ponownie.

Nagle wstał. Musiał jak najszybciej znaleźć Hallie, powiedzieć jej to wszystko, objąć ją. Wyszedł z gabinetu i zaczął szukać żony po domu. Nie mógł znaleźć. Nikt jej od dawna nie widział. Ale przecież nie dalej jak przed kwadransiem przyniosła mu notes Jo. Sprawdziwszy jeszcze raz wszystkie pomieszczenia na parterze, postanowił zobaczyć, czy nie ma jej na dworze. Otworzył kuchenne drzwi i osłupiał. Na ławeczce pod domem siedziała Dagny, a Hallie klęczała

obok niej, głośno płacząc. Podeszedł kilka kroków, ale znów przystanął, gdy dotarły do niego słowa wypowiediane przez Izy:

- On nie potrzebuje ani mnie, ani mojej miłości. Och, Duggie, Maddie się myliła. Ja też się myliłam. Tak bardzo się starałam, ale on mnie nie kocha, bo kocha Jo. Boże... on wciąż kocha Jo. - Męka, którą wyrażały te słowa, całkiem go sparaliżowała. Hallie była bliska hysterii. Chwyliła siostrę za ramiona i potrząsnęła nią. - Posłuchaj mnie, Duggie! Usłysz mnie... proszę cię, usłysz. Nie mam nikogo... proszę cię, Duggie, nie mam nikogo, komu mogłabym to wszystko powiedzieć. - Przytuliła się do siostry i jej ciałem wstrząsnął szloch.

Nagle spojrzała na Dagny udręczonymi, zażawionymi oczami, znów chwyciła ją za ramiona i zaczęła potrząsać coraz mocniej.

- Usłysz mnie, Duggie, do diabła! Potrzebuję cię - szlochała. - Och, usłysz mnie, usłysz, proszę... pomóż mi... Potrzebuję cię... Potrzebuję cię, proszę...

- Nie płacz, Hallie. Słyszę cię - szepnęła Dagny. Hallie przestała nią potrząsać.

- Duggie? O Boże, usłyszałaś mnie!... - Uściskała siostrę i przytuliła się do niej. - Słyszałaś... wróciłaś, och, dzięki Bogu, że wróciłaś.

Po chwili odwróciła się i zawołała na cały głos:

- Duncan! Maddie! Chodźcie, chodźcie tutaj szybko! Duggie mówi!

Kit zrobił krok w jej stronę, ale w tej samej chwili z kuchennych drzwi wypadły dzieciaki i biegiem puściły się do siostry. Hallie wciąż trzymała Dagny, a zanim Kit zdążył podejść, zjawili się także Duncan i Maddie. Stał więc z boku. Czuł się bardzo niepewnie, bo zrozumiał, że swym okrucieństwem głęboko zranił żonę. Hallie wstała i ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Jej oczy nic nie wyrażały. Nie było w nich żadnego uczucia, nie było życia, czułości, a co najgorsze - nie było również ani śladu miłości. Gdy więc wszyscy wrócili do domu, Kit pozostał na uboczu. Był załamany. Wreszcie zrozumiał, że kocha Hallie. Ale coś mówiło mu, że jest za późno, że za długo czekał. Drugi raz tego dnia miał w oczach łzy.

- Kocham cię.

Słyszając głos Kita, Hallie przestała obmywać zapłakaną twarz zimną wodą.

- Kocham cię - powtórzył, zamykając za sobą drzwi sypialni. Hallie odwróciła się do niego. Twarz ociekała jej wodą.

Kit przestąpił z nogi na nogę.

- Nie kocham Jo. Kocham ciebie.

- Dlaczego?

- Jak to, do pioruna, dlaczego?!

Hallie wzięła ręcznik i wytarła sobie twarz. Nie mogła patrzeć na Kita. Za bardzo się bała. Bała się, że odpowie nie to co trzeba. Cisnęła ręcznik na toaletkę i podeszła do łóżka.

- Dlaczego mnie kochasz?

Kit pokonał dzielącą ich przestrzeń dwoma wielkimi krokami. Stał tuż przed nią - miał bardzo złą minę. Hallie skrzyżowała ramiona i odwzajemniła to spojrzenie.

- No?

- Kocham cię, bo... no, bo cię kocham i już! - krzyknął.

- To dla mnie za mało! - Dumnie uniosła głowę. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem po pokoju. Nagle przystanął. Na twarzy pojawił mu się chytry uśmiešek.

- No dobrze, a dlaczego ty mnie kochasz?

- Ja spytałam cię pierwsza.

- Do pioruna, Hallie! Kocham cię, bo jesteś moją żoną!

Hallie poczuła bolesny skurcz. Z obowiązku, kocha ją z obowiązku, tylko dlatego, że jest jego żoną.

Spojrzał na nią i wtedy zobaczyła na jego twarzy prawdziwy ból.

- Nie wiem, czy potrafię to wyrazić. - Kit wcisnął dłonie do kieszeni i znów rozpoczął przechadzkę po pokoju. - Kocham cię, bo... bo od nowa mnie nauczyłaś, jak można kochać... bo przypomniałaś mi, jak bogate jest życie, gdy się kogoś kocha... bo pomogłaś mi zapomnieć o urazie, którą żyłem. - Już nie krzyczał. To, co mówił, brzmiało bardzo szczerze. - Kocham cię, bo dałaś mi swoje serce, chociaż na to nie zasługiwałem.

Przystanął przed nią.

- Kocham cię, bo tyle mi dajesz z siebie...

Hallie zamknęła oczy, nie wierząc własnym uszom. Właśnie to chciała usłyszeć, o tym zawsze marzyła.

- ...Bo tyle jest w tobie miłości. - Przykląkł przed nią i delikatnie położył jej dłoń na kolanie.

Położyła rękę na jego dłoni.

- I jesteś piękna. - Splótł z nią palce i wstał, pociągając ją za sobą. Wziął ją w ramiona.

Hallie wtuliła się w niego, a Kit odchylił jej głowę i delikatnie głaskał ją po twarzy, żeby zetrzeć ostatnie kilka kropel wody, a może łez.

- I jeszcze dlatego... - Kit zaczerpnął tchu - ...że kiedy mnie całujesz, wszystko aż we mnie krzyczy.

- Och, Kit - zdążyła jeszcze szepnąć i ich wargi się zetknęły. Pocałunek, tak jak wiele poprzednich, stawał się coraz bardziej namiętny. Zaraz jednak Kit cofnął język i zaczął szeptać miłosne wyznania tuż przy jej wargach. Szeptał i szeptał, a Hallie ukryła dłonie w jego kręconych, ciemnych włosach i przyciągnęła go jeszcze bliżej. Chciała stopić się z nim w jedno ustami, piersiami, sercem.

- Potrzebuję cię, Hallie. Bóg jeden wie, jak bardzo cię potrzebuję... - Ujął jej twarz w dłonie i zasypał ją czułymi, delikatnymi pieścotami, wyrywając z Hallie okrzyk.

Całował ją po policzkach, szyi, uszach, a ona wysunęła palce z jego włosów i zaczęła pieścić wrażliwe miejsca za uszami.

Jęknął. Jego dłonie niecierpliwie rozpięły suknię, która opadła na podłogę. Przerwał pocałunek i cofnął się o krok.

- Wyjdź z tej sukni - poprosił niecierpliwie.

Hallie usłuchała i utonęła w jego ramionach. Całował ją po ramionach i szyi, chociaż jego ręce miały mnóstwo pracy. Musiały zdjąć krynolinę i halki. Gdy się z tym uporały, Kit stanął odrobinę przed Hallie i powoli zaczął rozwiązywać troczki gorsetu. Delikatnymi ruchami palców obwodził coraz to nowe odsłaniane miejsca.

Oboje przeżywali słodkie męczarnie, patrząc, jak palce Kita rozluźniają tasiemki, oczko za oczkiem. Wreszcie mógł zważyć w dłoniach jej piersi i kciukami lekko potrzeć sutki. Hallie przywarła do jego ust i ruchami języka mówiła mu, jak wielką rozkosz jej sprawia.

Ukląkł przed nią i wolno zsunął jej z nóg majtki. Z wielką czułością głaskał uda i łydki, także tam, gdzie znaczyła je blizna.

Hallie jęknęła, cała przeniknięta mrowiącym doznaniem. Dłonie Kita dotykały jej nóg coraz wyżej, pieściły zagłębienia w pachwinach, choć jeszcze nie docierały do najwrażliwszego miejsca.

Zacisnęła mu dłonie na ramionach, a on okrył pocałunkami jej brzuch, wolno wiodąc językiem do góry po śladach, jakie zostawił gorset. Gdy dotarł do zbczki piersi, zdarł z siebie koszulę. Przyciągnął jej uda do swego torsu i objął dłońmi pośladki, a wargami otaczał to jeden, to drugi krążek na szczycie piersi i głęboko go wsysał. Każdym dotknięciem i każdym oddechem składał hołd jej ciału, każdym pocałunkiem, muśnięciem, szeptem parzącym skórę wyznawał jej miłość. Była bliska szaleństwa.

Gdy wstał, nie miał już na sobie niczego. Objęli się, oboje nadszy. Kit uniósł ją z podłogi i położył na łóżku. Sprawdził, czy jest wygodnie oparta na poduszkach, i ukląkł między jej nogami. Odnalazszy ustami jej usta, umieścił szczyt swej męskości w miejscu, z którego rozchodziły się po jej ciele fale rozkoszy. Delikatnym pocieraniem zaczął budzić w niej coraz gwałtowniejszą żądzę. Wreszcie objęła go za pośladki i mocno pociągnęła ku sobie, chcąc poczuć go w środku.

- Poczekaj - szepnął i zanim zrozumiała, co zamierza zrobić, uniósł jej biodra i skosztował, jak smakuje.

- Nie - jęknęła. W myślach próbowała odsunąć jego język od tej występnej pieścoty, ale jej ciało pragnęło więcej i więcej.

- Tak - szepnął, raz po raz przyszczypując ją wargami. Gdy zadrżała z rozkoszy, wypełnił ją swą twardością. Przytknął usta do jej ucha.

- Kocham cię... kocham cię... - powtarzał w rytmie dyktowanym ruchem bioder.

Znów poczuła, że się wznosi. Nagle Kit przestał się w niej poruszać i przetoczył się na plecy. Oddał jej władzę nad ich ciałami. Hallie zatrzymała biodra, pochyliła się nad nim i piersiami zaczęła głaskać go po torsie. Pocałowała jedną z sutek i uniosła biodra, tak że Kit prawie cały się z niej wysunął. Nagle mocno poruszyła biodrami raz, drugi, i już znowu leżała na plecach, a Kit zagłębiał się w niej płynnymi długimi poruszeniami, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu oboje doznali niewysłowionej rozkoszy.

Hallie zabębniła palcami po oparciu krzesła. Dumiała, gdzie podział się Kit. Posłaniec przybiegł po niego jeszcze przed kolacją, sądziła więc, że powinien już być z powrotem w domu. Ale gdy zegar wybił jedenastą, w końcu się poddała.

- Tak to jest - powiedziała do kotów, które siedziały na wszystkich możliwych meblach. - Najpierw mówi, że kocha, a potem wychodzi z domu na całą noc.

Roześmiała się. Po ostatnich kilku dniach wiedziała już na pewno, że Kit nigdy nie zostawi jej na długo. Kochał ją jak szalony, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Było jak w bajce. Wszystkie jej dziewczęce marzenia się spełniły. Wciąż trudno jej było w to uwierzyć. Zdarzało jej się budzić nocami i przyglądać, jak Kit śpi, cieszyć się, że należy do niej ciałem i duszą. Patrzyła na ciemne, poskręcane włosy, które wyraźnie było widać na białej poduszce, i przypominała sobie, jakie wrażenie sprawiają w dotyku. Patrzyła na mięśnie pleców i ramion i przypominała sobie, jak prężą się pod jej dłońmi, gdy Kit się z nią kocha. Patrzyła, jak wolno, spokojnie oddycha, i myślała, że podobnie brzmią jego miłosne wyznania, szeptane na ucho. Czasem nawet bywało, że patrząc na niego, z miłości uroniła kilka łez.

Tego wieczoru Duncan załatwiał coś poza domem, westchnęła więc i poszła sprawdzić rygle, tak jak przykazał jej Kit. Gdy przekonała się, że wszystkie są zasunięte, weszła na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Miała nadzieję, że Kit zbudzi ją, gdy wróci.

Spuściła powieki, ale w niecałą minutę później usłyszała hałas i znów je uniosła. Serce zabiło jej mocniej, zobaczyła bowiem ciemną postać wpędzającą przez okno.

Co za człowiek! - pomyślała. Znowu ją porywa. Silna dłoń zasłoniła jej usta i nos. Hallie udała, że się broni. Nie mogła pozwolić, żeby Kitowi poszło zbyt łatwo.

Znowu zakneblowano ją, związano i owinięto w koce. Phi, Lee mógłby wymyślić coś nowego. Postanowiła porozmawiać z nim o tym później, gdy już wypłacie ją z koca.

Ale sylwetka porywacza nie pasowała do Lee. Dało jej to do myślenia, przypomniała sobie jednak o Duncanie. Widocznie tym razem Kit zatrudnił go zamiast Lee.

Zeskoczyli na ziemię, aż się zatrzęsło, i Hallie niezłomnie postanowiła, że zażąda, by Kit w przyszłości przy takich okazjach bardziej dbał o jej wygodę. Czekwała, kiedy zamkną się za nią drzwi powozu, zamiast tego jednak ciśnięto ją jak wór ziemniaków na twarde podłoże. Och, dostanie się od niej Duncanowi!

Knebel zdusił jej krzyk protestu. Przestała odczuwać chłód powietrza, czymś ją bowiem nakryto. Rozległ się łoskot, podłoże pod nią zadrżało i Hallie pojęła, że leży na wozie, a Duncan siedzi na koźle. Wóz podskakiwał na wybojach i okropnie ją obtłukiwał. Nie wątpiła, że następnego dnia będzie miała sińce. Och, ona pokaże tym głupim mężczyznom! Też nabije im parę sińców!

Wóz jechał jeszcze długo, ale w końcu przystanął i Duncan postawił ją na ziemi. Nie bardzo jej się podobało to traktowanie, więc spróbowała go kopnąć, ale przerzucił ją sobie przez ramię i zaczął wnosić po jakichś schodach. Rzecz jasna, nie zmierzali na „Sea Haven”, bo wtedy nie szliby po schodach. Zastanowiło ją, gdzie właściwie są. Zapach nie był przyjemny, śmierdziało starzyzną i spalenizną.

Duncan znów postawił ją na ziemi, a potem zrobił coś bardzo dziwnego: mocno ją popchnął. Potknęła się i, wciąż owinięta w koce, upadła na twardą podłogę. Mimo knebla krzyknęła, trzask drzwi zagłuszył jednak jej protest. Usiłowała wydostać się z rulonu, ale jej się to nie udawało.

Usłyszała męskie głosy i coś jakby brzęk monet, po czym drzwi na dwór znowu trzasnęły. Ktoś wrócił do pomieszczenia, w którym leżała. Usłyszała szuranie butów.

Wpadła w panikę. Kit nosił podzielowane, wysokie buty. Był zbyt energiczny, by powłóczyć nogami.

O Boże! To porwanie jest prawdziwe!

Ktoś zdarł z niej koc. Potoczyła się na zimne deski podłogi. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w wychudzoną twarz Abnera Browna.

Uśmiechnął się i zawiązał jej pętlę na szyi, zacisnął, a potem drugi koniec liny przymocował do grubej belki. Nie odezwał się przy tym ani słowem. Gdy skończył, wyszedł przez wąskie drzwi.

Szarpnęła się, ale ponieważ z każdym ruchem czuła, że pętla jest ciaśniejsza, musiała przestać, by się nie powiesić. Potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu. Było ciemne i częściowo spalone, przypominało piwnicę. Leżało tu kilka połamanych stołów, stał też chylący się, nadpalony kredens. Większą część podłogi przykrywał popiół i różne resztki z pożaru. W kącie tkwiło kilka połamanych trumien. Zrozumiała, że tyle zostało z zakładu pogrzebowego.

Zaczęła gorączkowo rozmyślać, co robić. W mroku ledwo było widać małe drzwi w przeciwległej ścianie. Przypomniała sobie, że budynek Abnera stał na stoku wzgórza, więc gdyby udało jej się wydostać z rąk tego szaleńca, mogłaby szybko uciec.

Nie miała pojęcia, jak długo tam siedzi, ale nim Abner wrócił, straciła już wszelką nadzieję na ucieczkę. Razem z nim przyszedł ponury, wielki człowiek z następnym rulonem.

- Połóż tam - nakazał Abner dziwnym, chropawym głosem, który całkiem stracił zawodzący przydźwięk.

Człowiek puścił rulon. U stóp Hallie upadła związana, zakneblowana Dagny. Hallie spojrzała w oczy siostry, lękając się, że znów są zasnuwane mgłą. Ale nie. Dagny spojrzała na nią, zanim jeszcze Hallie przeniosła wzrok na Abnera.

Znów zabrzęczały złote monety. Abner zapłacił mężczyźnie, potem zamknął drzwi i zwrócił się w ich stronę. Bez słowa podszedł do Dagny i jej również nałożył pętlę na szyję. Potem wstał i zmierzył je spojrzeniem.

- Na to czekałem - powiedział. - Oj, czekałem. W kryjówce, jak zwierzę! Ale byłem czujny.

Hallie próbowała mu coś odpowiedzieć, knebel zniekształcił jednak jej słowa. Abner patrzył szklistymi oczami to na jedną ofiarę, to na drugą. Wreszcie chwycił za linę, którą zawiązał Hallie, i mocno szarpnął. Pętla zacisnęła się jej na gardle, zaraz jednak trochę się rozluźniła i Hallie upadła na brzuch. Uniosła twarz z brudnej podłogi i spojrzała na Abnera. Panicznie się bała. Abner pokazał jej, że nadal trzyma linę, i znów pociągnął. Hallie krzyknęła mimo knebla, pętla bowiem zacisnęła się bardzo mocno.

- Boli? - spytał. Milczała. - Widzę, że boli. - Uśmiechnął się i odwrócił do stołu, na którym stały czarka i koszyk. Usiadł na podłodze i wyjął z czarki krzesiwo. Z wnętrza koszyka dobył długą, cienką igłę.

Hallie próbowała ukryć lęk, jaki budził w niej ten przedmiot. Obawiała się, że Abner będzie chciał je dźgać. On jednak umieścił na końcu igły czarną gałkę i zapaliwszy ją, obracał nad płomieniem, póki nie rozżarzyła się pomarańczowym światłem. Wtedy odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy i zaciągnął się dymem. Wkrótce wypuścił powietrze z płuc i powtórzył te czynności jeszcze kilka razy. Od mocnego, słodkawego odoru Hallie zrobiło się niedobrze.

- No, jak się czujesz przywiązana jak jakieś zwierzę? - Oczy mu łzawiły, oddech miał płytki, chrapliwy.

Hallie usiłowała nie okazywać lęku. Usłyszała stłumiony protest Dagny. Zwróciła głowę w jej stronę i nieznacznym ruchem głowy dała jej znać, żeby milczała.

- Ja dobrze wiem, jak się czuje zwierzę, które chowa się przed myśliwymi. - Znów zaciągnął się dymem. - To ty ich zawołałaś, żeby na mnie polowali, prawda? - Spojrzał na Hallie z odrazą. - Tamtego wieczoru w teatrze.

Odłożył igłę z rozżarzoną gałką do czarki i podszedł do dużej, drewnianej skrzyni. Odsunął ją i znów odwrócił się do swych ofiar. Poszarzała twarz wykrzywił mu wściekły grymas szaleńca.

- Ścigali mnie... musiałem uciekać. Musiałem się schować jak tchórz. W ciemnym kufrze.

Zaczął się z czymś siłować, ciągnął to coś przez pokój. Gdy wyłonił się z mroku, Hallie zobaczyła osmaloną trumnę.

- Siedziałem w kryjówce, byłem czujny, czekałem. - Pochylił się, wziął igłę z gałką i podszedł do Hallie. Chwycił ją za włosy, odchylając głowę, a drugą ręką podetknął jej pod nos dymiącą gałkę.

Hallie wstrzymała dech. Spuściła powieki, bo dym gryzł ją w oczy.

- Wdychaj! - krzyknął Abner.

Wciąż wstrzymywała dech, chociaż płuca jej pękały. Abner mocno szarpnął ją za włosy. Syknęła z bólu i wtedy dym wypełnił jej usta, nos i płuca. Mijały minuty, słyszała stłumione krzyki Dagny, ale nie miała już woli walki. Była oszołomiona, od słodkawego dymu mdliło ją.

Abner puścił jej włosy. Upadła na podłogę, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Przeciął linę, ujął Hallie pod pachy i pociągnął po podłodze. Potem oparł ją o coś i gdzieś wepchnął. Zrobiło jej się okropnie zimno, nadal jednak nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą.

Powieki ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Dopiero po kilku próbach udało jej się otworzyć oczy. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Abner zatrzaskuje wieko.

Zaczął wbijać gwoździe. Chciała się ruszyć, ale nie mogła. Boże! Musiała coś zrobić! Uciekać! Ale była całkiem odrętwiała. Czuła tylko gęstniejącą krew, spływającą z jej ciała. Powietrze było ciepłe, duszne, pachniało dymem. Drewniana skrzynia trzęsła się od walenia młotkiem. Hallie wciąż nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Nie miała siły, powieki znowu jej opadły.

Dagny szarpała się z więzami na rękach i nogach. Udało jej się trochę przesunąć, ale przez to pętla na szyi zacisnęła się mocniej.

- Nie ma sensu się męczyć. Nie uciekniesz - powiedział Abner ze złowrogim spokojem i nadal zabijał wieko gwoździami. - Widzisz, co robię, prawda? Teraz jestem lwem.

Ten człowiek oszalał! Dagny zastanawiała się, co będzie chciał z nią zrobić. Przypomniała sobie poprzedni raz. Zakręciło jej się w głowie i omal nie zwymiotowała. Zacerpnęła powietrza przez nos. Nie mogła sobie pozwolić na słabość. Nie teraz. Hallie jej potrzebuje.

Naturalnie, jeśli jeszcze żyje.

Dagny nie wiedziała, co wdycha Abner, widziała jednak, jaki skutek wywarło to na Hallie. Tłumaczyła sobie, że ten dym nie może zabijać, skoro Abner tak się nim upaja.

- Pożrę wielkiego łowcę, Kita Howlanda - powiedział Abner. - To przez niego musiałem się chować. To przez niego uciekałem jak tchórz. A nie jestem tchórzem. Mój ojciec był, ale ja nie. Jestem silniejszy. Nie jestem do niego podobny... nie... - Pokręcił głową. - Wygrałem i dalej będę wygrywał. Zobaczysz.

Przysunął stół do kredensu pod ścianą. Otworzył drzwi pomieszczenia i wypchnął trumnę na zewnątrz.

- Mam dla twojej siostry ciemne miejsce. Schowa się tak samo, jak ja musiałem się chować.

Roześmiał się skrzekliwie. Ciarki przebiegły jej po plecach. Abner zamknął drzwi i zwrócił się do niej.

- Jak myślisz, ile jeszcze będzie żyła twoja siostra? Godzinę? Dwie?

Z uśmiechem na twarzy zrobił krok w jej stronę, ale przystanął przy czarce z dymiącą gałką. Podsunął ją sobie pod nos i wykonał kilka wdechów.

- To są kwiaty, płonące, słodkie kwiaty. Chcesz spróbować? Masz. - Podszedł do niej i podstawił jej czarkę pod nos.

- Zobacz, to pomaga na ból.

Dagny próbowała się odwrócić.

Abner zarechotał i postawił czarkę obok niej na stole.

- Potem będziesz chciała - oznajmił i wyszedł z pokoju. Dagny zamieniła się w słuch. Za ścianą Abner przesunął trumnę. Szukała jakiegoś sposobu, by się uwolnić, gdy nagle jej wzrok padł na czarkę z tym paskudztwem. Szarpnęła się w tamtą stronę tak daleko, jak pozwoliła jej na to pętla na szyi. Umieściła związane dłonie nad dymiącą gałką, mając nadzieję, że jest jeszcze dostatecznie gorąca, by przepalić więzy. Potem wzięła głęboki oddech i przytknęła sznur do żarzącej się kulki.

Poparzyła sobie skórę, lecz na szczęście lina się zajęła. Po kilku bolesnych sekundach, Dagny miała wolne ręce. Wyrwała szmatę z ust i zaczęła chciwie wdychać powietrze, pracując jednocześnie nad rozluźnieniem pętli. Potem oswobodziła z więzów nogi. Na palcach podeszła do drzwi.

Z ulicy doleciało ją ciche parskanie koni. Coś trzasnęło, potem usłyszała kroki Abnera. Szybko rozejrzała się za jakąś bronią, chwyciła za młotek, wstrzymała dech i czekała, co będzie dalej. Ale w kilka sekund później wóz odjechał.

Odetchnęła z ulgą i pchnęła drzwi na oścież. Uliczka na tyłach pogorzelniska była pusta. Dagny pędziła tak szybko, jak tylko chciały ją nieść bosa stopy. Modliła się, żeby sprowadzić pomoc na czas.

– Nie ma ich!

- Co to znaczy, do pioruna, „nie ma ich”?! - krzyknął Kit, usiłując uspokoić Maddie.

- Ani Dagny, ani Hallie! Okna w ich pokojach są otwarte, a ich nie ma! Ktoś je porwał. Liv widziała mężczyznę wynoszącego Dagny, ale zanim zdążyła do mnie przybiec, odjechał wozem.

- Maddie chwyciła go za ramiona. - Niczego nie słyszałam, Kit. O Boże, musisz je znaleźć.

- To Abner - powiedział Kit. Duncan przytaknął skinieniem głowy. Kit odsunął Maddie od siebie. - Uspokój się, ciociu. Znajdziemy je.

Zwrócił się do Duncana.

- Pędź po Lee. Rozstałem się z nim przed chwilą w Thistle Inn. Powinien jeszcze tam siedzieć. Wracajcie razem jak najszybciej. Ja tymczasem popytam, czy ktoś widział ten wóz.

Duncan odjechał na koniu, a Kit gorączkowo zaczął szukać kogoś, kto mógłby mu wskazać jakąś poszlakę. W kwadrans później nadjechali Duncan i Lee. Kit czekał na nich przy słupie do wiązania koni.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Pokręcił głową.

- Nikt niczego nie widział, tylko Maddie i Liv. A one powiedziały, że wóz odjechał tam - Kit wskazał stok wzgórza opadający ku zatoce. W zamyśleniu przetarł czoło. - Boże, nawet nie wiem, gdzie zacząć poszukiwania.

Jakby nie dość było kłopotów, nagle lunęło. Napłynęły chmury i deszcz zaczął bębnić o drewniane chodniki. W głębi spadzistej ulicy rozległ się krzyk. Mężczyźni obrócili się i zobaczyli Dagny, bosą, w podartej nocnej koszuli. Potykając się, pędziła ku nim i krzyczała.

Natychmiast wybiegli jej na spotkanie. Była tak przerażona i zdyszana, że nie można było zrozumieć słów. Kit objął ją i zaczął uspokajająco kołysać, żeby była w stanie cokolwiek powiedzieć. Ale po drodze Dagny krzyczała tak rozdzierająco, że teraz mogła tylko łapczywie zachłystywać się powietrzem. Dopiero po chwili bełkot stał się nieco wyraźniejszy.

- Abner Brown... Chce ją pogrzebać... w trumnie... - wyrzuciła z siebie i zemdląła.

Kit podał Dagny Duncanowi.

- Zanieś ją do domu, a potem sprowadź szeryfa Hayesa. Spotkamy się na cmentarzu!

Wskoczyli z Lee na konie i popędzili w stronę Telegraph Hill. Kit raz po raz spinał konia ostrogami. Deszcz zaciął, zamieniając ulice w lepką maź. Galopując, Kit wyobrażał sobie błoto zalewające głęboki wykop i wygląd świeżo usypanego grobu. Bał się, że oszaleje.

Wpadli na drogę, prowadzącą do wieży sygnalizacyjnej. Kit przeskoczył bramę. Koń potknął się przy lądowaniu na mokrej, śliskiej ziemi. Kit wyleciał w powietrze. Upadł na prawe ramię, przeturlał się i uderzył w drzewo. Nie zwracając uwagi na ból, zerwał się i pobiegł na oślep przed siebie.

Słyszał wołanie Lee, ale nie zatrzymał się. Nie mógł. Rozpętała się burza, coraz mniej było widać. Kit pokonał jeszcze jeden garb wzgórza i przystanął, wyężdżając wzrok.

I wtedy zobaczył wóz.

Puścił się w tamtą stronę ile sił w nogach. Ujrzał schyłego człowieka, który szpadlem spychał błoto do wykopu. Rzucił się na niego, wytrącił mu narzędzie z dłoni i obaj potoczyli się po mokrej ziemi. Kit znalazł się na wierzchu, zacisnął przeciwnikowi palce na gardle, ale odrzucony kopnięciem, poleciał do tyłu.

Abner zerwał się i pochwycił szpadel. Kit zrobił unik i cios, wymierzony w głowę, trafił go tylko w ramię. Lee przemknął obok leżącego przyjaciela. Pędził prosto na Abnera. Szalenie dostrzegł go jednak w ostatniej chwili i jeszcze raz zamachnął się szpadlem. Ostrze zawadziło o głowę i Lee runął nieprzytomny na ziemię.

Kit z trudem wstał, chwytając się szprych koła wozu. Abner natarł na niego, trzymając szpadel jak miecz. Kit próbował go dosięgnąć pięścią, ale Abner z rechem odskoczył w bok, a Kit poślizgnął się i upadł do tyłu w błoto. Podniósł głowę akurat w chwili, gdy Abner zamierzał się, by roztrzaskać mu czaszkę.

Przypadkiem uderzył jednak konia. Spłoszone zwierzę stanęło dęba, a przednie kopyta zagarnęły Abnera pod wóz. Rozległ się chrzęst łamanych kości.

Kit, zataczając się, dopadł grobu i zaczął jedną ręką odgarniać ziemię.

- Neeeeee! - krzyczał. - Do pioruna, nie! - Błoto zalewało wykop szybciej, niż je wygarniał. - Boże, nie możesz mi tego zrobić! Nie mogę jej stracić... Nie mogę... - Głos łamał mu się z trwogi, że nie zdąży w porę wydobyć Hallie na powierzchnię.

Szlochając i krzycząc, zsunął się do wykopu i zaparł o ścianę grobu, żeby powstrzymać zsuwające się błoto. Część trumny jeszcze wystawała. Chwytał za wieko, ale gwoździe trzymały mocno. Próbował podnieść trumnę, lecz jedną ręką, w strugach błota, nie był w stanie tego dokonać.

Musiał zerwać wieko!

Rozejrzał się za czymś, czym mógłby je podważyć. Dostrzegł ostrze złamanego szpadla, na wpół zatopione w mazi. Wypełzył z grobu. Deszcz wściekle siekł go po twarzy, zalewał oczy. Kit szukał po omacku, ale nie mógł natrafić na narzędzie.

Szybciej! Boże, szybciej! Wreszcie zawadził palcami o metal. Chwytał za złamany trzonek i z powrotem zsunął się do grobu. Napierając na resztki trzonka, zdołał podważyć wieko. Zaczął poszerzać szparę. Po chwili była już dostatecznie duża.

Wyciągnął Hallie na powierzchnię i trzymając ją mocno przy sobie, zaczął nią kołysać i krzyczeć, żeby się zbudziła. Potem usiadł, ułożywszy sobie jej głowę na kolanach. Wpatrywał się w nią przerażony. Oczy miała zamknięte, jakby spała. Albo jakby umarła.

Potrząsnął ją za ramiona.

- Zbudź się, do pioruna! Nie możesz umrzeć... Nie możesz... Nie chcę cię stracić... - Burza głośnyła jego krzyki rozpacz. - Kocham cię... kocham! O Boże! Nie rób tego znowu... Kocham ją... kocham... kocham... kocham...

Przytulił mocno jej zwiotczałe ciało, ukrył twarz w zagłębieniu szyi i zaczął głośno wyplakiwać swe cierpienie i swą miłość.

Hallie dotknęła jego ramienia i pogłaskała je.

Wyprostował się gwałtownie, spojrzał w mokrą od deszczu, zachlapaną błotem twarz. To była twarz jego ukochanej kobiety.

Hallie otworzyła oczy, zamrugła, broniąc się przed smagającym deszczem. Twarz jej się rozjaśniła.

- Kocham cię - szepnął Kit.

- Wiem - odszepnęła. I uśmiechnęła się.

Hallie natarła dębową poręcz olejkiem do polerowania mebli. Była jesień. Maddie znowu wpadła w szal sprzątan. Z salonu doleciał chichot, więc Hallie wetknęła tam głowę. Uśmiechnęła się. Duncan trzymał Dagny wysoko w powietrzu, żeby mogła odkurzyć gzyms. Za rok mieli się pobrać. Tymczasem Dagny musiała jeszcze trochę dorosnąć, a firma budowlana Duncana rozwinąć skrzydła.

Z kuchni zapachniało cynamonem, Hallie poszła więc sprawdzić, co słychać z deserem. Chwyła z gwoździa ścierkę i otworzyła piec. Mus według przepisu Millie, przyjaciółki Maddie, bulgotał i miał kolor złotobrazowy. Hallie wyciągnęła rozgrzaną patelnię, obejmując rączkę przez ścierkę. Naczynie było ciężkie jak kotka Liv. Hallie odstawiała je z hukiem na płytę i parsknęła śmiechem widząc, jak wielki jest deser. Maddie wciąż jeszcze gotowała dla Lee, mimo że „Wanderer” dawno już odpłynął ścigać wieloryby.

Wytarłszy ręce o fartuch, Hallie poszła sprawdzić, co robią bliźniacy. Z progu kuchennych drzwi zobaczyła trzęsące się liście na drzewie. Po chwili ujrzała też Kita. Odsunął gałąź i zerknął ku chłopcom, stojącym na dole.

- Czy to na pewno ma być na tej gałęzi? - spytał, wskazując drewnianą platformę, którą usiłował przybić do drzewa.

Chłopcy skinęli głowami.

- No, dobrze. - Młotek znów poszedł w ruch. Nagle rozległo się przesywające miauknięcie.

- Liv, do pioruna! Trzymaj koty z dala od tego drzewa, póki nie skończę! - Kit zrzucił dwa czarno-białe kociaki prosto w jej objęcia. Dziewczynka posadziła je sobie na ramionach i dalej

przyglądała się, jak Kit buduje dom na drzewie.

Znów zastukał młotek. Hallie już zamykała drzwi, gdy dobiegł ją głośny trzask. Wyjrzała akurat w porę, by zobaczyć, jak gałąź, platforma i fura liści spadają na ziemię wraz z jej mężem.

Zamknęła drzwi, żeby nie było słychać, jak się śmieje, a potem przez okno obserwowała, jak Kit gramoli się spomiędzy połamanych gałęzi. Wstał, otrzepał się i popatrzył gniewnie w stronę piętra, skąd na całe podwórze niósł się radosny śmiech Maddie. Dzieci wykazały dużo rozsądku, bo znikły z widnokregu.

Głośno tupiąc, Kit ruszył w stronę domu, więc Hallie odwróciła się w stronę blachy i zaczęła mieszać w pustym garnku.

Gdy trzasnęły drzwi, z wystudiowanym uśmiechem odwróciła się do męża. Stał za nią, we włosach wciąż miał mnóstwo liści i drobnych gałązek i prezentował swoje sławne mordercze spojrzenie.

Hallie obejrzała go od stóp do głów i spytała:

- Spadłeś ostatnio z jakiegoś drzewa?

Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu. Naśladując Hallie, przyjrzał jej się od góry do dołu, na chwilę zatrzymując wzrok na dużym brzuchu. Objął ją delikatnie.

- Wlazłaś ostatnio do cudzego łóżka?

- Tylko do twojego, kochanie - odszepnęła tuż przy jego wargach.

A potem Kit ją pocałował, czule i z wielką miłością. I Hallie była pewna, że ich dusze za chwilę będą krzyczeć.